

ALEKSANDER GRIN

**OPOWIADANIA
NIESAMOWITE**

TYTUŁ ORYGINAŁU: SOBRANIJE SOCZINIENIJ W SZESTI TOMACH MOSKWA 1965



PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO „ISKRY” WARSZAWA 1971

Podróż do Grinlandii

*Czy widzisz stację, na której można
Do Indii Ducha wykupić bilet?*

M. Gumilow

Niewielu jest pisarzy, których życiorys tak doskonale zgadzałby się z ich dziełem, byłby nie tylko tego dzieła ilustracją, ale niemal jego nieodłączną częścią. Niewielu jest również pisarzy, których dzieło było jak gdyby snem życzeniowym całego życia, snem nigdy nie spełnionym, a przez to tym bardziej realnym w swoim zaprzeczeniu. Tego rodzaju pisarstwo zdarza się bardzo rzadko, bo rzadko bywa, aby pamiętnik marzeń zespolił się w kształt zorganizowany, artystycznie pełny, stanowiący świat odrębny i jednolity.

Takim właśnie pisarzem był Aleksander Grin. Jego życie, które byłoby niezwykle i odrębne w każdym kraju, gdziekolwiek by się urodził, stanowiło tak integralne podłoże dla wszystkiego, co napisał, że nie sposób mówić o jego dziele nie zapoznawszy się choćby najogólniej z trudnymi jego losami.

Był synem powstańca 1863 roku zesłanego do Wiatki, gubernialnego miasta, a raczej miasteczka, zagubionego na odległych wschodnich przestrzeniach carskiej Rosji. Nazywał się w rzeczywistości Gryniewski, a późniejszy skrót nazwiska Grin, tak obco brzmiący w języku rosyjskim, dopasował do świata, który stworzył w swych opowiadaniach, świata obcego, dziwnego, nie umiejscowionego w żadnej istniejącej geografii. Podobnie jak wielu innych polskich zesłańców Stefan Gryniewski, ojciec Grina, ożenił się z Rosjanką, wrósł w obce środowisko, był buchalterem w szpitalu miejskim, żył w nędzy, rozpił się i umarł w nędzy.

Najstarszy syn po śmierci matki i po powtórnych małżeństwie ojca z córką diaczka cerkiewnego, rósł w zaniedbaniu w ciężkiej atmosferze ubóstwa i awantur rodzinnych. Milkliwy odludek, od najwcześniejszych lat żył w sztucznym, urojonym świecie lektury przygodowej. W skrzyniach pozostałych po stryju, pułkownika Gryniewskim, pełno było książek w języku polskim, rosyjskim i francuskim. Grin grzebał w nich zapamiętałe całymi dniami i czytał, pomijając książki francuskie, bo nigdy nie nauczył się żadnego obcego języka, książki Jules Verne'a, Maine Reida, Jacolliota, Gustawa Aimarda — całą przygodową i podróżniczą literaturę tamtych czasów. W ubogiej, wygnańczej Wiatce marzył o dalekich podróżach i marzenie to nie opuściło go przez całe życie. Wyrzucony z gimnazjum realnego, z trudem przyjęty po usilnych staraniach ojca do szkoły miejskiej, bity i prześladowany przez kolegów i nauczycieli, nie umie znaleźć sobie miejsca w okrutnych i prymitywnych warunkach dalekiej rosyjskiej prowincji. Włóczy się po okolicznych lasach — wiecznie głodny i wiecznie wyobrażający sobie, że jest kim innym.

Ale lasy pod Wiatką nie były amerykańską puszcza, a włóczęcy się po nich obdarty bosy chłopak nie był traperem, zaprawionym do prymitywnego życia, choć sobie to na próżno wyobrażał. I oto piętnastoletni Grin postanawia uciec do Odessy, aby zaciągnąć się na statek. W opowiadaniu „Okręty w Lissie” jeden z bohaterów Grina mówi: „Jestem samotny... wiem, co pozostawiłem za sobą. A przy tym odczuwam, zawsze odczuwałem, wielką potrzebę zmiany miejsca. W ten sposób zamyśliłem teraz s w o j ą podróż... Będziemy objeżdżać bez określonego planu morza i lądy, przyglądać się cudzemu życiu, szukać ważnych i wiele znaczących spotkań, nie spieszyć się, czasami ocalić zbiega, wziąć na pokład rozbitków, stać wśród kwitnących ogrodów na wodach olbrzymich, na pewien czas, być może, zapuścić korzenie w obcym kraju, pozwalając kotwicy obrosnąć solą, a potem, gdy zatęsknimy, znów odlecieć nastawiwszy żagle pod wiatr”.

Tak sobie zapewne wyobrażał Grin dalekie podróże, kiedy blakając się po porcie odeskim nadermnie usiłował dostać się na jakikolwiek statek. Nocował w nędzarskim barłogu, głodował tak długo i uporczywie, że porobiły mu się wrzody na nogach. Wreszcie, kiedy zdawało się, że szczęście się do niego uśmiechnęło, kiedy okłamawszy kapitana, że ojciec przyśle pieniądze za jego wyżywienie, dostał się wreszcie na jakiś statek — po dwóch rejsach na Morzu Czarnym został wysadzony na brzeg.

Ale ta podróż tym bardziej rozjaśniła jego pragnienie przygód. Znowu zaczyna tułaczkę po zakazanych zakamarkach portu, żebrze na ulicach, aż po niewiarygodnej poniewierce zaciąga się na krypę płynącą do Chersonezu. Tam właściciel stateczku zostawia go nie płacąc ani grosza, a Grin wraca na gapę parowcem do Odessy. Przez pewien czas pracuje jako markier w porcie. Udaje mu się zrobić jedyny w życiu zagraniczny rejs do Aleksandrii, aż wreszcie, zrezygnowany, postanawia wrócić do Wiatki.

Ze swoich rejsów po Morzu Czarnym Grin zachował w pamięci jedynie port w Jałcie i widok kaukaskich szczytów. „Światła Jałty zapamiętałem przede wszystkim — pisze pod koniec życia w swej »Powieści biograficznej«. — Światła portu zlewały się ze światłami niewidzialnego miasta. Parowiec zbliżał się do mola w jasnych dźwiękach parkowej orkiestry. Dolatywał zapach kwiatów, ciepłe porywy wiatru. Z daleka dawały się słyszeć głosy i śmiechy.

Resztę rejsu zapomniałem, prócz nie znikającego z horyzontu pochodu śnieżnych gór. Ich ciągnące po wysokości nieba szczyty nawet z daleka ukazywały świat ogromnych światów. Był to łańcuch wysoko wzniesionych krain iskrzącego się lodami milczenia”.

Z krain milczenia, konkretnych i niemal dotykalnych, lśniących realnymi i urojonymi blaskami, dla Grina jedna była tylko droga — w równie konkretny, stworzony przez niego realny świat marzenia, równie barwny, ale brzmiący wieloma głosami, pełen ruchu, pełen gwałtownych a wzniosłych konfliktów.

„Wcześniej czy później — mówił bohater jego powieści »Biegnąca po falach« — u schyłku życia czy w rozkwicie lat, Niespełnione przyzywa nas, a my rozglądamy się, usiłując pojąć, skąd nadleciał zew. Wtedy ocknąwszy się w swoim zwykłym świecie, opamiętujemy się z przykrością i wążąc każdy dzień wpatrujemy się w życie, całą naszą istotą starając się odgadnąć, czy też nie ziszcza się Niespełnione. Może dostrzegamy już jego kształt? Może teraz wystarczy tylko wyciągnąć rękę, by chwycić i zatrzymać jego ledwo majaczące zarysy?

Tymczasem mijają dni i przepływamy obok wysokich, mglistych brzegów Niespełnionego, zaprzątnięcia powszednimi sprawami”.

Takie to brzegi jawiły się Grinowi od najwcześniejszego dzieciństwa, nigdy nie osiągnięte — i całe jego życie było wiecznym ich poszukiwaniem. A dzień powszedni, przytłaczający i trudny do zniesienia, był jedynie przedprozem tego, co Nieosiągalne, gdzie każdy krok ranił bezbronny.

Do domu Grin wracał kryjąc się w towarowych pociągach, ale ostatnie dwieście kilometrów przeszedł pieszo jesiennymi, grząskimi drogami. W Wiatce był kolejno łąziebnym, kancelistą, pisał chłopom podania po zajazdach. I znowu po pewnym czasie ruszył w dalszą drogę. Powędrował do Baku, ale tu stoczył się już na samo dno. Żył z żebraniny i z przypadkowych drobnych zarobków: wbijał pale w porcie, pracował jako tragarz, oczyszczał statki z farby, gasił pożary ropy. Nocował na przystaniach w pustych kotłach, pod przewróconymi do góry dnem łódkami, a czasem zwyczajnie pod płotem. Już w Wiatce zaczął pić, a w Baku, zetknąwszy się z ostateczną nędzą i upadkiem, stał się ponury, jeszcze bardziej niż dawniej milczący, zamknięty w sobie — i to zostało mu już na całe życie.

A jednak i tam, na dnie nędzy, nie opuszczało go marzenie o pięknie i o dobroci. Konstanty Paustowski w pięknym szkicu o Grinie opowiada, jak stawał on przed witrynami fotografów, „aby pośród setek tępych i wymiętych chorobami twarzy znaleźć choć jedną twarz, która by mówiła o życiu radosnym, wzniosłym i beztroskim. Wreszcie znalazł taką twarz — twarz młodej dziewczyny — i opisał ją w swoim dzienniku. Dziennik trafił do rąk właściciela domu noclegowego, człowieka nikczemnego i chytrego, który zaczął wykpiwać Grina i nieznaną dziewczynę. Sprawa o mało nie zakończyła się krwawą bójką” — dodaje Paustowski.

I może ten instynkt piękna i dobroci, instynkt utopii, który miał później znaleźć ujście w urojonym świecie mitycznej Grinlandii, stał się pobudką do krótkotrwałej, tak niezgodnej z usposobieniem Grina, przygody politycznej. Po długich tułaczkach, w ostatecznej rozterce, Grin zaciąga się jako ochotnik do wojska carskiego. Służył w pułku piechoty w Penzie i tam po raz pierwszy zetknął się z eserami i zaczął czytać rewolucyjne broszury. „Od tej pory — pisze Grin — życie odwróciło się ku mnie wydobyta na jaw, zdawałoby się dawniej, że tajemniczą stroną. Mój entuzjazm rewolucyjny był bezgraniczny. Na pierwszą propozycję pewnego ochotnika esera wzięłem tysiąc proklamacji i rozrzuciłem je po podwórzu koszar”.

Przesłużywszy około roku Grin zdezerterował z wojska i oddał się bez reszty działalności rewolucyjnej. W Kijowie i w Sewastopolu zasłynął jako żarliwy mówca i agitator żołnierzy i marynarzy. Ale Grin nie byłby sobą, gdyby nawet w niebezpieczeństwach pracy rewolucyjnej nie pozostał nadal

przede wszystkim uważnym widzem. „Nie na próżno — jak zauważa Paustowski — sam o sobie mówił, że zjawiska życia interesowały go przede wszystkim w sposób wzrokowy — lubił przyglądać się i wdrażać sobie wszystko w pamięć”.

Sewastopol zapamiętany przez Grina stał się w geografii jego urojonych krain legendarnym Zurbaganem. Sam przyznaje, że niektóre rysy Sewastopola weszły do jego opowiadań. Grin opisując Zurbagan nie tylko przenosi do tego urojonego miasta sewastopolskie uliczki, port z wojennymi okrętami, wysokie maszty w zatoce i setki migoczących w nocy świateł, ale również atmosferę, poezję współzycia z morzem: „Niebezpieczeństwo, ryzyko, władza natury, światło dalekiego kraju, cudowna niepewność, przelotna miłość kwitnąca spotkaniem i rozłąką; porywające wrzenie spotkań, twarzy, wydarzeń; bezmierna różnorodność życia, a wysoko w niebie — to Krzyż Południa, to Niedźwiedzica, a wszystkie lądy — w przenikliwych oczach, choć twoja kajuta pełna jest nie opuszczającej cię ojczyzny z jej książkami, obrazami, listami i zeschniętymi kwiatami”.

W tymże Sewastopolu jesienią 1903 roku Grin został aresztowany i przesiedział w więzieniu dwa lata, aż do końca października 1905 roku. Tam też zaczął pisać. Uwalnia go rewolucja, jednakże po pewnym czasie zostaje aresztowany powtórnie i zesłany do Tobolska. Udaje mu się uciec z etapu i przedostać do Wiatki, gdzie ojciec wykrada dla niego z szpitala miejskiego paszport zmarłego syna diaczka — Malginowa. Pod tym nazwiskiem Grin ukrywał się dość długo w Wiatce, a potem w Petersburgu, pod tym również nazwiskiem wydrukował swe pierwsze opowiadanie. Grin wspomina, jak ujrawszy w kiosku numer „Wiadomości Giełdowych” ze swoim opowiadaniem, niemal wyczołował sprzedawcę gazety, który nie wierzył zapewnieniom, że on jest właśnie autorem i podejrzliwie patrzył na młodego obdartusa.

Na polecenie kierownictwa podziemnej eserowskiej organizacji Grin pisze propagandową nowelę pod tytułem „Zasługa szeregowca Pantelejewa”. Ale losy tego debiutu, niejako zapowiadając przyszłe, ustawiczne trudności pisarskie Grina, były nader symptomatyczne. Broszura miała być rozrzucona w koszarach moskiewskiego garnizonu, jednakże w dniu, gdy została wydrukowana, żandarmeria podczas rewizji w drukarni skonfiskowała, a potem spaliła cały nakład. Grin do końca życia uważał, że utwór ten stracony został bezpowrotnie, a przecież w pięćdziesiąt lat później jeden egzemplarz broszury odnalazł się jako „dowód rzeczowy” w aktach sprawy.

Z początku nieśmiało, później coraz częściej Grin zaczyna drukować swe utwory w różnych magazynach i pismach ilustrowanych. Zresztą w tego rodzaju pismach drukował do końca. Do końca uważano go za dostawcę lektury rozrywkowej, przygodowej, dopiero w ostatnich latach życia udało mu się od czasu do czasu trafić do pisma literackiego. Nie wpuszczano go do „wielkiej literatury” nie doceniając tego pisarstwa, które stało pozornie na uboczu literatury rosyjskiej, do niczego niepodobne i z niczym nieporównywalne. Przyczyniły się do tego również cechy charakteru Grina — zawsze był nad podziw skromny, niepewny siebie, zawsze wzruszająco wdzięczny za każdą najmniejszą pochwałę.

Michał Słonimski w swoich wspomnieniach o Grinie opowiada, jak w 1921 roku Grin po raz pierwszy czytał mu właśnie niedawno przedtem napisane „Szkarałatne żagle”. Przyszedł do Słonimskiego starannie ogolony, wypił szklankę mocnej herbaty, położył na kolanach gruby plik gęsto zapisanych arkuszy wyrwanych z księgi buchalteryjnej i długo ociągał się z czytaniem. Słonimski pisze, że zrobiło mu się po prostu przykro, gdy patrzył na straszliwe onieśmienie tego o siedemnaście lat starszego od niego pisarza.

— Boję się — odezwał się Grin rwącym się głosem. W końcu zaczął czytać. A gdy Słonimski, aby go ośmielić, wypowiedział ogólnikowe zdanie:

— Pan pisze tak, że wszystko widać jak na dłoni — Grin odpowiedział z głębokim przekonaniem:

— Pan umie chwalić.

W opowiadaniu „Szczurołap”, o którym będzie jeszcze mowa, Grin, cytując fikcyjny list przyjaciela swego bohatera, tak opisuje jego wygląd, zastrzegając się, że czyni to nie po to, aby utrwalić na stronicach książki swoje rysy, ale ze względu na potrzebę unaocznienia: „Jest smagły, ma niechętny do wszystkiego wyraz twarzy o regularnych rysach, strzyże się krótko, mówi powoli i z trudem”. Jest to niewątpliwie autoportret, a utwierdza nas w tym przekonaniu uwaga, jaką dodaje Grin: „To prawda, ale moja maniera mówienia w ten sposób nie była skutkiem choroby — pochodziła ona ze smutnego odczucia, z którego rzadko nawet zdajemy sobie sprawę, że nasz świat wewnętrzny interesujący jest dla niewielu. Jednakże — dodaje Grin — ja sam uważnie przyglądałem się każdej innej duszy i dlate-

go rzadko się wypowiadałem, a raczej słuchałem”.

To uważne przyglądanie się ludziom, niechęć do wypowiadania swojego sądu o świecie i jego sprawach nie świadczyły bynajmniej o oderwaniu się pisarza od spraw dnia powszedniego. Przeciwnie, Grin, który przez całe życie tropił i konstruował swoją utopię z niesłychaną zaciekłością i konsekwencją, jak każdy utopista, był jednocześnie moralistą. Nie ma bowiem utopii bez ostro zaznaczonej postawy moralnej. Każda bowiem utopia rodzi się z buntu moralnego, ze sprzeciwu, z potrzeby naprawienia świata, z potrzeby szczęścia. Jeśli jednak w założeniu wszystkich klasycznych utopii była chęć naprawienia świata, chęć stworzenia wzorca dla zbłąkanej ludzkości, utopia Grina wynika z zaprzeczenia, a świat przez niego stworzony, kraj jego bohaterów, Grinlandia, jest krainą azylu, jest światem, do którego chroni się pisarz nie mogąc znaleźć sobie miejsca w rzeczywistości, w jakiej przypadło mu żyć. Nie chodzi tu o ten czy ów ustrój, o te czy owe konkretne ramy bytowania — ludzie pokroju Grina nieszczęśliwi są zawsze i wszędzie, i w naturalnym odruchu samoobrony muszą tworzyć światy urojone, dla nich konkretne i rzeczywiste.

Ażeby przeciwstawić się grozie realnego życia, trzeba tworzyć bajkę. Inny bosiak literatury rosyjskiej, któremu bardziej się poszczęściło niż Grinowi, ponieważ nigdy nie utracił wrodzonego optymizmu — Maksym Gorki — niejednokrotnie podkreślał twórczą rolę bajki, mitu, w którym realizowały się marzenia ludzkości. Grin usiłował nawet zbudować jakąś filozofię twórczej roli marzenia i bajki w realizacji konkretnego życia. W opowiadaniu „Serce pustyni” trzej szydery bajeczką o zmyślonej osadzie w głębi dżungli skłaniają bohatera opowiadania, Steela, do wielomiesięcznej wyprawy, w której omal nie utracił życia. Steel nie znajduje szczęśliwej osady, której nie było w rzeczywistości, ale pobudzona wyobraźnia i energia pozwalają mu zgromadzić ludzi, materiały i zbudować taką osadę. Ten sam mechanizm konkretyzacji marzenia widzimy w „Szkarłatnych żaglach”, jednym z najpiękniejszych opowiadań Grina, pisanych zresztą już w późniejszym okresie jego twórczości, w latach 1920 — 21. Ta czarująca w swej naiwności bajka cała oparta jest na urzeczywistnianiu wyobraźni, jest jak gdyby potwierdzeniem lirycznej prawdy marzenia. Młoda dziewczyna, Assol, córka rybaka z Kaperny, jednej z urojonych miejscowości Grina, czeka na wymarzonego oblubieńca, który, wedle przepowiedni spotkanego ongi w lesie starego zbieracza bajek, ma się zjawić na statku pod szkarłatnymi żaglami. Wszyscy śmieją się z niej, uważają ją za obląkaną. Ale marzenie się spełnia, statek ze szkarłatnymi żaglami przypląwa do brzegów Kaperny, bo człowiek, który pokochał Assol, rozumie siłę twórczą zaklęć.

Jest w tym wszystkim jakaś magia, nie jakaś wiara przecież, lecz chęć wiary w możliwość realizacji tego, co niezniszczalne, chęć przeciwstawienia prawdy i piękna marzenia iluzoryczności okrutnego życia.

Usprawiedliwieniu marzenia, wyobronieniu go przed życiem służą w opowiadaniach Grina liczne i nieoczekiwane happy endy. Mają one charakter bajkowy i nie pozbawione są pewnej ironii. Ponure, tragiczne w rozwoju wypadków opowiadania nieraz kończą się u niego szablonowym, retorycznym zdaniem: „Pobrali się, żyli długo i szczęśliwie i umarli tego samego dnia”. Nawet niesamowity w swej grozie, utrzymany w atmosferze maligny „Szczurołap”, pisany zresztą tuż przed „Szkarłatnymi żaglami”, nie ma przecież nic z sentymentalizmu, który niejednokrotnie jest skazą utworów Grina.

I oto dochodzimy do rozdroża twórczych pobudek tego pisarza, w którego powieściach i opowiadaniach przecinają się różne tendencje i elementy różnych tradycji literackich, częstokroć wręcz ze sobą sprzecznych. Niewątpliwie sentymentalizm Grina, a nawet czasami szablonowość jego konstrukcji fabularnych wynikały z jego szczególnej sytuacji dostawcy literatury rozrywkowej. Ale źródeł tego należy doszukiwać się gdzie indziej — z jednej strony w tradycyjnych rozwiązaniach rosyjskiej noweli dziewiętnastego wieku, ze wspomnę tu choćby takich pisarzy jak Odojewski i Panajew, z jego znakomitym opowiadaniem „Onager”, z drugiej, co najważniejsze — w wewnętrznych predyspozycjach Grina, który konstruując swój sen życzeniowy, nie mógł wyzbyć się naiwnych wizji szczęścia. Bohaterowie Grina, obdarzeni wielkimi namiętnościami, jeśli są tak zwanymi bohaterami pozytywnymi, siłą rzeczy muszą realizować marzenia o szczęściu, muszą stawać się bohaterami utopii.

Do kraju wielkich namiętności, krainy ludzi dobrych i szlachetnych nie zdołała również zbliżyć Grina działalność rewolucyjna. Nie obiecywała mu ona tej wolności, o jakiej mówił już w jednym z pierwszych swoich opowiadań opisując przeżycia marynarza, który zdezerterował z okrętu wojennego: „Wolność, straszna swym ogromem, tchnęła mu w twarz ciepłym musonem i gorącą wilgocią znużonych spiekotą roślin”. Za taką właśnie wolnością tęsknił ustawicznie Grin, a ta tęsknota nie pozwalała mu nigdzie zagrać miejsca. Był człowiekiem, który nie potrafił przystosować się nigdy do

ustalonego porządku życia.

Nic więc dziwnego, że niedługo trwała jego współpraca z eserami. Odmówił udziału w jakimś zamachu terrorystycznym, zerwał z działalnością polityczną, niemniej wkrótce został aresztowany za swoje dawne przewiny wobec rządu carskiego, znowu przesiedział rok w więzieniu i został zesłany do guberni archangielskiej. Zesłanie stało się dla niego okresem odpoczynku i zaprawy pisarskiej. Dopiero w 1912 roku wrócił do Petersburga i stał się zawodowym literatem.

Rewolucja 1917 roku również nie spełniła nadziei Grina na urojone przezeń królestwo boże na ziemi. Jak pisze biograf Grina, Konstanty Paustowski, wszystko, co obiecywała, było dla niego zbyt odległe i Grin z rozczarowaniem wrócił do swego fantastycznego świata. Rewolucja stała się dla niego jedynie dalszym etapem „drogi przez mękę”. Głodował, mieszkał w jakichś opuszczonych domach, na lampce naftowej gotował swoje nędzne posiłki i ogrzewał zgrabiałe z zimna dłonie.

W 1918 roku znalazł się w szeregach Armii Czerwonej, lecz wkrótce zachorował na tyfus plamisty i ledwo żywy wrócił do Piotrogradu. Zginąłby niechybnie w tych czasach głodu i wyrzeczeń w okresie wojny domowej, gdyby nie pomoc Gorkiego, który postarał się dla niego o pracę, o tak zwany deputat akademicki i o mieszkanie. Na zlecenie Gorkiego Grin, wycieńczony jeszcze po tyfusie, zaczął pisać zyciorysy podróżników po Afryce — Stanleya i Livingstone'a. Mieszkał w opuszczonym gmachu, w którym kiedyś był bank, a w którym teraz ulokowano bezdomnych artystów. Atmosferę tego wielkiego czteropiętrowego domu — hotelu i klubu bezdomnych pisarzy, który otrzymał nazwę Domu Sztuki — opisuje Grin w znacznie oczywiście zgęszczonych barwach w opowiadaniu „Szczurołap”, ale o dniu powszednim Domu Sztuki opowiada szczegółowo Wsiewołod Roźdiestwienski, poeta należący do grupy akmeistów, między innymi duży fragment swego wspomnienia poświęcając Grinowi.

„Mieszkał na prawo — pisze Roźdiestwienski — w takim samym, na wpółciemnym pokoiku jak i my. Urządzenie jego było ubogie, niemal nędzarskie. W pokoju nie było nic prócz małego kuchennego stołu i wąskiego łóżka, na którym spał Grin okrywając się obszarpanym paltem. Walały się tu bezładnie jego rękopisy, a cała podłoga zarzucona była niedopałkami. Grin pisał męczeńsko, od rana do zmroku, cały otoczony kłębam dymu z tanich papierosów. Marzły mu palce, ale nie zwracał uwagi na zimno. Pióro jego przebiegało dwie-trzy linijki i zatrzymywało się w męczeńskiej pauzie. Wstawał i podchodził do okna. Tam w mętym zamrozie drętwiała przeciwległa ściana domu, fruwały rzadkie, suche śnieżynki. Grin długo śledził ich lot. Jego wąska, jak gdyby ściśnięta z boków twarz, cała poprzerzynana głębokimi zmarszczkami, była poszarzała, skamieniała. Niewielkie, blisko ustawione oczy patrzyły nie widząc. Głęboko wsunawszy w kieszenie zniszczonej marynarczyny długie, suche ręce, wstawał, kołysał się na czubkach palców, a potem znów siadał przy stole lekko uginając kościste ramiona. Było w nim w takich chwilach coś, co przypominało postać niezapomnianego Rycerza Smutnego Oblicza. Z takim samym samozaparciem i skupieniem pogrążał się w swoje marzenie i nie dostrzegał ubożego otoczenia. Trudno sobie wyobrazić, że w tak nieprzytulnym, zimnym pokoiku powstawały »Szkarałtne żagle«, jedna z najbardziej czarujących bajek literatury rosyjskiej. Gdy Grin czytał ją w urywkach, z wilgotnego jeszcze rękopisu, cała postać tego człowieka o szarej powierzchowności, o pospolitej, znużonej twarzy, tchnęła jakimś władnym, niepokonanym czarem.

Grin dla otoczenia był postacią zagadkową, na zebrania zjawiał się w milczeniu i tak samo w milczeniu zniknął, prawie nie biorąc udziału w ogólnych rozmowach. Wielu zdumiewała całkowita niezgodność tego obfitującego w kwiaty i zapachy subtelnego świata, jaki odsłaniał się w jego bajkowych książkach, z powszednim, skrajnie pospolitym wyglądem samego autora. Niektórzy odmawiali mu nawet elementarnej inteligencji, myliła ich bowiem celowa ordynarność i banalna płaskość jego potocznych wyrażań. Ale Grinowi podobało się stawiać nieprzekraczalną przegrodę pomiędzy sobą a czczą, dokuczliwą ciekawością. Chciał, żeby go pozostawiono w spokoju i nie przeszkadzano myśleć o swoich sprawach”.

W „Szczurołapie” ów Dom Sztuki, w którym znalazł przytułek Grin, pełen jest atmosfery niesamowitości i grozy. Jednym z istotnych motywów, częstych u Grina, jest tu motyw transformacji. Szczury, które opanowały dom, przestają już być symbolem, lecz realnie przemieniają się w ludzi, w kuszące, piękne kobiety, w uczestników uczy — wcielenia zła i pospolitości. Ten motyw transformacji, który widzimy również chociażby w opowiadaniu „Szary samochód”, gdzie ukochana narratorka okazuje się ożywioną figurą woskową, wywodzi się u Grina w prostej linii od E. T. A. Hoffmanna, podobnie jak i patetyczna iluzoryczność, tak znamienne dla tego niemieckiego romantyka. Przy okazji warto wspomnieć, że Hoffmann to cały wielki rozdział w literaturze rosyjskiej, począwszy od roman-

tyków, poprzez Dostojewskiego, aż do ugrupowania „Serapionowych Braci”, współlokatorów Grina w Domu Sztuki. Nic więc dziwnego, że bohaterowie Grina są bliskimi krewnymi poszukiwaczy świata sprawiedliwości, ludzi zbędnych, będących nosicielami prawdy i piękna z prozy hoffmannowskiej.

Niewątpliwie Grin, stojący na uboczu głównego nurtu literatury rosyjskiej, jest przy tym wszystkim kontynuatorem jej linii romantycznej. Dla ciemnych rewirów twórczości Grina charakterystyczne jest wahanie się nastroju od romantycznej fantastycznej utopii do pełnej grozy niesamowitości. Grin niewątpliwie miał rację, jeśli za swego bezpośredniego nauczyciela uważał Edgara Poeo. W gruncie rzeczy właśnie do Grina można by — oczywiście z pewnymi zastrzeżeniami — zastosować słowa Bolesława Leśmiana, jakimi charakteryzuje on twórczość Poeo: „Tajemnica śmierci i milczenia, wyczuwana i stopniowana drogą niepochwytłych szczegółów zawrotnie bacznej psychologii, przejawia się w obrazach, już to anielsko uskrzydłych, już to potwornie straszliwych, już to groteskowo spazmatycznych. W świecie tym czy też zaświecie panuje zaraźliwy klimat strachu, zgrozy, pożogi, zagłady i wiekuistego odrodzenia w sobie, przez się i poza sobą”.

Jednakże pomiędzy postawą Poeo a Grina, pomiędzy ich rozumieniem fatalności losu istnieje zasadnicza różnica. Jeśli bohaterowie Poeo są niemal zawsze igraszką ciemnych sił losu, to u Grina człowiek jest w zasadzie panem samego siebie, jeśli nawet życie częstokroć bierze nad nim górę i niszczy go, to jednak nie łamie go wewnątrz. I w tym właśnie między innymi kryje się źródło sentymentalizmu Grina, jego zaskakujących nieraz optymistycznych rozwiązań. Staranie, aby uprawdopodobnić marzenie, bajkę, happy end, wynika u Grina z potrzeby usprawiedliwienia życia. Życie realne, konkretne jest dla niego bezcelowe, prowadzi „donikąd” (taki tytuł zresztą nosi jedna z jego powieści — „Droga donikąd”. Im bardziej pełen jest rozpacz i zniechęcenia do życia, tym częściej ucieka się do sentymentalnych konstrukcji, tym częściej wyrusza w pogoń za Niespełnionym. I w tym bodaj zawiera się różnica pomiędzy fatalistyczną fantastyką Poeo a utopijną bajką Grina. Ta różnica wyznacza również amplitudę pomiędzy dwoma romantycznymi sposobami widzenia świata, choć oba one opierają się na tych samych źródłach poznawczych.

Na ogół skłonność do sentymentalizmu nie idzie w parze w literaturze współczesnej z rozbudowanym aparatem analizy psychologicznej. Grin jest pisarzem pełnym wewnętrznymi sprzecznościami. Jego bohaterowie należą do kilku różnych typów, jak gdyby stworzonych w wyobraźni różnych pisarzy. Zasadniczą przyczyną tej dwoistości jest — pomijając pewien dyletantyzm Grina — jego nieskoordynowanie i rozdarcie wewnętrzne. Tam, gdzie Grin tworzy bajkę, bohaterowie jego są jednolici, nie są żywymi ludźmi, ale nosicielami mitu o człowieku dobrym, silnym, szlachetnym lub o człowieku, którego przeznaczeniem jest zbrodnia. Są jednak u Grina bohaterowie inni, pasujący się ze sobą jak Mark Galien z „Piekle odzyskanego”, jak Harvey z „Biegnącej po falach” — tych bohaterów Grin obdarza psychiką bardzo złożoną, wdając się w drobiazgowy analizy ich stanów psychicznych, przeżyć i postępków. Analizy te zatrącają najczęściej o stany ducha nieobce samemu Grinowi, są niekiedy jak gdyby jego autobiografią wewnętrzną. Oczywiście oba te typy bohaterów krzyżują się często ze sobą i w opowieściach o wątku awanturniczym znajdujemy całe stronicę introspekcyjnych dywagacji. Ta skłonność do dokładnej analizy uczuć, niemal do ich wiwisekcji, zbliża Grina do nowoczesnej prozy europejskiej. Grin nie znał i nie mógł znać ani metod psychoanalitycznych, tak modnych na Zachodzie, nie znał i nie mógł znać również ani prozy Apollinaire'a, ani Kafki, a przecież zastanawiająca jest zbieżność jego sposobów opisu realiów i psychologicznie ostrych sposobów ukazywania ekstremów przeżyć i doznań z tym wszystkim, co nas zaskakuje u Kafki. Można by przeprowadzić wyraźną analogię pomiędzy „Szczurołapem” Grina a „Procesem” Kafki, fantasty całkiem zresztą innego autoramentu.

Wydawałoby się, że właśnie w utworze fantastycznym mogą zostać wyeksponowane i zamplifikowane pewne odcienie przeżyć psychicznych, które w powieści realistycznej bywają ledwo zaznaczone. Ta amplifikacja ledwo uchwytłych odruchów psychicznych nieraz już prowadziła fantastów do odkryć psychologicznych. Gdy czytamy na przykład „Małżeństwo Augusta Osborne'a” Grina, zastanawia nas wiedza pisarza o tych zazwyczaj tłumionych odruchach i zahamowaniach woli, jakie odkrywa Grin i uwypukla przez doprowadzenie do sytuacji skrajnych. Ciekawe, że Grin w utworach, w których wdaje się w analizy psychologiczne, zachowuje pozory realności sytuacji, nie musi swoich bohaterów osadzać w urojonych a barwnych krainach, których mieszkańcami są bohaterowie jednolici, szlachetni i zbrodniarze. Oba typy utworów Grina charakteryzują się podwyższoną tonacją, ale próby wejścia w głąb człowieka wydają się automatycznie eliminować próbę stworzenia bajki o szczęściu.

Znamienne jest również, jak w zależności od typu opowiadania zmienia się diametralnie styl

Grina. Każdy pisarz modyfikuje swój styl przystosowując go do genre'u i charakteru utworu, ale zmiany te nie sięgają w głąb i nie naruszają tkanki stylistycznej właściwej danemu twórcy. U Grina rzecz się ma zupełnie inaczej. Jego opowiadania o charakterze przygodowym pisane są stylem na ogół nie odbiegającym od tradycji tego rodzaju literatury, wzbogaconym jedynie o cały złożony aparat grinowskiej metaforyki. W drobiazgowych opisach realiów, w analizach psychologicznych Grin staje się zupełnie inny — świeższy, bardziej dociekliwy i odkrywca. Zdania stają się bardzo długie, wieloczłonowe, o zawikłanej składni. I tu dopiero można mówić o Grinie jako o pisarzu posiadającym odrębny styl, odrębny od wszelkich wzorów, jakie mógł widzieć w literaturze rosyjskiej.

Można by zaryzykować twierdzenie, że podobnie jak Conrad, który na swój sposób odnowił język angielski wlewając w niego podziemny strumień mowy swego dzieciństwa, Grin na swoją skalę i w granicach swoich możliwości spełnia podobną rolę w literaturze rosyjskiej. Pewne zbieżności nasuwają się tu zresztą w sposób oczywisty.

Niewątpliwie w dzieciństwie Grin rozmawiał z ojcem po polsku, niewątpliwie — jak o tym wspomina w „Powieści autobiograficznej” — czytał polskie książki i choć nie uważał się za Polaka, często podkreślał swoje polskie pochodzenie. Czytając Grina w oryginale ustawicznie natykamy się na sztywny zrost zdania, na zwroty, które dopiero w języku polskim brzmiałyby naturalnie. Niemniej owe polonizmy w języku Grina tak ściśle wtopione są w całą fakturę językową, że nie sprawiając wrażenia obcych wtrętów, stanowią jedynie dodatkowy element uniezwyklenia.

Odrębność stylu Grina, jego niezwykłość na tle literatury rosyjskiej wynika bezpośrednio z odrębności tematyki. Melodyka jego zdania podporządkowana jest rytmowi fantazji, dla niego tylko dosłyszalnym dźwiękom Niespełnionego, które Grin ustawicznie tropi nie tylko w rozwoju akcji, w rysunku swoich postaci, ale i w podskórnym pulsowaniu narracji. Melodyka ta wzbogaca się i skłębia zarówno przez wprowadzanie elementów stylu, brzmiących w języku rosyjskim obco, jak również przez wprowadzanie w prozie chwytów niecodziennych, pewnej dość staroświeckiej poetyzacji. Krytyk rosyjski Marek Szczegłow te właściwości stylu Grina nazywa swoistym naiwnym „dandyzmem”, podkreślając przy tym „oślepiającą dokładność artystycznego wyrazu zarówno w opisach przyrody, jak i w rysunku charakterów”. Często Grin ucieka się do elipsy — do niezwykłych zestawień, w których odległe pojęciowo określenie odnawia nasze widzenie przedmiotów i zjawisk. Jest to chwyt wyraźnie poetycki, stosowany przez Grina w sposób świadomy obok hiperbolizacji, obok innych tropów, których celem jest zaskoczenie, wprowadzenie momentu niepokoju. Niewątpliwie rację ma Szczegłow, gdy nazywa Grina świetnym pejzażystą i gdy pejzaże jego przyrównuje do nowoczesnego malarstwa. Istotnie, jeśli można przeprowadzać jakiegokolwiek paralele pomiędzy literaturą a sztuką plastyczną, to pejzaże Grina, jego wizje, niesłychanie barwne i narzucające się wyobraźni konkretnością kształtu, najbardziej może przypominać wizje Celnika Rousseau i jego późniejszych nadrealistycznych kontynuatorów.

Nie ma w opowiadaniach Grina nic z retoryki, nawet najsłabsze strony, gdzie wdaje się on w rozważania filozoficzne i moralne, często zbyt naiwne, najbardziej może w całej jego twórczości staroświeckie i nieoryginalne — są szczerze i bezpośrednio w tonie. W tych swoich rozrządzeniach jest bodaj najbardziej dyletantem, nie ujmuje one jednak dynamiki i barwności opisom, podobnie jak naiwny sentymentalizm nie pozbawia plastyczności opisywanych przezeń postaci.

Do końca pozostał konsekwentnym wędrowcem po urojonych krainach wyobraźni, do końca był wyznawcą samotności i ucieczki od świata rzeczywistego. „Ponieważ do tej pory nie rozstrzygnięte zostało dostępnymi nam środkami zagadnienie szczęścia, ludzie zechcą je rozstrzygnąć środkami niedostępnymi” — mówi Drood, bohater powieści „Świat jaśniejący”. Z postawy tej jako nieunikniona konsekwencja wynika co najmniej ambiwalentny stosunek do życia. Bohater wczesnego opowiadania Grina pt. „Droga” żyje w najzwyczajszym małym miasteczku i przebywa jednocześnie w dwóch światach: „... przedmioty stały się dla mnie jakby przejrzyste i widziałem jednocześnie dwa zlewające się z sobą i przenikające światy, z których jeden był naszym miastem, a drugi wyobrażał kwitnący pagórkowaty step z dalekimi błękitnymi górami na horyzoncie”. Z tych dwóch światów bardziej realny, bardziej barwny jest ów świat na widnokręgu wyobraźni. Świat codzienności godzien jest tylko pogardy. Drood ze „Świata jaśniejącego” mówi: „Czy ja mam tasować tę starą, obszarpaną talię, która nazywa się ludzkością? Nie podoba mi się ta gra”. Drood, „latający człowiek”, zabił się upadłszy na ziemię, a kobieta, która go nienawidziła za to, że swym marzeniem zamącił jej przyziemny spokój, konkluduje: „Ziemia jest silniejsza od niego, on jest martwy, tak, a ja będę znowu żyła, jak żyłam dotąd”. Tak Grin został realistą — przez zemstę życia nad marzeniem.

W. Rossels, autor jednej z ostatnich publikacji o Grinie, drukowanej w tomie zbiorowym „Litieraturnoje nasledstwo” (1965), usiłując wybronić Grina przed Grinem i dowieść ścisłych powiązań jego twórczości z życiem codziennym powołuje się na to, że „...na dwadzieścia sześć lat działalności literackiej dwadzieścia oddał on dziennikarstwu w najdosłowniejszym znaczeniu tego słowa. Do połowy lat dwudziestych drukował w czasopismach i gazetach wiersze satyryczne, felietony, szkice i korespondencje, żywo reagując na liczne aktualne tematy”. Taki wniosek jest możliwy tylko wtedy, jeśli nie widzi się różnicy pomiędzy gatunkami literackimi, jeśli nie uwzględnia się okoliczności, w jakich Grin zmuszony był pracować. I dlatego dość powierzchowny wydaje się ostateczny wniosek Rosselsa, że „Twórczość Grina bynajmniej nie jest tak »lekka«, jak to przyjęto uważać. W osnowie każdego z jego lepszych utworów leży głęboka myśl, bliska, ostra i aktualna dla przeżywanym przezeń czasów, i w tym kryje się niemała część »sekretu« jego nieprzemijającej popularności”.

Nie przytaczałbym tutaj tych sformułowań, opartych na co najmniej nierealnej argumentacji, gdyby nie stanowiły one wyraźnego przykładu, jak bardzo krytyka, nawet ta, której zasadniczo obca jest twórczość Grina, musi liczyć się z ową jego nieprzemijającą popularnością. A przecież tenże autor w tym samym artykule cytuje słowa Grina z opublikowanych w 1960 roku przez pismo „Sowietskaja Ukraina” „Rozmyślań nad »Szkarałatnymi Żaglami«”.

„Pisanie było zawsze moim zawodem zewnętrznym, prawdziwym życiem wewnętrznym jest świat stopniowo odsłaniającej się tajemnicy wyobraźni”. Za główne prawo tego świata Grin uważał „moralne prawo stopu”, miłość do tego, co „stapia się z duszą”. (...) „Zdając sobie doskonale sprawę z tego, jak nie do naprawienia jest gadatliwe i opieszale życie, z cierpliwym męstwem nauczyciela głuchoniemych przedstawiałem mu przykłady pełni i lakonizmu. Moje życie, jeśli tak można nazwać coś niematerialnego, co osiągnęło kontury i siłę rzeczywistości, można przyrównać do światła wspomnień skierowanego w przeszłość”.

Ostatnie lata swego życia Grin spędził na Krymie. Zamieszkał najpierw w Teodozji, a potem w 1930 roku przeniósł się do miejscowości Stary Krym, gdzie mieszkał z dala od ludzi, zimą zajęty pracą pisarską, latem przesiadując nad morzem z wędkami, bawiąc się z dziećmi, hodując oswojonego jastrzębia. Nie był zresztą już w tym czasie samotny. Ożenił się w 1924 roku, gdy porzucał życie leningradzkiego pisarza-cygana i przeniósł się na krymskie odludzie. Stale cierpiał biedę. Gdy głód bardzo już doskwierał, Grin z chłopięcą naiwnością — jak w dziecińczych latach — postanowił zdobywać żywność polowaniem. Sporządził sobie łuk i w istocie czasami zdarzało mu się ustrzelić jakiegoś ptaka. Był już wtedy chory. Wycieńczony organizm trawił rak żołądka i płuc. Niezadługo przed śmiercią, w sierpniu 1931 roku, Grin wybrał się do Moskwy, aby zdobyć jakieś pieniądze. Żona z wielkim trudem pożyczyła dla niego trochę pieniędzy na drogę.

W Moskwie Grin żadnej pomocy nie otrzymał. Biograf Grina, Konstanty Paustowski, pisze:

„Zachowało się w moich papierach podanie Grina do Wydawnictwa Literatury Pięknej. Proponował on wydawnictwu swoją »Powieść autobiograficzną«. Wydawnictwo nie dawało wyraźnej odpowiedzi. Grin nie mógł czekać, nie miał środków na utrzymanie w Moskwie, nie miał pieniędzy nawet na drogę powrotną.

Grin napisał podanie. Cytuję jego fragment”

»Ponieważ już dziś wyjeżdżam do domu na Krym, nie mogę czekać na ostateczną decyzję wydawnictwa, ale zwracam się z najgorętszą prośbą o wypłacenie mi dwustu rubli, które pomogą mi wybrnąć z krańcowo tragicznej sytuacji«.

Było to na jesieni 1931 roku. Wydaje się wprost niewiarygodne, że utalentowanemu umierającemu pisarzowi ... odmówili tak mizernej zapomogi.

Grin wrócił do Starego Krymu. »Niewesoło wyglądają nasze sprawy, kochanie« — powiedział do żony z jakąś pokorną rozpaczą i położył się chory do łóżka, aby już z niego nie wstać”.

Umierał zapomniany i ze świadomością, że jest zapomniany. Dwudziestopięciolecie jego pracy literackiej, które przypadło na październik 1931 roku, nie było świętem dla nikogo prócz jego żony.

Przed śmiercią Grin, odludek i programowy samotnik, poczuł gorzki lęk przed samotnością. Skarżył się, że nikt o nim nie pamięta, i prosił żonę, by przyprowadziła mu choć jednego człowieka, który czytał jego książki i lubił je.

Umarł 8 lipca 1932 roku.

Twórczość Grina nie jest do naśladowania, nie ma i nie może mieć kontynuatorów, a przecież nie w prozie co prawda, lecz w poezji istnieje nurt, który niewątpliwie wywodzi się z grinowskiego

wizjonerstwa. Niewątpliwie gdzieś blisko brzegów mitycznej Grinlandii leży kraina Łękomorza, którą odkrył jedyny do niej podróżnik, Leonid Martynow. Niewątpliwie również odwiedzała często brzegi Grinlandii Nowella Matwiejewa, młoda poetka, odkrywczyni krainy Delfinii. Nie są to wszakże naśladowcy Grina. W ich twórczości odżywa tylko grinowski niepokój i tęsknota za tym, co spełnić się nie może.

I to wystarcza.

Seweryn Pollak

Szczurołap

I

Wyszedłem na rynek wiosną 1920 roku, ściślej mówiąc 22 marca — uczynimy zadość skrupulatności, aby opłacić prawo wstępu w sferę przysięgłych dokumentalistów, w przeciwnym bowiem razie dociekliwy czytelnik naszych czasów będzie dopytywał się o to w redakcjach pism. A zatem wyszedłem na rynek 22 marca i — powtarzam 1920 roku. Był to Rynek Sienny. Niestety, nie mogę wskazać, na którym rogu stałem, a także, co tego dnia podawały gazety. Nie stałem na rogu, ponieważ chodziłem tam i z powrotem po bruku dookoła zburzonej zabudowy rynku. Miałem na sprzedaż kilka książek — ostatnią rzecz, jaką posiadałem.

Zimno i mokry śnieg, miotający nad głowami tłumu kłęby białych iskier, stwarzały odpychającą scenerię. Ze ściągniętych chłodem twarzy biło zmęczenie. Nie wiodło mi się. Wąsałem się dwie godziny z okładem i natknąłem się tylko na trzech ludzi, którzy zapytali, ile chcę za książki, lecz podaną cenę pięciu funtów chleba uważali za niepomiarne wygórowaną. Tymczasem zaczynało się ściemniać — okoliczność raczej nie sprzyjająca sprzedaży książek. Wszedłem na chodnik i przytuliłem się do muru.

Na prawo ode mnie stała staruszka w rotundzie i zniszczonym kapeluszu z dżetami na trzęsącej się głowie. Staruszka przebierała gruzłowatymi palcami parę czepków dziecięcych, wstążki oraz pęczek poźółkłych kołnierzyków. Na lewo ujrzałem młodą dziewczynę z miną dość niezależnej osoby, trzymającą książki podobnie jak ja; wolną ręką zaciskała pod brodą szarą ciepłą chusteczkę. Miała na sobie spódnicę skromnie sięgającą po czubki całkiem przyzwoitych trzewiczków — w przeciwieństwie do tych ledwie sięgających kolan rozchwianych spódniczek, jakie zaczęły wówczas nosić nawet staruszki — sukienny żakiet, ciepłe rękawiczki, znoszone i dziurawe, z których wyzierały czubki palców. Sposób, w jaki patrzyła na przechodniów, bez uśmiechu i namawiań, chwilami opuszczając długie rzęsy i w zamyśleniu spoglądając na swoje książki, i to, jak te książki trzymała, chrząkając i wzdychając dyskretnie, gdy przechodził, rzuciwszy okiem na jej ręce, a potem na twarz, odchodził, jakby czymś bardzo zdziwiony, i napychał usta pestkami — wszystko niezwykle mi się podobało i nawet rzekłbym, że na rynku pocieplało nieco.

Na ogół interesujemy się ludźmi, o których sytuacji mamy jakie takie wyobrażenie, dlatego zapytałem dziewczynę, czy dobrze jej idzie handel. Odkasznęła lekko, odwróciła głowę, zatrzymała na mnie spojrzenie szarobłękitnych oczu i odrzekła: „Tak jak i panu”.

Wymieniliśmy kilka uwag na temat handlu w ogóle. Z początku mówiła tylko tyle, ile trzeba, żeby być zrozumianą; potem jakiś mężczyzna w niebieskich okularach i w bryczesach kupił od niej *Don Kichota*, wtedy nieco się ożywiła.

— Nikt nie wie, że wynoszę książki na sprzedaż — powiedziała pokazując mi w zaufaniu fałszywy banknot, który wsunął między inne przezorny obywatel, i z roztargnieniem wymachując świstkiem — to znaczy nie kradnę ich, tylko wyciągam z półek, kiedy ojciec śpi. Matka była umierająca... wszystko sprzedaliśmy wtedy, prawie wszystko. Nie mieliśmy chleba ani opału, ani nafty. Pan rozumie? Mimo to ojciec na pewno wpadnie w gniew, jeśli się dowie, że tu przychodzę. A ja przychodzę i wynoszę ukradkiem. Szkoda książek, ale co robić. Dzięki Bogu, jest ich wiele. A pan dużo ma?

— N-nie — powiedziałem czując, że wstrząsają mną dreszcze; już wtedy byłem przeziębiony i trochę zachrypnięty — nie sądzę, żebym miał ich dużo. W każdym razie to jest wszystko, co posiadam.

Spojrzała na mnie z naiwną uwagą — w taki sposób dzieci wiejskie stłoczone w izbie

patrzą na przyjezdnego urzędnika, popijającego herbatę — i dotknęła kołnierza mojej koszuli koniuszkiem palca. Przy koszuli, podobnie jak przy kołnierzu letniego płaszcza nie było guzików, pogubiłem je i nie przyszyłem innych, dawno już bowiem przestałem troszczyć się o siebie, machnąłem ręką na wszystko.

— Pan się przeziębi — powiedziała, odruchowo mocniej zaciskając chusteczkę, a ja zdałem sobie sprawę, że ojciec musi kochać tę dziewczynę, że jest rozpieszczona, ale dobra. — Pan się przeziębi, bo pan chodzi z rozpiętym kołnierzem... Niech no pan tu pozwoli, obywatelu.

Włożyła książki pod pachę i weszła pod sklepienie bramy. Tu, uśmiechając się głupawo, zadartem głowę, by jej umożliwić dostęp do mojej szyi. Dziewczyna była smukła, jednak znacznie niższa ode mnie; położyła książki na słupku, przybrała zagadkowy, nieobecny wyraz twarzy, właściwy wszystkim kobietom, gdy mają do czynienia ze szpilką, przez chwilę szamotała się z czymś pod podszewką zakietu, i wspinając się na palce, skupiona, sapiąc z przejęcia, spięta na mur białą agrafką rogi mojej koszuli wraz z paltem.

— Cielęce czułości — mruknęła jakaś tęga baba przechodząc мимо.

— No, już! — Dziewczyna krytycznym spojrzeniem oceniła swoje dzieło. — W porządku. Teraz może pan spacerować.

Roześmiałem się zdumiony. Rzadko spotykałem się z taką prostotą. Na ogół albo nie mamy do niej zaufania, albo jej nie dostrzegamy; niestety, zauważamy ją dopiero wtedy, gdy jest nam źle.

Uściskawszy rękę dziewczyny, podziękowałem i zapytałem, jak jej na imię.

— Powiedzieć mogę — odrzekła patrząc na mnie ze smutkiem — tylko po co? Nie warto. Zresztą, niech pan zapisze nasz telefon, możliwe, że kiedyś poproszę, by sprzedał pan moje książki.

Zapisałem, patrząc z uśmiechem na jej wskazujący palec, którym, zaciskawszy pozostałe w piastkę, kreśliła w powietrzu cyfrę za cyfrą, wymawiając je tonem nauczycielki. Potem obstał nas i rozdzielił tłum uciekający przed konną obławą. Upuściłem książki, a kiedy je pozbierałem, dziewczyna znikła. Alarm nie był na tyle groźny, by nas całkiem wypłoszyć z rynku, a książki w kilka minut później zakupił ode mnie typowy andrejewowski staruch z kozią bródką i w okrągłych okularach. Zapłacił niewiele, lecz ja i z tego byłem zadowolony. Dopiero wracając do domu zorientowałem się, że sprzedałem również książkę, na której zapisany był numer telefonu, i że zapomniałem go bezpowrotnie.

II

Z początku byłem lekko zdetonowany, jak zwykle, gdy się poniesie drobną stratę. W dodatku niezaspokojony głód brał górę nad tamtym uczuciem. W zamyśleniu gotowałem kartofle w pokoju ze zbutwiałym oknem, ociekającym wilgocią. Miałem mały żelazny piecyk. Opał... W tych czasach wielu chodziło na strychy, Ja też chodziłem przemykając się jak złodziej w ukośnym półmroku dachów, słuchając, jak hula wiatr w kominach i patrząc przez wybite szczytowe okienko na bladą plamę nieba obsypującego śmietniska płatkami śniegu. Znajdowałem tu drzazgi pozostałe po rąbaniu krokwi, stare ramy okienne, połamane gzymsy, w nocy znosiłem to do swojej piwnicy, nadśluchiwałem na półpiętrach, czy nie zaskrzypi gdzieś stara zasuwa, wypuszczając spóźnionego gościa. Za ścianą mego pokoju mieszkała praczka; całymi dniami przysłuchiwałem się, jak ręce jej mocno trą bieliznę w balii — był to miarowy chrzęst, jaki wydaje żujący koń. Tam też stukiała często do późnej nocy, jak oszalały zegar, maszyna do szycia. Goły stół, gołe łóżko, taboret, filiżanka bez spodka, patelinka i czajnik, w którym gotowałem kartofle — dość tych wspomnień! Prawda życia często odwraca

się od zwierciadła, które jej tak gorliwie podstawiają ludzie z nienaganną edukacją, umiejący z równie dobrym skutkiem sypać sprośnościami według nowych, jak i według starych zasad ortografii.

Gdy nadeszła noc, przypomniał mi się rynek i przypatrując się agrafce przeżyłem wszystko powtórnie. Carmen uczyniła bardzo niewiele, tylko rzuciła kwiatkiem w leniwego żołnierza. Podobnie stało się tutaj. Od dawna już rozmyślałem o spotkaniach, o pierwszym spojrzeniu, pierwszych słowach.

Pozostają one w pamięci i wyciskają głęboki ślad, jeśli nie było przy tym nic zbędnego. W chwilach znamiennych jest jakaś czystość tak nieskazitelna, że można je zamknąć w strofy albo w rysunek — są to właśnie te przesłanki życia, które dają początek sztuce. Autentyczne zdarzenie, zakłete w prosty kształt, naturalny i nie zakłócony w tonie, kształt, którego pragniemy z całego serca i na każdym kroku — jest zawsze pełne powabu. Tak niewiele trzeba, by wrażenie osiągnęło ton pełnobrzmiący.

Dlatego niejednokrotnie brałem do ręki agrafkę i powtarzałem w pamięci każde słowo, które zamieniłem z dziewczyną. Na koniec zmęczyłem się, zasnąłem, ocknąłem się, ale gdy wstałem, znów upadłem tracąc zmysły. Był to początek tyfusu i rano odwieziono mnie do szpitala. Jednakże miałem jeszcze dość przytomności, by włożyć moją agrafkę do blaszanego pudełka służącego mi za tabakierkę i nie rozstawałem się z nią do końca.

III

Gdy gorączka doszła do czterdziestu jeden stopni, w malignie zaczęli nawiedzać mnie ludzie, od których od kilku lat nie miałem żadnych wiadomości. Prowadziłem z nimi długie rozmowy i wszystkim prosiłem, żeby mi przynieśli zsiadłego mleka. Lecz oni, jak gdyby w zmowie, twierdzili, że doktor zabronił mi zsiadłego mleka. Równocześnie oczekiwałem skrycie, że pośród ich twarzy migających jakby w oparach łaźni, ukaże się twarz nowej pielęgniarki, którą miała być właśnie dziewczyna z agrafką. Od czasu do czasu przechodziła za ścianą wśród kwiatów na wysokich łądogach, w zielonym wianku, na tle złotego nieba. Tak łagodnie, tak wesoło świeciły jej oczy! Jeśli nawet nie zjawiała się, jej niewidzialna obecność wypełniała salę, w której migotał przyćmiony płomyk, a ja od czasu do czasu dotykałem agrafki w pudełku. Do rana zmarło pięć osób, wynieśli je na noszach rumiani sanitariusze, a mój termometr wskazał trzydzieści sześć z kreskami; wkrótce wróciła mi przytomność i zaczęła się trzeźwa rekonwalescencja. Wypisano mnie ze szpitala, kiedy mogłem już chodzić, mimo że odczuwałem ból w nogach. Wyszedłem po trzech miesiącach choroby i zostałem bez dachu nad głową. W moim dawnym pokoju zamieszkał inwalida, mnie zaś nie było stać moralnie na to, by chodzić po urzędach i dobijać się o jakieś lokum.

Teraz, przypuszczam, nie od rzeczy będzie przytoczyć trochę danych o moim wyglądzie zewnętrznym, opierając się na fragmencie listu mojego przyjaciela Riepina do dziennikarza Fingała. Czynię to nie dlatego, żeby mi zależało na utrwaleniu mych rysów na kartach książki, lecz dla celów poglądowych. „Jest śniady — pisze Riepin — z wyrazem zniechęcenia na regularnej twarzy; włosy krótko ostrzyżone, mówi powoli, z wysiłkiem”. To prawda, ale ta właściwość mojej wymowy nie była następstwem choroby, wywodziła się ona z przykrego uczucia, które zresztą rzadko sobie uświadamiamy, że nasz świat wewnętrzny mało kogo obchodzi. Jednakże ja sam pilnie interesowałem się każdą napotkaną duszą, dlatego mniej wypowiadałem się, a raczej słuchałem. Toteż gdy zebrało się kilka osób, zżywieniem usiłujących możliwie najczęściej przerywać sobie wzajem, by każda z nich mogła możliwie najwięcej ściągnąć na siebie uwagi — zwykle siedziałem na uboczu.

Przez trzy tygodnie nocowałem u znajomych oraz u znajomych moich znajomych — w

charakterze godnej politowania przesyłki. Sypiałem na podłodze, na płycie kuchennej i na pustych skrzyniach, na krzesłach zestawionych razem, a kiedyś nawet na desce do prasowania. Przez ten czas widziałem mnóstwo ciekawych rzeczy, dziejących się na chwałę życia uparcie walczącego o ciepło, o najbliższych i o łyżkę strawy. Widziałem, jak się kredensem pali w piecu, jak wodę w imbryku gotuje się na lampie, jak się smaży koninę na oleju kokosowym i jak się kradnie belki drewniane ze zburzonych domów. Ale wszystko to, i znacznie więcej jeszcze, zostało już opisane przez pióra, które rozszarpały tę nowalijkę na drobne cząsteczki; nie tkniemy więc już pochwyconego kaska. Co innego mnie pociąga — to, co działo się ze mną.

IV

Pod koniec trzeciego tygodnia zacząłem cierpieć na dokuczliwą bezsenność. Trudno mi powiedzieć, jakie były pierwsze objawy, pamiętam tylko, że zasypiałem z coraz większym trudem i coraz wcześniej się budziłem. W tym czasie przypadkowe spotkanie zapewniło mi wątpliwy przytułek. Włócząc się nad kanałem Mojki i zabawiając się widokiem połowu ryb — chłop z siecią na długim drągu obchodził w skupieniu granitowy występ, od czasu do czasu zanurzał ją do wody i wyciągał garść drobnych rybek — spotkałem sklepikarza, u którego kilka lat temu brałem na kredyt artykuły kolonialne. Człowiek ten pełnił jakąś funkcję państwową; miał wstęp do wielu domów w sprawach urzędowo-gospodarczych. W pierwszej chwili go nie poznałem: ani fartucha, ani perkalowej koszuli w turecki deseń, ani brody i wąsów; sklepikarz ubrany był z surowym sznytem wojskowym, wygolony do czysta i przypominał Anglika, tyle że w jarosławskim wydaniu. Chociaż dźwigał wypchaną tekę, nie miał dość władzy, by mnie zakwaterować, gdzie zechce, i dlatego zaproponował mi opustoszały gmach Banku Centralnego, w którym jest dwieście sześćdziesiąt pokojów, cichych i martwych jak woda w stawie.

— Watykan — powiedziałem wzdrygnawszy się z lekka na myśl o podobnym mieszkaniu. — Jak to, czy nikt tam nie mieszka? Albo może ktoś tam przychodzi, a jeżeli tak — czy dozorca nie zaprowadzi mnie na milicję?

— Ech! — odparł eks-sklepikarz. — Ten dom jest niedaleko stąd, niech pan pójdzie obejrzeć.

Zaprowadził mnie na wielki dziedziniec przegrodzony arkadami przyległych dziedzińców, rozejrzał się i ponieważ nikogo nie było widać, pewnym krokiem skręcił do ciemnego kąta, skąd prowadziły w górę czarne schody. Zatrzymał się na trzecim podeście przed zwykłymi mieszkalnymi drzwiami. Ze szpary u dołu wyglądały śmiecie. Podest był zavalony brudnymi papierzyskami. Zdawało się, że martwe milczenie, czając się za drzwiami, wycieka przez otwór zamka falami ogromnej pustki. Tu sklepikarz pouczył mnie, jak otwierać bez klucza: pociągnąć za klamkę, szarpnąć i unieść ją w górę, wtedy oba skrzydła rozejdą się, ponieważ nie ma zasuwek.

— Klucz jest — powiedział sklepikarz — ale ja go nie mam. Kto zna sekret otwierania, może wejść całkiem swobodnie, tylko proszę go nikomu nie zdradzać, a zamykać można tak samo od środka, jak i z zewnątrz, wystarczy tylko zatrzasać. Jeśli pan zechce wyjść, proszę najpierw spojrzeć na schody. W tym celu jest okienko (rzeczywiście, w ścianie obok drzwi ciemniał na wysokości oczu wizjer z rozbitą szybką). Nie wejdę z panem. Jest pan człowiekiem inteligentnym i sam będzie wiedział, jak się urządzić. Dodam tylko, że tu można ukryć całą kompanię wojska. Niech pan tu spędzi ze trzy noce. Jak tylko znajdę jakiś kąt, natychmiast pana zawiadomię. W związku z tym — przepraszam, że dotknę drażliwej sprawy, ale jeść i pić musi każdy — proszę łaskawie przyjąć pożyczkę do czasu, gdy nastaną lepsze

warunki.

Otworzył wypchany portfel, wsunął mi do nieruchomości opuszczonej ręki kilka banknotów, jak lekarzowi za wizytę, powtórzył wskazówki i odszedł, a ja, zamknawszy drzwi, przysiadłem na skrzyni. Od razu cisza, którą nosimy w sobie, zaczęła wabić mnie jak los odgłosami życia. Skryła się za przymkniętymi drzwiami sąsiedniego pokoju. Wstałem i poszedłem.

Przekraczałem kolejno drzwi wysokich i wielkich sal z uczuciem człowieka stąpającego po pierwszym lodzie. Dokoła mnie było przestronnie i echowo. Ledwie minąłem jedne drzwi, już widziałem na wprost siebie i po obu stronach następne, wiodące w mętnie majaczącą perspektywę z jeszcze ciemniejszymi wejściami. Parkiety zasłane papierem jak droga brudnym śniegiem na wiosnę. Obfitość papierów przypominała rozkopane przy uprzążaniu zasy. W niektórych pokojach już od samych drzwi trzeba było brodzić w osuwających się stertach, sięgających po kolana.

Papier we wszelkiej postaci, we wszelkich kolorach i o wszelakim przeznaczeniu z istic żywiolowym rozmachem rozpościerał swą wszechobecność. Jego osypiska wzbijały się na ściany, zwisał z parapetów, z parkietu na parkiet rozlewała się jego biała powódź, strumieniami wyciekał z otwartych na oścież szaf, wypełniał kąty, tworząc miejscami zapory i spulchnione pola. Notesy, blankiety, książki buchalteryjne, nalepki do okładek, cyfry, linie, teksty odręczne i drukowane — zawartość tysięcy szaf leżała wywleczona przed oczy, które nie wiedziały, na co patrzeć pod natłokiem wrażeń. Każdy szelest, odgłos kroków i nawet mój własny oddech słychać było tuż nad uchem — tak wielka, tak chwytająca za gardło była pustynna cisza. Przez cały czas przesładował mnie mdlący zapach kurzu: okna miały podwójne ramy. Patrząc przez ich zmierzchłe szyby, widziałem raz drzewa nad kanałem, raz dachy w podwórzu albo fasadę Newskiego. Znaczyło to, że okna domu wychodzą na całą dzielnicę, ale ponieważ przestrzeń była gęsta, nużąco dotykalna, rozgrodzona nie kończącymi się ścianami i drzwiami, zdawało się, że opanowanie rozległości gmachu wymaga wielodniowej wędrówki — uczucie wręcz przeciwstawne temu, z jakim wymawiamy nazwy: „mała ulica” albo „mały plac”. Ledwo zacząłem obchód, od razu miejsce to skojarzyło mi się z labiryntem. Wszystko było jednostajne — zwały papierysk, wszędzie ta sama pustka,znaczona oknami albo drzwiami i oczekiwanie wielu innych drzwi, w których nikt się nie tłoczy. Tak mógłby, o ile by potrafił, poruszać się człowiek wewnątrz odbicia w lustrze, gdy dwa lustra powtarzają aż do otepienia przestrzeń nimi objętą, brak było tylko mojej własnej twarzy, ukazującej się w drzwiach jak w ramie.

Przeszedłem najwyżej dwadzieścia sal i już zgubiłem się, zacząłem więc szukać znaków rozpoznawczych, by nie zabłądzić; tu warstwa wapna na podłodze, gdzie indziej wyrwana z drzwi i oparta o ścianę deska, parapet zastawiony liliowymi kałamarzami, druciany kosz, stopy zużytej bibuły, kominek, gdzieś szafa albo przewrócone krzesło. Lecz znaki rozpoznawcze również zaczęły się powtarzać; rozglądając się, spostrzegłem ze zdumieniem, że czasami wracam tam, gdzie już byłem, i dopiero dzięki innym przedmiotom stwierdzałem pomyłkę. Czasem natrafiałem na kasę pancerną z otwartymi ciężkimi drzwiczkami, jak od pustego pieca, czasem był to aparat telefoniczny, który w tej pustce wyglądał jak skrzynka pocztowa albo grzyb na brzozie, czasem drabina przenośna. Znalazłem nawet czarną formę na kapelusze, która nie wiadomo jak i kiedy została włączona do inwentarza.

Już zmierzch obejmował sale z bielejącymi w dalekiej głębi stosami papierów, korytaryze i przyległe pomieszczenia zatarły się w mgłę, mętne światło przecinało rombami parkiety w otwartych drzwiach, tylko ściany przytykające do okien jarzyły się gdzieś natężonym blaskiem zachodu. Pamięć o tym, co zostawiłem za sobą przechodząc, ścinała się jak mleko, gdy tylko nowe przejścia ukazywały się oczom, i w zasadzie miałem tylko świadomość tego, że stąkam skroś szeregu ścian, po śmieciach i papierach. W jednym miejscu musiałem wyłazić wysoko i udeptywać nogami sterty śliskich teczek — szeleściło jak w krzakach. Szedłem oglądając się z drzeniem; tak lepko, tak nieodłącznie przywierał do mnie w tej

ciszy najdrobniejszy szmer, jak gdybym włókł uwiązane do nóg pęki suchych mioteł, nasłuchując, czy te kroki nie zaczepią czyjśgo słuchu. Z początku stapałem po substancji nerwowej banku, deptając czarne ziarenka cyfr z uczuciem, jak gdybym niszczył nuty orkiestry, którą słychać od Alaski do Niagary. Nie szukałem porównań — wywołane niezwykłym widowiskiem zjawiały się i nikły jak łańcuch mglistych kształtów. Zdawało mi się, że brodzę po dnie akwarium, z którego wypuszczono wodę, albo wśród lodów, albo też — co było najbardziej ponure i plastyczne — włóczę się po minionych stuleciach, które zamieniły się w terażniejszość. Przeszedłem wewnętrzny korytarz, tak kręty i długi, że można by po nim jeździć na rowerze. Na końcu korytarza były schody; wszedłem na następne piętro i zszedłem znów innymi schodami. Po drodze minąłem salę średniej wielkości zastawioną najrozmaitszymi sprzętami. Były tam matowe kule szklane, abażury w kształcie tulipanów i dzwonów, żyrandole z brązu, skręcone jak żmije zwoje przewodów, góry fajansu i miedzi.

Następne skomplikowane przejście doprowadziło mnie do archiwum, gdzie droga w półmroku, w ciasnocie półek równolegle przecinających przestrzeń i łączących podłogę z sufitem, była już zupełnie zatarasowana. Stos kopiałów zmieszanych jak groch z kapustą sięgał mi do piersi, nawet nie mogłem rozejrzeć się z należyłą uwagą, tak było wszystko skotłowane.

Wyszedłszy bocznymi drzwiami posuwałem się w półmroku wzdłuż białych ścian, aż zobaczyłem wielkie łukowate sklepienie łączące kuluary z płaszczyzną głównego hallu, obstawionego podwójnym rzędem czarnych kolumn. W górnej części tych kolumn ciągnęła się ogromnym czworobokiem balustrada alabastrowej galerii; sufit był ledwo widoczny. Człowiek cierpiący na lęk przestrzeni uciekłby zasłaniając twarz — tak daleko było do drugiego końca tej zbiornicy tłumów, gdzie czerniały drzwi wielkości karty do gry. Tysiące osób mogły tu tańczyć swobodnie. Pośrodku stała fontanna, a jej maski z ustami otwartymi w drwiącym lub tragicznym grymasie wydawały się stosem martwych głów. Do kolumn przytykał masywny kontuar, ciągnący się jak bariera areny, zasłonięty płytami z matowego szkła, na których złociły się napisy kas i buchalterii. Połamane przepierzenia, uszkodzone kabiny, stoły zsunięte pod ścianami — wszystko to było ledwo widoczne w ogromie sali. Tutaj wzrok z pewnym wysiłkiem dostrzegał cechy tej samej, co gdzie indziej, martwej pustki. Stałem nieruchomo i rozglądałem się. Zacząłem smakować to widowisko, przyswajając sobie jego styl. Po raz wtóry rozumiałem wtedy podniosły nastrój widza wielkiego pożaru. Urok ruiny zaczynał rozbrzmiewać inspiracjami poetyckimi: przed moim wzrokiem rozciągał się osobliwy pejzaż, okolica, kraj cały. Jego koloryt był tak sugestywnie naturalny, jak sugestywny jest oryginalny motyw w muzyce. Aż trudno było wyobrazić sobie, że niegdyś roiły się tutaj tłumy z tysiącami spraw w teczkach i w głowie. Na wszystkim spoczywało piętno rozkładu i ciszy. Zuchwały, niepowstrzymany wiew żywiołu zniszczenia niósł się od drzwi do drzwi, krusząc wszystko dokoła z taką łatwością, z jaką noga miażdży skorupę jaja. Wrażenia te wywoływały jakieś szczególne mrowie pod czaszką i zmuszały do myślenia o katastrofie z ową magnetyczną skłonnością serca, która każe nam patrzeć w przepaść. Zdawało się, że jedna podobna echu myśl ogarnia tu wszelki kształt i dzwoni w uszach natrętną dewizą:

„Reszta niech będzie milczeniem”.

V

Na koniec poczułem zmęczenie. Z trudem już rozróżniałem przejścia i schody. Byłem głodny. Straciłem nadzieję, że będę mógł wydostać się i gdzieś na rogu ulicy kupić coś do zjedzenia. W jednej z kuchni zaspokoilem pragnienie odkręciwszy kran. Ku mojemu zdumieniu woda pociekła, choć słabym strumieniem, i ten drobny znak życia na swój sposób dodał

mi otuchy. Potem zacząłem wybierać pokój. To zajęło jeszcze kilka minut, wreszcie natknąłem się na gabinet z jednym wejściem, kominkiem i telefonem. Mebli prawie nie było; jedyne, na czym można się było położyć albo usiąść, to tapczan, oskalpowany i bez nówek — strzępy odciętej skóry, sprężyny i włosie sterczały na wszystkie strony. We wnęce ściany mieściła się wysoka orzechowa szafa. Była zamknięta. Wypaliłem jednego papierosa, potem drugiego, aż przyszedłem do względnej równowagi i zająłem się urządzaniem noclegu.

Dawno już nie zaznałem szczęśliwego uczucia zmęczenia — głębokiego, spokojnego snu. Póki jaśniał dzień, myślałem o nadejściu nocy ostrożnie, jak człowiek, który niesie naczynie pełne wody; usiłowałem nie denerwować się, byłem prawie pewny, że tym razem wycieńczenie pokona uciążliwą trzeźwość umysłu. Jednak ledwie zaczynało się ściemniać, strach przed bezsennością ogarniał mnie z natarczywą siłą i męczyłem się, przywoływałem noc, by się przekonać, czy wreszcie zasnę. Niestety, im bliżej północy, tym mocniej upewniały mnie zmysły o swej nienaturalnej trzeźwości; niepokojące ożywienie, podobne do błysku magnezji wśród ciemności, skręcało moje nerwy w napiętą strunę, dźwięcząca pod najdrobniejszym wrażeniem, i jakbym się po dniu budził przed nocą na długą wędrówkę po wnętrzu zatrwożonego serca. Zmęczenie rozpraszało się, w oczach kłuło jak od suchego piasku; zaczątek każdej myśli natychmiast rozwijał się w najbardziej skomplikowany ciąg obrazów i czekające mnie długie, bezsenne godziny, pełne wspomnień, wywoływały bezsilny bunt, jak przymusowa i bezpłodna praca, której nie sposób uniknąć. Przywoływałem sen, jak tylko mogłem. Nad ranem miałem ciało jak gdyby nalane gorącą wodą i sztucznie ziewając wsysałem złudną obecność snu, lecz gdy zamykałem oczy, odczuwałem to samo, co odczuwamy zamykając oczy bez potrzeby w biały dzień — bezsens tej czynności. Wypróbowałem wszystkie środki: wypatrywałem kropek na ścianie, liczyłem, leżałem bez ruchu, powtarzałem w kółko jedno zdanie — wszystko bez skutku.

Miałem ogarek świecy, rzecz niezbędną w owych czasach, kiedy klatki schodowe nie były oświetlone. Jej mętny płomyk rozjaśnił trochę nieprzytulne, wysokie wnętrza; zatkałem papierem dziury w tapczanie, a zagłówek ułożyłem z książek. Palto posłużyło mi za kołdrę. Warto było rozpaść w kominku, żeby popatrzeć na ogień. W dodatku, mimo letniej pory, nie było tu zbyt ciepło. W każdym razie wymyśliłem sobie zajęcie i byłem rad temu. Niebawem paczki rachunków i książek zajęły się w kominku setnym płomieniem i spadały, spopielone, na ruszt. Płomień wprawił w ruch ciemność za otwartymi drzwiami i ginał w oddaleniu cichą błyszczącą kałużą.

Lecz ten przypadkowy ogień płonął tajemniczo i bezowocnie. Nie oświetlał przedmiotów, do których jesteśmy przyzwyczajeni, i oglądając je w fantastycznej poświacie czerwonych i złotych węgielków zanurzamy się w wewnętrznym cieple i jasności własnej duszy. Był nieprzytulny jak ognisko złodzieja. Leżałem, podpierając głowę zdrętwiałą ręką i nie czując najmniejszej ochoty do drzemki. Wszystkie moje wysiłki w tym kierunku równałyby się grze aktora, który udając ziewanie kładzie się do łóżka na oczach publiczności. Poza tym chciało mi się jeść i żeby zagłuszyć głód, paliłem często.

Leżałem spoglądając leniwie to na ogień, to na szafę. Nagle przyszło mi na myśl, że szafa jest zamknięta nie bez powodu. Cóż jednak może się w niej kryć, jeśli nie te same stopy umarłych spraw? Czy może być coś, czego jeszcze stąd nie wywleczono? Smutne doświadczenie z przepalonymi żarówkami, których całą górę znalazłem w jednej z takich szaf, nasunęło mi podejrziwą myśl, że i ta szafa zamknięta jest bez przyczyny, po prostu przekrecono klucz z gospodarskiego nawyku. Niemniej wpatrywałem się w masywne odrzwia, solidne jak brama, i myślałem o jedzeniu. Nie miałem wielkiej nadziei, że znajdę tam coś do pożywienia się. Ślepo pchał mnie naprzód żołądek, zawsze nakazujący rozumować według szablonu, który tylko jemu jest właściwy — podobnie wywołuje on ślinę głodu na widok jedzenia. Dla zabicia czasu spenetrowałem kilka przyległych pokoi, myszkowałem przy świetle ogarka, lecz nie znalazłem nawet okrucha sucharów i wróciłem coraz bardziej zaintrygowany szafą.

W kominku posepnie dogasał żar. Rozmyślałem.

Zacząłem przeglądać od góry. Góra, to znaczy półki piąta i szósta, zastawiona była czterema wielkimi koszami; ledwo nimi poruszyłem, wyskoczył stamtąd ogromny rudy szczur i klapnął o podłogę z piskiem wywołującym mdłości. Konwulsyjnie cofnąłem rękę, drętwiejąc z obrzydzenia. Za następnym poruszeniem wyskoczyły jeszcze dwa potwory i przesmyknęły się pomiędzy moimi nogami podobne wielkim jaszczurkom. Wtedy potrząsałem koszem i zastukałem w szafę, odskakując na bok w obawie, że lunie deszcz ponurych cielsk z wijącymi się ogonami. Lecz szczury, jeśli ich tam było jeszcze kilka, uciekły prawdopodobnie przez tylną ścianę szafy do szpar w ścianach. Szafa stała spokojnie.

Zdziwił mnie, naturalnie, ów pomysł przechowywania zapasów żywności w miejscu, gdzie myszy (*Muridae*) i szczury (*Mus decumanus*) mogą czuć się jak w domu. Lecz zachwyty wziął górę nad wszelkimi myślami — jak woda przez tamę, tak i one przeciekały skroś tego wichru apoteozy. Niech mi nikt nie opowiada, że uczucia związane z jedzeniem są niskie, że apetyt stawia na równi amfibię z człowiekiem. W takich chwilach jak te, które przeżyłem, cała nasza istota uskrzydla się, doznajemy radości nie mniej wzniosłej, niż gdybyśmy oglądali wschód słońca ze szczytu gór. Dusza podrywa się jak przy dźwiękach marsza. Już byłem pijany widokiem skarbów, tym bardziej że każdy kosz zawierał asortyment wspaniałości jednorodnych, a zarazem — w zestawieniu różnorodnych. W jednym koszu były sery — kolekcja serów od suchego, zielonego do rochesterera i brie. Drugi, nie mniej ciężki, pachniał masarnią — szynki, kielbasy, wędzone ozory i faszeryowane indyki rozpięrały się obok następnego kosza nabitego szrapnelami konserw. Czwarty pękał od góry jaj. Przykląkłem, jako że teraz należało przejrzeć dolne półki. Odkryłem tu osiem głów cukru, skrzynkę z herbatą, dębową beczułkę z miedzianymi obręczami napełnioną kawą, kosze ciast, torty i suchary. Dwie dolne półki przypominały bufet restauracyjny, ich ładunek stanowiły wyłącznie butelki z winem poukładane ciasno jak polana. Na etykietach były wszystkie wymienione smaki, wszystkie firmy oraz słynne specjalności wytwórców win.

Jeżeli nawet nie było powodu do pośpiechu, to w każdym razie należało zabrać się do jedzenia, ponieważ skarb, który wyraźnie wyglądał na świeży i przemyślany zapas, nie mógł być — rzecz zrozumiała — zostawiony przez kogoś tylko gwoli dostarczenia przygodnemu gościowi przyjemności wielkiego odkrycia. W dzień albo nocą mógł zjawić się tu człowiek, podnieść krzyk i zamierzyć się na mnie pięścią czy gorzej nawet — nożem. Wszystko to wyglądało na ponury żart przypadku. Wielu rzeczy powinienem był strzec się w tej pustce, ponieważ dotknąłem niewiadomego. Tymczasem głód przemówił własnym językiem, przytknąłem więc szafę, rozsiadłem się na resztkach tapczanu, ułożywszy dokoła siebie smakowite kąski — w braku talerza — na dużych arkuszach papieru. Jadłem najbardziej treściwe rzeczy, to znaczy suchary, szynkę, jaja i ser, zagryzałem ciastem i popijałem portwajnem, przy każdym łyku na nowo przeżywając cud. Z początku nie mogłem pohamować dreszczu i męczącego nerwowego śmiechu, ale gdy trochę się uspokoiłem, trochę oswoiłem z posiadaniem tych smakołyków, o których jeszcze przed kwadransem marzyłem jak o niebieskich migdałach, zacząłem również panować nad moimi ruchami i myślami. Nasyciłem się prędko, znacznie prędkiej, niż sobie wyobrażałem, zabierając się do jedzenia, a to na skutek zdenerwowania, które potrafi osłabić nawet apetyt. Byłem jednak zanadto wycieńczony, żeby wpaść w rezygnację, toteż uczucie sytości napełniło mnie prawdziwą rozkoszą, bez owego sennego zaćmienia umysłu, jaki towarzyszy codziennemu pożeraniu obfitych dań. Gdy zjadłem wszystko, co sobie przygotowałem, starannie uprzątnąłem resztki uczyty i wtedy poczułem, że jest to wspaniały wieczór.

Mogłem się do woli gubić w domysłach — i tak wszystkie one ledwo skrobały na podobieństwo noża powierzchnię faktu, a jego istotna treść pozostała ukryta przed niepowołanym okiem. Przemierzając śpiący ogrom banku, prawdopodobnie dość trafnie odgadłem, co łączy mego sklepikarza z tym spożywczo-papierniczym Klondyke: można było stąd wywieźć setki

wozów papieru do pakowania, tak potrzebnego handlarzom oszukującym na wadze; oprócz tego sznury i drobny sprzęt elektryczny mogły przysporzyć sporo banknotów; nie bez powodu sznury i kontakty były tu wyrwane ze wszystkich ścian, które oglądałem. Toteż nie uważałem sklepikarza za właściciela tajemniczych prowiantów; on zapewne gdzie indziej miał je ukryte. Lecz nie posunąłem się ani o krok i wszystkie moje dalsze dociekania nie naprowadzały na żaden trop, jak to bywa ze znaleziskiem. Ślady po szczurach wskazywały na to, że od pewnego czasu nikt zapasu nie ruszał; ich zęby wyżłobiły w szynkach i serach głębokie jamy.

Najadłszy się, zabrałem się skrupulatnie do przeszukiwania szafy i zauważyłem wiele rzeczy, które przeoczyłem w pierwszych chwilach odkrycia. Między kosztami leżały paczki noży, widelców i serwetek; za głowami cukru krył się srebrny samowar; w jednej skrzynce tłoczyło się, podzwaniając, mnóstwo pucharów, kieliszków i szklanek z deseniem. Prawdopodobnie zbierało się tu towarzystwo na hulanki albo w celach konspiracyjnych, znajdując odosobnienie i gwarancję zachowania tajemnicy, może jakaś potężna organizacja, z wiedzą i udziałem komitetów domowych. W tym wypadku musiałbym się mieć na baczności. Najdokładniej, jak potrafiłem, uporządkowałem szafę, licząc na to, że drobna cząstka, którą zużyłem na kolację, nie zostanie dostrzeżona. Jednakże (nie miałem sobie tego za złe) wzięłem coś niecoś jadła i jeszcze jedną butelkę wina, zrobiłem paczkę i schowałem ją pod stertę papierów na zakręcie korytarza.

Rozumie się, że w tej chwili nie miałem ochoty nie tylko spać, ale nawet położyć się. Zapaliłem papierosa; był jasny, wonny, z włóknistego tytoniu, z długim ustnikiem — jedyna ze znalezionych rzeczy, której wyraziłem całkowite uznanie, napełniając cudownymi papierosami wszystkie kieszenie. Byłem w nastroju upajającego muzycznego podniecenia i myślałem o sobie jako o człowieku, którego spotyka ciąg wielkich nieprawdopodobieństw. Wśród tego olśniewającego zamętu uczuć przypominałem sobie dziewczynę w szarej chustce, tę, która spięła mi kołnierz agrafką — czyliż mógłbym zapomnieć ów gest? Była jedynym człowiekiem, o którym myślałem w pięknych i wzruszających słowach. Nie warto ich przytaczać, gdyż ledwo zabrzmia, stracą swój urzekający aromat. Dziewczyna, której imienia nawet nie znałem, znikła pozostawiając ślad podobny do umykającej na zachód smugi światła na wodzie. Ten łagodny efekt wywołała zwyczajną agrafką i szmerem oddechu, kiedy ze skupieniem wspinała się na palce. To jest właśnie najprawdziwsza biała magia. Ponieważ dziewczyna tak samo cierpiała biedę, gorąco zapragnąłem uraczyć ją swoim olśniewającym odkryciem. Lecz nie widziałem, gdzie jest i nie mogłem do niej zadzwonić. Nawet dobrodziejstwo pamięci, gdyby naraz wykrzyknęła zapomniany przeze mnie numer, na nic by się nie przydało, mimo że było tu mnóstwo telefonów, a ku jednemu z nich bezwiednie zwracałem wzrok — nie funkcjonowały, nie mogły funkcjonować z oczywistych powodów. Jednak patrzyłem wciąż na aparat z jakąś badawczą niepewnością, w której rozsądek nie brał żadnego udziału. Coś mnie do niego ciągnęło jak gracza. Nie opuszczała mnie chęć popełnienia głupstwa, upiękuszona, jak każda nocna brednia, złudą bezsennej wyobraźni. Wmówiłem w siebie, że przypomnę sobie numer, jeżeli fizycznie stworzę sytuację rozmowy telefonicznej. A poza tym już od dawna uważałem te zagadkowe grzyby ściennie z kauczukową gębą i metalowym uchem za przedmioty niezupełnie wytłumaczalne, rodzaj zabobonu, który nam, między innymi, podsunęła „Atmosfera” Flammariona z jego opowiadaniem o piorunie. Wszystkim bardzo doradzam przeczytać tę książkę i zastanowić się jeszcze raz nad dziwami wyładowań elektrycznych w czasie burzy, zwłaszcza nad działaniem pioruna kulistego, który, na przykład, wbija nóż w ścianę i wiesz na nim patelnię lub pantofel; albo też przenicowuje dach w ten sposób, że dachówki układają się w odwrotną stronę, równiutko jak na rysunku, nie mówiąc już o fotografiach na ciele tych, co zginęli od pioruna, fotografiach okoliczności, w jakich zdarzyło się nieszczęście. Mają one zawsze niebieskawy odcień jak stare dagerotypy. „Kilowaty” i „ampery” mało przemawiają do mnie. W moim zdarzeniu z aparatem obeszło się bez przecucia, bez owej dziwnej omdłałości, przyćmienia umysłu, jakie towarzyszą większości popełnia-

nych przez nas absurdów. Tak sobie to dziś tłumaczę, ale wtedy przypominałem jedynie żelazo w obecności magnezu.

Zdjąłem słuchawkę. Wydała mi się chłodniejsza, niż była naprawdę, niema na tle obojętnej ściany. Podniosłem ją do ucha, spodziewając się po niej tyle, co po zepsutym zegarku, i nacisnąłem guzik. Nie wiem, czy dzwoniło mi w głowie, czy było to tylko wspomnienie dźwięku — lecz drgnąłem, słysząc brzęczenie muchy, ową wibrację przewodów, przypominającą bzykanie owadów, która w tych warunkach była takim samym absurdem, jak całe moje zamierzenie.

Dociekliwe pragnienie, żeby p o j ą ć, toczy jak czerw nawet marmur rzeźby, odbierając siłę wszystkim doznaniom, które wypływają z tajemniczych źródeł. Gorliwa chęć zrozumienia niepojętego nie należała do rzędu mych cnót. Odsunąłem słuchawkę, w wyobraźni odtworzyłem ów charakterystyczny szmer i usłyszałem go powtórnie, gdy znów przytknąłem słuchawkę do ucha. Szmer nie drgał, nie przerywał się, nie słabł i nie nasilał się; w słuchawce normalnie brzęczała niewidzialna przestrzeń, dopominająca się połączenia. Narzuciły mi się jakieś zmacone obrazy, dziwaczne, jak dziwaczny był ten szum przewodu funkcjonującego w martwym domu. Widziałem supły splątanych przewodów, potarganych przez wichry morskie i dających połączenie w niezauważalnych punktach swego chaosu; widziałem snopy iskier elektrycznych, które wlatywały nad wygiętymi grzbietami kotów skaczących po dachach, magnetyczne błyski linii tramwajowych, tkankę i serce materii w postaci ostrych kątów futurystycznego rysunku. Takie myśli-zwidenia nie trwały dłużej, niż uderzenie serca, które stanęło dęba; tłukło się, wystukując w nieprzetłumaczalnej mowie odczucie nocnych potęg.

Naówczas zza ścian ukazał się wyraźny jak księżyc w nowiu obraz tamtej dziewczyny. Czyż mogłem przypuszczać, że wrażenie będzie tak żywe i trwałe? Parły i huczały we mnie siły stu ludzi, kiedy spoglądając na zatarty numer aparatu prowadziłem pamięć przez zawieruchę cyfr, próżno starając się tak je ustawić, by przypomniały mi zgubioną liczbę. Zwodnicza, niewierna pamięci! Przysięgasz, że nie zapomnisz liczb ani dat, ani drobiazgów, ani ukochanej twarzy i na powątpiewanie odpowiadasz niewinnym spojrzeniem. Lecz przychodzi czas, gdy łatwowierny widzi, że zawarł układ z bezwstydną małpą, która oddaje brylantowy pierścień za garść orzechów. Rysy wspomnianej twarzy są niepełne, zatarte, z liczby wypada cyfra, gmatwają się okoliczności i człowiek próżno ściska skronie borykając się z umykającym wspomnieniem. Lecz gdybyśmy pamiętali, gdybyśmy potrafili zapamiętać wszystko — jaki rozsądek wytrzyma bezkarnie życie całe, zawarte w jednym momencie, szczególnie gdy chodzi o uczucia?

Bezmyślnie powtarzałem cyfry, poruszając wargami, by odszukać autentyczną liczbę. Wreszcie mignął szereg na pierwsze wrażenie podobny do zapomnianego numeru: 107-21. „Sto siedem dwadzieścia jeden” — powiedziałem nasłuchując, lecz nie byłem pewny, czy znów się nie mylę. Zwątpienie oślepiło mnie zniecka, kiedy powtórnie nacisnąłem guzik, ale było już za późno: popłynęło groźne brzęczenie, coś zgrzytnęło i zmieniło się w telefonicznej dali i prosto w skórę policzka zmęczony kontrakt kobiecy powiedział oschle: „Centrala”. „Centrala!” — niecierpliwie powtórzył głos, ale i wtedy odezwałem się nie od razu — taki chłód ścisnął mi gardło, w głębi serca bowiem ciągle jeszcze g r a ł e m.

Tak czy inaczej, skoro rzekłem zakłęcie i wywołałem duchy — czy wywodziły się one z „Atmosfery”, czy z „Kilowatów” społeczności 86 roku — mówiłem i odpowiadano mi. Zaczęły się obracać tryby zepsutego zegara. Nad moim uchem drgnęły stalowe kule wskazówek. Obojętne, kto potrafił wahadło, mechanizm zaczął stukać miarowo. „Sto siedem dwadzieścia jeden” — powiedziałem głucho, patrząc na świecę dogorywającą pośród gratów. „Do grupy A” — padła niezadowolona odpowiedź i dalekie uderzenie zmęczonej ręki zatrzasnęło szum.

Poczułem płomień pod czaszką. Naciskałem właśnie guzik z literą A; zatem telefon nie tylko funkcjonował, ale jeszcze potwierdzał tę niezwykłą realność faktem, że przewody były

poplątane — wspaniały to szczegół dla niecierpliwego serca. Chcąc połączyć się z „A”, naciśnąłem „B”. Wtedy w skowyt wypuszczonego na swobodę prądu wtargnęły, jak z raptownie otwartych drzwi, ostre głosy przypominające bełkot tuby gramofonowej, nieznani krzykacze tłukący się w mojej ręce trzymającej rezonator. Przerywali sobie nawzajem z pośpiechem i zawziętością ludzi, którzy wybiegli na ulicę. Pomieszane zdania przypominały koncert gawronów. „A-la-la-la-la!” — wrzeszczało niewiadome stworzenie na tle czyjegoś barytonu przemawiającego statecznie i rozwlekłe, z miódopłynną ekspresją, akcentującą pauzy i znaki przestankowe. „Nie mogę dać”... „Jeżeli pan zobaczy”... „Kiedykolwiek” Mówię, że”... „Czy pan słyszy?”... „Rozmiar trzydzieści pięć”... „Skończone”... „Samochód wysłany”... „Nie, nie rozumiem”... „Proszę odłożyć słuchawkę”... W ten jarmarczny trans wciskały się słabo, jak brzęczenie komara, jęki, daleki płacz, śmiech, łkanie, takty skrzypiec, odgłos niespiesznych kroków, szelest i szepty. Gdzie to, na jakich ulicach, dźwięczały te słowa troski, okrzyków, napomnień i skarg? Wreszcie coś rzeczowo zabręczało, głosy ucichły i w szumie przewodu odezwał się ten sam kontralt: „Grupa B”.

— „A”! Proszę mi dać „A” — zawołałem — przewody są poplątane.

Chwila milczenia, podczas której szum dwa razy cichł, po czym nowy głos obwieścił śpiewnie i nieco ciszej:

— Grupa „A”.

— Sto siedem dwadzieścia jeden — wyskandowałem możliwie najwyraźniej.

— Sto osiem zero jeden — uważnie, apatycznym tonem powtórzyła telefonistka, a ja z ledwością przychwyciłem błędną poprawkę, żeby mi nie uleciała.

Pomyłka ta bez żadnej wątpliwości ustalała zapomniany numer. Ledwie go usłyszałem, już poznałem, przypomniałem sobie jak widzianą kiedyś twarz.

— Tak, tak — powiedziałem w najwyższym wzburzeniu, pędząc gdzieś wysoko nad skrajem zawrotnej przepaści. — Tak, właśnie tak — sto osiem zero jeden.

Natychmiast wszystko zamarło we mnie i dokoła mnie. Dźwięk połączenia ścisnął serce jak przyływ zimnej fali; nawet nie usłyszałem zwykłego „dzwonię” albo „łączę” — nie pamiętam, co zostało powiedziane. Słyszałem ptaki rozsypujące czarodziejskie trele. Poczuję słabość i oparłem się o ścianę. Wtedy, po przerwie, która była jednym okrucieństwem, świeży jak świeże powietrze, rezolutny głosik odezwał się ostrożnie:

— To ja sprawdzam. Mówię do nieczynnego telefonu, bo przecież słyszałeś, że był dzwonek. Kto przy telefonie? — rzekła, wyraźnie nie oczekując odpowiedzi, tonem płochej surowości.

Powiedziałem, prawie krzyżąc:

— Jestem tym, który rozmawiał z panią na rynku i odszedł zabierając agrafkę. Sprzedawałem książki. Niech pani sobie przypomni, bardzo proszę. Nie znam pani imienia — proszę potwierdzić, że to pani.

— Niebywałe — odchrząknawszy, rzekł głos z nutą zastanowienia. — Niech pan zaczeka, proszę nie odkładać słuchawki. Ja rozumiem. — Staruszku, czyś widział coś podobnego?

Ostatnie słowa nie były do mnie skierowane. Jakiś głos męski odpowiedział jej niewyraźnie, widocznie z drugiego pokoju.

— Spotkanie pamiętam — powiedziała znów do mego ucha. — Ale nie przypominam sobie, o jakiej agrafce pan mówi? Ach, tak. Nie przypuszczałam, że ma pan taką dobrą pamięć. Aż mi dziwnie rozmawiać z panem — nasz telefon jest przecież wyłączony. Skąd pan mówi?

— Czy pani mnie dobrze słyszy? — odparłem, jak gdybym nie rozumiał pytania, uchylając się w ten sposób od podania miejsca, gdzie się znajdowałem, i otrzymawszy potwierdzenie ciągnąłem dalej: — Nie wiem, jak długo potrwa nasza rozmowa. Są przyczyny, dla których nie będę się nad tym zatrzymywał. Ja, tak samo jak pani, nie pojmuję wielu rzeczy. Dlatego proszę mi podać niezwłocznie swój adres. Nie znam go.

Przez pewien czas przewód brzęczał jednostajnie, jakby moje ostatnie słowa zakłóciły połączenie. I znów, jak ślepa ściana, legła między nami dal — wstrętne uczucie przykrości i wstydlivej tęsknoty tak mnie wytrąciło z równowagi, że byłem już skłonny zapuścić się w skomplikowane i niewczesne rozważania o naturze rozmów telefonicznych, nie pozwalających wyrazić z całą swobodą odcieni najprostszyc i najbardziej naturalnych uczuć. W pewnych okolicznościach twarz i słowo stanowią nierozdzielną całość. Możliwe, że ona rozmyślała o tym samym, dlatego milczenie trwało tak długo, po czym usłyszałem.

— Po co? No, dobrze. A więc proszę zapisać — nie bez przekory powiedziała to „zapisać” — proszę zapisać mój adres: piąta linia, dziewięćdziesiąt siedem, mieszkanie jedenaście. Tylko po co, po co panu potrzebny mój adres? Mówię otwarcie, że nie rozumiem. Wieczorami bywam w domu...

Głos dźwięczał dalej, lecz nagle ścichł, zabrzmiał głucho jak ze skrzynki. Słyszałem, że dziewczyna mówi, prawdopodobnie coś opowiada, lecz nie rozróżniałem słów. Jej głos odpływał coraz dalej, był coraz mniej wyraźny, upodobił się do szemrzącego deszczu, wreszcie ledwo dosłyszalne drganie przewodu dało znać, że wszystko się skończyło. Połączenie się zerwało, aparat milczał tępo. Miałem przed sobą ścianę, skrzynkę i słuchawkę. W szyby stukał nocny deszcz. Nacisnąłem guzik — szczęknał i zatrzymał się. Czar prysnął.

A jednak słyszałem, rozmawiałem i to, co się stało, nie mogło się odstać. Wrażenia tych kilku minut przeszły, uciekły jak wicher, byłem jeszcze pełen jego odgłosów, siadłem, poczułem raptowne zmęczenie, jak od wspinania się po stromych schodach.

Tymczasem byłem dopiero u progu wydarzeń. Ich rozwój zaczął się od echa dalekich kroków.

VII

Tajemnicze kroki słyhać było bardzo daleko, bodaj że na samym początku drogi przebytej przeze mnie — a może z przeciwnej strony, w sporej odległości pierwszego uchwytnego dźwięku? Można było ustalić, że idzie jedna osoba, zwinnie i lekko, drogą znajomą wśród ciemności i prawdopodobnie przyświeca sobie latarką ręczną lub świecą. Jednakże oczyma wyobraźni widziałem kogoś dążącego ostrożnie, po ciemku, szedł i rozglądał się. Nie wiem, dlaczego tak go sobie wyobrażałem. Siedziałem odrętwiały i przerażony, jak gdyby ktoś pochwycił mnie z daleka w gigantyczne cęgi. Rozsadzało mnie oczekiwanie, aż w skroniach poczułem ból, ogarnął mnie paniczny strach, który odbierał mi możliwość przeciwdziałania. Byłem spokojny, w każdym razie zacząłbym się uspokajać, gdyby kroki się oddalały, tymczasem słyszałem je coraz wyraźniej, coraz bliżej i gubiłem się w domysłach, jaki jest cel tego torturującego słuch nużąco długiego marszu przez opustoszały gmach. Samo przeczucie, że nie uda mi się uniknąć spotkania, wstrętne otarło się o moją świadomość; wstałem, znów usiadłem, nie wiedząc, co robić. Mój puls powtarzał dokładnie miarowy rytm i przerwy kroków, jednak serce przemogło wreszcie ponure odrętwienie ciała i zaczęło bić pełnym tętnem, a ja każdym jego uderzeniem wyczuwałem moją sytuację. Moje zamierzenia były chaotyczne; wahałem się, czy zgasić świecę, czy zostawić palącą się, jednocześnie zdawało mi się, że nie nakazy rozsądku, lecz w ogóle podjęcie jakiegokolwiek akcji — to najskuteczniejszy sposób, by uniknąć niebezpiecznego spotkania. Nie miałem wątpliwości, że spotkanie będzie niebezpieczne lub zatrważające. Odnalazłem spokój wśród nie zamieszkanyc ścian i pragnąłem zachować nocną iluzję. Chwilami, stąpając bezszelestnie, wychodziłem za drzwi, aby wybadać, w którym z przyległych pokoiów mógłbym się ukryć, jak gdyby ten pokój, w którym siedziałem zasłaniając plecami ogarek, był już wyznaczony na odwiedziny i ktoś wie, że ja się tu znajduję. W końcu zrozumiałem, że zmieniając miejsce postąpiłbym jak gracz w ruletkę, któ-

ry postawiwszy na inny numer, stwierdza z przykrością, iż przegrał tylko dlatego, że zdradził swoją liczbę. Najmądrzej było siedzieć i czekać zgasivszy światło. Tak też uczyniłem i czekałem po ciemku.

Tymczasem nie było już najmniejszej wątpliwości, że odległość między mną a nieznanym przybyszem skraca się z każdym uderzeniem tętna. Dzieliło go teraz ode mnie najwyżej pięć do sześciu ścian, przebiegał od drzwi do drzwi z umiarkowaną szybkością lekkich ruchów. Skuliłem się, przykuty jego krokami do nadlatującej jak automobil chwili, gdy zetkną się spojrzenia — oko w oko — i błagałem Boga, żeby nie były to źrenice z wściekłą pręgą białka nad wydzierającym się z wewnątrz blaskiem. Nie czekałem, miałem pewność, że zobaczę j e g o. Instynkt, który w tej chwili zajął miejsce rozsądku, mówił prawdę, wpadając ślepym obliczem na ostrze strachu. Upiory zjawiły się w ciemnościach. Widziałem kosmaty stwór z ciemnego kąta dziecinnego pokoju, posępne widmo, i — co najstraszniejsze, potworniejsze od spadania z wysokości — czekałem, że przy samych drzwiach kroki zamilkną, że nikt się nie ukaze i że ta nieobecność kogokolwiek muśnie moją twarz jak powiew. Na to, by wyobrazić sobie takiego samego jak ja człowieka, nie starczyło mi czasu. Spotkanie nadciągało gwałtownie, nie miałem gdzie się ukryć. Nagle kroki umilkły, zatrzymały się tak blisko drzwi i tak długo nic nie słyszałem, prócz krzątający myszy biegających po zwałach papierów, że z ledwością powstrzymałem krzyk. Przywidziało mi się, że ktoś zgięty wpół skrada się cichaczem przez drzwi, by mnie schwycić. Oslupienie szaleńczego krzyku, który rozdarł ciemność, rzuciło mnie jak wichher naprzód z wyciągniętymi rękami. Uskoczyłem w bok, zakrywając twarz. Zabłyśło światło, ścisnąwszy z drzwi do drzwi całą dal dostępną oczom. Było jasno jak w biały dzień. Doznałem czegoś w rodzaju szoku nerwowego, ale trwało to zaledwie chwilę i zaraz ruszyłem naprzód. Wówczas za najbliższą ścianą odezwał się kobiecy głos: „Proszę tu przyjść”. Potem zadźwięczał cichy, zaczepny śmiech.

Choć byłem zupełnie osłupiały, nie spodziewałem się takiego zakończenia tortury, której byłem poddany przez blisko godzinę. „Kto mnie woła?” — zapytałem szeptem, ostrożnie zbliżając się do drzwi, za którymi takim pięknym i subtelnym głosem zdradziła swą obecność nieznaną kobietą. Słuchając, wyobrażałem sobie jej powierzchowność tyleż samo przyjemną, co głos dla ucha, i z ufnością szedłem dalej, oczekując powtórnego wezwania: „Proszę przyjść, proszę przyjść tutaj”. Lecz za ścianą nie zobaczyłem nikogo. Matowe kule i żyrandole połyskiwały pod sufitem, rozsiewając dzień między czarnymi nocnymi oknami. Tak to, zadając pytanie i za każdym razem otrzymując niezmienną odpowiedź zza ściany sąsiedniego pomieszczenia: „Proszę, o, proszę przyjść prędzej!” — obejrzałem pięć albo sześć pokoiów, zauważywszy w którymś z nich w lustrze samego siebie, wodzącego uważnym spojrzeniem z pustki w pustkę. Wydawało mi się, że mrok lustrzanej głębi pełen jest kobiet schylonych, skradających się, w mantylach albo zasłonach, które przyciskały do twarzy ukrywając swe rysy, i tylko ich czarne oczy, śmiejące się pod figlarnie ściągniętymi brwiami, świeciły przelotnie i nieuchwytnie. Było to jednak złudzenie, gdyż odwróciłem się tak szybko, że najzwinniejsze stworzenie w tym domu nie zdążyłoby umknąć. Wyczerpany, lękając się w zdenerwowaniu, które mną władało, czegoś naprawdę straszliwego w tej niemej, oświetlonej pustce — zawołałem w końcu gwałtownie:

— Proszę się pokazać, inaczej nie ruszę się ani kroku dalej. Kim pani jest i po co mnie woła?

Nie otrzymałem odpowiedzi, echo stłumiło mój okrzyk niewyraźnym głuchym dudnieniem. Lęk pełen troski przebijał ze słów tajemniczej kobiety, gdy niespokojnie zawołała do mnie z niewiadomego kąta: „Proszę się spieszyć, proszę nie zwlekać. Niech pan idzie, niech pan się nie opiera”. Zdawało się, że słowa te rozległy się tuż koło mnie, szybkie jak plusk i dźwięcznie szeptane, jak gdyby nad samym uchem. Lecz na próżno w niecierpliwym porywie spieszyłem od drzwi do drzwi, otwierając je na oścież lub obchodząc skomplikowane przejścia, żeby gdzieś dopaść wzrokiem wymykającej się kobiety — wszędzie zastałem pustkę,

drzwi i światło. Tak się to ciągnęło, przypominając zabawę w chowanego i kilka razy już westchnąłem rozgoryczony, nie wiedząc, czy iść dalej, czy zatrzymać się, zatrzymać się zdecydowanie, póki nie zobaczę, z kim rozmawiam tak bezskutecznie na odległość. Kiedy milkłem, głos szukał mnie, dźwięczał coraz serdeczniej i bardziej alarmująco, natychmiast wskazując mi kierunek i cicho wykrzykując za następną ścianą:

— Tutaj, prędejsz do mnie!

Choć byłem bardzo wyczulony na odcienie głosów w ogóle, a zwłaszcza w tych okolicznościach najwyższego napięcia, w wołaniu, w uporczywym przyzywaniu bezszmerownie umykającej kobiety nie uchwyciłem ani drwiny, ani udawania; mimo że zachowywała się bardzo dziwnie, nie miałem na razie powodu podejrzewać nic złego ani złowrogięgo, nie znałem bowiem przyczyn jej postępowania. Raczej można było przypuszczać, że uparcie pragnie mi coś powiedzieć czy też pokazać naprędce i że czas jest dla niej niesłychanie drogi. Jeśli myliłem się i nie trafiałem do tego pokoju, skąd dobiegało mnie wraz z szelestem i przyspieszonym oddechem melodyjne nawoływanie, prostowano moją pomyłkę, wskazując mi drogę przymilnym i czułym: „Tutaj!” Zaszedłem już zbyt daleko, by zawrócić. Byłem pod niepokojącym urokiem niewiadomego i prawie biegłem po rozległych parkietach z oczami utkwionymi tam, skąd dochodził głos.

— Tu jestem — odezwał się wreszcie głos tonem zapowiadającym koniec całej historii. Było to na skrzyżowaniu korytarza i schodów prowadzących po kilku stopniach do innego korytarza położonego wyżej.

— Dobrze, ale to już ostatni raz — uprzedziłem.

Czekała na mnie na początku korytarza, na prawo, gdzie słabiej dochodziło światło: słyszałem jej oddech idąc po schodach i z gniewem rozglądałem się w półmroku. Naturalnie znów mnie oszukała. Obie ściany korytarza były zawalone stosami książek, zostawało tylko wąskie przejście. Przy jednej lampie, słabo oświetlającej tylko schody i skrawek przejścia, mogłem jej nie zauważyć.

— Gdzie pani jest? — zapytałem wpatrując się w głąb. — Proszę się zatrzymać, dlaczego pani tak się spieszy? Proszę tu przyjść.

— Nie mogę — cicho odparł głos. — Ale czy pan mnie naprawdę nie widzi? Zmęczyłam się i usiadłam. Proszę podejść do mnie.

Rzeczywiście, słyszałem ją zupełnie blisko. Trzeba było tylko minąć zakręt. Za nim była ciemność oznaczona w głębi plamą drzwi. Potknąwszy się o książki, pośliznąłem się, straciłem równowagę i padając zwałem chwiejną pakę książek. Runęła gdzieś głęboko w dół. Padając na ręce, poczułem pod nimi pionową próżnię i sam omal nie stoczyłem się w czeluść, skąd na mój bezwiedny okrzyk odpowiedział łoskot lawiny książek. Ocalałem tylko dlatego, że przypadkowo upadłem wcześniej, nim znalazłem się na krawędzi urwiska. O ile zdumienie i strach w tym momencie nie zostawiały czasu na domysły, o tyle śmiech, wesoły, zimny śmieszek do drugiej stronie pułapki natychmiast wyjaśnił mi sytuację. Śmiech oddalał się, cichnąc z okrutną intonacją, i więcej już go nie słyszałem.

Nie zerwałem się, nie odczołgałem się z hałasem, który by rozwiązał przypuszczenie, że spadłem; rozumiałem podstępny żart i nawet nie drgnąłem pozwalając, by uwierzono, że się powiodł. Warto jednak było rzucić okiem na łożę, które dla mnie przygotowano. Na razie nic nie wskazywało, że jestem pod obserwacją, zapaliłem więc zapałkę z wielką ostrożnością i zobaczyłem czworokątny otwór przebity na wylot w podłodze. Światło nie dotarło do dna. Przypomniał mi się pauzę między potrąceniem paki a hukem zrzuconych książek, obliczyłem w przybliżeniu głębokość wyrwy na dwanaście metrów. To znaczy, że podłoga dolnego piętra była przebita symetrycznie w stosunku do górnego otworu, tworząc podwójny przelot. Zawadzałem kogoś. Tyle zdołałem zrozumieć, mając na to ważne dowody, nie pojmowałem jednak, jak mogła nawet najbardziej eteryczna kobieta przeskoczyć tak szeroki otwór, którego ściany nie miały żadnego obrzeża, żeby uchwycić się go i ułatwić sobie przejście; szerokość

wynosiła około sześciu metrów.

Zaczekałem, aż całe zajście utraci swoją groźną świeżość, podczołgałem się do miejsca, gdzie padające z daleka światło pozwalało rozróżnić ściany, i wstałem. Nie miałem odwagi wracać do oświetlonych przestrzeni. Ale też nie byłem w stanie opuścić teraz sceny, na której omal nie rozegrał się finał piątego aktu. Dotknąłem rzeczy aż nadto poważnych, żeby próbować iść dalej. Nie wiedząc, od czego zacząć, stąpałem ostrożnie w przeciwnym kierunku, chowając się niekiedy za występy ścian, by skontrolować pustkę. W jednym z takich występów znajdował się zlew; z kranu kapała woda; wisiał tu również ręcznik z wilgotnymi śladami dopiero co wycieranych rąk. Ręcznik poruszał się jeszcze: odszedł stąd ktoś, kto, być może, znajdował się o dziesięć kroków, nie zauważony przeze mnie, jak i ja przez niego, dzięki przypadkowi. Nie należało dłużej wystawiać na próbę tych miejsc. Zdrętwiałem z wrażenia na widok ręcznika potrąconego niemal w moich oczach, w końcu zacząłem się cofać wstrzymując oddech i z ulgą spostrzegłem wąskie drzwi boczne w cieniu występu, całe prawie zawałone papierami. Jakkolwiek z trudem, ale można je było odciągnąć na tyle, żeby się przesuwać. Wsunąłem się w tę szparę jak w ścianę i znalazłem się w oświetlonym, cichym i pustym przejściu, bardzo wąskim, z zakrętem nie opodal, za który nie zaryzykowałem spojrzeć, tylko stanąłem przytulony do ściany we wnęce.

Żaden dźwięk, żadne zjawisko dostępne zmysłom nie mogłoby w tej chwili ująć mojej uwagi — tak byłem wyostrozony wewnętrznie, napięty, cały zamieniony w słuch i oddech. Lecz mogło się zdawać, że życie na ziemi zamarło — taka cisza patrzyła mi w oczy nieruchomym światłem głuchego przejścia. Widocznie wszystko, co żyje, odeszło stąd albo się przytuliło. Poczułem słabość, z niecierpliwością rozpaczyci zapragnąłem jakiegokolwiek hałasu, byle otrząsnąć się z drętwego światła, ściskającego serce milczeniem. I nagle zjawiło się więcej dźwięków, niż było trzeba dla uspokojenia — jeśli tak nazwać „ciszę przed burzą” — mnóstwo kroków rozległo się za ścianą, głęboko, na samym dole. Rozróżniałem głosy, okrzyki. Do tych odgłosów, które zapowiadały nieznaną ożywienie, dołączył się dźwięk strojonych instrumentów; ostro zarzępoliły skrzypce; wiolonczela, flet i kontrabas chaotycznie pociągnęły kilka taktów, zagłuszonych przesuwaniem mebli.

W środku nocy — nie wiedziałem, która jest godzina — te objawy życia w czeluści dwóch pięter zabrzmiały, po moich przejściach nad zapadliną, jak nowa groźba. Zapewne, gdybym chodził niestrudzenie, znalazłbym wyjście z tego domu, który nie miał końca, ale nie teraz, gdy nie wiedziałem, co może czyhać na mnie za najbliższymi drzwiami. Mogłem zorientować się w sytuacji tylko wtedy, gdybym stwierdził, co się dzieje na dole. Pilnie nasłuchując, ustaliłem odległość dzielącą mnie od tych głosów. Była dość duża, kończyła się w dole za przeciwległą ścianą...

Stałem już tak długo we wnęce drzwi, że wreszcie odważyłem się wyjść i rozejrzeć się, czy nie da się czegoś przedsięwziąć. Ruszyłem cicho przed siebie i spostrzegłem w ścianie na prawo oszklony otwór nie większy od lufcika. Mieścił się na takiej wysokości nad moją głową, że mogłem tam sięgnąć. Nieco dalej stała przenośna składana drabina, jakiej używają malarze przy bieleniu sufitów. Dźwignąwszy ją z całą ostrożnością, żeby nie stuknąć, nie zawadzić o ściany, przystawiłem do otworu... Szkło było zakurzone z obu stron, ale przetarłszy je dłonią zacząłem przez nie patrzeć, widząc jak przez mgłę. Moje domysły wynikłe z orientacji słuchowej potwierdziły się: ujrzałem tę samą salę główną banku, w której byłem wieczorem, nie mogłem jednak zobaczyć jej całej — okienko wychodziło na galerię. Tuż obok zwisał ogromny rzeźbiony plafon, balustrada znajdująca się tuż przed moimi oczami zasłaniała głąb sali, tylko z daleka widać było kolumny po przeciwległej stronie, ale nawet nie do połowy. Na całej długości galerii nie było żywej duszy, natomiast w dole wrzało wesołe życie, udręczające swą niewidzialnością. Słyszałem śmiech, krzyki, szuranie krzesel, niewyraźne fragmenty rozmów, miarowe trzaskanie drzwi na dole. Śmiało dzwoniły nakrycia; kaszel, pociąganie nosem, tupot lekkich i ciężkich kroków i melodyjna, żartobliwa intonacja

głosów — tak, to był bankiet, bal, zebranie, goście, jubileusz — co kto woli, ale już nie ta poprzednia zimna i ogromna pustka z echem ugrzęzłym w kurzu. Żyrandole sypały w dół blaski ognistego ornamentu i chociaż w moim kącie także było jasno, ostrzejsze światło padało z sali na moją rękę.

Prawie pewny, że nikt tu nie przyjdzie do tego zakamarka, który miał raczej więcej wspólnego ze strychem niż z magistralą dolnego przejścia, odważyłem się usunąć szybę. Jej rama, przymocowana dwoma zgiętymi gwoździami, chwiała się lekko. Odgiałem gwoździe i wyjąłem przegrodę. Teraz hałas stał się wyrazisty jak wiatr wiejący w twarz. Zanim się z nim oswoiłem, muzyka zaczęła grać jakiś szlagier kabaretowy, ale przedziwnie cicho, jakby nie potrafiła czy też nie chciała rozbrzmieć pełniej. Orkiestra przygrywała „z tłumikiem”, jak gdyby w myśl specjalnej instrukcji. Jednak zagłuszone przez nią ludzkie głosy zaczęły dzwierać mocniej, nasilając się w sposób naturalny i dolatując do mego schronienia w otocze wypowiedzanego sensu. O ile mogłem się zorientować, zainteresowanie różnych grup w sali skupiało się wokół jakichś podejrzanych konszachtów, choć z powodu oddalenia nie chwytalem wątków dokładnie. Niektóre zdania przypominały rzenie, inne okrutny pisk; ciężki, rzeczowy śmiech mieszał się z syczeniem. Głosy kobiet miały timbre ponury i naprężony, przechodząc od czasu do czasu w kuszącą filuterność i rozwiązała modulację Damy Kameliowej. Czasem znów czyjaś uwaga, wygłaszana z emfazą, kierowała rozmowę na ceny złota i drogich kamieni; inne słowa budziły dreszcz grozy napomykając o zabójstwie lub o jakimś przestępstwie niemniej brutalnie określanym. Złodziejski żargon, bezwstyd nocnej ulicy, zewnętrzny polor hazardowej intrygi i ożywiona wielomówność nerwowo rozglądającej się duszy mieszały się z dźwiękami drugiej orkiestry, której pierwsza rzucała subtelne, filuterne repliki.

Nastąpiła przerwa; kilkoro drzwi otwarto się w głębi gdzieś daleko przede mną i zapewne weszły nowe osoby. Potwierdziły to niezwłocznie uroczyste okrzyki. Po niewyraźnych naradach rozległy się donośne zapowiedzi i prośby o spokój. Równocześnie czyjeś przemówienie płynęło tam spokojnie, przedzierając się sączonymi frazami jak żuk przez igliwie leśne.

— Niech żyje Oswobodziciel! — obwieścił chóralny ryk. — Śmierć Szczurołapowi!

— Śmierć! — posępnie zadzwieczyły głosy kobiece.

Echo odpowiedziało przeciągłym wyciem i ścichło. Nie wiem dlaczego, choć byłem straszliwie pochłonięty tym, co słyszałem, odwróciłem się w tej sekundzie, jakbym poczuł z tyłu czyjs wzrok na sobie; lecz tylko odetchnąłem głęboko — nikt nie stał za mną. Miałem jeszcze czas na zastanowienie, gdzie się ukryć: za zakrętem najwyraźniej przeszły dwie osoby, nie podejrzewając mojej obecności. Zatrzymały się. Ich lekki cień legł w poprzek zakamarka, lecz wpatrując się weń, rozróżniłem jedynie plamę. Porozumiewały się z beztrząsą rozmówców czujących się na osobności. Był to prawdopodobnie dalszy ciąg rozmowy. Kiedy ludzie ci zblizali się tutaj, wątek urwał się na jakimś pytaniu, na które teraz odpowiedziano. Co do słowa zapamiętałem ową niejasną i groźną zapowiedź:

— On umrze — oświadczył ktoś nieznajomy — ale nie od razu. Oto adres: piąta linia, dziewięćdziesiąt siedem, mieszkania jedenaście. Jest z nim córka. To będzie wielki czyn Oswobodziciela. Oswobodziciel przybył z daleka. Jego droga jest męcząca i oczekują go w wielu miastach. Dziś w nocy wszystko powinno być załatwione. Idź i obejrzyj przejście. Jeżeli nic nie grozi Oswobodzicielowi, Szczurołap umrze, a my zobaczymy jego puste źrenice.

VIII

Słuchałem mściwej tyrady dotykając już nogą podłogi, albowiem ledwie zabrzmiał dokładnie powtórzony adres dziewczyny, której imienia nie zdążyłem dziś poznać, coś mnie

ślepo pociągnęło w dół — uciekać, skryć się i pędzić z wiadomością na piątą linię. Nawet przy najbardziej logicznym rozumowaniu numer i nazwa ulicy nie mogły wyjaśnić mi, czy w mieszkaniu tym jest jeszcze inna rodzina — wystarczyło, że myślałem o t e j i że ona tam się znajdowała. W tym przerażeniu i dręczącym pośpiechu, jak w czasie pożaru, nie obliczyłem ostatniego kroku; drabina osunęła się z trzaskiem, zdradzając moją obecność, i w pierwszej chwili znieruchomiałem jak ciśnięty worek. Światło natychmiast zgasło, muzyka zamilkła i krzyk wściekłości dopadł mnie pędzącego na oślep wąskim przejściem, gdzie — nie pamiętam, jak to się stało — uderzyłem piersią w drzwi, którymi tu wszedłem. Z niewytłumaczalną siłą, jednym pchnięciem zmiotłem zawalające je graty i wybiegłem na pamiętny korytarz z wyrwą. Ocalenie! Wschodził pierwszy mętny brzask, rozwidniający mnogość drzwi; zacząłem gnać do utraty tchu. Ale instynktownie szukałem drogi w górę, nie na dół, przebiegając jednym susem schody i puste przejścia. Chwilami miotłem się krążąc na jednym miejscu, biorąc przebyte już drzwi za nowe albo wpadając w ślepe zakamarki. To było straszne jak zły sen, tym bardziej że byłem ścigany — słyszałem przyspieszone kroki z tyłu i przede mną, ów zgiełk nagonki psychicznej, której nie mogłem się wymknąć. Hałas rozlegał się nieregularnie jak ruch uliczny, czasem tak blisko, że uskakiwałem za drzwi, czasem z boku, tuż koło mnie, jakby lada chwila miał runąć w poprzek mej drogi. Omdlewałem, drętwiałem ze strachu i nieustannego głośnego skrzypienia podłóg. Ale już biegłem między mansardami. Ostatnie schody, jakie zauważyłem, prowadziły do kwadratowego otworu w suficie. Wbiegłem po nich na samą górę z uczuciem, że ktoś zaraz ugodzi mnie w plecy — taką hurmą biegli za mną ze wszystkich stron. Znalazłem się w dusznej ciemności strychu i błyskawicznie zwałem na otwór wszystko, co było pod ręką. Okazało się, że jest to stos ram okiennych, które za jednym zamachem mogła ruszyć z miejsca tylko siła rozpacz. Runęły wzdłuż i w poprzek, tworząc nieprzebyte gąszcz skrzyżowań. Dokonawszy tego pobiegłem do dalekiej szarej plamy dymnika, gdzie widać było beczki i deski. Droga była zagracona niezgorzej. Przeskakiwałem przez belki, skrzynie, krawędzie murów między dołami i kominami niczym w lesie. Wreszcie stanąłem przy dymniku. Otwarta chłodna przestrzeń tchnęła głębokim snem. Za dalekim dachem majaczył różowy cień; kominy nie dymiły, przechodniów nie było słyhać. Wylazłem i dobrnąłem do rynny. Rynna chwiała się, klamry trzeszczały, kiedy zacząłem zsuwać się po niej; gdzieś w połowie drogi chłodna blacha była mokra od rosy, a ja kurczowo ześliznąłem się w dół, z trudem uchwyciwszy się klamry. Wreszcie nogi namacały trotuar. Spieszyłem ku rzece, obawiając się, że most będzie podniesiony, dlatego, odetchnawszy chwilę, puściłem się biegiem.

IX

Ledwie skręciłem za róg, musiałem przystanąć, zobaczyłem bowiem ślicznego siedmioletniego chłopczyka z twarzyczką pobladłą od łez; żałośnie tarł oczy piąstkami i szlochał. Z litością, naturalną przy takim spotkaniu, nachyliłem się nad nim pytając: „Chłopczyku, skąd jesteś? Czy cię porzucono? Skąd się tu wziąłeś?” On milczał pochlipując i patrzył na mnie spode łba. Byłem przerażony. Dokoła panowała pustka. Jego chudziutkie ciało dygotało, nóżki miał zabłocone i bose. Mimo że pilno mi było do zagrożonego miejsca, nie mogłem zostawić dziecka, tym bardziej że ze strachu i zmęczenia milczało potulnie, za każdym moim pytaniem wzdrygając się i kuląc jak przed pogróżką. Nic nie wskórałem gładząc go po głowie i zaglądając w oczy pełne łez — tylko zwieszał głowę i płakał. „Przyjacielu mały — rzekłem postanawiając zapukać do któregoś domu, by przygarnięto dziecko — posiedź tu, ja zaraz przyjdę i odzujemy twoją niegodziwą mamę”. Lecząc ku mojemu zdumieniu chłopiec mocno ucpił się mej ręki i nie puszczał jej. W tym jego wysiłku było coś nikczemnego i dzikiego.

Aż osunął się z trotuaru, zaciskając z całej siły powieki, kiedy z nagłą podejrzliwością szarpnąłem rękę. Jego śliczna twarzyczka była skurczona, stężała w napięciu. „Ej, ty! — krzyknąłem starając się uwolnić rękę — puszczaj!” I odepchnąłem go. Przestał płakać i ciągle milcząc wlepił we mnie spojrzenie ogromnych czarnych oczu; potem wstał i śmiejąc się szyderczo, odszedł tak prędko, że wzdrygnąłem się i osłupiałem. „Ktoś ty?” — zawołałem z groźbą w głosie. Zachichotał i przyspieszając kroku zniknął za rogiem, ja zaś jeszcze długą chwilę patrzyłem w tamtym kierunku, jakby mnie ukąsiła żmija, wreszcie opamiętałem się i pobiegłem z taką szybkością, jakbym gonił tramwaj. Zabrakło mi tchu. Dwa razy przystawałem, potem szedłem tak prędko, jak tylko mogłem, znów biegłem i — znowu bez tchu ruszałem szaleńczym krokiem, gwałtownym jak bieg.

Byłem już na Bulwarze Konnogwardiejskim, gdy minęła mnie dziewczyna spojrzawszy na mnie przelotnie z takim wyrazem, jak gdyby coś usiłowała sobie przypomnieć. Przeszła, ale w tej chwili poznałem ją tknięty uczuciem tożsamym z radością ocalenia. Moje wołanie i jej lekki okrzyk zabrzmiały równocześnie, po czym zatrzymała się, mówiąc z odcieniem miłego ubolewania:

— To przecież pan! Jakże mogłam nie poznać. Byłabym przeszła obok, gdybym nie wyczuła, że pan się zaniepokoił. Jakiż pan zmęczony, jaki blady!

Wielkie zakłopotanie, ale i wielki spokój spłynęły na mnie. Patrzyłem na tę twarz utraconą z wiarą w skomplikowane znacznie przypadku, z radosnym i gwałtownym wzruszeniem. Byłem tak oszołomiony, tak przez nią zahamowany wewnętrznie właśnie wtedy, gdy do niej dążyłem i gdy okoliczności spotkania z góry zasugerowała mi wyobraźnia, że doznałem uczucia, jakby się coś zerwało — o ileż wolałbym przyjść do niej t a m.

— Proszę posłuchać — powiedziałem nie odrywając wzroku od jej ufnych oczu — spieszę do pani. Jeszcze nie jest za późno...

Przerwała, pociągając mnie na bok za rękaw.

— Teraz jest za wcześnie — rzekła znacząco — albo za późno, jak pan woli. Proszę przyjść do mnie wieczorem, słyszy pan? Powiem panu wszystko. Dużo myślałam o tym, co nas łączy. I niech pan wie, że pana kocham.

Stało się coś takiego, jak gdyby nagle stanął zegar.

W jednej chwili zamknęło się dla niej moje serce. Ona nie mogła, nie powinna była tak powiedzieć. Z westchnieniem wypuściłem jej małą chłodną rączkę, która ścisnęła moją, i odsunąłem się. Patrzyła na mnie z ledwo hamowaną niecierpliwością na twarzy. Wyraz ten skaził jej rysy — czułość zmieniła się w tępotę, spojrzenie umknęło gwałtownie w bok, a ja, śmiejąc się straszliwie, pogroziłem jej palcem:

— Nie, nie oszukasz mnie — powiedziałem. — Ona jest tam. Ona teraz śpi, a ja obudzę ją. Kimkolwiek jesteś, precz stąd, żmijo!

Machnięcie chusteczki tuż przed moją twarzą był to ostatni ruch, jaki widziałem wyraźnie o dwa kroki. Potem zaczęły migać wąskie prześwitły drzew — raz wydawało mi się, że widzę między nimi uciekającą postać kobiecą, raz — że to ja sam biegnę ze wszystkich sił. Widać już było zegar na placu. Z dala, po przeciwległej stronie nabrzeża dymił czarny holochnik ciągnąc na linie barkę. Przeleciałem roгатkę i most w ostatniej sekundzie, gdy jego ruchoma część utworzyła już szczelinę rozłączając szyny tramwajowe. Strażnicy powitali mój powietrzny skok gradem rozpaczliwych wymysłów, lecz ja tylko w przelocie spojrzawszy na połyskującą w głębi szczeliny wodę, byłem już daleko od nich i pędziłem, póki nie dopadłem bramy.

X

Wówczas albo, ściślej mówiąc, po pewnym czasie nastąpiła chwila, od której poczynając mógłbym szczegółowo, w odwrotnym porządku odtworzyć minione, mrokiem zasnutą fakty. Przede wszystkim zobaczyłem dziewczynę, która stała przy drzwiach nasłuchując, z ręką wyciągniętą ku mnie, jak to czynią ludzie, kiedy proszą lub też milcząco nakazują zachowanie ciszy. Była w letnim płaszczu. Twarz jej miała wyraz zaniepokojony i smutny. Spała przed moim przybyciem. O tym wiedziałem, lecz okoliczności mego pojawienia się tutaj umknęły jak woda z zaciśniętej ręki i ledwo mnie było stać na świadomy wysiłek, żeby natychmiast wszystko powiązać. Posłuszny jej pełnemu niepokojowi gestowi, siedziałem bez ruchu, czekając, jaki będzie koniec tego nasłuchiwania. Usiłowałem pojąć jego sens, ale na próżno. Jeszcze trochę i zdobyłem się na to, żeby przemóc ostateczną słabość, zapytać, co takiego dzieje się w tym dużym pokoju, gdy, jakby zgadując moje zamiary, dziewczyna odwróciła głowę marszcząc brwi i grożąc mi palcem. Teraz przypomniałem sobie, że na imię jej Suzy, że tak ją nazywał ktoś, kto wyszedł stamtąd i powiedział: „Proszę o absolutną ciszę...” Spałem, czy byłem tylko roztargniony? Starając się odpowiedzieć na to pytanie, spuściłem mimowolnie wzrok i spostrzegłem, że poła mego płaszcza jest rozdarta. A przecież była cała, gdy biegłem tutaj. Z jednej wątpliwości wpadałem w drugą. Naraz wszystko się zatrzęsło i jak gdyby gdzieś uciekło, zmąciwszy światło. Krew uderzyła mi do głowy. Rozległ się ogłuszający huk, podobny do wystrzału nad uchem, a później okrzyk. „Halt!” — zawołał ktoś za drzwiami. Zerwałem się i głęboko zaczerpnąłem tchu. W drzwiach pojawił się mężczyzna w szarym szlafroku, pokazując cofającej się dziewczynie niedużą deskę, na której, zduszony drucianym kabłąkiem wisiał ogromny, na wpół przecięty czarny szczur. Zęby miał wyszczerzone, ogon zwisał luźno.

Wówczas moja pamięć, wyrwana hukiem i krzykiem z istic straszliwego stanu, przekroczyła ciemną przepaść. I od razu uchwyciłem i powiązałem wiele rzeczy. Przemówiły uczucia. Wewnętrznym wzrokiem znów ujrzałem początek sceny, powtarzając łańcuch wypadków. Przypomniałem sobie, jak przelazłem przez bramę, bojąc się zastukać, by nie ściągnąć nowego niebezpieczeństwa, jak sprawdzałem drzwi i szarpnąłem za dzwonek na drugim piętrze. Ale rozmowę za drzwiami, rozmowę długą i niespokojną — przy czym głos męski i kobiecy sprzeczały się, czy mnie wpuścić — zapomniałem z kretesem. Zrekonstruowałem ją później dopiero.

Wszystkie te jeszcze nie całkiem pasujące do siebie ogniwa mignęły tak szybko jak spojrzenie w okno. Starszy pan, który wniósł pułapkę na szczury, miał siwą gęstą czuprynę, równo podstrzyżoną wokół głowy, przypominającą miseczkę zołędzia. Cienki nos, wąskie, bez zarostu, usta z nieuchwytnym wyrazem uporu, błyszczące wyblakłe oczy i strzępy siwych bokobrodów wokół zaróżowionej twarzy, zakończonej wysuniętym naprzód podbródkiem tkwiącym w błękitnym szaliku — wszystko to mogłoby wzbudzić zainteresowanie portrecisty, amatora charakterystycznych rysów.

Powiedział:

— Ma pan przed sobą tak zwanego czarnego szczura gwinejskiego. Jego ukąszenie jest bardzo niebezpieczne. Powoduje powolne gnicie żywcem, zamieniając ukąszonego w kolekcję obrzęków i wrzodów. Ten gatunek gryzonia jest rzadko spotykany w Europie, ale czasami przedostaje się na statek. Przejście, o którym pan słyszał w nocy, to specjalnie zrobiony przejazd w pobliżu kuchni, służący mi do doświadczeń z pułapkami rozmaitych systemów. W ostatnich dwóch dniach przejście to istotnie było wolne, ponieważ byłem pochłonięty lekturą „Spiżarni króla szczurów” Erta Ertrusa, książki będącej białym krukiem. Została wydana w Niemczech czterysta lat temu. Autora spalono na stosie w Bremie jako heretyka. Pańskie opowiadanie...

Zatem opowiedziałem już wszystko, z czym tu przyszedłem. A jednak miałem jeszcze pewne wątpliwości. Zapytałem:

— Czy pan zastosował środki ostrożności? Czy wie pan, jakiego to rodzaju niebezpieczeństwo, ponieważ ja niezupełnie się orientuję.

— Środki ostrożności? — zapytała Suzy. — O czym pan mówi?

— Niebezpieczeństwo... — zaczął starszy pan, ale urwał spojrzawszy na córkę. — Nie rozumiem.

Sytuacja stała się nieco kłopotliwa. Wszyscy troje wymieniliśmy pytające spojrzenia.

— Mówię — zacząłem niepewnie — że powinien pan strzec się. Zdaje się, że już o tym mówiłem, ale proszę mi wybaczyć, niezbyt dobrze pamiętam, co i jak. Byłem chyba wtedy w głębokim zamroczeniu.

Dziewczyna spojrzała na ojca, potem na mnie i uśmiechnęła się z powątpiewaniem: „Czy to możliwe?”

— On jest zmęczony, Suzy — rzekł starszy pan. — Wiem, co to bezsenność. Wszystko pan powiedział i środki ostrożności zastosowałem. Jeśli tego szczura — opuścił pułapkę do moich stóp z miną myśliwego, któremu się powiodło — nazwę „Oswobodzicielem”, będzie pan już wiedział, o co chodzi.

— To żart — odparłem — w dodatku żart odpowiadający zajęciu Szczurołapa.

To mówiąc przypomniałem sobie niewielką tabliczkę, nad którą wisiał dzwonek. Widniał tam napis:

„SZCZUROŁAP”
TĘPIENIE SZCZURÓW I MYSZY
O. JENSEN
telefon 1-08-01

Tabliczkę tę widziałem u wejścia.

— Pan żartuje, nie sędzę bowiem, żeby ów „Oswobodziciel” przyczynił panu tyle kłopotu.

— On nie żartuje — powiedziała Suzy. — On wie.

Porównywałem te dwa spojrzenia, na które odpowiadałem w tej chwili uśmiechem próżnych domysłów — spojrzenie młodości, pełne szczerzego przekonania i spojrzenie starczych, lecz jasnych oczu, które wyrażały wahanie, czy prowadzić dalej tę rozmowę.

— Niechże zamiast mnie powie panu coś niecoś o tych sprawach Ert Ertrus.

Szczurołap wyszedł i powrócił niosąc starą książkę w skórzanej oprawie z czerwonymi brzegami.

— Tu jest urywek, z którego może się pan śmiać albo się nad nim zastanowić, jak pan woli: „... Te przewrotne i posępne stworzenia posiadają potęgę rozumu ludzkiego. Znają również tajemnice podziemi, w których się ukrywają. Potrafią zmieniać swój wygląd, przybierać postać ludzką — jako zupełny, choć przecież fałszywy obraz człowieka. Szczury potrafią również sprowadzać nieuleczalne choroby, używając w tym celu tylko im znanych sposobów. Sprzyja im mór, głód, wojna, powódzie i najazdy. Wówczas zbierają się pod hasłem tajemniczych przeobrażeń, działają jako ludzie i każdy może rozmawiać z nimi, nie wiedząc, z kim ma do czynienia. Kradną i sprzedają z zyskiem, który zadziwia uczciwego człowieka pracy, zwodzą wspaniałością swych ubiorów i łagodną mową. Mordują i palą, oszukują i urządzają zasadzki; otaczają się zbytkiem, jedzą i piją do woli, opływając w dostatki. Złoto i srebro jest ich najulubieńszą zdobyczą, poza tym drogie kamienie, dla których przeznaczone są skarbcie pod ziemią”. Ale dość czytania — rzekł Szczurołap — pan się domyśla zapewne, dlaczego przetłumaczyłem ten właśnie ustęp. Był pan osaczony przez szczury.

Lecz ja już zrozumiałem. W niektórych wypadkach wolimy milczeć, ażeby doznanie, wahające się i rozrywane innymi myślami, znalazło prawdziwe oparcie. Tymczasem pokro-

wce na meblach zaczęły jaśnieć w coraz silniejszym świetle z okna i pierwsze odgłosy ulicy zabrzmiały wyraźnie jakby w pokoju. Znów pograżyłem się w niebyt. Twarze dziewczyny i jej ojca oddalały się, majaczyły widmowo, zasnuwane przezprzystą mgłą. „Suzy, co się z nim dzieje?” — rozległo się głośnie pytanie. Dziewczyna podeszła do mnie, była gdzieś blisko, ale gdzie, nie wiedziałem, ponieważ nie byłem w stanie poruszyć głową. I wtem na czole poczułem ciepło kobiecej dłoni — w tejże sekundzie kontury wszystkiego, co mnie otaczało, zamazały się, pomieszały i przepadły w chaosie zapaści duchowej. Porwał mnie dziki, nieprzebyty sen. Słyszałem głos dziewczyny: „On śpi”, słowa, z którymi zbudziłem się po trzydziestu nieistniejących godzinach. Przeniesiono mnie do ciasnego sąsiedniego pokoju na prawdziwe łóżko, a później dowiedziałem się, że „jak na mężczyznę byłem bardzo lekki”. Okazano mi współczucie: pokój w sąsiednim mieszkaniu otrzymałem nazajutrz do mej wyłącznej dyspozycji. Opowiadanie nie ma ciągu dalszego. Ode mnie zależy tylko, by stało się tak, jak w chwili, gdy poczułem ciepło ręki na mej głowie. Muszę zdobyć zaufanie... I więcej — ani słowa o tym.

Przełożyła Irena Piotrowska

Zabójstwo w Kunst-Fisze

... Zaszły tego rodzaju rzeczy, że najęźsze umysły muszą tracić czas niepotrzebnie, a w każdym bądź razie — nadawać im charakter mglisty i nieokreślony, inaczej bowiem niepodobna rozmyślać o wydarzeniu na przedmieściu Kunst-Fisze. Moim zdaniem - a miałem wtedy oko przenikliwe — należało oczekiwać triumfu śledztwa sądowego. Z tego słusznie można wnioskować, że na ogół myślałem normalnie; tylko nieuchwytny strach gnał mnie z miejsca na miejsce, zewsząd, gdzie dopadała mnie mania prześladowcza. Choroba ta jest dość znana; jej symptomy są zbadane i zawsze jednakie, toteż proponuję, by czytelnik ujrzał mnie od razu, kiedy kryję się pośród krzewów we wspaniałych parkach Kunst-Fisze lub przełazę przez ogrodzenie z uczuciem śmiertelnego niebezpieczeństwa, zaciskającego swój czarny krąg na wszystkich drogach, po których stapałem. Nie było go — tego niebezpieczeństwa, podobnie jak i mnie nie starczyło opanowania i rozsądku, by skończyć z samoudręką.

Kiedy księżyc zaszedł, poczułem się lepiej; ciemność daje gwarancję jednakowo ważne dla złoczyńców jak i dla ofiar.

Znajdowałem się w owej chwili pod murem oplecionym winoroślą. Wokół — aleje, których położenie i kierunek wyznaczała ledwie widoczna w mroku biel posągów i ławek. Nie wiedziałem, do kogo należał ten park, nie potrafiłem także odtworzyć kolejności wypadków, które mnie tu rzuciły, pamiętałem tylko z uczuciem goryczy i wstrętu do życia, że strach, niepojętny strach gnał mnie przez cały dzień z jednego krańca miasta na drugi, że włóczyłem się, chowałem, biegałem i kryłem przed nieznanymi wrogami czyhającymi na mnie w tłumie, za węglami budynków i wszędzie tam, gdzie stąpnąć mogła noga człowieka.

Nagle księżyc wypłynął i oświetlił park, wyrwijając mój cień z cieni krzewów. Trzepotliwie srebrzyste drzewa stały pośrodku czarnych kręgów. Dymiły polanki. Byłem cały na widoku, dostrzegalny dla wszystkich i dla każdego, kto chciałby wbić nóż lub posłać kulę w moje zdrętwiałe z lęku ciało.

Wtedy gdzieś z bardzo daleka zapiął spokojnie kogut.

Kogóż on przestrzegał? Nie było czasu na rozmyślanie o nierozwiązalnej zagadce jego trzykrotnego krzyku. Zdawało się, że to siły nocy grają w określonych godzinach na jego

nerwach. Cóż by powiedział, gdyby mógł przemówić?! Myśl ta, jak szybko wylana struga wody, plusnęła i rozplynęła się bezkształtnie.

I natychmiast znów ogarnęło mnie przemożne pragnienie — uciekać. Być może, że za murem kryły się nowe okoliczności, nowe zbawienne warunki. Znalazłem skrzynię, stanąłem na niej i przesadziłem mur.

W tym czasie odczuwałem już znużenie, które zmuszało mnie do poszukiwania jakiegoś schronienia. Z nastaniem ranka atak owej manii tracił na sile, mrok wieczoru zaostrzał go, noc dręczyła jak tortura. Wypatrywałem czegoś. co by mogło mnie przygarnąć, jakieś szczeliny, psiej budy, piwnicy - wszystko jedno, byle tylko znaleźć zapomnienie we śnie, senność zaczynała nękać mnie z siłą nie mniejszą niż strach. Rozejrzawszy się, spostrzegłem w otoczeniu wysokich dębów nieduży dom o tej lekkiej i odznaczającej się płynnymi liniami konstrukcji, która szybko weszła w modę dzięki szczęśliwej ręce Dorna, zabudował on sporo podmiejskich dzielnic tego rodzaju budynkami.

Blask księżycy znów się przyćmił, tak że dom mogłem widzieć tylko częściowo. W świetle wewnętrznego okna ukrytego pod daszkiem rysował się półkolisty taras, wspiałem się tam dosyć śmiało, stąpając po wytwornych stopniach ujętych balustradą, po której wił się kwitnący, austriacki powój. Ponieważ było już bardzo późno, pewnie około północy, nie spodziewałem się spotkać na trasie ludzi i miałem nadzieję, że rychło znajdę pośród nisz i wewnętrznych galeryjek — albowiem dom ów obfitował w tego rodzaju praktycznie nieużyteczne dodatki — jakiś bezpieczny kąt i ciemność, gdzie mógłbym zasnąć. Szedłem cicho, mijałem właśnie jedyne oświetlone na trasie okno i na mgnienie oka zajrzałem w głąb.

Przy kominku stał, odwrócony do mnie plecami, wysmukły mężczyzna trzymający w podniesionej ręce — jakby zamierzał ugodzić w coś — na co jeszcze nie zwróciłem uwagi — szczypcę z brązu, jakich używa się do podsycania ognia. Po chwili jednak odłożył je spokojnie na bok i odwrócił się.

Idąc za jego wzrokiem, ujrzałem młodą kobietę siedzącą niskim fotelu; nogi miała wyciągnięte, na jej twarzy odchylonej do tyłu malował się uśmiech pełen napięcia i zniecierpliwienia, który, gdy tylko spodziewany cios nie nastąpił, nabrał wyrazu słodyczy i zuchwałości. Wówczas to nieszczelnie domknięte okno pozwoliło mi usłyszeć ich rozmowę.

Najpierw jednak wskażę wam przedmiot, któremu wyłącznie mógł zagrazać cios szczyptic — wyłącznie, ponieważ na parapecie kominka niczego poza nim nie było.

Mówię tu o niedużej porcelanowej statuetce wyobrażającej biegnącego samuraja z ręką wspartą na rękojeści szabli. Nie ma potrzeby rozwodzić się nad tym, że Japończycy są w ogóle niedoścignieni w tworzeniu takich pełnych życia arcydzieł.

Żółta twarz z wąskimi, skośnymi oczami i zwisającymi koniuszkami czarnych wąsów, pod którymi pełzał kąśliwy a subtelny azjatycki uśmieszek, tak naturalnie odzwierciedlała groźny gest całego ciała, że chciało się uskoczyć w bok.

Samuraj był odziany w kimono haftowane jedwabiem i złotem. Za kosztownym pasem mocno tkwiły dwie szable. Lewa noga z uniesioną nad pantoflem piętą była wyprężona i znajdowała się akurat w takiej pozycji, jaką widziałem w sztuce „Kuroszio”, gdy artysta japoński, runąwszy, chwytą biegnącego wroga za nogę.

Nic więcej o tej małej statuetce powiedzieć nie mogę uwagę moją zaprzątęła bowiem krótka i dziwna rozmowa.

— W końcu to przecież dziecinada — powiedział mężczyzna, siadłszy tuż obok tej, która w dalszym ciągu spoglądała na samuraja z nienawiścią. — Można go stąd sprzątnąć, Eto.

— Nie — kobieta roześmiała się, w śmiechu tym wyczuwało się coś świadomie złego. — On życzył sobie, by podarunek ten stał właśnie tu, w tym salonie. Zwłaszcza, że w jakiś sposób zespolił z nim siebie.

— To znaczy?

— Ach, Boże, niech sobie patrzy, jeśli chcesz, na mnie i na ciebie oczyma tej kukły. On nigdy zresztą nie miał szczęściu do prezentów. Kupuje to, co podoba się jemu, nie mnie.

— Może to właśnie chciał wyrazić?

— I to ty czynisz mi wymówki, Dick? Jakże często sama nie wiem, co robię, zanadto kocham ciebie, a jego nienawidzę. A on szybko, och, jak szybko powróci!

— Nie myśl o tym, Eto. Na razie jesteśmy razem.

— A jednak udało mu się zatruć to „na razie”.

Sięgnęła po torebkę, w której spoczywał list, wygładziła go na kolanie i podniósłszy do oczu zaczęła czytać takim tonem, jakim zazwyczaj czyta się gazety:

Od pewnego czasu coraz bardziej nękają i trwożą mnie myśli o Tobie. Minął już rok, odkąd się rozstaliśmy. Muszę jednak doprowadzić interesy do końca, od niech zależy nasza przyszłość. Miewam, droga moja, dziwne i straszne sny — że całuje Cię ktoś inny... wybaczone, to tylko sen... Listy twoje są krótkie i zdradzają nerwowość. Przyjadę za miesiąc. Posyłam Ci starożytną statuetkę samuraja, którą kupiłem na licytacji; posyłam ci ją zamiast siebie, gdyż długo i z nadzieją rychłego spotkania oglądałem tę rzecz świadom, że oczy Twe także na niej spoczną. Nie potrafię jednak wyrazić tego, co czuję. Niechże czuwa nad Tobą i broni Cię wojownik, jakbym ja sam to uczynił.

— Widzę tylko — powiedział Dick — że mąż twój, Eto, gorąco cię kocha. I bardzo tęskni. Wybaczone mi mój wybuch i... szczytce.

Patrzyłem ciągle. Tamci wstali, objęli się, a ja ze zmieszaniem odstąpiłem od okna, albowiem pocałunek był piękny. Jakkolwiek by ci ludzie postępowali, kochali się przecież. Raptem zgasło światło.

Albo łudził mnie słuch, albo podpowiadało mi to moje naturalne w takich sytuacjach podniecenie, wyczuwałem, jak gdyby szelest, szept, oddechy tych dwojga; wiedziałem, wiedziałem, że są teraz w swym własnym, wszystko negującym świecie. Naraz ową gorącą ciszę zmaćcił krzyk, mrozący, rozdzierający duszę wrzask.

Wzdrygnąłem się, poczułem w sobie lód i ogień. Jeszcze teraz po zatrważającym echu wspomnienia, widzę, jak straszny był ten całą swą rozpaczą czepiający się ciemności krzyk istoty walącej się pod nogi przeobrażenia.

Krzyk umilkł, znów się powtórzył, przeszedł w jęk i ucichł. Potem usłyszałem dziwne, suche i twarde dźwięki, jak gdyby zderzanie się metali.

Miałem już dość tego, co przeszedłem przed owym krzykiem, przed ową sceną z tak wstrząsająco ponurym zakończeniem. Nie sądzę, bym dobijał się do drzwi, domyślając się czegoś podczas tych nieprzytomnych sekund. Wyłamałem jednak drzwi.

Postługując się zapalkami, odszukałem kontakt i oświetliłem spokojny wykwiłt pokoju, gdzie tuż po pocałunku wybuchnął i zgasł krzyk. Leżeli na krzyż, jedno na drugim. Nie mogłem dłużej patrzeć na tę trzepoczącą się, niemal żywą śmierć, która tonęła we krwi, a jeszcze przed chwilą kwitła różami i ogniem. Wybiegłem w ciemność, lecz gdzie błądziłem i gdzie byłem — nie wiem.

Kiedy rozedniało, obłąd minął; przysięgając sobie po raz tysięczny, że nigdy już więcej nie nadużyję kokainy, drżąc ze zmęczenia i smutku, rozgrzewałem się winem w kawiarni, z której okien widać było rogatki i fermy.

Siedziałem i myślałem o tym wszystkim, co wam tu opowiadam; przypomniałem to sobie z całą wyrazistością powtórnego przeżycia, kiedy w ciągu dnia natknąłem się z przerażeniem na nagłówek w gazecie; „Zagadkowe zabójstwo w Kunst-Fische”.

Bez ściślejszego podania faktów, gdyż te zapewne podporządkowano kanonom przyzwoitości, relacja szczegółowo omawiała charakter ran, które wyglądały jak cięcia szablą, zadane ręką silną i nieczułą.

Cóż można było sądzić o tym? Wyrażano nadzieję, że niezwłoczny powrót Van Porta,

męża zabitej kobiety, „rzuci dodatkowe światło” na ów wypadek, śledztwo bowiem stanęło w martwym punkcie. Nie pamiętam, gdzie jeszcze czytałem podobne sformułowanie, dotyczące identycznego wypadku pozbawionego cech rabunku oraz jakiegokolwiek poszlak. Nikt jednak nie może zmusić ludzi, by „tracili czas na niepotrzebne rozmyślania”, o czym wspomniałem na wstępie.

Serce moje pełne jest pokory, wdzięczny jestem losowi za to, że mam własny pogląd, którym się kieruję, omijając kroki i przecinki między wierszami.

Przełożyła Irena Piotrowska

Lina

Popatrz no, a któż to sterczy
tam, na minarecie?
I orzekły dzieci chórem:
„to po prostu wróbel”.

Wieliczko

I

Gdybym był nawiedzony przez najstraszniejszą z wszystkich możliwych chorób fizycznych — ospę, cholere, dżumę, paraliż postępowy, wreszcie trąd — nie czułbym się tak struty i skazany na zagładę w czasie t a m t y c h z ł y c h d n i s t r a s z n e j i o s z a ł a m i a j a c e j w y o b r a ż n i, k t ó r a o p e t a ł a m ó j u m y ś ł wizjami wielkich postaci historycznych.

Być może spotkaliście kiedyś na ulicy uśmiechającego się beztrosko człowieka w nieokreślonym lub sędziwym wieku, stąpającego chwiejnym krokiem, ale z dumnie podniesioną głową, otoczonego gromadą wścibskich dzieciaków, zuchwale naigrywających się z jego śmiesznego ubrania.

Może on wyglądać na przykład tak: na głowie — wysoki kapelusz, z kogucimi i gęsimi piórami, z rondem ozdobionym kokardą wojskową, papierkiem od karmelka i gwiazdką z choinki; surdut, ledwo spięty na samotnie sterczący guzik, upstrzony strzępkami kolorowych wstążek, kokardami i własnego wyrobu orderami, z których najbardziej zaszczytne, okazałe i ważne oblepione są złotym papierem. W ręce pomyleńca — laska ze złotą gałką lub złamana parasolka, przepasana blaszaną obrączką.

To jest król, Napoleon, Budda, Chrystus, Tamerlan... — co kto chce. T r i u m f u j e s z a l e Ń s t w o m ó z g u, t r a w i o n e g o n i s z c z y c i e l s k i m o g n i e m. W oczach - wyraz upojenia wielkością, na nogach - strzępy obuwia; w duszy — trony i królestwa. Jeśli przemówicie do tego „wielkiego” człowieka — obrzuci was spojrzeniem, od którego dusza ucieka w pięty. Zapalasz papierosa, a on widzi cię klęczącego; kiedy mówi, rzuca się, wykrzykuje władczo: „Tak! Nie! Ja! Ty! Milczeć!” i wydaje mu się, że te historyczne okrzyki obejmują grozą cały świat.

Na taką oto straszną i potworną chorobę, tym bardziej straszną, że chwilami miałem przebłyski świadomości, chorowałem dwa lata temu, w najszcześniejszym okresie mego życia: małżeństwo z miłości, wesole i dobre dzieci oraz złoto, wiele złota w postaci bladożółtych monet — spadek po bracie, który wzbogacił się na handlu herbata.

II

Początek choroby zatarł się w mojej pamięci. Nigdy nie mogłem później, nie mogę również i teraz odtworzyć tego wolno następującego przyptywu pobudliwości, kiedy to stopniowo, lecz wyraźnie zmienia się ocena wrażenia wywieranego przez siebie na otoczeniu. Najlepszym w tym przypadku przykładem może być odwrotność wrażenia muzycznego, wywołanego przez oklepany motyw melodii. W sytuacji normalnej daje on na początku wielką przyjemność, słabnącą jednak w miarę powtarzania go i opanowania pamięciowego. Z czasem motyw ten staje się nieznośny i nawet wspomnienie o nim odbiera wszelką ochotę do zaśpiewania go czy zagwizdania.

Natomiast u szaleńca w odniesieniu do samego siebie następuje odwrotny proces: od normalnej oceny własnej osoby — do upojenia się swoją urojoną wielkością.

Nie mogę dokładnie opowiedzieć wszystkiego. Kiedy o tym mówię, ogarnia mnie niepokój. Widzę siebie, niby w lustrze, w groteskowo napuszonej pozie, z pyszałkowatą miną i groźnie nastroszonymi brwiami. Ale to co najważniejsze, *n a j w a ż n i e j s z e*, muszę opowiedzieć dlatego, że w procesie pisania oddzieliwszy to najważniejsze od mnóstwa przemieszanych z nim momentów całkowitej świadomości, stwarzam między nim a sobą ten konieczny dystans obserwatora, który wie, że nie jest częścią ponurego i smutnego krajobrazu.

Doskonałe samopoczucie, uporczywe myśli o czymś, co przykuło moją uwagę, a także szczególnie rodzaj radosnego podniecenia były dla mnie oznakami zbliżającego się szaleństwa. Jednak zdolność obserwacji samego siebie, powoli zanikając, wkrótce ustąpiła miejsca demonowi Ciemnej Wielkości. W okresach przebłyków świadomości przypominałem sobie wszystko. Rozpacz umysłu, szalejącego w beznadziejnym analizowaniu tego stanu, podobnego do księgi buchalteryjnej, wykazującej bankructwo przedsiębiorstwa, rozpacz gospodarza, który widzi, jak płonie jego dom i dobytek — oto męczarnie, które znosiłem przez trzy i pół roku.

Demon opanował mnie przy pomocy następujących podstępów.

Po pierwsze: świat jest piękny. Wszystko jest na swoim miejscu; wszystko żyje w boskiej harmonii i wszystko jest doniosłe w pewnym tajemniczym sensie, który wyczuwam szóstym zmysłem, ale nie mogę wyrazić go słowami.

Po drugie: jestem od wszystkich mądrzejszy, sprytniejszy, bardziej interesujący, piękniejszy i silniejszy.

Po trzecie: wywieram na ludziach niezwykle głębokie wrażenie, oczarowuję ich, podbijam ich serca. Każdy mój gest, rzucone niedbale spojrzenie, nawet mój oddech otaczają wszystkich zaczarowaną mgłą miłosnego zachwyty; nie mogą oderwać ode mnie oczu, zanikają, roztopiają się w mojej osobowości; oni są dla mnie niczym, ja dla nich - wszystkim.

Po czwarte: jestem władcą, imperatorem nieznanego kraju, prorokiem lub strasznym tyranem. Grożą mi niezliczone niebezpieczeństwa; strzegą mnie mordercy, mieszkam we wspaniałych pałacach, przechodzę tajnymi lochami. Kochają mnie wszystkie najpiękniejsze kobiety świata.

Po piąte: wzniesiono mi pomnik. Ten pomnik to ja, a ja — to ten pomnik. Poczucie życia i ruchu nie pozwala mi pozostawać na piedestale, a poczucie kamiennej posagowości zmusza mnie do chodzenia.

III

Teraz, w pełni odtwarzając wydarzenie z l i n ą i to wszystko, co się z nim wiąże, opiszę fakty zaistniałe na skutek mojej choroby. Będę się sobie przyglądał jakby z boku. To jest konieczne.

Szedłem po bulwarze. Był krótki kwietniowy dzień. Białe balkony, żółte płyty chodnika i błękitna rzeka z przerzuconymi, w dali wyraźnie rysującymi się mostami wydawały mi się, w pompatycznej surowości mojego stosunku do wszystkich blasków życia, nieśmiałym pochlebstwem pokonanych wobec niepokromionego zwycięzcy. Moja misja — zbawienia świata; moje słowa i cnoty Wielkiego Proroka stoją bez porównania wyżej niż pokusy niedoskonałego ludzkiego widzenia, ponieważ moje drugie, prorocze widzenie odkrywało „rzeczy same w sobie” — wstrząsającą tajemnicę wszechświata.

Urodziłem się w Syrii trzy tysiące lat temu. Jestem nieśmiertelny i wszechobecny. Nigdy nie umierałem i nie umrę. Moje imię — Amiwelechus. Moje objawienie — dobroczynne czynienie zła. Posiadam zdolności przeobrażania się i potrafię latać, jeśli tego wymagają okoliczności.

Byłem głodny i wszedłem do baru.

Niskie, długie pomieszczenie było przedzielone pośrodku wąską, przylegającą do ścian i sufitu arkadą. Dzięki dziwnemu zbiegowi okoliczności myślałem, że to lustro. Stolik, przy którym siedziałem twarzą do arkady, taki sam jak inne stoliki, był umieszczony symetrycznie naprzeciwko stolika stojącego za arkadą. Przy tamtym stoliku, ustawionym w tej samej odległości od arkady co mój stolik, tak samo podparłszy twarz rękami, siedział mój sobowtór. Spojrzałem w urojone lustro i ze zdumieniem zauważyłem, że moje odbicie wstało. Nagle spostrzegłem, że nieznajomy, strasznie do mnie podobny, jest inaczej niż ja ubrany. Iluzja lustra znikła.

Człowiek ten wstał, przeciął, uważnie mi się przyglądając, prawie pustą salę i usiadł przy oknie poza polem mojego widzenia, toteż, chcąc mu się przyjrzeć, musiałem odrywać się od jedzenia i odwracać głowę. Czekałem podniecony. Wiedziałem, kim był ten z moim spojrzeniem i moją twarzą. To był on, książę tego świata, wieczny i znieawidzony wróg.

Zjadłem to co podał mi obserwujący teraz z daleka moje ruchy kelner o głupim i naprężonym wyrazie twarzy i zdecydowanie zwróciłem się do niego. Pragnąłem natychmiastowego starcia, walki tajemniczych sił i triumfu Ducha.

— Jesteś tchórzem! — powiedziałem głośno, uderzając pięścią w stół.

W czasie całej naszej rozmowy, rozpoczętej tak głośno, a zakończonej półgłosem — ponieważ dotyczyła ona sił nadprzyrodzonych — w kątach sali i za ladą bufetu widziałem obrzydliwie wykrzywione twarze. Ludzie rozmawiali szeptem, mrugali do siebie, pokazywali nas palcami i kiwali głowami. Byłem przekonany, że są obłąkani, nie zwracałem więc na ten nędzny motłoch szczególnej uwagi. Cała siła mojego podniecenia skupiła się na nim. Powtarzałem:

— Jesteś tchórzem!

On milczał, uśmiechając się zagadkowo, jakby miał zamiar ukryć przede mną swoją prawdziwą istotę, potem wstał i przysiadł się do mojego stolika. Zachowywał się niezbyt skromnie, a jego pozy, ruchy, uśmiech i spojrzenia świadczyły o wielkiej obłudzie. Wpatrywałem się w jego uważne źrenice i czytałem w nich: wydawało się, że ich czarny blask zionął rudym ogniem piekła. Jednak cała moja prorocza przenikliwość wpadła w pułapkę mścicielskiego planu, który wymyślił ten Dwulicowy.

— To zdumiewające — zaczął on — nadzwyczaj zdumiewające, jak jesteśmy do siebie podobni, szanowny panie. Czy mogę zapytać, kim pan jest i jak się pan nazywa.

Wahałem się przez chwilę: zerwać z niego maskę czy udawać naiwnego? Po rozwadze

postanowiłem być sobą i w stosunku do niego zachowywać się z pozorną ufnością, aby okazać wrogowi pogardę, którą mogłem zmanifestować w ten właśnie szyderczy sposób.

Powiedziałem:

— Nadzwyczaj, nadzwyczaj zdumiewające. Nazywam się Amiwelechus. Pan, oczywiście, nie wie o tym. Skąd by mógł pan mieć jakiegokolwiek o mnie wiadomości? Nasz kraj jest pustynny, to kraj westchnień, a ja jestem wysłany przez Proroka Proroków, aby czynić zbawienne zło. A pan?

— Ja jestem Marcz. Linoskoczek. Marcz.

W rozmowie ze mną był służalczy, ale w słowie „Marcz” dźwięczała duma zawodowa. Wszystko to bardzo mnie bawiło. Diabeł na ziemi musi mieć zawód! Do zawodowca ludzie mają znacznie więcej zaufania niż do człowieka, który na zadawane mu pytania, kim jest, odpowiada niezdecydowanie: „Ja... właściwie... wie pan...” — i temu podobne.

— A więc?

— Szczera prawda. Zarabiam na chleb bardzo trudną sztuką.

— Wiem — powiedziałem. — Pan zjawia się nad tłumem w jedwabnym złocistym kostiumie. W rękach trzyma pan drążek. Biega pan w przód i w tył po mocno naciągniętej linie; przysiada pan i tańczy w chwalebny cel pokazania widzom, że nie jest to takie łatwe, jakby się zdawało.

— Szczera prawda, panie Amiwelechusie. To bardzo wyczerpujące. Kiedy byłem młodszy, łatwo mi się udawały takie rzeczy, jak przejście przez Niagarę lub podskakiwanie na jednej nodze. A teraz już nie to. Szkoda, że pan, wielce szanowany panie Amiwelechusie, ma o naszym rzemiośle mgliste wyobrażenie. Rzemiosło to jest bardzo trudne i niebezpieczne. Pan, na przykład... ho, ho! Mówię, że gdyby pan... spróbował... Ale nawet strach pomyśleć. Nie, nie, ja mam miękkie serce. Na samą myśl o tym co pan sobie w tej chwili wyobraża... Aż mi się zakręciło w głowie... tfu! Jakże czasami bywają zabawne pomysły!

— Marcz! — powiedziałem sugestywnie. — Widzę, jak drży i skręca się twoja dusza. Ukryj ją!

— A to ci historia! — roześmiał się Marcz. — Zabił mi pan ówieka! Ale czy przed panem można cokolwiek ukryć? Pan widzi człowieka na wylot!

—A! Boisz się?!

— Boję się, strasznie się boję, panie Amiwelechusie. Wie pan, chodzi o to, że ja mam wyobraźnię. Wyobraźnia to moje nieszczęście. Ona mnie zadręcza, panie Amiwelechusie, szczególnie wtedy, kiedy chodzę po linie. Idę sobie, a ona mówi do mnie: „Marcz, twoja lewa noga pośliznęła się...” I muszę mocno stać na tej nodze. Noga się męczy, zaczyna drzeć. Znowu słyszę głos: „Marcz, tracisz równowagę... przechylasz się... spadasz... twoje ciało znajduje się trzy stopy nad ziemią, stopę, cal... bach!” Robi mi się wtedy bardzo zimno, panie Amiwelechusie, pot spływa mi po twarzy, drążek staje się coraz cięższy, lina wymyka mi się spod nóg. Znajduję się na wysokości zegara na wieży bazyliki i widzę, że wskazówki zatrzymały się. Muszę jeszcze przez pół godziny zabawić publiczność, a wskazówki nie poruszają się... Ach! Oto co może zdziałać ta diabelska wyobraźnia!

— Aż do tego stopnia? — zapytałem. — Oczywiście, żartujesz, bojaźliwy Marczu! Ale mogę zaradzić twojemu nieszczęściu. Rozkazuję: pożegnaj się z wyobraźnią!

— Gotowe! — wykrzyknął, podniósłszy z wyrazem niezwykłego zdumienia takie same, jak moje, ciemne oczy w górę. — Acha! Właśnie odleciała... moja wyobraźnia... taki mglisty obłoczek. Zostało jej trochę... ale bardzo niewiele...

Jego udawanie stawało się coraz wstrętniejsze. Zacierał ręce i uśmiechał się przymilnie. Uważnie wpatrywał się w moją twarz i stroił miny jak sprzedajna kobieta.

— Dzisiaj o trzeciej po południu — ciągnął, znacząco zniżywszy głos — występuję na placu Błękitnego Bractwa w swoim zwykłym programie. W czasie występu będę myślał o panu, tylko o panu, drogi mistrzu Amiwelechusie. Szczycę się tym, że jestem choć trochę

podobny do pana — czyżbym śmiał być zupełnie podobny? — że los obdarzył mnie wielkim szczęściem, stworzywszy mnie jakby na obraz i podobieństwo pańskiej wzniosłej osobowości! O, ja uwielbiam pana! Pańskie życie jest drogocenne! Na samą myśl o tym, że jakimś cudem mógłby się pan znaleźć na moim miejscu, nie mając żadnego pojęcia o tym, jak należy zachowywać się na linie... że pan się chwieje, spada... coś strasznego! Oto resztki mojej wyobraźni. Ale niech Bóg pana zachowa! Oby nigdy niedorzeczna myśl...

Powstrzymałem go gestem, od którego zdrżeli w swoich pokrytych kurzem grobowcach królowie egipscy. On kusił mnie. On stawał żelazną piętą swego ciemnego ducha na jasnym skrzydle mojego posłannictwa... Przyjąłem więc wezwanie z królewską wielkodusznością kwiatu, rozpuście rozsiewającego swój aromat w zachłannym eterze.

— Marcz! — przemówiłem cicho. — Na nasz niewidzialny pojedynek patrzy ginący wszechświat. Tak trzeba i niech tak się stanie! Ja a nie ty, ja dzisiaj po południu o godzinie trzeciej zjawię się na placu Błękitnego Bractwa i zastąpię cię w sztuce twego żałosnego zawodu!

— Ale...

— Ani słowa. Ani słowa, Marcz!

— Ja...

— Milcz! Cicho!

— Pan...

— Słuchaj, czy nie uważasz, że tajemnica tej niezwyklej walki jest święta? Zamilcz! Kiedy mówi Amiwelechus, milknie wszystko, co żyje. Chodźmy!

Zapadło milczenie. Za bufetową ladą siedziały trzy koboldy — świta znieawidzonego Marcza. Słyszałem, jak w jego duszy rechotała podła, krzykliwa radość. Jeśli chodzi o mnie, to przeżywałem coś w rodzaju przecucia nadciągającego gromu i wspaniałego triumfu. Wiedziałem, że zniszczę swego ciemnego sobowtóra. Widziałem nawet jego pełen rozpaczny lot w otchłań, z której przybył. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Łączył nas fatalny węzeł wzajemnego zrozumienia. Potem Marcz mrugnął do mnie tajemniczo, wstał i wyszedł. Ja, nie śpiesząc się, poszedłem za nim.

IV

Kiedy ocknąłem się z długotrwałych rozmyślań, w czasie których absolutnie nie docierało do mnie i nie mogło docierać to, co mówię i robię i co mówił Marcz, zobaczyłem, że znajduję się w ogromnym płóciennym namiocie i stoję obok stołu, na którym leżał wyszywany złotem aksamitny kostium Marcza. Na wpół podniesiona zasłona przy wejściu pozwalała widzieć część placu, wypełnionego czarną masą ludzi. Niewyraźny, gorączkowy gwar przedostawał się do namiotu. Widziałem również dolną część słupów, między którymi była przeciągnięta lina; dalszy słup wydawał się nie grubszy niż ołówek, a bliższy, wbity prawie przy samym namiocie, był grubości masztu. Przystawiona do niego drabina rzucała nań cień; między drabiną i słupem, wśród kamieni, zieleń się trawa. Pamiętam, że uderzyła mnie ta prostota powszedniego zjawiska; trawa, kamienie. Nie dłużej jak na moment ogarnęła mnie wielka nuda. Gdyby nie było przy mnie Marcza, możliwe, że byłbym oprzytomniał i zaniechał swego zamiaru. Przypomniałem sobie, że jest on diabłem, i natychmiast wewnętrzny, niewytłumaczalny atak szaleństwa rzucił mnie znowu w krąg fałszywego olśnienia.

Plan Marcza jako kusiciela był jasny. Wiedząc, że jestem nieśmiertelny, ten szczwany lis miał nadzieję — o, nędznik! — że będzie świadkiem mego poniżenia, kiedy ja, według jego złośliwych obliczeń, pod wpływem siły jego zaklęć, spadnę z wysokości piątego piętra. Bynajmniej nie miałem wątpliwości, że w ten właśnie sposób mój odwieczny wróg miał za-

miar zagrabić laury zwycięzcy. Wiedziałem jednak, że nie tylko po linie, ale i po wzburzonym morzu mogę przejść z lekkością nimfy, nie zamoczywszy nóg. Dlatego umierałem z niecierpliwości, żeby jak najszybciej za pomocą swojej władzy nad posłuszną materią zwyciężyć demona. Spojrzałem na Marcza z miną, należy przypuszczać, niezbyt uprzejmą i zacząłem się rozbiierać tak gwałtownie, że oberwałem kilka guzików.

Naturalnie, zachowywałem się jak zawodowy linoskoczek. Chociaż Marcz pomagał mi w ubieraniu się, czułem, że mógłbym doskonale dać sobie radę bez niego. Włożyłem na siebie trykot cielistego koloru, krótkie spodnie z niebieskiego aksamitu z tak wielką ilością ozdób, że wyglądałem jak czarodziejski ptak. Na głowie miałem pluszowy kapelusz z białym piórem.

Gdy tylko Marcz próbował udzielać mi rad co do trzymania równowagi lub dawał jakieś inne wskazówki, natychmiast mu przerywałem, mówiąc, że wszystkie te instrukcje zlekceważyłaby nawet papuga siedząca na drążku, a co dopiero ja, głoszący chwałę Ducha. Stałem przed lustrem i podparłem się pod boki. Następnie zacząłem wywijać po kolei obydwoma nogami, zachwycając się ich kształtem i sprężystością. Przesławszy ruchem ręki ironiczne pozdrowienie Marczowi, który patrzył na mnie — oczywiście udając — z bezgranicznym uwielbieniem, wyszedłem z podniesioną głową z namiotu i rozejrzałem się.

Ha! Zgiełk i wrzawa! Zabiliły się podniesione w oklaskach dłonie tłumu. Jak się macie, nędzni łowcy głów! Skinałem ręką i zacząłem wspinać się po drabinie.

Z chwilą kiedy wyszedłem, ogarnął mnie nagle porywający, jak gwałtowna fala, rodzaj nerwowego stężenia, które wypełniało całą otaczającą mnie przestrzeń. Miałem wrażenie, jakbym się poruszał w zagęszczonym powietrzu w stanie nieważkości, będąc częścią środowiska jednolicie zwartej i naprężonej do tego stopnia, że nieuchwytnie szybkie wibracje — czułem to w sposób wstrząsający — przenikały mnie od nóg do głowy porywistymi falami. Byłem lekki jak we śnie, kiedy nie odczuwa się ciężenia i wysiłku mięśni. Wiedziałem, że tylko udaję wspinaczkę w górę, markując stapanie nóg po szczeblach drabiny. Popychało mnie do ruchu samo pragnienie ruchu. Nie czułem i nie doświadczałem wysiłku. Mogłem w tym lub jakimś innym tempie wejść po drabinie na Księżyc, nie odczuwając żadnego zmęczenia. Ten stan i to, co wydarzyło się potem, można wytłumaczyć jedynie wyjątkowym szaleństwem.

Wspinając się z podnoszącym się razem ze mną, zastygłym w uszach zgiełkiem tłumu, przyglądałem się widowni pełnej ludzi. Owal tej widowni przecinała napięta między słupami lina. Znajdowałem się między niebem a ziemią i byłem związany z widzami tym właśnie nerwowym stężeniem przestrzeni, o którym wspominałem wyżej. Nie umiem wyjaśnić, jak reagowałem na prądy, podobne do elektrycznych, które przenikały mnie nieustannie silnymi falami i stwarzały jakby coś pośredniego, między nastrojem, dającym się wyrazić słowami, a wyraźnym domysłem, potwierdzonym wyostrzoną intuicją. Odczuwanie tych prądów uważałem za prorocze jasnovidzenie. Najłatwiej wytłumaczę to prostymi słowami, ponieważ nie znajdę w języku ludzkim słów, które byłyby zdolne wyrazić najtajniejsze drgania naszej duszy.

Odczuwam, co następuje:

Wyszedł z namiotu.

Zbliża się do drabiny.

Wspina się po drabinie.

Kontynuuje zręczną wspinaczkę.

Wkrótce stanie na linie.

Wszystkim tym postępkom towarzyszył niezmienny nastrój, a mianowicie pewność — poważna, niezachwiana pewność, że ja, Marcz, doskonały linoskoczek, wyszedłem z namiotu i robię absolutnie bezbłędnie wszystko, co trzeba, po to, żeby przeprowadzić szereg doświadczeń z zakresu równowagi. Byłem patentowanym szaleńcem, ale nie w takim stopniu, żeby w tych wyjątkowych okolicznościach nie kontrolować pewną utajoną, choć słabą, ale zdrową

częścią duszy, osobliwego działania, na które wpływało płynące z zewnątrz poczucie pewności. Wyobraźmy sobie człowieka ze związanymi rękami i nogami, który nie wie, kiedy zostanie wyswobodzony, wyobraźmy sobie następnie, że powrozy krępujące jego ciało cudownie się rozluźniają z niespodziewaną, czarującą powolnością, że uszczęśliwiony człowiek próbując poruszać członkami, rzeczywiście porusza się, wstaje, chodzi, podskakuje. Przykład ten przybliży nam obraz prawdy moich doznań, z tym, że ja nigdy nie wątpiłem w moje pokrewieństwo ze wszystkim, co cudowne i niezwykle.

Wdrapawszy się na górę, usiadłem w przymocowanym do słupa drewnianym fotelu, a nogi postawiłem na grubej, błyszczącej linie, ciągnącej się wygiętą linią od moich stóp do przeciwległego słupa, na którym umieszczona była kolorowa chorągiewka. Za moją głową powiewała na wietrze druga chorągiewka, dotykając od czasu do czasu mojej twarzy. I ta bliskość przedmiotu, z którym wiązało się pojęcie wysokości, przedmiotu użytego zgodnie z jego przeznaczeniem, była dla mnie czymś więcej niż wrażeniem wzrokowym, wzbudziła we mnie tego rodzaju poczucie wysokości, które równocześnie hipnotyzuje, mąci w głowie i podnieca; podobne jest do oczekiwania na wystrzał. Siedziałem wysoko, nad zebraniem w dole tłumem, a przede mną leżał w poprzek na linie specjalnie umocowany długi, ciężki drążek, konieczny dla utrzymania równowagi.

Przesłałem widzom całusa. W odpowiedzi usłyszałem wrzask i oklaski. O, gdyby wiedzieli, kim jestem! Zresztą miałem zamiar nieco później zejść do nich z liny przez powietrze. Wszystkie problemy miało rozstrzygnąć właśnie to cudowne zejście wysłannika niebios. Postanowiłem uczynić cud.

Uśmiechnąłem się radośnie, ponieważ moje zwycięstwo było oczywiste. Ująłem drążek (do określonej chwili we wszystkim powinienem być być Marczem) i z ostatniego stałego punktu wstąpiłem na chwiejną linę. Przez chwilę stałem bez ruchu nad ziejącą pode mną głębią z uczuciem osłupienia i pustki. Potem ruszyłem przed siebie i zacząłem iść po linie.

V

I tak szedłem i szedłem. Wysiłek mój był równy wysiłkowi, z jakim przechodzi po szerokiej kładce człowiek normalnie zdolny do chodzenia. Orkiestra zagrała marsza. Stawiałem nogi w takt muzyki, balansując drążkiem raczej dla zabawy niż z konieczności, ponieważ po chwilowym wrażeniu nagłej pustki poczułem się poza normalnym niebezpieczeństwem. N o r m a l n i e powinienem był osłupieć, stracić panowanie nad sobą, zachwiać się, z rozpaczy runąć w dół, nie próbując nawet uchwycić się liny. P o z a normą byłem nadzwyczaj pewny siebie i niezachwiany, bez cienia lęku, bez zawrotu głowy. Znajdowałem się w dalszym ciągu w kręgu silnych prądów, którymi promieniował ogromny tłum ludzi. Ich niewidzialna siła była równa sile działania fizycznego. Poruszałem się w absolutnie pochłaniającym moją cielesną świadomość przekonaniu, że jestem Marczem i chodzę swobodnie i bezpiecznie dopóty, dopóki będę miał na to ochotę.

Rozumie się, że ani przez chwilę nie zajmowałem się wtedy szczegółową analizą własnych wrażeń. Odtworzyłem je i określiłem już potem. Myślałem przede wszystkim o zhańbieniu Marcza, o tych męczarniach, jakie będzie musiał znieść, widząc, że jego nadzieje na moją niechybną śmierć spełzły na niczym, jak również o tym, że rozkosz władzy duchowej w połączeniu z dźwiękami marsza, który na dole grała orkiestra, to szczyt ekstazy, na który może wznieść się człowiek.

Za każdym krokiem moje nogi, zgodnie z prawem powszechnego ciężenia, znajdowały się w szczycie kąta rozwartego, który tworzyła lina. Na każde moje stąpienie lina reagowała kołysaniem się i biegnącym przez całą jej długość falującym drganiem; szedłem niby po

grubej warstwie siana. Stopniowo, kiedy zbliżałem się do połowy drogi, lina huśtała się coraz silniej i szerzej. Przy prawie całkowitym zaniku świadomości fizycznej, przy machinalności moich ruchów, wywierało to na mnie dziwne wrażenie. Wydawało mi się, że między mną a liną nie ma żadnego związku, oprócz zwodnego podobieństwa wzajemnej zależności, że lina w tajemniczy sposób naśladuje moje ruchy i posuwa się za mną. Gdybym zechciał, mógłbym z powodzeniem kroczyć nad nią, zmuszając ją do takiego samego falowania i mógłbym tak samo patrzeć na dół, jak to czynię idąc po niej.

Tylko co powziąłem zamiar przeprowadzenia tego doświadczenia — doświadczenia polegającego na definitywnej pogardzie wobec wszelkich punktów oporu, kiedy szybko, ale niezauważalnie musiałem przejść do rozpatrywania nowych, bardzo ważnych i konkretnych odkryć — komplikacji, które zaistniały w jednakowo płynących dotychczas prądach. Mógłbym nawet określić, skąd, z którego miejsca w tłumie biegną prądy o nowej wartości. Pozostałe prądy płynęły do mnie od całego kręgu widzów; czasami tylko nieznacznie, drżące falowania tworzyły z przestrzeni, dzielącej mnie od tłumu, zagęszczenia, podobne do punktów krzyżowania się smug światła reflektorów.

Początkowo zaczęło do mnie docierać coś w rodzaju pokasływań, równomiernych i przygłuszających jak werbel, co, wytěżając uwagę, tłumaczyłem sobie nieświadomie w ten sposób: „To akrobata Marcz, Marcz, który czuje się na linie jak we własnym domu. Oto patrzemy na niego. Akrobaci, powiadają ludzie (my powiadamy, wszyscy powiadają), dokażują czasami cudów zręczności. Nagle nawiedziło mnie oszałamiające pragnienie: ujrzeć cud zręczności! Ale ten Marcz widocznie nie jest z tych cudotwórców. On chodzi po linie; po prostu chodzi. I co dalej? Dla nas to za mało. Niech stanie na głowie i fiknie koziołka. Wielka mirzeć - zwykłe chodzenie po linie. Nie próbowałem chodzić po linie, ale być może spróbuję. Tak. A nuż okaże się, że to zupełnie łatwe? Z pewnością jest to sprawa niezbyt skomplikowana. Oto idzie sobie, po prostu idzie wysoko nad ziemią, trzymając w ręku drążek. On idzie, a my przyglądamy się (nudy!), jak idzie, jak będzie szedł”.

Ten cudzy idiotyzm zmusił mnie do wytěżenia uwagi. Miałem się na baczności. Stygłem, zacząłem stygnąć jak wrzątek, który przestaje kipieć, kiedy zamiesza się go łyżką. Rozejrzałem się. Znajdowałem się na poziomie dachów. Dachy wyglądały bardzo głupio. Ich wystające okienka na poddaszach ziewały jak bezzębne usta. Na dole biegał w tę i z powrotem kudłaty piesek. Przypomniałem sobie, że ja również miałem foksterierka, i zdziwiłem się. Po co właściwie Amiwelechusowi potrzebny jest foksterier? Kim ja właściwie jestem? Jestem Amiwelechusem, to...

Nagle w to nieznośne pokasływanie wdarł się cichy, radosny okrzyk, który mnie ubawił.

— Bardzo nam przyjemnie i jesteśmy wdzięczni. Niech pan sobie chodzi na zdrowie po tej linie! Przyjemnie oglądać zręcznych ludzi!

Nie mogłem szybko myśleć. Uwaga moja była przykuta do tego, co działo się w mojej duszy, w której mieszały się i zwalczały wzajemnie wszystkie chęci i przejawy woli. Zaczynało mi to przeszkadzać w chodzeniu. Zbliżałem się do drugiego słupa, ale gdy znalazłem się w odległości od niego nie większej niż dwadzieścia stóp, zatrzymałem się. Czułem się muszką, która wpada do czyjś wielkiego, nieruchomo patrzącego oka, sam ogień wzroku, podczas gdy powinienem był ukrywać w sobie wszystko widzialne i niewidzialne. Postanowiłem natychmiast zejść po powietrzu do widzów, zrzucając nędzną maskę linoskoczka. Marcz nie mógł mieć do mnie pretensji, ponieważ według mego zdania, w sposób dostateczny udowodniłem mu, że nasze dalsze zmagania są już zbyteczne. Należy przypuszczać, że chodzenie po powietrzu pognębiłoby ostatecznie mojego lekkomyślnego przeciwnika.

Rozmyślając o tym, równocześnie zwróciłem uwagę na zamieszanie, które wybuchło po

mojej lewej stronie, za tłumem. Biegała tam grupka ludzi, pośrodku której rzucał się złapany za kołnierz człowiek w cylindrze. Rozlegały się okrzyki: „Oszust! Złodziej! Ja ci pokażę! Policja!” itp. Prawdopodobnie złapano kieszonkowca. Czy dlatego, że to banalne wydarzenie zrodziło we mnie szereg myśli natury praktycznej, wyzwolonych pod wpływem czyjegoś przeraźliwego wrzasku, czy też mój system nerwowy przeciążony szaleństwem do ostateczności czekał w napięciu na najmniejszy ruch, aby wyrwać się z niewoli obłądu, wyrzucić z siebie truciznę — dosyć, że poczułem, jak moje wewnętrzne odruchy, ich burzliwe błyski, ustały. Moja świadomość przejaśniła się. Mnogość skojarzeń, związanych z pojęciem zło-dziejstwa o charakterze czysto ziemskim, łącznie z rozmyślaniami nad wychowawczą rolą więzień, natychmiast opanowała mój mózg i zerwała z wielkimi tajemnicami Amiwelechusa, które przestały istnieć. Stałem w dalszym ciągu na linie z drażkiem w zmęczonych rękach i mimo upału przeniknął mnie cierpki dreszcz. Wstrząśnięty, wróciłem do rzeczywistości. Moje wizje zbladły i uleciały jak czarodziejski pejzaż na kurtynie teatralnej podniesionej w górę. Teraz ukazałem się sobie ja sam — ja, lunatyk, przebudzony na gzymsie dachu, ja — urzę-dnik Izby Handlowej, Benjamin Foss, nad groźnie rozprzestrzeniającą się przestrzenią po-wietrzną, w kostiumie linoskoczek, oszołomiony, pełen rozpacz.

Już od dłuższej chwili (rozumie się, że pojęcie chwili i czasu jest tutaj bardzo umowne) działał na mnie zabójczo zimny prąd idący z tłumy, który pragnął mojej śmierci. Czułem, że to pragnienie ciągnie mnie w dół. Zaczęło się to po cichu i skrycie, jak zapalenie zapalki przez podpalacza, który boi się, żeby go nikt nie zobaczył. Ci ludzie nie chcieli pragnąć mojej śmierci. Swoje czarne myśli traktowali jako niewinną zabawę. Jednakże to pragnienie było silniejsze od humanistycznych zasad. Zapuszczając korzenie, umacniało się na podatnym gruncie dusz z siłą pożądania. Pragnienie to działało zaraźliwie na wszystkich zespolonych i skupionych na jednym drażniącym punkcie — na mnie, który mogłem stracić równowagę. Odczytywałem ich pragnienia:

„Dlaczego nie spadasz? Wszyscy tego chcemy. W zasadzie, wszyscy zjawiliśmy się tutaj po to, aby zobaczyć, czy przypadkiem nie spadniesz z liny. My wszyscy możemy spaść z liny, ale ty nie spadasz, a powinieneś spaść. Występujesz przeciwko wszystkim. Chcemy widzieć cię na ziemi, we krwi, oddającego ostatnie tchnienie. Powinieneś zachwiać się, przewrócić i runąć. Będziemy stać i patrzeć z nadzieją. Pragniemy silnego przeżycia wywołanego twoim upadkiem. Jeśli zwyciężysz nasze pragnienia i nie spadniesz, będziemy wciąż myśleć, że może kiedyś ktoś jednak spadnie w naszej obecności. Spadaj! Spadaj! Spadaj! No, dalej-że... no! Spadaj, nie chodź! Spadaj!”

Te straszne nawoływania docierały do mnie jak przez mgłę. Rzeczywiście, chwiałem się. Drażek szaleńczo skakał w moich rękach. Każdy, wydawałoby się, celowy wysiłek wywoływał nieopisane falowanie liny. Myślałem, że plecy i nogi pękną mi z napięcia. Wypełniony tłumem plac wirował i tańczył mi przed oczami, na ziemię waliło się niebo, a rozpalone słońce buchało płomieniem tuż przy mojej twarzy.

— Ratunku! Ratunku! — krzyknąłem.

Co było dalej, nie wszystko pamiętam. Wypuściłem z rąk drażek, który przeciął powie-trze, następnie zgąłem się, uczepiłem liny i zawisłem, drżąc z przerażenia. Lina silnie szarp-nięta rozhuśtała się gwałtownie i wrzynała się w moje ręce. Krzycząc i rozpaczliwie wyobra-zając sobie swoją bezsensowną śmierć, broniłem się przed upadkiem. Wreszcie poczułem coś przypominającego brutalne, z użyciem czyjejs przemocą, rozwarcie palców. Było to bardzo bolesne. Wypuściłem linę z rąk z uczuciem szybkiego lotu w górę. Straciłem przytomność.

Upadłem na siatkę. Pomocnicy Marcza zdążyli na czas rozciągnąć ją pode mną. Zamie-szanie, jakie się wytworzyło po tym nieszczęsnym wydarzeniu, sprawiło mi wiele nieprzyje-mności. Marcz ukrył się. Przez dwa dni tłumaczyłem sędziom śledczym i dziennikarzom, że będąc Fossem, nie mogę być Marczem. W końcu zidentyfikowano moją tożsamość, potwier-

dzoną znakami szczególnymi i zeznaniami mojej rodziny. Ustalono jednak, że nawet przy uważnym przyjrzeniu mi się jestem uderzająco podobny do Marcza, nie wyłączając głosu i charakterystycznych ruchów.

Tłumaczyłem, że moja przygoda to kaprys i fantazja pod wpływem alkoholu, a chodzenie po linie ćwiczyłem w młodości... Czyżby? Możliwe, że to pytanie zadawało sobie w myśli wielu moich znajomych. Ale któż im na to odpowie? Prawda odeszła razem z moją chorobą, która tam, na linie, opuściła mnie na zawsze. Nie doznawałem nawet najlżejszych nawrotów. Mania wielkości uleciała bezpowrotnie. Tylko, kiedy w mojej obecności ktoś wymawia imię jakiegoś wielkiego człowieka, zawsze słyszę wtedy — „Spadaj!” A poza tym bardzo lubię ludzi.

Odnaleziony Marcz wyjaśnił przyczyny swego awanturniczego postępu. Jego życie ubezpieczone było na dużą sumę pieniędzy, a niebezpieczeństwo, wynikające z nieustannych szantaży, którymi nękał bogate rozhisteryzowane damy, zmuszało go do zatroszczenia się o własną skórę. Namówiwszy uległego szaleńca, tak bardzo podobnego do niego, do występu na linie, Marcz miał nadzieję, że po niechybnej według jego obliczeń, mojej śmierci po pierwszym postawionym kroku na linie, jego żona otrzyma pokaźne odszkodowanie, a on sam po pogrzebie „Fossa-Marcza” rozpocznie życie „pozagrobowe” pod innym nazwiskiem.

Tego człowieka wspominam z wdzięcznością. Co dzień piję za jego zdrowie. Uratował mnie. Jego portret możecie znaleźć w „Almanachu artystów cyrku” z roku tysiąc dziewięćset trzynastego. Nie ma w nim nic diabelskiego.

Przełożyła *Maria Tywonek*

Niewolnik klubowy

I

Niejaki Jung, sprzedawszy dom w Kazaniu, przeniósł się do Petersburga. Był niezonaty. W tym wielkim mieście nie miał przyjaciół ani znajomych, toteż początkowo bardzo często chodził do teatru, a potem zapisał się do klubu „Towarzystwo zgrzybiałych męczenników” i zapalił się do gry w karty. Każdego więc dnia wracał do swojego pokoju w hotelu dopiero rano, nie wcześniej niż o siódmej.

Jeszcze nigdy dotąd hazard w Petersburgu nie rozwijał się tak bardzo jak wtedy. Jesienią tysiąc dziewięćset siedemnastego roku utworzyło się tu ponad pięćdziesiąt spelunek gry, noszących przyjemnie brzmiące, przyzwoite nazwy, jak na przykład: „Stowarzyszenie muzyków-myślicieli”, „Towarzystwo inteligentnych ludzi pracy”, „Relaks proplujskiej dzielnicy” itp. W tych spelunkach nie prowadzono żadnej innej działalności oprócz gry w karty. Każdy, kto tylko chciał, mógł przyjść z ulicy i za dziesięć do piętnastu rubli otrzymać legitymację członkowską. Bywalcy stanowili wielką zbieraninę: urzędnicy, studenci, rabusie, rzemieślnicy, kupcy, szulerzy, zawodowi gracze i nieprawdopodobna ilość żołnierzy, którzy wówczas nie wiadomo skąd mieli ogromne sumy pieniędzy.

Kiedy Jung zaczął grać, miał około czterdziestu tysięcy rubli. Był człowiekiem niezwykle nerwowym i żądnym wrażeń, toteż oddawał się grze całkowicie, poddając się nie tylko pasjonującemu napięciu towarzyszącemu wygranej czy przegranej, ale także całej atmosferze nocnego życia graczy. Poznał ją na tyle, że nie oddzielał jej od gry; jej istnienie i rozmyślenia o niej jakby osładzały dręczący niepokój hazardu i często łagodziły gorycz przegranej, bawiac

go swoim szalbierstwem. Gdyby nie było tych kulis, gdyby Jung grał w staroświeckim, zachowującym pozory klubie, gdzie „szoking” nie wychodzi poza ramy nieoddania karcianego długu, kuli w łeb lub — szczyt nieszczęścia — zblamowania się wytwornego szulera, możliwe, że szybko rzuciłby grę. Gdyby obca mu była atmosfera klubu, gdyby pociągała go tylko sama gra z jej obłudną ceremonią zachowywania dobrego tonu, pod którego pozorem kryją się namiętności, szybko by go zmęczyły i przesyciły jednostajne skoki oczek w odkrywanych kartach. A w „Towarzystwie zgrzybiałych męczenników” przykuwał go i zarażał hazardem właśnie ten nasycony, mocny zapach niemoralnej, zwierzęcej chciwości i żądzy pieniędzy, wobec czego nabierały one ważności i smaku życia, zaostrzały apetyt i stawały się przedmiotem pożądania, jak dla głodnego chleb.

We wszystkich petersburskich klubach grano przeważnie w „makao”. Jest to stara portugalska gra, z czasem nieco zmodyfikowana.

Obyczaj „Zgrzybiałych męczenników” poznał Jung w ciągu tygodnia. Szulerów w zwykłym artystycznym znaczeniu tego słowa tutaj nie było; częściowo dlatego, że karty rozdawano przy pomocy specjalnej maszyny, która uniemożliwiała oszukaństwa w rodzaju pozostawienia z a p a s o w e j (d o d a t k o w a, ukryta w rękawie, przygotowana na jedno lub kilka rozdań), ale przede wszystkim dlatego, że istniało mnóstwo innych klubów, stanowiących wielki wybór i arenę dla szulerskich talentów. Poza tym bogate spelunki w celu rozwinięcia gry wzajemnie podkupywały znanych szulerów na gościnne występy, żeby wszędzie mówiono o wysokiej wygranej czy przegranej w ich spelunce. Dla reklamy nie cofały się nawet przed wypłacaniem panu Iks wielkich sum, specjalnie przeznaczonych na „k a p i t a ł z a k ł a d o w y” dla bankiera w razie jego „niepowodzenia”.

Klub „Towarzystwa zgrzybiałych męczenników” odwiedzała doborowa publiczność. Można tu było zobaczyć surdut literata, gruby złoty, ale w złym guście, łańcuszek od zegarka rzeźnika lub kupca, galony marynarza, kurtkę skórzaną, a nawet bluzę robotniczą, oficerskie naramienniki i żołnierskie mundury — bez naramienników, zgodnie z obowiązującą modą. Było dziwne, skąd żołnierze i robotnicy mieli tyle pieniędzy. Byli to chyba najwięksi gracze tego czcigodnego przybytku — uprawiali zaciekle hazard i grali o najwyższe stawki.

Jak już mówiłem, szulerstwa we właściwym tego słowa znaczeniu nie było, ale istniało „n i e w o l n i c t w o”, które było w swojej istocie czymś pośrednim między żebranią a oszustwem. O tym jednak będzie mowa niżej.

II

Jung z początku wygrywał. W powiedzonku: „nowicjusz ma szczęście” jest wiele racji. Być może dlatego, że nowicjusz instynktownie dostosowuje się do jedynego prawa gry — przypadku, stawia on na chybił trafił; trzeba dodać, że nowicjusz przeważnie trafia do klubu przypadkowo; w ten sposób połączenie trzech przypadków zwiększa szansę na wygraną w takim stopniu, w jakim trudno spełnić równocześnie trzy zamierzone przedsięwzięcia. Później, przyjrząwszy się, jak grają inni, staje się zarozumiały, wydaje mu się, że posiada wiedzę o tym, jak i gdzie stawiać (niedorzeczność), gracz nie wie, że walczy już z prawem przypadku, walczy na swoją szkodę, ponieważ napięcie nerwowe w tej sytuacji prowadzi do niepewności siebie i braku woli. Nie wiadomo jak są ułożone karty w talii, a on myśli, że zgadł, na którą właśnie teraz trzeba stawiać i w jakiej kolejności — to znaczy: myśli, że w i e. Ale karty potrafią się zemścić na takim zarozumialcu. Wprawdzie istnieje niewielka ilość ludzi ze szczególnie rozwiniętą intuicją w zgadywaniu, ale wciąż wygrywać ludziom tym nie pozwala niewiara w intuicję; raz sparzywszy się na gorącym, wierząc wewnętrznemu głosowi, dmuchają potem na zimne, stawiając na co innego niż podpowiada im intuicja, myśląc, że przechytrzyli

przeznaczenie.

Dopóki Jung z zamierającym z niepewności sercem stawiał na chybił trafił, dopóty wygrywał. Każdego wieczoru wychodził z klubu z setkami i tysiącami rubli wygranej. Należy zaznaczyć, że wyjść z wygraną — nie było rzeczą łatwą. Wygrywający zazwyczaj wyznacza sobie maksymalną sumę wygranej, z którą, jeśli wygra, wycofa się z gry. Ale gdy nadal idzie mu karta, z chciwości marzy już o wyższej maksymalnej sumie i nie osiągnąwszy granicy swojej zachłanności, zaczyna w pewnym momencie przegrywać. Teraz pragnienie zawęża się, staje się coraz skromniejsze. Gracz marzy już o tym, żeby znowu osiągnąć punkt kulminacyjny topniejącej sumy. Mówi sobie: „Przegram jeszcze tyle to, a tyle i wyjdę”. Ale oto przegrywa całą wygraną i błądy ze zgaszonym wzrokiem, stawia znowu własne pieniądze. Nie szczęści mu się! Spiesząc się do rajy, stawia coraz większe stawki, podwaja je i w końcu pozostają mu drobne na tramwaj lub na dorożkarza, a często pozbawiony nawet tego pożyczka rubla od portiera.

Jungowi szła karta i prawie przez miesiąc szczęśliwie zakładając banki, pławił się w dziesiątkach tysięcy rubli. Przyzwyczał się nawet patrzeć na nie w czasie gry nie jak na pieniądze, lecz jak na żetony, służące do ulepszonych technicznie rozliczeń. Ale w końcu szczęście odwróciło się od niego. Pewnego razu przegrawszy pięć tysięcy, przyjechał na drugi dzień z piętnastoma i do zamknięcia klubu przepuścił wszystko. Cios dał się odczuć: pragnienie odegrania się zachwiało jego wiarę w „szczęśliwą gwiazdę” — Jung zaczął dawać pieniądze do banku i na stawki innym graczom, których spryt i rutyna wydawały mu się dostateczną gwarancją powodzenia. Gracze ci, grając dla niego, ale częściej (kiedy im się niby nie szczęściło) dla licznych swoich przyjaciół, ochoczo stawiających w takich przypadkach wielkie stawki, nie później jak w ciągu tygodnia pozbawili Junga trzech czwartych jego własnych pieniędzy. Czasami niepostrzeżenie płacili za stawki więcej niż się należało, a potem dzielili się z otrzymującym różnicą. Czasami, kiedy karty były już odkryte, zręcznie podsuwali pod wygrywającą kartę grubo banknot, za który otrzymywali wygraną. Czasami bankier, niby nie chcący, mieszał pieniądze Junga ze swoimi, a następnie rozdzielał je nie bez korzyści dla siebie i przysięgał, że postąpił sprawiedliwie. Przy pomocy takich niewybrednych sztuczek, rozpowszechnionych wśród członków „Towarzystwa zgrzybiałych męczenników”, karciani szalbierze doprowadzili Junga do stanu niepewności i konfuzji. Mając przy sobie niewielką sumę, stawiał mało, kiedy wydawało się, że szczęście uśmiecha się do niego, to znów dużo, kiedy karta zdecydowanie mu nie szła i wkrótce, doszedłszy do wymyślenia „systemów” bez przegranej — najgorsze, co można spotkać gracza — skończył na tym, że zostało mu dwadzieścia, może trzydzieści rubli, za które się upił, i w klubie zjawił się znowu po pięciu dniach, przygnębiony, znużony, bez żadnych określonych planów, z jednym tylko pragnieniem — grać, grać za wszelką cenę, przebywać w otchłani wiecznego pragnienia — czekać na szczęśliwą okazję, cisnąć się do stołu gry, odczuwać przenikające dreszcze, licząc wymaginowane oczka.

Przejście od powściągliwości do nałogowej gry, a od nałogu do niewolnictwa dokonuje się niepostrzeżenie, jak wszystko to, gdzie główną rolę odgrywa namiętność. Zgrawszy się do suchej nitki, będąc w sytuacji, w której w ogóle nie ma skąd wziąć w ł a s n y c h pieniędzy, gracz zaczyna zazwyczaj ściągać długi. Ten jest mu winien, ten i tamten. Te drobne sumy służą przez pewien czas. Gra dla takiego człowieka staje się namiętnością, jej zadra więźnie w duszy i nęka jak rozdrażnione dziaśła przy zuci u orzeszków lub pestek. Ale oto wszystkie wymolestowane i wyżebrane długi zostały przegrane. Możliwe, że w tym czasie zdarzały się chwile względnego powodzenia — tym gorzej. Gracz patrzy już na te pieniądze jak na cudze, które otrzymał z a d a r m o. Poszarpane nerwy wymagają zagłuszenia. Zaczyna więc pić, oddawać się rozpuście, grać na stawki bez umiaru, nie licząc się z tym, czy wystarczy mu gotówki i wkrótce sam zaciąga długi. Z początku pożyczają mu, potem — krzywią się, tłumacząc własną przegraną, następnie rzucając obelgi i drwiąc z jego s k o m l e n i a, odbierają

chęć proszenia o najdrobniejszą pożyczkę. Wszyscy stali bywalcy znają jego i jego nałogi, znają nawet ten cały zjednoczony na mocy niepisanego prawa krąg „niewolników”, do którego on już należy, ale najczęściej nie znają ani jego życia, ani imienia, ani nazwiska. Taka to już właściwość wielkich namiętności, przekreślających wszelkie inne zainteresowania. Tutaj liczy się tylko gracz, ale gracz dla tego towarzystwa mniej znaczy niż jego powodzenie w grze.

Kiedy tak zwany kręgosłup moralny zachwiał się, kiedy całym życiem zawładnęła i wchłonęła je gra, a ośrodki regulacyjne przestają zwracać uwagę na takie drobiazgi jak poniżenie i obelgi — n i e w o l n i k jest gotowy. Został stworzony z żebraniny, umiejętności wykorzystania okazji, nalegań i drobnych oszustw. Nauczywszy się szybkiego dokonywania skomplikowanych obliczeń stawek, on, jak prawdziwy krupier, za dziesięć procent pomaga każdemu, kto sobie życzy, a jest powolny w rachunkach, błyskawicznie policzyć oczka. Z szerokim gestem rozporządza cudzymi pieniędzmi; wrywa je z rąk bankiera lub spod jego nosa i wykrzykuje: „Z drogi!” — „Jak spaść z konia to z dobrego!” — „Rozwińcie skrzydła, panowie!” — „Pięćdziesiąt procent akcji w przedsiębiorstwie” (Zawinięty róg banknotu, oznaczający mniejszą stawkę niż jego nominalna wartość) — „Komplet” — „Fortuna płaci!” — „As bierze raz!” — i tym podobne sztampowe wyrażenka graczy. On pomaga oddać w zastaw zegarek lub pierścionek u karciarza albo portiera. On przynosi wódkę. On daje „na szczęście” rubla do banku i w razie wygranej bywa niezwykle ważny. On dorzuca dodatkowe pieniądze na wygraną kartę. On przywozi bogatych i pijanych graczy. On próbuje wyciągnąć banknoty spod łokcia ich właściciela, a jeśli zostanie przyuważony, tłumaczy się, że je podsuwał, ponieważ spadłyby na podłogę. W takich klubach patrzy się przez palce na próby oszustwa lub kradzieży. N i g d y takie incydenty nie wywołują skandalu. W najgorszym wypadku — krótka awantura, w najlepszym — gniewne spojrzenie i pogróżka wskazującym palcem.

Stali gracze p o w i n n i zawsze przegrywać. Mają oni następującą kalkulację: klub zbiera tytułem opłat za miejsca, za zakładanie banków i za kary pieniężne (za grę po określonej godzinie) przeciętnie dwa tysiące dziennie. Ogólna suma pieniędzy puszczonej w grę wynosi sto tysięcy. Przez miesiąc i dwadzieścia dni całe te sto tysięcy przejdzie do kasy klubu.

Jung został n i e w o l n i k i e m.

III

Nie miał szczęścia. Kiedy odszedł od stołu — był bez grosza.

Speszony, szperając po kieszeniach i nerwowo mrugając, usiłował przypomnieć sobie kolejność wydarzeń, które doprowadziły go do ostatecznego zgrania się, ale odczuwał jedynie bezradność i smutek. Opanował go wstręt do siebie, do gry i do życia. Nie wiedząc, co począć, krzyknął w rozpacz, jak szalencie: „Stawiam na cały bank!” Bank, w którym znajdowało się czterdzieści rubli, wygrał.

— Będę winien! — powiedział głucho Jung.

Podniósł się niesamowity hałas. Któryś z wygrywających graczy, popatrzawszy uważnie na Junga, wniósł za niego czterdzieści rubli.

— W banku osiemdziesiąt rubli — powiedział uspokojony bankier. — Kto następny?!

IV

Jung przeszedł do czytelnicy, sięgnął po numer czasopisma, przejrzał go, odłożył i usiadł w fotelu. Głucha, przygnębiająca rozpacz odebrała mu poczucie czasu i miejsca.

— Co robić? — powiedział do siebie. — Teraz już koniec. Pozostaje tylko rzucić się z mostu do wody. — Wypowiedział to zdanie, ale dopiero powtórzywszy je jeszcze raz pojął jego sens i zrozumiał, że rzucić się z mostu do wody — znaczy umrzeć. Myśl o własnym samobójstwie nawiedza nawet najbardziej melancholijnych ludzi nagle i niespodziewanie. Można przygotowywać się do tego przez dwadzieścia lat, a jednak doczekać się wnuków; można również odwrotnie: nigdy nie myśleć o samobójstwie i nagle poczuwszy wstręt do życia, rzucić się, jak ku wyzwoleniu, w objęcia śmierci. Taka nie przemyślana, ale kusząca decyzja nagle ożywiła Junga. W nowym, nie znanym dotąd stanie określonego podniecenia wstał z krzesła, ale w tym momencie jego spojrzenie przypadkowo zatrzymało się na kliszach stereoskopu, rozrzuconych na stole. Klisza przedstawiała kobietę, siedzącą na oklep na końcu kłody, sterczącej z brzegu nad wodą.

Jung wziął do ręki kliszę. Chorobliwe pragnienie ujrzania przed śmiercią wody, takiej samej wody, która wkrótce miała wciągnąć go w swoje nurty, zmusiło go do tego, że włożył kliszę do stereoskopu i spojrzał w aparat. Na początku oświetlony lampą elektryczną obrazek wydawał się płaski, ale wkrótce, po usilnym wpatrywaniu się, nabrał perspektywy i trójwymiarowości. Jung ujrzał wielkie jezioro wśród lasu, a w jeziorze odbicie kłody i bosych, obnażonych do kolan, naprężonych od niewygodnego siedzenia, mocnych nóg kobiety. Zdziwiła go jej twarz. Przed włożeniem kliszy do aparatu twarz była zastygła, miała ten nienaturalny wyraz, który jest charakterystyczny dla ludzi fotografujących się, a teraz uśmiechała się. Opanowało go uczucie wielkiego przygnębienia, przeczucie czegoś niezwykłego, pokrewnego napiętej ciszy przed burzą lub oczekiwaniu na złe wieści. Szybko odłożył aparat i nagle przeszył go zimny dreszcz. Zauważył, że kiedy już odrywał oczy od obrazka, kobieta poruszyła nogą, jakby miała zamiar opuścić kłodę i zejść na ziemię.

— To dziwne — rzekł, marszcząc czoło i przykładając rękę do niespokojnie bijącego serca. „Czyżby obłąd — jego początek?” — pomyślał Jung. Niepokój nie ustępował, lecz narastał, podobnie do zbliżających się werbli. Obejrzał się, doznając dziwnego elektryzującego wrażenia; wydawało mu się, że wszystkie przedmioty ożyły, zmieszały się, a następnie w mgnieniu oka wróciły na swoje miejsca z szybkością łączących się wzajemnie kuleczek rtęci.

Naprzeciwko niego w pustym przedtem fotelu siedziała młoda kobieta o śniadej cerze, ta sama, którą Jung oglądał w stereoskopie. Jej czarne, regularne łuki brwi wznosiły się wysoko ponad śmiały, wielkimi oczami, od których bił niesamowity blask uduchowania, jaki można ujrzeć na starych portretach, oglądanych w migotliwym i przyćmionym świetle. Od jej sukni i postaci wiało czymś nierealnym. Tego, co przeżył Jung w czasie cudownego spotkania z tą kobietą, nie można nazwać strachem. Pierwiastki czegoś nadprzyrodzonego znajdują się w nas samych i wyzwolone przez tajemnicze siły, wbrew wszelkim oczekiwaniom, że wywołują straszliwe zdumienie i strach, wchodzą jedynie, co prawda nie bez silnego podniecenia, w zwykłą sferę wiary w fakty. Aby to zrozumieć, wystarczy wyobrazić sobie wrażenie człowieka, który po raz pierwszy znalazł się pod ostrzałem albo w katastrofie kolejowej. Kontrast między tymi wydarzeniami a codziennością jest wielki, a jednak, co by nie mówili przedstawiciele psychologii logicznej — nie strach towarzyszy przytoczonym faktom. Odrętwienie reakcji — oto chyba w przybliżeniu właściwa ocena tych przeżyć. W to, że strzelają do ciebie, dopóki się to nie zdarzyło, tak samo trudno uwierzyć, jak w zjawienie się demona.

— Cóż to? — spytał Jung, ciężko dysząc.

W salonie nikogo nie było oprócz niego i nieznajomej damy.

— Niech pan słucha uważnie — powiedziała kobieta, przechylając się nad stołem do Junga. — Dziś mamy dwudziesty trzeci, dzień, w którym wychodzę z mgły. Więcej mnie pan nie zobaczy. Proponuję panu nową, cudowną i skuteczną grę, która, gdy się powiedzie, tysiąc-krotnie pomnoży wszelakie szczęście, gdy się nie powiedzie, magicznie powiększy nieszczę-ście. Jest to g r a w c z a s. Niech pan spojrzysz na tę talię. Proszę sobie ją wziąć. My ją nazy- wamy Szees-Magor, co znaczy — śmierć i zmartwychwstanie.

Jung wziął talię. W niej, tak samo jak w zwykłej talii, było pięćdziesiąt dwa czterokąt- nych, ale kwadratowych skrawków nieznanego materiału, czarnego i twardego jak żelazo, cienkiego jak batyst, jedwabistego w dotyku, nieco przeświecającego i lekkiego. Były na nich bardzo dziwaczne figury i inne znaki ręcznie malowane czerwoną i białą farbą. Piki były przedstawione w postaci krótkich strzał; trefle — trzech listków; kara — czerwonych cztero- kątnych kwiatków; kiery — serc, ściśniętych ręką. Ciężka, groteskowa wzorzystość figur kry- ła w sobie coś pogańskiego, zamierzchłego, wywodzącego się z zaświatów.

— Niech pan gra, z kim pan zechce — ciągnęła dama, kiedy Jung podniósł oczy, będąc już cały we władzy otwierającej się przed nim otchłani. — Może pan stawiać w jakiej tylko pan zechce grze hazardowej dowolną ilość lat, miesięcy, dni, godzin, a nawet minut. P r z e- g r a n a przeniesie pana w przyszłość o odległość stawianego czasu, w y g r a n a — oddali pana w przeszłość.

Ostatnie słowa kobiety brzmiały głucho i jakby z oddali. Skończywszy mówić kobieta znikła — nie rozplynęła się, nie roztopiła, lecz właśnie znikła, jak przy zmianie kadrów filmo- wych. Jung poderwał się, upuścił gazetę, trzęsąc się jeszcze ze zdenerwowania, pochylił się i zaczął zbierać karty. Nie podnosząc głowy, zauważył, że obok jego rąk poruszają się, czyniąc to samo co on, jeszcze dwie ręce. Ich palce były ozdobione grubymi złotymi pierścieniami.

Jung spojrział wyżej. Przed nim siedział w kucki i pomagał mu zbierać karty wielce zdziwiony ich niezwykłością znany mu gracz Bronstein — skomplikowana odmiana Jacka Hamlina w rosyjskich warunkach. Ten okrągły, z niewielkim brzuszkiem, jeśli nie zawsze wesoły, to stale ożywiony człowiek zapytał:

— Tureckie?

— Nie — machinalnie odpowiedział Jung.

— Greckie?

— Nie...

— Po raz pierwszy widzę takie karty. Skąd je pan ma?

Jung odzyskał trzeźwość umysłu i gładko skłamał:

— To karty niewiadomego pochodzenia. Dostałem od ojca, który je przywiózł z Dage- stanu. Niech pan posłucha, Jakubie Adolfowiczu, mam taki swój przesąd (karty były zebrane i obaj usiedli już przy stole) — jeśli przed prawdziwą grą zagram choć raz z kimkolwiek „na sucho” tą talią, wtedy mi się szczęści przy każdym stole.

— Dobrze — zgodził się Bronstein. — My, gracze, jesteśmy dziwakami. Zagrajmy. Na początek wkładam do banku słońce i... jeszcze na dodatek... księżyc...

Szybkimi, błyskawicznymi ruchami zawodowego gracza rozdał karty, jak zwykle w makao, na cztery kupki i ze znużoną miną odkrył swoje trzy karty.

— Dziewięć — powiedział, jak przystało na gracza, z niezmiennym, nawet w grze „na sucho”, zadowoleniem.

Jung ledwie zdążył spojrzeć na swoje karty, to znaczy na te, które przykrywały przypu- szczalną stawkę. Przegrał. Miał trzy.

V

Zapraszając Bronsteina do gry „na sucho”, Jung w myśli postawił na pięć lat i dwa miesiące z nadzieją, że jeśli wygra, wróci do szczególnie przyjemnych dni w przeszłości, pierwszych dni spotkań z Olgą Niewzorowną, dziewczyną, która miała zostać jego żoną, a którą zabrał do ziemi tyfus. Przegrana — odwrotnie, uchyliłaby rąbka tajemnicy przyszłości, może nawet przyniosłaby śmierć. Tym ostatnim Jung się nie przejmował. Życie klubu, pełne fantazji i niespodzianek, gdzie każda przegrana była częścią śmierci, a niezliczona ilość wstrząsów nerwowych dawno już stępiła instynkt samozachowawczy, a ponadto, jak wiemy, Jung sam pragnął śmierci.

Karty nie miały na odwrocie marmurku. Kiedy rozsypały się przed nim wachlarzem — w ich lśniącej czerni, odzwierciedlającej, niby lustro bezdennego oceanu, światło zyrandola, pojawiło się kilka migotliwych punkcików. W osobliwy sposób, przy pomocy głęboko wewnętrznego instynktu Jung wiedział, że te punkciki — to lata, które on postawił. Dziewiątka Bronsteina wywołała pierwszy skurcz w gardle. Dziwne myśli towarzyszyły ruchom jego ręki, kiedy odkrywał swoje trzy karty.

Jung odwrócił się na bok. Całe ciało doskwierało mu nieznośnie i jakby prosiło o usunięcie dotknięć koca i materaca. Stojąca na okrągłym stole lampa paliła się słabym światłem. W fotelu spała siostra miłosierdzia — kobieta o pełnej, ospowatej twarzy. Głowa opadła jej nisko na pierś, sprawiając wrażenie, jakby pielęgniarka wpatrywała się we własne okulary.

Poruszając się Jung potracił flaszkę z lekarstwem, która głośno uderzyła w szklankę i obudziła drzemiącą pielęgniarkę.

— Głupstwa... nie ma gdzie... — wymamrotała przez sen i obudziła się. — Co panu jest? Pić? Może pana dręczy niepokój? — zapytała jak zwykle troskliwym głosem. — Dzisiaj pan dobrze spał, widocznie wraca pan do zdrowia.

— Tak. Przebudziłem się w środku nocy — powiedział Jung ze złością, nie zauważwszy jej zmieszania. — Śmierć nadchodzi... Źle ze mną...

— Wszyscy chorzy mają takie czarne myśli — powiedziała siostra. — Nie tacy chorzy wracali do zdrowia.

— Niech i tak będzie — wyszeptał Jung z rozpaczą i zamknął oczy.

Wczoraj wieczorem przy pomocy subtelnej intuicji, cechującej ciężko chorych, wyczytał w naprężonej twarzy doktora, że jest z nim źle. W jego skołatanej głowie z jaskrawością roiły się w bezładzie przeróżne wspomnienia. Między innymi przypomniał sobie, jak pięć lat temu był klubowym niewolnikiem, przypomniały mu się szczegóły niektórych wieczorów, ale dalej siła wspomnień gasła, pozostawiając znaczny okres niejasności, jak to często bywa u ludzi ze słabą lub rozproszoną pamięcią; tak zwana „luka” rozciąga się między chwilą obecną a tym momentem, kiedy postanowił się utopić.

Nagle Jung przypomniał sobie o kartach. Leżały pod jego poduszką. Jego świadomość nie przekraczała możliwości znalezienia się przy pomocy tych kart w niebycie lub w nowych (starych?) warunkach. Zresztą nie mogła ona pójść dalej: magiczna gra przedstawiała rzeczywistość zupełnie inną, zamkniętą w sobie i posłuszną prawom niezwykłości. Jung pozostawał bezradny. Pragnął być z Olgą Niewzorowną albo nie istnieć w ogóle.

— Julio Pietrowno — powiedział słabym głosem — proszę przysunąć do mnie stolik.

— Co pan znowu wymyślił? Niech pan leży spokojnie!

— Proszę przysunąć.

Pielęgniarka spierała się z nim jeszcze przez chwilę, ale w końcu spełniła jego życzenie. Jung z trudem podniósł się na łokciach i położył przed sobą talię kart. Z powodu osłabienia, jak również dla uniknięcia ciekawskich spojrzeń siostry miłosierdzia, na wypadek, gdyby zechciała przyrzeć się kartom, Jung przypomniał sobie uproszczoną grę w „kupki”. W tej

grze — jeśli gra się we dwoje — talię dzieli się na dwie równe lub nierówne części. Każdy z grających wybiera dowolną kartę, wygrywa ten, czyja karta jest starsza od karty przeciwnika.

Okulary Julii Pietrowny ze zdziwieniem i niepokojem śledziły jego ruchy.

Jung powoli podniósł „kupkę”, leżącą bliżej niego. „Dziesięć lat... dziesięć lat i cztery miesiące” — postawił w myśli.

— Ach! — krzyknął głośno, ujrawszy w tej samej chwili swoją pikową dziesiątkę, którą bił król z drugiej „kupki”.

Wszystko się skończyło.

Przełożyła *Marta Tywonek*

Czarny diament

I

Jagdyn siedział w chłodnawej gubernatorskiej poczekalni na twardym krześle z prostym jak ściana oparciem i czekał swej kolejki. Minęło już dwadzieścia minut od chwili, gdy sekretarz go zameldował, ale zza wysokich białych drzwi wciąż jeszcze dobiegało monotonne i niewyraźne mamrotanie. Ktoś zasiadł tam na dobre. Znużony Jagdyn obserwował pozostałych petentów, którzy wzdychali nabożnie jak w cerkwi. Był tutaj kupiec o wyglądzie starowiera i poczmistrz wyrzucony z pracy za pijaństwo — w wyglansowanych butach i starannie ogolony, lecz jeszcze z mgiełką pijackiego oszołomienia w oczach. Była również chuda dama w lorgnon i rudym boa, emerytowany oficer oraz drzemiący w kącie staruszek tak puszyście bielutki i zgrzybiały, że patrzono na niego z uśmiechem pozbawionym kpiny. Jagdyn przyszedł piąty.

„To zły znak, jeśli będę musiał czekać swej kolejki — rozmyślał, starając się dociec, czy wizytówka sławnego skrzypka Jagdyna zrobiła na syberyjskim gubernatorze odpowiednie wrażenie. — Wykluczone, żeby o mnie nie słyszał, przecież chyba czytuje gazety? A jeśli zechce »postawić się«, »usadzić« mnie?... Mamy przecież takich, że choćby przyszli do nich Lew Tołstoj z Rafaelem i, z samym Bachem, godzinami będą ich trzymać w poczekalni, a sami zaglądać przez dziurkę od klucza: »No i co, gołąbeczki, wpadliście?«

I żeby tylko to...”

Jagdyn oceniający swój talent dość mgliście, lecz jednak egoistycznie wysoko, nie zdążył przeskoczyć w myślach od wspaniałych geniuszów do własnej osoby, gdyż skrzypnęły otwierane drzwi i ukazał się w nich otyły mężczyzna z twarzą bożka i w butach z szerokimi cholewami. Rozsiewając wokół zapach pomady do włosów i nie zwracając na nikogo uwagi, kroczył majestatycznie po przekątnej poczekalni ku wyjściu. Podłoga skrzypiała głośno pod jego ciężkim ciałem. „Zapewne miejscowy krezus” — zdecydował Jagdyn. Młodziutki, ufryzowany lalusz-sekretarz wyszedł z gabinetu, obwiodł zgromadzonych zamglonymi baraniami oczami i ułożywszy wargi w ryjek, wytwornie zgiął się przed muzykiem w ni to oficjalnym, ni salonowym pólukłonie.

— Monsieur Jagdyn, Jego Ekscelencja jest do pańskiej dyspozycji.

„A więc znają mnie tu jednak, szanują i cenią” — nie bez satysfakcji pomyślał Jagdyn, wchodząc do gabinetu. Gubernator stał przy biurku. Jego ostre spojrzenie skierowane było wprost w lśniące łagodnie oczy Jagdyna. Z przylepionym do ust uśmiechem podał skrzypkowi rękę, usiadł wspierając łokcie na urzędowych papierach, rzucił sucho: „Proszę siadać” — i

nagle się rozpromienił, bo urzędowy ton wydał mu się w tym przypadku nie na miejscu. Nigdy dotąd nie widywał sławnych ludzi, rzadko kiedy ktoś z nich zaglądał na Syberię. Córka gubernatora uczyła się w konserwatorium petersburskim. A zatem tak wygląda sławny żywy Jagdyn!

Gubernator był potężnie zbudowanym mężczyzną, średniego wzrostu, z siwiejącymi żołnierskimi wąsami, fałdą tłustego karku, opadającą na ciasny kołnierz i sklejonymi, gładziutko przylepionymi do łysiny ciemnymi kosmykami. W wyglądzie Jagdyna, z jego brązowymi zasłaniającymi uszy włosami i ubranego w długi, wcięty w talii surdut, było coś kobiecego. Wrażenie to potęgował miękki, wręcz babski profil gładko wygolonego artysty. Z boku wyglądał jak przebrana kobieta, która obcięła włosy. Natomiast en face jego twarz była kancista, duża i nieprzenikniona, kontrastując dziwnie z wąskimi ramionami i zapadłą piersią muzyka.

— A zatem... ehm... Andrieju Leonidowiczu... raczy pan odwiedzać nasze zapadłe kąty? — nieco poufale i z wylewnym uśmiechem powiedział gubernator. — Bardzo, bardzo miło mi poznać pana. Zrobię, oczywiście, wszystko, co...

— Ja, Ekscelencjo — rzekł z godnością skrzypek, tytułowaniem splecając jedynie dań konieczności — chciałbym...

— Och, dajmy temu spokój. Dla pana jestem Piotrem Nikołajewiczem.

„Niech i tak będzie” — pomyślał Jagdyn i kontynuował: — Przygotowałem notatkę, Piotrze Nikołajewiczu. Oto ona. Wykładam w niej myśl, iż muzyka mogłaby wywrzeć nader korzystny wpływ na katorżników. Proszę, aby zezwolił mi pan na objazd więzień; w każdym z nich wystąpiłbym z koncertem. Wierzę w uszlachetniającą siłę sztuki.

— Ach, więc o to chodzi. — Gubernator poczuł niepokój. Twarz mu się wydłużyła.

„Co powiedzą w Petersburgu?” — przemknęło przez myśl dygnitarza, gdy słuchał Jagdyna, który rozwijał wyświechtaną tezę o „iskrze bożej”, czekającej niekiedy tylko na właściwą podniętę. Tym razem tą podniętą może okazać się muzyka. Gubernator miał na ten temat odmienne zdanie.

— Tak, tak... Ale czy nie sądzi pan — proszę wybaczyć, sprawy muzyki nie leżą w mojej kompetencji — że to... jakby tu powiedzieć... trochę okrutne? Katorga jest, szczerze mówiąc, rzeczą ciężką. Obawiam się, by muzyka nie rozjątrzyła więźniów w ich niełatwym położeniu. Ukaże im pan promień światła, który natychmiast zgaśnie.

Jagdyn drgnął. Gubernator w prostocie swego rozumowania trafił nieświadomie wprost w skryty zamiar artysty, którego celem była bezlitosna i podła zemsta.

— Ale przecież — zaproponował muzyk ze sztucznym ożywieniem — oni także układają pieśni i z zapalem je śpiewają. Harteweld dowiódł, że świat przestępczy interesuje się muzyką.

— Nie wiem, doprawdy nie wiem... — Gubernator rozmyślał intensywnie, ale głównie o tym, co powie Petersburg.

Sam pomysł Jagdyna wydawał mu się eksperymentem całkiem niewinnym i interesującym.

— Oni pana nie zrozumieją — powiedział wreszcie.

Jagdyn zareplikował anegdotą o znanym skrzypku N., który na podwórzach grywał utwory klasyków. Pisała nawet o nim prasa.

— Otrzyma pan oficjalną decyzję z mojej kancelarii — postanowił w końcu gubernator. — Proszę wybaczyć, ale taki jest tryb... Z pewnością da się to załatwić. Mam nadzieję, że — do widzenia. Przyjmujemy w czwartki... prosimy nas odwiedzić. Wszystkiego, wszystkiego najlepszego. Bardzo miło było mi pana poznać!

II

Słońce ciężko opadało na wierzchołki gór. Grupa więźniów wróciła właśnie z prac przy wyrębie lasu. Umyty już Trumow czekając na kolację wyciągnął się na pryczy. Przygniatał go smutek. Najchętniej niczego by nie widział, nie słyszał i nie wiedział. Kiedy się poruszał, kajdany na jego nogach wydawały dźwięk niczym bolesny okrzyk.

Do Trumowa podszedł socjalista Leftel i przysiadł na pryczy.

— Splin? Nostalgia? — spytał zapalając papierosa. — Lepiej niech pan nauczy się grać w oczko.

— Wolności — szepnął Trumow. — Tak mi ciężko, Leftel, że nie umiem tego wypowiedzieć.

— Wobec tego — Leftel ściszył głos — niech pan ucieka do tajgi, niech pan żyje dzikim, leśnym życiem, póki pan jeszcze ma siły.

— Wie pan — wyznał wreszcie Trumow, siadając — brak mi woli. Jeśli już uciekać, to nie do lasu, lecz do Rosji lub za granicę. Ale moją wolę już zatruto. Wszelkie niebezpieczeństwa, ogromne przestrzenie, które trzeba pokonać, długotrwałe napięcie nerwowe... Kiedy o tym wszystkim myślę, wyobraźnia rysuje przede mną gigantyczne przeciwności... moja wyobraźnia jest, oczywiście, chora. I za każdym razem taki poryw kończy się apatią.

Trumowa przywiodła na katorgę miłość do żony skrzypka Jagdyna.

Trzy lata temu Jagdyn koncertował na estradach Europy i Ameryki. Trumow i żona skrzypka pokochali się niecodzienną miłością, która nie uznawała żadnych przeszkód. Gdy stało się wiadome, że mąż ma wkrótce wrócić, Olga Wasiljewna i Trumow postanowili wyjechać z Rosji. Na Trumowa spadła nieoczekiwanie konieczność zdobycia w tym celu kilku tysięcy rubli. Nie dysponował pieniędzmi i nikt nie chciał mu pożyczyć. Wieczorem, kiedy pracownicy przedsiębiorstwa transportowego (gdzie Trumow pracował) już wychodzili, ukrył się w gmachu i nocą włamał do kasy. Na odgłos podejrzanych hałasów przybiegł cierpiący na bezsenność woźny. Trumow w odruchu rozpaczony rzucił się na niego i zamierzając jedynie ogłuszyć — zabił uderzeniem metalowego przycisku. Aresztowano go w Wołoczyńsku. Po powrocie Olga Wasiljewna otruła się.

— A mnie tam wszystko jedno — powiedział Leftel — pomaga mi filozoficzne podejście do świata. Chociaż...

Wpadł nadzorca z krzykiem:

— Wszyscy na dziedziniec, ale ju-uż! — Wychrypiawszy urzędowy rozkaz naczelnika więzienia, dodał już zwyczajnym głosem: — Będzie grał dla was, durniów, przyjezdny muzykant. Też coś, zachciało mu się urządzać koncerty dla szpany.

Zaciekawieni Leftel i Trumow szybko wyszli na cuchnący kwaśnym, zepsutym powietrzem korytarz. Sunął nim hałaśliwy tłum więźniów, chwilami brzęk kajdan zagłuszał ich głosy. Przerzucali się niewybrednymi żarcikami.

— Dla nas miejsce w pierwszym rzędzie!

— A jak sobie świsnę...

— Żulię proszą do kadryla...

Ktoś piał jak kogut.

— Swoją drogą, utopiści jeszcze nie wyginęli — rzekł Trumow. — Zazdroszczę im błogosławionego szaleństwa.

— Ostatni raz słuchałem muzyki... — zaczął Leftel i ze smutkiem urwał w pół słowa.

Na rozległym brukowanym dziedzińcu, otoczonym płaską równiną, więźniowie ustawili się półkolem w dwa rzędy; tu i ówdzie cichutko podzwaniały kajdany. Słońce rzucało ukośne promienie zza dalekich gór, otulonych czarowną pastelową tkaniną wieczoru. Odurzający zapach dzikiego stepu wabił skutych ludzi mirażem zakazanej wolności.

Z kantoru wyszedł naczelnik więzienia. Jako człowiek prymitywny i nieufny nie uznawał żadnej muzyki, a pomysł Jagdyna uważał nie tylko za godny potępienia i niefortunny, lecz wręcz za haniebny, sprzeczny z surowym charakterem więzienia, którym kierował twarzą ręką i ściśle przestrzegając przepisy.

— No więc — zaczął głośno — urządzacie wciąż te swoje wycia, a nigdy nie słyszeliście prawdziwej muzyki. — Mówił tak tylko dlatego, że bał się gubernatora. — No więc, zaraz ją usłyszycie. Zagra wam na skrzypcach słynny artysta, Jagdyn, który dla was, morderców, tłucze się po więzieniach. Zrozumiano?

Trumow osłupiał. Nie mniej zaskoczony Leftel popatrzył na niego ze współczuciem (znał jego historię).

— Ależ, po co to... — niepewnie szepnął nieszczęśliwy z krzywym uśmiechem. Nagle ugięły się pod nim nogi, osłabł i wpadł w przygnębienie. Jego udrękę potęgowała świadomość, że nie może odejść.

— Weźże się pan w garść, do diabła — rzucił Leftel.

Trumow znalazł się w pierwszym rzędzie, niedaleko ganku kantoru. Wreszcie spostrzegł Jagdyna. Skrzypek przystanął na najniższym schodku, ogarnął więźniów powolnym, uważnym spojrzeniem i niedostrzegalnie skinął głową, posłał uśmiech w kierunku udręczonej, stężonej twarzy Trumowa. Oczy Jagdyna płonęły niezdrowym blaskiem hamowanego wzburzenia. Doznawał słodkiego uczucia zaspokajanej nienawiści, przechodzącej niemal w uwielbienie rywala i we wdzięczność za jego mękę.

Trumow hardo nie opuścił oczu, lecz poczuł ucisk w sercu. Przeszłość oplwana przez pojawienie się Jagdyna stanęła przed nim w całej okazałości. Dusił się wprost w swym więziennym stroju. Skrzypek i to wziął w rachubę.

Zemstę swą obmyślił starannie i przed laty. Jej plan opierał się na takim oto wyliczeniu: on, Jagdyn, stanie przed Trumowem wolny, elegancki, bogaty, utalentowany i sławny jak dawniej, podczas gdy Trumow jest zhańbiony, zakuty w kajdany, brudny i wychudły. Uświadomił sobie wówczas, iż ma na zawsze zmarnowane życie. W dodatku Trumow usłyszy wspaniałą, porywającą muzykę Jagdyna, która przypomni katorżnikowi szczęśliwe życie człowieka wolnego i kochanego. To powinno złamać i zatruć jego serce.

Jagdyn świadomie odkładał wykonanie tego planu na trzeci rok katorgi Trumowa, żeby znieawidzony przez niego człowiek zdążył ugiąć się przez ten czas pod ciężarem swego straszego losu. Teraz przyszedł go dobić. Więzień to rozumiał. Podczas gdy artysta wyjmował cenny instrument ze lśniącego od złoconych napisów futerału, Trumow dokładnie mu się przyjrzał. Skrzypek ubrany był w elegancki biały garnitur, jasne półbuty i drogi kapelusz panama. Jego wspaniałe perłowe krawaty przywodził na myśl bukiet. Jagdyn ze wzniesionymi oczami wychylił się do przodu, w tym samym momencie pociągnął smyczkiem i zaczął grać. Ponieważ zaś chciał zranić Trumowa swą sztuką jak najboleśniej, grał z niebywałą nawet jak na siebie wirtuozerią. Wystąpił z drobnymi, ale pełnymi wewnętrznej mocy utworami klasyków: Mendelssohna, Beethovena, Szopena, Godarda, Griega, Rubinsteina, Mozarta. Bezlitosny urok muzyki wstrząsnął Trumowem, którego wrażliwość pobudzona była dodatkowo zjawieniem się męża Olgi Wasiljewny.

— Cóż to jednak za łajdak — szepnął Leftel.

Trumow nie odpowiedział. Niewyraźnie jeszcze, lecz władczo budziły się w nim nowe siły. Zapadł mrok, nie widział już twarzy Jagdyna, lecz jedynie niejasny zarys białej sylwetki.

Nagle dźwięki tak znajome i wzruszające, jakby to zmarła kobieta wyraźnie szeptała mu do ucha: „Jestem przy tobie”, kazały mu zerwać się z miejsca (więźniowie po komendzie „spocznij” siedzieli lub nawet półleżeli). Z zaciśniętymi pięściami zrobił krok naprzód. Leftel chwycił go za rękę i silnie przytrzymał.

— Na miłość boską, Trumow — powiedział szybko — niech się pan opamięta. Przecież za to posyłają na szubienicę.

Trumow zgrzytając zębami usłuchał. Jagdyn grał dalej ulubiony romans rywala „Czarny diament”. Robił to celowo. Często grywała go Trumowowi Olga Wasiljewna i pewnego razu Jagdyn przechwycił wymianę ich spojrzeń, którym wówczas jeszcze nie przydał znaczenia. Teraz tą prostą, ale rozlewną i smutną melodią ożywiał wspomnienia więźnia. Smyczek wywodził powoli:

*Na pamiątkę twych cierpień bolesnych
Czarny diament ci kładę u stóp...*

Skamieniały Trumow również i tę torturę przetrwał do końca. Kiedy skrzypce umilkły, a ktoś w kącie dziedzińca westchnął całą pierś: „O-och!”, roześmiał się nerwowo, przyciągnął do siebie głowę Leftela i szepnął z głębokim przekonaniem:

— Teraz już wiem, że Jagdyn popełnił wielki, niewybaczalny błąd.

Nic więcej nie dodał i jego słowa stały się dla Leftela zrozumiałe dopiero następnego dnia o dziesiątej rano, kiedy to pracując przy wyrębie lasu usłyszał nagle strzał, zauważył wymowne uśmiešky na twarzach współwięźniów i nadzorcę z dymiącym karabinem.

Nadzorca, który wybiegł z lasu na polanę, był zafrasowany i niespokojny.

— Ucieczka! — poniosło się przez las.

Rzeczywiście, ryzykując życiem Trumow uciekł do tajgi spod straży nadzorcy, który prowadził go do innej partii więźniów, by naostrzył tam piłę.

III

Minęło pół roku. Wieczorem do gabinetu Jagdyna wszedł lokaj z tacą. Leżały na niej listy i rulon zaklejony banderolą.

Muzyk zaczął przeglądać pocztę. Wcześniej niż inne otworzył list z australijskim znaczkiem; poznał charakter pisma i z pociemniałą twarzą czytał:

„Andrieju Leonidowiczu! Nadszedł czas, bym podziękował Panu za pański wspaniały koncert, z którym wystąpił Pan dla mnie dwa lata temu. Bardzo kocham muzykę. W pańskim wykonaniu sprawiła ona cud: zwróciła mi wolność.

Tak, słuchając pańskiej gry, byłem wstrząśnięty. Bogactwo wyczarowywanych przez Pana na więziennym dziedzińcu utworów pozwoliło mi odczuć w pełni cały utracony przeze mnie smak wolnego i twórczego życia. Gorąco go zapragnąłem i — uciekłem.

Taka jest bowiem siła sztuki, Andrieju Leonidowiczu! Użył jej Pan jako narzędzia, by osiągnąć niegodny cel, i przeliczył się Pan. Sztuka nie może wyrządzać zła. Sztuka nie może karać. Jest doskonałym wyrazem wszelkiej wolności, nic zatem dziwnego, że w mojej ówczesnej sytuacji, na zasadzie kontrastu, wzniosła, wspaniała muzyka stała się pożarem, który strawił zarówno minione, jak i przyszłe lata mego uwięzienia.

Szczególnie jestem Panu wdzięczny za »Czarny diament«. Zdaje Pan sobie przecież sprawę, że ulubiona melodia działa silniej niż inne.

Żegnaj Pana, proszę wybaczyć mi przeszłość. Nikt nie ponosi winy za tę miłość. Na pamiątkę tragicznego węzła życia, rozciętego pańskim smyczkiem, pozwalam sobie przesłać »Czarny diament«!

Jagdyn rozwinął rulon. Były w nim nuty znienawidzonego przezeń romansu Brehmera. Skrzypek wstał i do świtu krążył po gabinecie, zarzucając dywan niedopałkami.

Zatruta wyspa

I

Według relacji kapitana Tarta, który przybył do Achuan Scapu z Nowej Zelandii, i zeznań, jakie złożył wobec miejscowych władz — zeznań popartych przez członków jego załogi — w południowej części Oceanu Spokojnego na małej wyspce o nazwie Farfont zdarzył się wypadek zbiorowego dobrowolnego samobójstwa wszystkich mieszkańców wyspy. Ocalało jedynie dwoje dzieci w wieku lat trzech i siedmiu, przekazanych pod opiekę parostatku „Viola”, którym kapitan Tart dowodził.

Wyspa Farfont leży na 41° 17' szerokości południowej, z dala od morskich szlaków. Odkryta została w 1869 roku przez właściciela statku wielorybniczego, van Lotta, i widnieje bynajmniej nie na wszystkich mapach, z urzędowymi włącznie. Nie posiada żadnego znaczenia handlowego lub politycznego, a John Webster w swej „Historii żeglugi handlowej” pogardliwie kwalifikuje podobne jej wysepki jako „bezużyteczny drobiazg”, informując dodatkowo, że Farfont jest mały i skalisty.

W dzienniku pokładowym „Violi” widnieje następujący zapis:

„14 czerwca 1920 roku. Silny wiatr południowo-zachodni. Cały dzień walka o utrzymanie kursu, pod wieczór rozszalał się sztorm. Straciliśmy trzy żagle.

15 czerwca 1920 roku. Wiatr zniszczył grot i fok, ustawiliśmy grot zapasowy. Płyniemy na południe, marynarz Nok spadł do morza i utonął.

16 czerwca. Wiatry umiarkowane. W południe ukazał się ląd. To wyspa Farfont. Rzuciliśmy kotwicę. Na wyspę wyruszyli kapitan Tart, pierwszy oficer Insar oraz pięciu marynarzy”.

Tymi marynarzami byli Haverney, Drokis, Bekan, Habster i Strock.

Kapitan zeznał, że przed opuszczeniem szalupy zauważył przez lunetę stojącego na brzegu człowieka, który pospiesznie ukrył się w lesie. Wnioskując na tej podstawie, że wyspka jest zamieszkała, Tart — mimo iż po przybiciu do brzegu nie znalazł śladów życia — postanowił wyruszyć na poszukiwanie tubylców i uzupełnić zapasy żywności. Wkrótce istotnie odkrył w niewielkiej, urzekającej pięknnością dolinie, wśród malowniczej i bujnej roślinności pięć drewnianych domów, krytych trzciniowymi matami. Ludzi nigdzie nie było. Nie pojawili się także wówczas, gdy kapitan wystrzelił w powietrze z rewolweru, by w ten sposób przyciągnąć ich uwagę. Nad kominami nie unosił się dym, a nienaturalna, niesamowita cisza w osadzie mocno zdumiała Tarta. Zaczął obchodzić domy, których drzwi, jak się okazało, były otwarte, ale wewnątrz trzech spośród nich nie znalazł nikogo — ani pogrążonego we śnie, ani czuwającego. Piąty dom, licząc według kolejności obchodu, także był pusty, natomiast w czwartym podróżnicy odkryli umierającego czy nieprzytomnego mężczyznę; leżał na podłodze z wytrzeszczonymi oczami, twarzą bladą i zlaną potem. Z jego gardła dobywały się słabe jęki. Obok stali przerażeni i zapłakani trzyletni chłopczyk i sześć- lub siedmioletnia dziewczynka.

Kapitan próbował najpierw wypytywać chłopczyka, lecz nie uzyskawszy od niego odpowiedzi zwrócił się do dziewczynki. Z jej chaotycznej i zagmatwanej relacji dowiedział się tylko tyle, że „wszyscy odeszli”, a dokąd — dziewczynka nie wie; z nią i małym Filipem został leżący obecnie bez przytomności mężczyzna, „wujaszek Scorrey”. Dziewczynka imieniem Li — zdrobnienie od Livia — opowiedziała również, iż jeszcze pół godziny temu Scorrey żartował z nią i obiecywał, że zaraz nadejdą ludzie, którzy zabiorą ją i Filipa na „wielką ziemię”, gdzie zapewne będzie im nie najgorzej. Sam natomiast wypił niedawno coś z kubka, który dotychczas stoi na stole. Potem powiedział, że umiera, położył się na podłodze,

zaczął jęczeć i wreszcie rzekł do Li: „List oddaj człowiekowi ze złotymi guzikami”. Niczego więcej dzieci nie wiedziały.

Choć aromat kwitnących pod oknem krzewów był niezwykle silny i marynarzom dosłownie kręciło się od niego w głowach, kapitan powąchawszy resztki mętnego, pozostałego na dnie kubka, płynu, uznał za właściwe natychmiast przystąpić do ratowania Scorreya. Sądzono, że się otruł. Płyn miał nieprzyjemny zapach, intensywny i gorzkawy. Rozchyliwszy składanym nożem zaciśnięte zęby nieszczęśnika, Tart nie mając pod ręką nic lepszego począł wlewać do jego ust wódkę tak wolno, żeby nieprzytomny się nie zachłysnął. Po pół godzinie opróżnił manierkę swoją, Harveya i Drokisa. Tymczasem marynarze zagotowali w glinianym kotle wodę i obłożyli nagiego Scorreya wiązkami sparzonej wrzątkiem trawy, stosując w ten sposób coś w rodzaju łaźni. Tart działał powodowany bardziej intuicją niż według wskazań medycyny, ale w każdym razie chory przestał się dusić. Wówczas powtórzono gorące kompresy, zastosowano rozcieranie i w końcu Scorrey otworzył oczy. Miał spojrzenie obłąkanego. Niczego nie mówił i nic nie pojmował. Odezwał się dopiero po przybyciu do Achuan Scapu, ale dla istoty rozumnej sens jego mowy był bardziej niż żalony.

Dzieci, które pocieszyły się całkowicie oddanym do ich dyspozycji kieszonkowym zegarkiem Drokisa, oraz przytomnego już Scorreya na noszach wyprawiono na „Violę”, a kapitan zajął się badaniem tragicznego wydarzenia. Przedłożony obecnie władzom sądowym list Scorreya napisany był na tytułowej stronie Biblii; zamiast atramentu użyto, jak można sądzić, szybko ciemniejącego soku jakiejś rośliny. Tart odczytał nakreślone niewprawną ręką zagadkowe i straszliwe słowa. Oto treść listu (bez daty):

„My wszyscy, mieszkańcy Farfontu, oświadczamy i wyznajemy przed innymi ludźmi, że uważając dalsze życie za niemożliwe, ponieważ wszyscy jesteśmy obłąkani lub opętani przez demony, odbieramy sobie życie dobrowolnie i zgodnie ze wspólną umową. Josephowi Scorreyowi poleca się przechować niniejszy list do chwili, kiedy będzie miał możliwość wręczenia go jakiemukolwiek okrętowi lub statkowi. Zgodnie z ogólną prośbą i własną wolą Scorrey nie ma prawa odebrać sobie życia, nim nie nastęczy się możliwość wyprawienia z wyspy pozostawionych przy życiu z racji małoletności dzieci, Filipa i Livii”.

Tu następowały dwadzieścia cztery podpisy z oznaczeniem wieku każdego samobójcy. Najstarszy miał lat sto jedenaście, najmłodszy — czternaście. W pobliżu osady Tart odkrył wysoki, świeżo usypany kopiec — zbiorową mogiłę. Załoga „Violi” uprzętnęła zwiędłe kwiaty z drewnianego krzyża i zastąpiła je świeżymi wieńcami.

— Cała ta historia zrobiła na nas takie wrażenie — zakończył kapitan Tart — jakby na naszych oczach zarżnięto związanego człowieka. Pospiesziliśmy się, jak tylko było można, z naprawą takielunku i rankiem następnego dnia opuściliśmy straszny Farfont.

II

Tak więc „Viola” zawinęła do Achuan Scapu, dysponując następującymi dowodami samobójstwa mieszkańców Farfontu: resztą trującego płynu, którą obłąkany Scorrey przelał do starannie zakorkowanej butelki; wspólnym listem dwudziestu czterech zmarłych i dwójkiem absolutnie zdziczałych, według naszych pojęć, małych dzieci, płci męskiej i żeńskiej.

Przesłuchanie dzieci bardzo niewiele dodało do zeznań marynarzy i kapitana. Chłopczyk w ogóle nie mógł odpowiadać, ponieważ prawie nie umiał mówić, dziewczynka zaś, której najprawdopodobniej wspomnienia o życiu na wyspie poplątały się z wrażeniami podróży zakończonej przybyciem do wielkiego miasta, opowiadała jawne bzdury: „Ojciec mówił, że wszystkich nas zabiją”. — „Kto?” — „Jacyś ludzie, których jest bardzo dużo”. — „Widziałas ich?” — „Nie”. — „A czy do wyspy przybijały okręty?” — „Jeden, bardzo wielki,

większy ode mnie”. — „Przypomnij sobie, Li, kiedy to było? Bardzo dawno?” — „Tak, dawno”. — „A może niedawno?” — „Niedawno”. Dziewczynka nie orientowała się w czasie, a jej dalsza opowieść o statku, ludziach przebywających na wyspie i o ich ilości miała charakter na wpół zapomnianego, mglistego snu. Potem zaczęła mówić, jak wszyscy bali się, że zostaną zabici i jak w nocy przypląywało wiele okrętów, które strzelały do domów. Niektóre z nich unosiły się w powietrzu. Przesłuchujący potraktował to jako wytwór dziecięcej wyobraźni, zarażonej marynarskimi opowieściami, a także jako przejaw dziecięcej skłonności do mistyfikacji. Zapisał co prawda wszystko, lecz wyłącznie ze względów formalnych.

Zeznania dziewczynki rzuciły jednak pewne światło na szczególną, niezwykłą okoliczność, która właściwie wykluczała udział jakichkolwiek czynników zewnętrznych w całej sprawie. Według wspomnień sześciolatniego dziecka wyspę tylko raz odwiedził jeden statek; zakładając, że pamięć utrwała wrażenia od wieku lat trzech, można było przypuszczać, iż przez taki właśnie okres czasu Farfont odcięty był od wszelkich kontaktów ze światem. Stąd w naturalny sposób powstało pytanie, jak często statki przybijały do brzegów wyspy i czy każda taka wizyta nie urastała z biegiem lat do legendy. Mówiąc krócej, czy Farfont nie był tak zapomnianym miejscem, że statki zawijały tam ledwie parokrotnie na stulecie, i to tylko przypadkiem jak „Viola”?

Ponieważ władze administracyjne nic prawie o Farfontie nie wiedziały, a wszelkie pomniejsze oraz główne szlaki morskie właściwie nie brały pod uwagę jego istnienia, siłą rzeczy odpowiedź na owo pytanie wypadła twierdząco. A w takim przypadku należało wykluczyć ewentualność postronnej zbrodniczej ingerencji w sprawy mieszkańców Farfontu. Izolację wyspy od świata potwierdziły ponadto zeznania załogi „Violi”. Wyposażenie domów, broń, odzież oraz inne przedmioty, zbadane pobieżnie przez marynarzy, były dziełem rąk wyspiarzy, z wyjątkiem paru starych strzelb, książek i drobiazgów w rodzaju odłamek lustra czy skrawka tkaniny, które kiedyś dawno trafiły na wyspę. Sam Farfont wszyscy określali zgodnie jako „miejsce całkiem niebrzydkie”, a wrażliwszy od pozostałych Habster oświadczył, że to istny raj. Kapitan Tart szczegółowo rozwodził się na temat wyspy, ale jako człowiek praktyczny podkreślał urodzajność jej gleby, a także obfitość wspaniałej źródlanej wody.

Dalej natknijemy się jeszcze na dokładny opis Farfontu i dlatego wrócimy na razie do ustalonych faktów. Prowadzący śledztwo zatrzymał się na podstawie zeznań przy dwóch wersjach wydarzeń: 1. Mieszkańcy wyspy pod naciskiem nieuniknionych, niezwykłych okoliczności, przyczyn i pobudek lokalnego, a nie zewnętrznego pochodzenia, dobrowolnie, na zasadzie umowy pozbawili się życia. 2. Zamordowani zostali z nie ujawnionych przez śledztwo przyczyn przez jedyne go pozostałego przy życiu, obłąkanego obecnie Scorreya, przy czym ten ostatni, by uniknąć podejrzeń, ułożył sfałszowany i ze sfałszowanymi podpisami mieszkańców Farfontu list pośmiertny, który uwiarygodniłby fakt samobójstwa.

Druga wersja, jako najbardziej odpowiadająca prymitywizmowi myślenia służby kryminalnej i nieodpartemu ciężeniu władz, by dopatrywać się premedytacji nawet w przypadku, gdy człowiek po prostu przewraca się i rozbija sobie głowę — podchwycona została, niestety zbyt gorliwie, przez pewne gazety, których wydawcy wybawili w ten sposób czytelników od niepokojących rozważań, a dziennikarze obstawali nonszalancko przy „zdrowym rozsądku”, czyli przy tym, czego wobec niektórych zjawisk unikać należy jak dżumy.

„Goniec Poranny” pisał:

„Ha, ha! Chcą w nas wmówić, że cała wieś zdrowych, wyrosłych na łonie natury, nie znających przesytu, prymitywnych i półdzikich ludzi dotknięta została jakąś powszechną tragedią. Oczywiście nie wykluczone, że posprzeczali się oni o jakąś tubylczą piękność. No, a kobiety? Należałoby wobec tego zakładać jakieś powszechne rozczarowanie życiem, upadek ideałów itp! Scorrey jednak żyje, żyje także dwoje dzieci i one to przede wszystkim są przekonywającym dowodem diabelskiej przebiegłości zbrodniarza. Zdawał on sobie sprawę, że do wybrzeży Farfontu może przybić statek i przygotował się na taką mało prawdopodobną okoli-

czność. W momencie pojawienia się »Violi« staje przed nami w roli opiekuna rzekomo powierzonych mu dzieci, które mogły po prostu spać, gdy okrutny morderca truił swych współplemieńców. Warto zaznaczyć, że wprawdzie sam też wypił truciznę, ale nie umarł. Jest oczywiste, iż dawka została wyliczona tak...» itd.

„Obserwator” podtrzymujący wersję zbiorowego samobójstwa opierał się głównie na zeznaniach kapitana „Violi”:

„Pomijając już stopień zatrucia — pisał »Obserwator« — zatrucia, które o mało nie wyprawiło Scorreya na tamten świat, niewinność jego potwierdza stan zbiorowej mogiły. Jak twierdzi kapitan Tart, kopiec znajdował się na widoku w pobliżu osady; usypany nader starannie, obłożony darnią, z solidnym krzyżem stanowi niezbitą dowód wywiązania się przez Scorreya z całym szacunkiem ze smutnego obowiązku, jakim obarczył go los. Miał on do dyspozycji kilka łodzi, gdyby był mordercą, mógł bez przeszkód i pośpiechu wrzucić wszystkie trupy do morza i obwieścić gromkim głosem, że mieszkańcy wyspy zatnęli podczas polowania. Podajemy to tylko jako przykład. Oczywiście, przyczyny samobójstwa są nieodgadnione, ponieważ tekst listu napisanego całkiem rozsądnie wskazuje nie na obłąd czy „opętanie przez demony”, lecz jedynie na to, iż owo samobójstwo jest wynikiem jakichś nie znanych nam dotąd przyczyn. Autorzy listu poważnie widać wątpili, by trafił on do czyichś rąk, inaczej mielibyśmy może do czynienia z dokumentem obszernym i wyczerpującym. Lakoniczność listu świadczy ponadto o pośpiechu, z jakim owi nieszczęśnicy dążyli do samouniwersowania. Pozostaje nam cierpliwie oczekiwać powrotu Scorreya do zdrowia, na co w tej chwili, zdaniem doktora Nessara, istnieje pewna nadzieja”.

Analiza płynu przywiezionego przez kapitana „Violi” ustaliła obecność w nim silnej trucizny.

Scorreya, którego umieszczono w klinice profesora Arno Nessara, lekarze uznali za obłąkanego w stopniu pozwalającym liczyć na wyzdrowienie chorego. Spędził tam cztery miesiące. W tym właśnie czasie uległy wyjaśnieniu dodatkowe okoliczności dzięki badaniom i ekspedycji psychiatry de Mestre'a.

III

De Mestre, który znaczną część życia poświęcił badaniom problemu samobójstw, oblegany był przez dziennikarzy, damy, przedstawicieli władz i osoby nasłane przez policję. Wobec wszystkich podkreślał, że sprawa jest mocno zagmatwana, aczkolwiek osobiście skłaniał się do hipotezy o samobójstwie.

11 sierpnia subsydiowany przez czasopismo „Juniona” wypłynął z Achuan Scapu na zafrachtowanym w tym celu parowcu „Terencjusz”, licząc na to, że wizja lokalna na wyspie umożliwi zdobycie nowych danych. Powrócił 24 września, wprawiając opinię publiczną w osłupienie odkryciem faktów, które mocno zachwiały poglądem, iż śmierć wyspiarzy nastąpiła niezależnie od czynników zewnętrznych. Otóż niedaleko od morza, w skalistej zatoczce, de Mestre znalazł czterdzieści cztery butelki po winie — rzecz nie znana na Forfoncie — agrafkę oraz na wpółbutwiały numer dziennika „Patrolowiec” z 18 marca 1920 roku. To ostatnie znalezisko definitywnie utwierdziło de Mestre'a w przekonaniu, że wyspę na krótko przed „Violą” odwiedził jakiś inny statek.

Tymczasem dzięki licznym publikacjom i znacznemu rozgłosowi wokół sprawy redakcja dziennika „Obserwator” otrzymała list z Bombaju, podpisany przez kapitana Brahmsa i poświadczony notarialnie. Brahms dowodził parowcem „Riksza” należącym do Towarzystwa Okrętowego w Sydney. List kapitana był, ściśle biorąc, przedsiódką prawdy, której tragiczne oblicze ujawniło się w pełni dopiero w dniu powrotu Scorreya do zdrowia. Oto on:

„5 kwietnia 1920 roku »Riksza« poszukująca zaginionego statku »Vendôme« dostała się w zasięg cyklonu i uległszy poważnym uszkodzeniom zniesiona została daleko na południe. Rankiem 20 kwietnia dostrzeżliśmy niewielką wyspę, nie oznaczoną na mapie; nikt z mojej załogi nie bywał na niej i nie wiedział o jej istnieniu. Zamieszkujący wyspę mieszkańcy pochodzili, według ich wyjaśnień, od dwu rodzin emigrantów, wysadzonych na ląd w tym odległym zakątku z przyczyn natury politycznej przez krążownik »Brobdygnac« w 1870 roku. Wskutek tego na Farfoncie bytowały wyłącznie dwie rodziny — Scorreyów i Gonzalesów. Trudniły się one rolnictwem, myślistwem i rybołówstwem. Zmuszeni do egzystencji w wyjątkowych warunkach produkowali i zdobywali wszystko, co jest niezbędne do życia, własnymi rękami i środkami z wyjątkiem przedmiotów przywiezionych na wyspę przez jej pierwszych mieszkańców lub sprzedanych przez przypadkowo zawijające tu statki.

Ostatnim okrętem, jaki ich odwiedził, był zrewoltowany »Skarabeusz«. Rzucił on kotwicę u wybrzeży Farfontu sześć lat temu, nietrudno zatem pojąć, z jakim powitaniem i wzruszeniem. Tubylcy wylegli na brzeg, otaczając niezwykłych gości. Wszystko do ostatniego guzika na naszych mundurach stało się przedmiotem nie milknących dyskusji i pytań. Okazało się, że przybyliśmy akurat w dniu ślubu młodego Antonio Gonzalesa z nie mniej młodzieńką Joanną Scorrey. Oczekiwała nas zatem uczta, nieustanne pytania o sprawy wielkiego świata i widok barbarzyńskiego, lecz niesłychanie sympatycznego wesela.

Pan młody w dość zręcznie skrojonym ubraniu i wielkim słomkowym kapeluszu nie budził swym wyglądem wątpliwości. Był to zgrabny ciemnoskóry młodzieniec z nieco głupkowatym uśmiechem i dużymi powabnymi oczami, w których odbijały się powaga i uroczystość chwili. Natomiast panna młoda w decydującym momencie ukryła się za narożnikiem domu — zawstydzona zapewne naszą obecnością — i straciliśmy niemało czasu, nim udało się nam spojrzeć na jej sympatyczną buzię. Wyszła wreszcie z ukrycia zarumieniona i speszona. Szyper Polladuc, specjalista od komplementów, zaczął głośno wychwalać jej wdzięki, co wyraźnie podniosło ją na duchu. Raczyła zerknąć na niego jednym okiem, błyszczącym i nainnym niczym tygodniowe kurczątko. Prosta sukienka z nędznego materiału domowej roboty okrywała jej delikatną, niepewną jeszcze w ruchach, figurkę, wdzięczną i zgrabniutką.

Obrzęd ślubny był nader prosty i wspomniały zarazem. Staliśmy na brzegu potoku lśniącego błękitem i bielą w załomach granitu, który przed nami, na drugim brzegu, tworzył wymyślną cieniastą arkę. Pokrywały ją aksamitne zwoje pnącej się zieleni. Rozproszone nad arką promienie słoneczne czyniły z powietrza coś na kształt płonącego ogniska lub złocistej zasłony, przez którą przeświecały lazurowymi cieniami zarysy ukwieconego brzegu. Na horyzoncie wąskim sierpem lśnił ocean.

Dziadek Scorrey odmówił modlitwy, odczytał fragmenty Biblii, połączył starczą ręką gorące dłonie młodej pary i wróciliśmy do osady. Tam, na brzegu morza, w niewielkiej skalistej zatoczce, rozpoczęła się uczta, uświetniona przez nas dwiema skrzynkami wina i rumu. Zacząłem opowiadać o aktualnych wielkich wydarzeniach, wynalazkach i gigantycznych zmaganiach naszych czasów, z góry delektując się piorunującym wrażeniem, jakie na tych ludziach winna sprawić moja opowieść.

Istotnie byli wstrząśnięci. Nakreśliłem im możliwie pełny obraz straszliwej wojny między dziewięcioma państwami, relacjonując jej ważniejsze wydarzenia, jej plan, przebieg i czas trwania oraz użyte przez przeciwników środki techniczne i moralne. Ktoś wyraził powątpiewanie o prawdziwości moich słów, wobec czego dałem im będący w naszym posiadaniu numer »Patrolowca«. Mieszkańcy Księżyca lub Marsa nie wywołałyby po wylądowaniu na ziemi takiej sensacji jak my naszym »Patrolowcem« i opowieściami o bitwach milionowych armii. Zasypano nas tyloma pytaniami, że w przybliżeniu tylko wyczerpujące odpowiedzi pochłonyłyby połowę życia.

Przyznaję, że gdy opowiadałem wyspiarzom o genialnych wynalazkach ludzkości w dziedzinie żeglugi powietrznej, radia, chemii, techniki morskiej i artyleryjskiej, doznawałem

— nie bacząc na grozę wydarzeń ostatniego dziesięciolecia — uczucia mimowolnej dumy, a ściślej, przewagi nad owymi półrobinsonami. Opisywałem im wygląd dreadnoughtów, zeppelinów, aeroplanów, betonowych bunkrów i opancerzonych fortów, przyprawiając słuchaczy o drżenie wagą szesnastocalowego pocisku lub rozmiarami leja po wybuchu bomby, która może zmieść z powierzchni ziemi sporą wioskę.

Przegadaliśmy całą noc. Pod wieczór następnego dnia skończono naprawę uszkodzeń na pokładzie i statek podniósłszy kotwicę przybył 3 maja do Melbourne. W powyższym liście zrelacjonowałem wszystkie szczegóły naszego pobytu na Farfoncie. Uważam za właściwe dodać, iż wiadomość o tragicznej i niezwyklej śmierci naszych gospodarzy wywarła na nas wszystkich, którzy ich znaleźliśmy, niesłychanie przygnębiające wrażenie. Jeśli moje, nie posiadające zapewne żadnego bezpośredniego związku ze sprawą, wyjaśnienia zdołają rzucić nieco światła na tajemnicę śmierci tych pogodnych i gościnnych ludzi, doznam gorzkiej satysfakcji człowieka, który mógł się przyczynić do ujawnienia smutnej prawdy”.

IV

20 września Scorrey złożył wreszcie zeznania. Ich stenogram jest chaotyczny, pełen powtórzeń i dygresji, ponadto sam sposób wyrażania się opowiadającego tak dalece odbiega od naszego sposobu myślenia i porozumiewania się — wypracowanego w stałym kontakcie z mnóstwem ludzi zarówno osobistym, jak i pośrednim dzięki listom, depešom, książkom, gazetom — że uznaliśmy za wskazane ująć te zeznania w ogólnie przyjętą formę literacką, nie pomijając ani faktów, ani uczuć, jakie one budzą.

— Bardzo trudno było nam uwierzyć w słowa kapitana Brahmisa — mówił Scorrey — że podczas gdy my niczego nie podejrzewając słuchaliśmy jedynie plusku fal i szelestu rozkwitających gałęzi, Europa przeżyła taką straszliwą wojnę. Brahmis pokazał nam jednak gazetę, wprawdzie przedawnioną, lecz dobitnie potwierdzającą to, co opowiadał.

Kapitan i jego towarzysze rozmawiali z nami całą noc, wprowadzając nas — wzburzonych, wstrząśniętych i zasłuchanych — w sam gąszcz wydarzeń. Dowiedzieliśmy się, że wojna dotknęła setki milionów ludzi. Dowiedzieliśmy się, że zniszczono wiele miast, a nawet całe kraje. Dowiedzieliśmy się, że ludzie latają stadami na skrzydlatych maszynach, rzucając z góry bomby na okręty, domy i lasy. Dowiedzieliśmy się, że z pomocą specjalnego duszącego wiatru spalono płuca dziesiątkom tysięcy żołnierzy. Dowiedzieliśmy się wielu podobnych rzeczy, a również o tym, że nie wiadomo, czy taka sama wojna się nie powtórzy.

Kapitan z towarzyszami udał się na statek, by naprawiać uszkodzenia, a my nadal roztrząsaliśmy przywiezione przez nich wieści.

Tego dnia nikt z nas nawet nie pomyślał o pracy. Każdy po swojemu oceniał sytuację. Jedni twierdzili, że Brahmis zapewne nas okłamuje i że wojna prawdopodobnie jeszcze trwa. Inni uprzedzali, że nastały czasy sprzyjające piratom i niewątpliwie zostaniemy wkrótce napadnięci. W ogóle popadliśmy w nieufność i przygnębienie; wszyscy obnosili się z przeczuciami, opowiadając na prawo i lewo o swych domysłach na temat wydarzeń w Europie, którą wyobrażaliśmy sobie niezbyt jasno.

Ktoś — nie pamiętam już kto — powiedział, iż niewykluczone, że za rok lub dwa pozostaniemy jedynymi mieszkańcami Ziemi, ponieważ walczący wyniszczą się niewątpliwie nawzajem swymi przerażającymi wynalazkami. Mój krewny, Leon Scorrey, mówił, że należy obawiać się czegoś innego, a mianowicie masowej ucieczki z gęsto zaludnionych kontynentów milionów ludzi, którzy w poszukiwaniu bezpieczeństwa rozproszą się po najodleglejszych zakątkach ziemi. Liczni i dobrze uzbrojeni przybysze mogliby nas oczywiście pokonać, zabierając nasz dobytek, uprawną ziemię i łodzie. Powstał nawet projekt poproszenia Brahm-

sa o zabranie nas z wyspy, byśmy nie zostali samotni w strachu i niewiedzy, ale tchórza natychmiast postraszono i przywołano do rozsądku tłumacząc mu, iż niewiedza jest lepsza niż wydarzenia w wielkich krajach. Jednak wieczorem, gdy statek już odpływał, dwu naszych starców odwiedziło parowiec, prosząc o zawiadomienie świata o naszym istnieniu i o przysłanie statku płynącego odwrotnym kursem, który zabierze pragnących odejść, gdyby tacy się znaleźli. Brahms uspokoił starców obietnicą, że uczyni to dla nas. O zachodzie statek odpłynął.

Ową noc spędziłem, jak i wielu innych, w ciężkim półśnie, wstając od czasu do czasu, by zaopiekować się żoną, która zachorowała pod wpływem wszystkich tych przeżyć. Dwa dni po odpłynięciu „Riksy” Juan Gonzalesa, łowiący ryby wraz z Antonio, mężem Joanny, wrócił rankiem i oświadczył, że pół mili od brzegu spostrzegli okrągły błyszczący przedmiot nabijany gwoździami i podrzucany przez fale. Wkrótce przybył Antonio i potwierdził jego słowa. „O mało na to nie wpadliśmy” — dodał błędąc. Najwidoczniej była to jedna z płynących min, o których wspomniał Brahms.

W południe nad naszymi głowami rozległ się silny warkot, wszyscy wybiegli z domów. Z pola uciekali przerażeni ludzie. W górze, omijając drzewa, leciał z szybkością mowy ogromny ciemny przedmiot, zmieniający kształt. Skręcił nad lasem, obniżył się gwałtownie i znikł.

Byliśmy tak przerażeni, że wszyscy krzyczeli naraz, nie słysząc się nawzajem. Nawet najwięksi sceptycy nie mieli już wątpliwości, że dokoła Farfontu trwają bitwy morskie, a zwiadowcy obserwują okolice, latając nad wyspą. Od zachodu usłyszeliśmy wkrótce dudniącą kanonadę czy może wybuchy. Wszyscy wylegli na brzeg. Na styku nieba i wody widniały liczne dymy; dobiegał stamtąd grom ospałej ciężkiej kanonady, tłumionej przez odległość. Zdawało się, że ziemia drży pod stopami. Trwało to godzinę lub dłużej, potem wszystko znikło.

Wieczorem trzech Gonzalesów poszło do lasu po drzewo. Wrócili, z trudem łapiąc dech. Słyszeli tętent niezliczonych kopyt, krzyki, szczęk szabel i jęki, ale nikogo nie widzieli. Allan Scorrey, który znajdował się w tym czasie przy wodospadzie, przyszedł nieco później; zauważyli z żoną uzbrojonego jeźdźca na skale, który z dłonią nad czołem patrzył w stronę lasu; spostrzegłszy Scorreya przepadł, ledwie tknąwszy cugli.

— Na wyspie wysadzono desant — zakończył swoją opowieść Allan wysłuchawszy Gonzalesów. — Nie wiemy, co to za wojna, ale zagraża nam niebezpieczeństwo, może nawet śmierć. Musimy przetrząsnąć wyspę.

Podjąłem się tego z Antonio Gonzalesem. Poświęciwszy pół następnego dnia na penetrację Farfontu nie znaleźliśmy żadnych śladów, ale słyszeliśmy zgiełk i szczęk broni, którym towarzyszyły okrzyki. Po powrocie zastaliśmy naszych pogrążonych w wielkiej trwodze. Kobiety płakały. Przyniesione przez nas wiadomości wszystkich zdumiały i przeraziły jeszcze bardziej.

— A może — rzekł potrząsając głową stary Hansom — może ludzie potrafią być niewidzialni? Obecnie, jak powiadają, nastąpiły czasy niezwykłych odkryć.

— A trupy? — spytałem.

Starzec milczał.

— Patrzcie, patrzcie! — wykrzyknęła w tym momencie moja siostra. Śledząc jej przerażone spojrzenie zobaczyliśmy, że całe niebo pokryte jest szybko mknącymi tajemniczymi statkami z dziwnym, niespotykanym olinowaniem, które przywodziło na myśl żaglowce i jakby odbijało się w powietrzu pod statkami. Dobiegał stamtąd huk i świst, zgiełk i zawodzenie dzwonów. Wkrótce wszystko przesłonił dym strzelaniny, brzmiałej w naszych uszach jak wyrok śmierci. Kobiety mdlały, kryły się w domach, szlochały. My, mężczyźni, staliśmy jak wrośnięci w ziemię, niezdolni do zrobienia choćby kroku. Wreszcie burty ostatnich potworów przepadły za skałami i mogliśmy, znów zebrani razem, wyznać sobie wzajemnie naszą wspól-

ną trwogę. Nikt nie umiał wytłumaczyć tego, co się dzieje. Tej nocy spały jedynie dzieci...

Te nieustanne, przygnębiające nas i groźne wydarzenia towarzyszyły nam miesiąc i dwa tygodnie i wreszcie doszliśmy do stanu godnego pożałowania, prawie szaleństwa. Baliśmy się oddalać zbyt od domu, by nie pozostać w samotności; wszelkich prac zaniechano; tych, kto szukał wytchnienia w łóżku, przesładowały straszne i niespokojne sny; dzieci, bardziej niż pozostali, wystraszone zawieruchą, która zniszczyła nasze spokojne życie, płakały; tak samo ich matki wychudłe od nieustannego lęku; mężczyźni zdecydowani niekiedy wyzwolić się spod władzy wojowniczych sił, przetrzasali gromadnie wyspę, by sobie udowodnić, że jesteśmy jej jedynymi panami. I upewnieni o tym, za każdym razem wpadali w jeszcze większą trwogę. Przygłuszony huczący grom przetaczał się nad naszymi głowami; odgłosy przypominające dalekie wybuchy przerywały rozmowy w pół słowa, a w powietrzu rozbrzmiewały jęki i lamenty to ciche i żałosne, to znów głośne, nabrzmiałe bólem i gniewem. Nocami słyhać było gwałtowną kanonadę od zachodu, jakby nieprzerwanie toczył się tam bój. Ludzie, którzy wychodzili na brzeg, by obserwować morze, widzieli napadające na siebie ciemne masywy okrętów nieznaney bandery. Zapomnieliśmy już, co to jest spokój. Co się z nami dzieło? Co dzieło się dokoła? Znużyło nas zadawanie pytań. Wreszcie któregoś wieczoru mój daleki kuzyn Allan Scorrey powiedział do nas, zgromadzonych w jego domu, że nie widzi żadnego innego wyjścia z tej beznadziejnej sytuacji poza śmiercią: „Nie czuwamy i nie śpimy. Poddać władzy szatańskiego koszmaru, a właściwie przerażającej rzeczywistości, która dzięki nieznanym nam środkom osiągnęła szczyty niepoznawalności, odcięci od całego świata, niczego nie świadomi, niewinni, tracący rozum, wkrótce zupełnie oszalejemy i napełnimy powietrze dzikim wyciem. Za co? Nie wiemy. Proponuję, żebyśmy dobrowolnie umarli”.

Nie znalazł się nikt, kto zdecydowałby się lub chciał zaprotestować. W absolutnej ciszy Allan przygotował tyle losów, ilu było mężczyzn: ten, kto wyciągnie najkrótszy patyczek, zostanie żywy, by pogrzebać pozostałych. Na mnie spadło to okropne nieszczęście. Wówczas moja owdowiała siostra, Alice Scorrey, powiedziała: „Niechaj tak będzie, ale ja nie zabiorę moich Filipa i Livii ze sobą”. Potem powierzyła ich mnie, zaklinając, bym doczekał jakiegoś statku i nie odbierał sobie życia tak długo, póki dzieci nie będą mogły opuścić wyspy.

Protestowałem ze wszystkich sił, lecz musiałem ustąpić wobec prośb, zresztą istotnie ktoś musiał zająć się pogrzebem. Zaszlochałem jednak widząc jasno swą straszliwą przyszłość. Samotny, pełen mrocznych wspomnień, obarczony dwojgiem dzieci miałem znosić męczarnię i gorsze cierpienia niż śmierć na torturach. Zgodziłem się może dlatego, że mój umysł był znużony i nie do końca pojmowałem, co się dzieje.

W tym miejscu zeznań Scorrey zemdłał. Odzyskawszy przytomność najwidoczniej jak najszybciej chciał dopowiedzieć resztę. Stenogram jest tu chaotyczny, urywany i krótki.

— Wszystkich ogarnęła istna gorączka niecierpliwości. Napisano list, Allan przyniósł truciznę. Wyszedłem zabierając dzieci i mówiąc im, że reszta naszych zaraz nadejdzie. Za nic na świecie nie wróciłbym tam, do domu Allana. Leżałem na wół śniąc, na wół majacząc. Co się tam dzieło — nie wiem. Słońce już zachodziło, kiedy znalazłem siły, by otworzyć tamte drzwi.

Zobaczyłem...

Scorrey odmówił opowiedzenia, jak grzebał tych nieszczęsnych. Dalsze jego zeznania — ponurą opowieść o życiu chorego mężczyzny z dwojgiem małych dzieci, które musiał żywić i uspokajać najrozmaitszymi bajkami, wyjaśniającymi zbiorowe zniknięcie — znaleźć można w „Miesięczniku Achuan Scapu”, periodyku, który zamieścił najdokładniejsze sprawozdanie o wydarzeniach na Farfoncie. Autor, powołując się na Muellera, Quinsi i Ribota, wysuwa hipotezę zbiorowych halucynacji i „lęku przed życiem” — specyficznego defektu psychicznego, zbadanego szczegółowo przez Krafta.

W konkluzji, opisując wspaniałą roślinność wyspy, jej łagodny klimat i wyjątkowy urok pierwotności, która niewiele potrzebuje i nikomu nie szkodzi, autor kończy artykuł następują-

cym spostrzeżeniem:

„Byli to najszczęśliwsi ludzie na Ziemi, których zabiło echo przebrzmiałych, nie znanych historii salw”.

Przełożyła Zofia Dudzińska

Genialny gracz

I

O, Muzo, użycz mi natchnienia, abym mógł opiewać człowieka czwartego wymiaru — człowieka zielonego stołu — albowiem właśnie w kartach, a raczej w nieodgadnionych dotychczas prawach ich kombinacji kryje się tajemnicza filozoficzna sfera rzeczy i pojęć materialnych i metafizycznych, praktycznych i teoretycznych, fizycznych i geometrycznych. Wszystko to znajduje się poza granicą ludzkiego rozumowania, gdzie wszelka kalkulacja, lotność umysłu i przenikliwa intuicja są papierowym mieczem. Wszelkie próby ogarnięcia tego wszystkiego ludzkim rozumem są z góry skazane na zagładę. Najdoskonalszy umysł nic tu nie zdziała i tylko *g ł u p i e c* w znaczeniu prostodusznej nomenklatury „dobrych ludzi” jest w grze w karty uzbrojony w coś takiego, co mu pozwala z zawiązanymi oczami iść tam, gdzie nie ma wejścia ani wyjścia.

Jednakże znalazł się człowiek, który rozwiązał tę wielką niewiadomą drogą osobliwych obliczeń, których tajemnicę zabrał ze sobą do grobu, a umarł dlatego, że natknął się na olbrzymią przeszkodę, która nie pozwoliła mu wykorzystać rezultatów swego nieprawdopodobnego wysiłku.

Było to w roku tysiąc dziewięćset czteremastym. Nowojorski klub „Santa Lucia” dopiero co otworzył swoje luksusowe apartamenty dla niezliczonych argonautów, którzy szukali tam, gdzie nie zgubili, i zbierali plony tam, gdzie nie zasiali. Potomstwo Jacka Hamlina zasiadało do stołu przy dźwiękach tak uroczej orkiestry, w artystycznie urządzonej wnętrze, wśród pięknych mebli, wspaniałych obrazów, rzeźb i gobelinów, że tylko ryza dusza jankesa mogła pozostać niewrażliwa na otaczający ją przepych, koncentrując cały swój zapal na ilości oczek. Przyzwoitości stawało się zadość. Diabelski wachlarz namiętności był nienagannie zamaskowany blichtrzem; grała muzyka, a odświeżający powiew od srebrzystych fontann przydawał temu, co się działo, magiczny powab „Letniej fantazji” Ainswortha, wykonywanej na cztery ręce.

Nagle rozległ się krzyk.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w kierunku stołu, gdzie młody człowiek o bladej twarzy, przystojny, dobrze ubrany, z wściekłością, ale z zachowaniem godności w ruchach i wyrazie twarzy, wrywał się z rąk dwóch silnie zbudowanych krupierów, którzy trzymali go za ręce. Człowiek ten rozwarł pięść i na stół, połyskując razem ze złotem, wysypała się talia kart. Krupierzy szybko ją zebrali.

Podobne wydarzenia charakteryzują się tym, że dla ich oświetlenia przypadek zsyła zazwyczaj człowieka posiadającego dar wymowy. Taki człowiek znalazł się natychmiast i zgodnie ze swoją rolą uraczył obecnych krótkim opowiadaniem:

— Gdy tylko zasiadł do gry, przeniknął mnie dreszcz, ogarnęło mnie jakieś złe przecucie. I rzeczywiście, przez niecałe pół godziny rozstałem się z dwudziestoma tysiącami dolarów, przy czym nie wygrałem ani razu. Nie mniej, jeśli nie więcej przegrali Grant, Eimer,

Granthome. Przedtem jeszcze, poświstując, odszedł od stołu niezwykle blady Jakobs. Krótko mówiąc, ten młody człowiek trzymał bank, wszystkich ogrywał i nikomu nie dał wygrać. Nie pamiętam, żeby się komu tak szczęściło. Przygotowywał się do tasowania trzeciej talii, ale tak niezręcznie zmienił karty, że natychmiast został przyłapany. Zaraz po tym ja, Grant, Eimer, Granthome i Jakobs udaliśmy się do gabinetu dyrektora klubu prosić o zwrot przegranej.

Skończywszy opowiadanie, narrator wyszedł, za nim udali się Grant, Eimer, Granthome i Jakobs, otoczeni tłumem kobiet, uśmiechających się, eterycznych, pięknych — i absolutnie nieznośnych w grze przez swoje kłótnie i chciwość.

II

Podobne sprawy rozstrzygano w „Santa Lucia” bez świadków; często słyszało się tutaj krzyki i przekleństwa artystów ciemnej gry, którym karę wymierzał sam dyrektor klubu, a więc i tym razem nic nie wskazywało na to, że będzie inaczej. Jednak zatrzymany młody człowiek, kiedy go wprowadzono do gabinetu, zażądał w imię prawdy, którą postanowił odsłonić, oddalenia wszystkich postronnych, w tym ofiar swoich niezwykłych praktyk.

Lokaje, z zakasanyimi już rękawami, wyszli, pokastując z niezadowoleniem; drzwi szczelnie zamknięto, nieszczęsną talię kart — rozłożono na stole, a dyszący zemstą czterej dyrektorzy, jeden od drugiego bardziej apoplektyczny, mięsisty i masywny, stali wokół zde-maskowanego, tworząc zwarty romb.

Twarz przyłapanego na gorącym uczynku od czasu do czasu drgała, ale nie można było zauważyć na niej ani wstydu, ani zmieszania, ani lęku. Nic w nim nie wskazywało na oszusta, przeciwnie, wydawało się, że temu człowiekowi z twarzą o tak pięknych rysach sądzone są wniosłe sprawy i zawrotna kariera.

— Powiedziałem, że złożę zeznanie i składam je — oświadczył wyniośle. — Powiem c o, ale zachowam przy sobie — j a k. Nazywam się Joachim Gnejs. Mój dziadek był graczem, matka i ojciec — również. Od jedenastego roku życia opanowała mnie idea nie przegrywającej talii. Ta idea przerodziła się w namiętność, w manię, w szaleństwo. Przystudiowałem wszystkie szulerskie sztuczki i przeróżne systemy, których autorzy łamali sobie głowy z braku innych zajęć. Ale chciałem grać u c z c i w i e.

Nieustanne uporczywe rozmyślenia o tym samym doprowadziły do tego, że mogłem już w swoich doświadczeniach obchodzić się bez kart. Na ulicy, w domu, w lesie lub wagonie otaczały mnie korowodem widma pięćdziesięciu dwu kart, które przedstawiałem i łączyłem w pamięci, jak chciałem.

Tak upłynęło osiem lat. Czując zbliżanie się kulminacyjnego punktu — rozwiązania nieprawdopodobnej zagadki, nad którą się głowiłem w sposób maniakałny, zaszyłem się w opuszczonym domu, gdzie prawie bez snu i pożywienia przez siedem dni kontemplowałem ruchy znaków kart. Jak Bachowi o b j a w i ł o się jego dzieło natchnione pięknem i harmonią form architektonicznych, kiedy zasnął w kościele, tak mnie objawiła się moja kombinacja. Przyszło to nieoczekiwanie. Z otaczającej mnie niematerialnej cizby widm karcianych odłączyło się pięć kart. Karty te ułożyły się i ulokowały w pozostałej talii w taki sposób, że nie miałem już żadnych wątpliwości. Znalazłem to, czego tak usilnie szukałem.

Istota mojego odkrycia polega na tym: oto kilka kart. Nie są one znaczone ani podrabiane. Słowem — karty u c z c i w y c h ludzi. Mieszam je z talią. Potem może talię tasować tysiąc ludzi i przekładać ją, jak tylko zechce — ja nawet jej nie dotknę — mimo to ja będę miał z a w s z e więcej oczek od pozostałych graczy.

W jaki sposób to osiągam?

Biorę z tej talii s z e ś ć kart; jakich — nie powiem wam. Pięć z nich mieszam w

określonej kolejności i wkładam w jakimkolwiek miejscu talii. Szóstą kartę wkładam jako przedostatnią od spodu. Następnie talia ta wśród dowolnej ilości innych talii może być tasowana na różne sposoby — j a z a w s z e wygram. Zgubiła mnie niezręczność. Ale nie możecie mnie nazwać szulerem.

III

Zdumieni dyrektorzy, chcąc sprawdzić to, co mówił Gnejs, zaprosili ekspertów, doświadczonych graczy w przeróżnych grach, ludzi, których los mienił się wszystkimi barwami gwiazdy zwanej Szczęście Gracza. Dziesięć razy przetasowali oni talię, którą Gnejs po kryjomu przed nimi na swój sposób ułożył, i nie zdarzyło się ani razu, żeby karty, które otrzymał, przegrały. Za każdym razem Gnejs miał najwięcej oczek.

Spojrzenie, rzucone młodemu odkrywcy przez gracza Bootesa, a wyrażające pogardliwe i głębokie współczucie sprawiło, że Gnejs zaczerwienił się i nagle zbladł. Wstał, ale Bootes zatrzymał go uprzejmie.

— Rozum w służbie wulgarności — powiedział krótko. — Talent chama, geniusz idiotyzmu. Pan...

Ale Gnejs rzucił się na niego. Pozostali gracze nie dopuścili do starcia, lecz na twarzach przeciwników gorzała chęć walki. Gnejs ciężko dyszał, Bootes wpatrywał się w niego uporczywie, zaciskając starcze, wąskie wargi.

— Obraziłem pana rozmyślnie — powiedział oziębło. — W pańskiej twarzy czytam podłość, brak wyobraźni i niskie, pospolite wyrachowanie. Gra jest piękna tylko wtedy, kiedy towarzyszy jej urzekająca niepewność. Życie — również. Jedno i drugie podporządkował pan regułom buchalterskiego rachunku. I dlatego gwoli pańskiej satysfakcji proponuję rozstrzygnięcie naszego sporu pańską talią, zagramy we dwóch.

Gnejs roześmiał się.

Potasowano i rozdano karty. Gnejs ułożył swoje karty i zmieszał je z całą talią. „Kto przegra, ten się zastrzeli — powiedział Bootes. — Kto będzie miał mniej oczek, ten umrze”.

— Siedem — oświadczył spokojny Gnejs, wykładając karty.

— Dziewięć — odparł Bootes.

Gnejs zbladł. Potrzymał karty jeszcze przez chwilę, potem złapał się ręką za kołnierz i upadł martwy. Jego serce nie zniosło tak silnego ciosu.

— Zdarza się — powiedział Bootes do zdumionych świadków tej sceny. — Prawdopodobnie jego odkrycie tylko niekiedy, bardzo rzadko — może raz na dziesięć lat — ulega pewnemu odchyleniu. A w ogóle, system ten nie ma r ó w n e g o sobie. A jednak przegrał.

Przełożyła *Marta Tywonek*

Dokoła świata

I

Ostatnie dziesięć mil, jakie dzieliły zwycięskiego Julesa od kipiącego życiem Zurbaganu, wędrowiec przebył tak szybko i żwawo, jakby każdy krok sprawiał mu nieopisaną radość.

Rozpoznawał porzucone dwa lata temu miejsca i czuł się zachwycony, jak chory, którego cudem przywrócono do życia i któremu błogie poczucie bezpieczeństwa ukazuje dom przy akompaniamencie zwycięskiego marsza.

Ubranie Julesa w dniu jego powrotu składało się z szarych wełnianych skarpet do kolan, solidnych butów z klamrami, krótkich skórzanych spodni, niebieskiej płóciennej bluzy i wielkiego słomkowego kapelusza, powyginanego w najdziwaczniejszy sposób — jego jedyną ozdobą był ślad po kuli. U pasa, w skórzanej kaburze, wisiał stary przyjaciel — siedmiostrzałowy rewolwer, a na plecach — worek podróżny.

Jules głośno postukiwał sękatym kijem i gwizdał tak przenikliwie, że spłoszone wróble podrywały się już na odległość stu kroków.

Zakreśliwszy łuk drogą na równinie, oddzielającej robotnicze przedmieścia Zurbaganu od lesistych dolin Cassetu, Jules wkroczył wreszcie na ruchliwą ulicę Pełni Księżycy. Jasne światło poranka i względny dla tej szerokości geograficznej jego chłód sprzyjały ożywieniu ruchu ulicznego. Potężna postać Julesa, jego sprężysty chód wyćwiczony podczas długich wędrówek, ogorzała, podniecona twarz i bezwiedny uśmiech tak wymowny i zaraźliwy, że zmusiłby do obejrzenia się najbardziej ponurego hipochondryka — szybko zwróciły uwagę licznych przechodniów. Jules spojrzął na zegarek, było pół do dziewiątej. „Assol jeszcze śpi — pomyślał. — Nie należy mieć radości spotkania mieszaniną snu i rzeczywistości. I tak jestem już w domu”. Czując wreszcie zmęczenie, Jules skręcił na rozległe bulwary, znalazł skromną knajpkę i siedząc w pustej o tej porze sali przy okrągłym stoliku ze szklanym blatem, poprosił o jajecznicę z cebulą, butelkę wódki oraz mocne cygara.

Prawie natychmiast za nim weszli: ponury sklepikarz z dłońmi ukrytymi pod fartuchem; gruby i odęty dziesięcioletni chłopiec, zarumieniony z podniecenia i ciekawości; młoda kobieta o męskim wyglądzie, w półkoszulku ze sztywnym kołnierzykiem, z męską laską, męską teczką i o męskim sposobie bycia; zapity długowłosa facet; szczupły ruchliwy pan żwawy i wyświeżony; dwie panny oraz kilku bezbarwnych lalusiów z laseczkami i złotymi dewizkami.

Właściciel knajpki zezując znad okularów i przytrzymując palcem miejsce w gazecie, w którym zaskoczyło go zdumiewające o tak wczesnej porze najście klientów, podrapał się wolną ręką po plecach, oprzytomniał i potrząsnął ogromnym dzwonkiem. Wbiegli zgięci w ukłonach służący, zaczęli wycierać kurze, przyjmować zamówienia i pokrzykiwać na siebie.

Tymczasem goście rozsiadłszy się w różnych punktach sali obserwowali Julesa niczym widzowie teatralni. Młody człowiek zmieszał się, kiedy to spostrzegł, ale wkrótce zrozumiał, o co chodzi. Najprawdopodobniej gazety podały wiadomość o nim, być może nawet wyprosiły u Assol jego zdjęcie, które zamieściły w wianuszkach sensacyjnych artykułików, a pełni temperamentu zurbagańczycy domyślając się, że bohaterem jest właśnie on, człowiek o wyglądzie żołnierza i trampa, oczekiwali potwierdzenia tego domysłu, co robili, trzeba tu dodać, spokojnie i nie bez szacunku. Jednakże pod spojrzzeniami tylu okrągłych i upartych oczu trzeci łyk wódki utknął i z trudem przeszedł przez gardło Julesa. Przyszło mu do głowy, że nieźle byłoby zwiąć. Dym cygara zmuszał go do kaszlu, a jajecznica uparcie spadała z widelca.

Nagle sytuacja zmieniła się i bania dręczącej niepewności pękła. Pannica o męskim wyglądzie powąchawszy podaną jej czekoladę odchrząknęła, obrzuciła obecnych mobilizującym spojrzeniem, wstała i podchodząc do Julesa stanowczym krokiem, spytała głośno:

— Niech pan rozstrzygnie łaskawie moje wątpliwości. Portret wędrowca Julesa Sedure'a, opublikowany w dzienniku „Herold”, którego ja, Dora Minuta, mam zaszczyt być współpracownikiem, nader przypomina pańskie rysy. A zatem, czy to pan jest sławnym zurbagańczykiem, który dwa lata temu założył się o sto tysięcy z fabrykantem Frionem, że w ciągu dwu lat odbędzie podróż dokoła świata bez grosza w kieszeni?

Owa tyrada nawet właścicielowi knajpki kazała porzucić bufet i wstrzymać oddech.

— Owszem, to ja! — odparł poruszony Jules ze śmiechem i ukłonami w kierunku zebranych, którzy zerwali się z miejsc. Zabrzmiały okrzyki: „Hura! Brawo! Witamy!” Julesa

otoczył krąg wesołych i zaciekawionych twarzy. Wszyscy chcieli usłyszeć, jak przebiegała jego wędrówka, w jakim celu ją odbył, co widział i czego doświadczył.

Trudno odpowiedzieć na setki pytań, ale dobrodusznie usposobiony Jules wyjaśnił przynajmniej najważniejsze fakty. Do zdobycia w ten sposób pieniędzy zmusił go wynalazek, posiadający ogromne znaczenie i wielką przyszłość. Nikt nie chciał sfinansować decydujących doświadczeń. Ministerstwo uprzejmie odmówiło, kapitałiści nie ufali w powodzenie odkrycia, a sam wynalazca wstając rankiem nie bardzo wiedział, czy starczy mu tego dnia na obiad. Ekscentryczny Frion dla okrutnego żartu zaproponował, by Jules obszedł za sto tysięcy kulę ziemską, porzucając miasto bez pieniędzy, zapasów żywności i samotnie. Umowę spisano u notariusza. Gdyby Jules opóźnił się choćby o minutę (sekundy były dopuszczalne), tracił prawo do wygranej.

Ale wykonał zadanie nawet tydzień wcześniej. Koniec nędzy. Otwierała się przed nim droga do sławy wynalazcy. Jules pobieżnie, lecz z ożywieniem wspominał barwny kalejdoskop dwuletniej wędrówki. Najeżona niebezpieczeństwami przeszłość odżyła w jego duszy wspaniałą feerią. Wypróbował wszelkie środki przenoszenia się z miejsca na miejsce: wędrówkę pieszo, łódź, lektykę, słońce, wielbłądy, rower, rzeczne barki, parostatek, żaglowiec. Świątynie i zamki, ruiny i tunele, lasy tropików, górskie łańcuchy, przepaście, wodospady, kwiaty, palmy, miraż pustyni — samo wyliczenie wszystkiego, co widział, wymagało niejednokrotnego nabierania oddechu. Skrępowany odniesionym sukcesem Jules przekazywał słuchaczom pospieszными skrótami całą złożoną melodię zmieniających się nastrojów — niebezpieczeństwa, mocy, radości, ekstazy, majestatycznego spokoju, burzy i zacisza, modlitwy i najdroższych wspomnień, stanowczości i wyzwania. Jego cudowna opowieść opromieniona urokiem minionego porwała słuchaczy. Ich twarze i oczy rozbłysły szlachetną zawiścią ludzi podbitych i oczarowanych zarazem.

— A czy widział pan Świątynię Ryb? — spytał basem tłusty chłopiec od dawna już prawdopodobnie trzymający to pytanie na cynglu swej ciekawości. W tej samej chwili bez reszty pochłonęło go ogromne zawstydzenie i śmiałek czerwony jak pomidor żałośnie zasapał.

— Jaką świątynię, mój miły? — uśmiechnął się Sedure.

— Tę, w której dzicy oddają hołd rybom — wypalił biedaczek z determinacją, kryjąc się za Dorą Minutą, ponieważ wszyscy wlepili wzrok w jego okrągłą, ostrzyżoną na zero głowę. — Kiedy tańczą... — pisnął nieoczekiwanie przy akompaniamencie ogólnego śmiechu i znikł, po prostu przestał istnieć jako świadomy członek społeczności, kryjąc swą krągłutką postać w płataninie krzesel.

Jules wstał ściskając dłonie wielbicieli, powietrze zgęstniało od okrzyków. Za drzwiami wziął na wszelki wypadek dorożkę i jak się okazało — słusznie, bowiem sprawił tym wyraźny zawód gapiom. Wkrótce pukał do ubogich drzwi na szóstym piętrze, prowadzących do mieszkania żony.

Drzwi uchyliły się powoli, ukazując zwiewną sylwetkę młodej kobiety z błyszczącymi oczami i nagle gwałtownie pomknęły ku ścianie. Oboje o mało nie upadli z wysokiego progu, na którym przyłgnęli do siebie własnym ciepłem, szczęściem i stęsknionymi ramionami. Amor chlapiąc i popiskując z zachwyty uczeplił się ich z zajadłością lykosida, który pochwycił motyla. Potem przekręcił klucz i zasunął firanki.

II

Już dwa lata temu ustalono w umowie między Frionem i Julesem, że uroczystość rozstrzygnięcia zakładu i wręczenia nagrody odbędzie się w redakcji „Elewatora”. Dwie godziny przed terminem, w którym Sedure powinien znaleźć się na miejscu swego triumfu, usłyszał

dyskretne ciche pukanie człowieka, który przyszedł z pierwszą wizytą.

W drzwiach stanął mężczyzna o skromnym i solidnym wyglądzie. W ręce miał teczkę. Zlustrował ubogie umeblowanie pokoju obojętnym spojrzeniem osoby urzędowej, która zobowiązana jest do bezstronności we wszystkich bez wyjątku sytuacjach.

— Jestem Nork Ork, adwokat znanego panu Friona — przedstawił się beznamiętnym tonem, oddając płynniejszy ukłon Assol i zgoła spiżowy — Julesowi.

Nerwy Sedure'a napiął cień złego przeczucia. Podał Orkowi krzesło, sam usiadł również.

— Sprawa, dzięki której mam honor pana odwiedzić, choć wolałbym, by była ona całkiem innego rodzaju — zaczął Ork — dotyczy w tym samym stopniu pana, jak i pańskiego partnera w zakładzie zawartym między panem i moim mocodawcą, byłym fabrykantem Frionem. Upoważniono mnie do zakomunikowania panu — i spieszę to uczynić, by jak najrychlej uwolnić się od roli herolda złej wieści — że śmiałe, lecz niefortunne spekulacje giełdowe całkowicie zrównały Friona z panem w sensie materialnym. Frion nie może wypłacić wygranej.

— Jules! Jules! — krzyczała Assol, usiłując drobnymi dłońmi obrócić ku sobie pobladałą twarz męża. — Jules! Nie drzyj tak i nie myśl! Natychmiast przestań myśleć! Ani się waż!...

Sedure odetchnął głęboko. Na jego czole pulsowała błękitna żyłka, czuł, że spada w otchłań. Cios był nieprawdopodobnie okrutny.

— A więc tak! I ani odrobiny miłosierdzia? — wykrzyknął Jules w rozpacz.

Nork Ork wznosił oczy, potem je opuścił i wstał z żałobną miną, zapinając starannie wszystkie guziki marynarki.

— Upoważniono mnie ponadto do wręczenia panu listu, ale nie od Friona. Pisz do pana wielki Asper. To chyba ten list... otóż i on.

Sedure rzucił kopertę na stół.

— Kiedyś go przeczytam — powiedział apatycznie, bezsilny i otepiały. — Do pana, oczywiście, nie mam żalu. Żegnam.

Ork wyszedł. Jules widział jeszcze przez chwilę jego wyprostowane plecy w drzwiach. Assol głośno, rozpaczliwie łkała.

— Płaczesz? — spytał Jules. — Doskonale cię rozumiem. Oto los mego wynalazku, Assol. Obniosłem go w świątyni serca dokoła całego globu. To metalowe cudo cieszyło się jak żywe, pokonywało razem ze mną niebezpieczeństwa, triumfowało i spieszyło do ciebie... — obrzucił spojrzeniem pokój, którego ubóstwo w jaskrawym słonecznym świetle było szczególnie przygnębiające. Uśmiechnął się niewesoło. — No cóż, zalep dziurkę w dzbanku od kawy nowym okruczem chleba. Zaczniemy nasze stare głodowe życie, upiękzone marzeniami.

— Nie upadaj na duchu — powiedziała wstając Assol. — Kiedy jest tak źle, że gorzej już być nie może, z całą pewnością coś zmieni się na lepsze. Rozważmy spokojnie. Jeśli nie dziś, to może za rok lub dwa ktoś doceni twój wynalazek?! Wierz mi, drogi mój, przecież nie wszyscy są idiotami!

— A jeżeli nie doceni?

— Zobaczymy. Przede wszystkim — dlaczego nie czytasz listu?

Jules rozerwał kopertę, wyobrażając sobie, że to skóra Friona: „Uprasza się Julesa Sedure'a o przybycie w dniu dzisiejszym do podmiejskiej rezydencji Coriona Aspera w interesującej go sprawie. Sekretarz...”

— Ten sekretarz ma ministerialny podpis — powiedział Jules — jego nazwisko odczytają jedynie, i to też nie na pewno, eksperci.

— A jeśli... — zaczęła Assol, ale rozgniewana na siebie machnęła ręką. — Pójdiesz tam?

— Tak.

— Rozumiesz coś z tego?

— Nie.

— Ja też.

Jules podszedł do łóżka, wyciągnął się na nim i przymknął oczy. Miał ochotę zasnąć mocno i na długo, żeby nie cierpieć. Leżał jak martwy, z głęboką odrazą myśląc o najdrobniejszym ruchu, i chwilami wracał w zadumie do listu Aspera. Usiłował go traktować jako zapowiedź tajemniczej nadziei, lecz wszelkie próby pociechy rozbijały się o katastrofę, która go tego dnia spotkała. „Pewnie zapraszają mnie w charakterze egzotycznego okazu, gwoźdźcia wieczoru”. Inne przypuszczenia, związane bezpośrednio z jego planami, odrzucał z zaciekłością wroga kobiet zranionego przez nie w najboleśniej miejsce, który odpowiedzialnością za to obarcza wszystkie kobiety — od małych dziewczynek po staruszki. Czuł się znieważony, zdeptyany i unicestwiony.

Współczująca Assol w milczeniu podeszła do łóżka i położyła się obok, skłoniwszy głowę na pierś męża. Długo, do wieczora, leżeli tak objęci uściskiem; zasypiali, budzili się i zasypiali ponownie, aż zegar za ścianą wybił siódmą. Jules wstał.

— Pójdziemy razem — rzekł — ciężko mi samemu. Chodźmy. Może uliczny gwar rozproszy nasze złe myśli.

Asper przekroczywszy granice, za którymi bogactwo jest tak samo nie do ogarnięcia umysłem jak odległość Syriusza od Ziemi, tęsknił do sławy niczym Neron jeżdżący na występy gościnne do Grecji.

Władca materii siedział w towarzystwie dwu osobników o wypróbowanej służalczości. Był wieczór. Jasno oświetlony srebrzystymi kulami duży taras, gdzie rozegrały się opisywane wypadki, jakby płynął przez ciepły gęsty mrok.

Kiedy weszli Jules i jego żona, Asper wstał powoli, niemal z ociąganiem, uśmiechnął się protekcyjnie i usiadł ponownie, pozwalając zapanować na chwilę wyczekującemu milczeniu. Nie on je naruszył. Udręczony Jules wykrzyknął:

— Proszę wyjaśnić cel pańskiego listu!

— Jest on jak najbardziej korzystny dla pana. To pan wygrał zakład z Frionem?

— Tak, niczego nie osiągając.

— Frion stał się nędzarzem?

— Tak... i zarazem oszustem.

— Ach! — powiedział Asper, wsłuchując się z upodobaniem w swój dźwięczny głos. — Jest pan bardzo surowy wobec nas — igraszek w rękach fortuny. My także bywamy bardzo nieszczęśliwi. Drogi Sedure, znam pańską historię. Współczuję panu. Nie ma jednak nic łatwiejszego niż naprawić tę paskudną historię. Jeżeli pan o dziewiątej wieczór dzisiejszego dnia wyruszy ponownie w taką samą podróż, jaką odbył pan dla Friona, na tych samych warunkach wypłacę panu za dwa lata przegraną Friona i własną, to znaczy nie sto tysięcy, lecz dwieście.

— Jakież to proste! — odparł osłupiały Sedure.

— Darujmy sobie tę ironię. Tak, bardzo proste.

Jules milczał chwilę.

— Jeśli to żart — wycedził wreszcie, musnąwszy pobladłą twarz Assol spojrzeniem wyrażającym litość i burzliwą walkę wewnętrzną zarazem — to jest on nieludzki. Ale sama pańska propozycja także jest nieludzka.

— Cóż począć? — rzekł chłodno Asper. — Nie ja jestem panem sytuacji.

Ta kpina rozjuszyła Julesa.

— Tak, raz już wróciłem jako pan sytuacji — wykrzyknął — tylko po to, by stać się przedmiotem kpin! Proszę o gwarancje! Wyruszam!

Assol musiała w tym momencie użyć wszystkich sił, by nie rozsłochać się z rozpacz i dumy.

— Jules! — szepnęła. — Będę cię kochać i przeklinać! Jakże krótko ze mną byłeś! Zresztą pokaż im, co potrafisz! Ja na siebie zapracuję!

— Gwarancje? — Asper wziął z rąk unizonego osobnika nową książeczkę czekową i podał Julesowi. — Proszę ją przejrzeć i zatrzymać. Dziś mamy 13 kwietnia 1906 roku. Książeczka wystawiona jest na pańskie nazwisko; pieniądze podejmie pan po powrocie, jeśli nie później niż o dziewiątej wieczorem 13 kwietnia 1908 roku zjawi się pan po nie osobiście.

— Czy koniecznie muszę wyruszyć dziś? — spytał Jules. — Czy nie mógłbym uzyskać odroczenia do jutra? Jeden dzień zaledwie... A może to pański kaprys?

— Owszem — przytaknął Asper z całą otwartością. — Nie zawsze mam czas na odrobinę rozrywki, do jutra mogę już zapomnieć lub się rozmyślić. Ale to już za dziesięć dziewiąta. Proszę zdecydować, Sedure: za dziesięć minut pójdzie pan do domu lub w kierunku gór Achuan Scapu.

Jules nie odpowiadał, wpatrzony w Assol na wpół oszalałym wzrokiem, którego siła mogłaby chyba wskrzeszać i zabijać.

— Assol — rzekł po cichu — jeszcze ten raz... ostatni, szansa jest pewna. To sam los mnie wyzywa. Nie zamierzam cię pocieszać, nasza rozpacz jest wspólna, pamiętaj jedynie, że za dwa lata będą nam jej zazdrości różni obdarzeni przez fortunę łajdacy. Daj rękę, usta i — żegnaj!

Assol uścisnęła go mocno, lecz delikatnie, jakby ten muskularny olbrzym mógł zachwiać się w jej objęciach. Czubki jej pantofelków ledwie dotykały podłogi. Potem Jules stanowczym gestem odsunął młodą kobietę, wrócił do stołu, przy którym podpisał warunki umowy i obrzucając Aspera przenikliwym spojrzeniem, zszedł po szerokich stopniach do ogrodu.

Ledwie jednak jego stopy porzuciły ostatni z nich, stanął jak wryty, przerażony swym postanowieniem. Wiedział, że robiąc jeden tylko krok dalej, już się nie zatrzyma, że krok ten zadecyduje o całej wędrówce. Jego wzburzone myśli zaczęły ogarniać rozmiary niebezpiecznego przedsięwzięcia. Z natury łatwo puszczający w niepamięć zło, rankiem podniecony zwycięstwem wspominał wyłącznie to, co było porywające i piękne; teraz natomiast wpatrywał się z udręką w ciemną, odwrotną stronę barwnego kobierca. Przestrzeń nabrała realnych wymiarów i z całą bezwzględnością podsuwała pamięci niezliczone ciężkie etapy. Wszystkie niedole wędrówki — choroby, wyczerpanie, uciążliwa praca w drodze, nękające wyczekiwanie na listy, napady chorobliwej zazdrości, zwłoka gorsza niż odmowa — ścisnęły serce Julesa.

Asper stał nie opodal. Nagle zbladł — stan Sedure'a udzielił mu się z gwałtownością tropikalnej ulewy. Wpadł w zadumę.

— No cóż... — rzekł wynalazca, pokonując chwilową słabość całą furią oślepego od męki serca — idę. Wracaj do domu, miła!

Zrobił krok, ruszył i jakby na moment przestał istnieć. Ulegał dziwnemu złudzeniu, że stoi w miejscu, ale zniknęło ono szybko, gdy zakręcił alei doprowadził go do niewyraźnie majaczącej szosy.

Przed sobą wciąż widział oczy żony, tętno miał nierówne i słabe, serce milczało, zimne dłonie splatały się bez celu i życia. Nie myślał o niczym. Machinalnie zboczył z szosy na ścieżkę w tym samym miejscu, gdzie dwa lata temu zawiązywał zerwany rzemyk podróznego worka. Była wiosna, zachłanny mrok przynosił echo dalekich wodospadów Scapu, w powietrzu unosiły się odurzające aromaty kwitnących dolin, a tysiące gwiazd przeszywały ciemność światłami dalekich armad, stłoczonych nad głową Julesa.

Zobojętniały na wszystko, miarowym, sprężystym krokiem przemierzył dolinę i część wzgórz, piaszczystą ścieżynką dotarł do leśnej drogi, a kiedy i ją pokonał, zanocował w wiosce Almi — na pierwszym, jak i dwa lata temu, tyle że wówczas porannym, postoju. Gospodarz poznał go.

— Pieniądze za nocleg przyślę z drogi — powiedział Sedure. — Proszę o wino, świecę i czystą pościel, dzisiaj jest moje święto.

Siadł przy oknie, pił pozostając trzeźwy, palił i słuchał, jak na dziedzińcu zakochany pastuch stroi gitarę.

— Zagraj i zaśpiewaj! — krzyknął Jules. — Nie mam pieniędzy, ale płacę winem.
Do okna podpłynęła roześmiana namiętna piosenka:

*W Zurbaganie, cudnym kraju, wśród gór dzikiej panoramy,
Radzi wiosnie opętanej, ty i ja w uścisku trwamy.
Tutaj, zwłoką nie nękając, w kilka dni przychodzi wiosna,
Swoje rządy ustanawia — sucha, ciepła i rozkoszna.
Tutaj rzek i wodospadów grzmot rozbija lodu zwały
I powodzi siny płomień dysząc rwie przybrzeżne skały.
Od kolorów oszalałe mkną strumienie w stronę morza,
Paki kwiatów wybuchają, szerzy się kwiatowy pożar.
Gdy zawołasz — tętni echo niczym konie narowiste,
Kiedy patrzysz albo słuchasz — w raju czujesz się zaiste.
Tu kobiety młode spotkasz z dzikim sercem, szczerą duszą,
Z uczuciem płomiennie-tkliwym, co nie kłamie, bo nie musza.
Jeżeli zabójstwa pragniesz — serce zdradź, co cię kochało.
Gdy chcesz tylko przyjaciela — możesz dłoń wyciągnąć śmiało.
Gdy nie lękasz się, że w górę serce twe jak tup pochwyca,
Wtedy poddaj się z uśmiechem kruczo-czarnym ich żrenicom*.*

Piosenka rozweseliła Sedure'a. „To o tobie, Assol — pomyślał. — Dla ciebie nie pożałowałbym sił na trzecią wędrówkę. Ostatecznie nie tylko mnie przytrafiło się takie nieszczęście”. I wspomniawszy uczonego, któremu służyła — w przekonaniu, że stare papiery świetnie nadają się na podpałkę — zniweczyła rezultat dwudziestoletniej pracy. Kiedy uczonego dowiedział się o tym, osiwiawszy, pomilczał i cichym głosem rzekł do przerażonej niepiśmiennej kobiety:

— Bardzo proszę nigdy więcej nie ruszać nic na moim biurku.

Rzecz jasna, napisał swą pracę powtórnie.

Jules pogrążony w tych pogodnych rozmyślaniach i znów pełen sił nie usłyszał nadejścia Aspera. Dopiero gdy go spostrzegł, przypomniał sobie turkot kół i głosy na dziedzińcu.

— Niech pan wraca — powiedział grubas czerwony i zdenerwowany. — Natychmiast wyruszyłem, by pana dogonić. Odwlekanie sprawy na dwa lata byłoby czczą formalnością. I tak przegrałem. Niech pan żyje w spokoju i pracuje nad swym wynalazkiem.

— Jak słyszałem — zwrócił się do Aspera pod koniec tygodnia Casa-Vecchia, którego tytuł hrabiowski był nieco podejrzany — pospieszył się pan, by przegrać swój zakład?

— Nie, to mnie zmuszono do pośpiechu! — odparł ze śmiechem Asper. — I szczerze mówiąc ten człowiek na to zasługuje. Jasne, że wydarłem sobie te pieniądze spod serca, ale wie pan — rozmyślać przez dwa lata, że on może zginąć... Proszę o karty.

— Tak, twardy człowiek z tego Sedure'a — bąknął zdawkowo hrabia.

— Twardy? To pogromca losu. Wystawię mu w okrągłej oranżerii pomnik za życia. A ta szelmutka Assol... Ech! Z pieniędzy nie zrobi się nawet żywej pchły. Co — przebija pan? Eee, nie, to walet, łaskawco...

Przełożyła Zofia Dudzińska

* Przełożył Jerzy Litwiniuk

Wrogowie

I

Nie znam nic bardziej odrażającego niż ocenianie kogokolwiek „według wyglądu”. Do podstawowych braków naszego aparatu poznawczego zaliczyć należy niemożność przekroczenia granic tego co zewnętrzne. Problem ów dotyczy nawet najmniej istotnych szczegółów naszej egzystencji, ale z konieczności ograniczymy się do paru zaledwie przykładów. Żle namalowany pejzaż w oczywisty sposób przesłania nam obraz natury, którego ofiarą padł nieudolny artysta; oglądamy więc słońce-pomidor, drzewa-miotelki i bochenki chleba zamiast wzgórz. Ścisłej mówiąc, istota tego, co zostało odtworzone, jest dla nas niewidoczna, chociaż jej okrucy znajdują się przed nami w postaci rozmieszczenia przedmiotów, ich skrótu perspektywicznego czy barwy. Najwspanialsza jednak nawet wyobraźnia nie dorówna w takim wypadku Cuvetowi, którego jeden zaledwie ząb jakiegoś zwierzęcia poinformował precyzyjnie, z czyjej szczęki ów ząb trafił na biurko profesora. Freski Egipcjan i Asyryjczyków cechuje umowna prawda wizerunku, a przecież — choćbyśmy rozbili sobie o nie głowy — nie pozwolą nam one zobaczyć na przykład prawdziwego orszaku owych czasów; domyślamy się mgliście, wyobrażamy go sobie, ale nie zgłębiamy w całym minionym autentyzmie. Czytelnik ma, rzecz jasna, prawo zaprotestować, że domaganie się przenikliwości, zgłębiającej sedno rzeczy za pośrednictwem żalonych ledwie aluzji czy nawet tylko uskarżanie się na jej brak — jest pretensją dość fantastyczną, a jednak istnieje dziedzina, w której owa pretensja i owo uskarżanie się zasługują na uwagę. Mowa tu o ludzkiej twarzy, o wyglądzie człowieka, owej wielkości poznawalnej jedynie za pośrednictwem zmysłów, która często nawet przed nim samym zasłania jego prawdziwe duchowe oblicze. Ponad połowa naszych postępków dostosowana jest podświadomie do wyobrażenia o własnym wyglądzie: upadków, samobójstw, przejawów samouwielbienia czy manii wielkości i w ogóle ocen tak kłamliwych, że można je porównać jedynie z sądem o sobie na podstawie odbicia w krzywym zwierciadle. Tym bardziej nasz stosunek do bliźnich jest w najlepszym przypadku kompilacją wrażeń: tych, które opierają się na ich czynach, słowach i myślach, oraz tych, które dyktowane są przez cechy domniemane, narzucane naszej świadomości przez wygląd. Tu zawsze popełniamy błąd, a przecież najbardziej odrażająca twarz najnikczemniejszego zbrodniarza nie jest adekwatnym odbiciem jego cech wewnętrznych. W każdym razie wewnętrzne skłócenie człowieka i jego osamotnienie wyrastają właśnie z tego korzenia, a mianowicie mechanicznego oceniania „według wyglądu”. Gdyby naturze człowieka dany był cudowny dar ujawniania niepowtarzalnego duchowego oblicza, którego rzeczywistym wyrazem byłoby jego oblicze fizyczne, stalibyśmy się świadkami dziwnych, przerażających i wspaniałych przemian, prawdziwych odkryć zdolnych wstrząsnąć światem.

Dziesięć lat temu zatrzymałem się w hotelu „Pomnik”, zamierzając spędzić tam noc w oczekiwaniu na poranny pociąg. Po kolacji siedziałem przy kominku z gazetą i filiżanką kawy. Był śnieżny późny wieczór; zawieja wdzierając się do przewodów co chwilę parskała kłębami dymu z kominka.

Zza okien dobiegło skrzywienie sań, odgłos kroków, trzaskanie bata i za otwartymi gwałtownie drzwiami rozpostarł się mrok, migotliwy od tających płatków śniegu. Do sali weszła obsypana nimi niewielka grupka podróżnych. Podczas gdy otrzepywali ubrania, wydawali dyspozycje i sadowili się przy stole, z zaciekawieniem obserwowałem jedyną w tym towarzystwie, młodą, mniej więcej dwudziestotrzyletnią kobietę. Zdawała się być całkowicie nieobecna. Ani jeden jej gest nie służył naturalnym w tej sytuacji celom: przejrzeniu się w lustrze, otarci mokrej od śniegu twarzy, zdjęciu futra i czapeczki. Nie wykazując ani śladu ożywie-

nia, tak zrozumiałego u człowieka, który ze śnieżnej zawieruchy trafił do przytulnego ciepła i światła, usiadła sztywno na najbliższym krześle to opuszczając zdziwione, rzadko spotykanej piękności oczy, to znów kierując wzrok pełen dziecięcego zdumienia i smutku gdzieś w przestrzeń. Nagle szczęśliwy, wyrażający nieopisaną radość uśmiech opromienił jej twarz, a ja rozejrzałem się jak tknięty prądem, szukając przyczyny tak raptownej zmiany nastroju młodej damy — od roztargnienia do zachwyty.

Jej towarzysze — dwaj mężczyźni w średnim wieku — półgłosem rozmawiali z właścicielem hotelu, najprawdopodobniej zamawiając kolację. Kiedy skończyli rozmowę, wezwałem go i spytałem po cichu:

— Czy zna pan tę damę?

Wzruszył ramionami, wymownie przykładając palec do czoła.

— Nie, wiem tylko, że odwożą ją do zakładu dla umysłowo chorych doktora Esprigusa. Powiedział mi o tym brat damy, o ten, który zdejmuje jej kalosze. Prosił dla niej o wygodny i zaciszny pokój.

Jeszcze raz przyjrzałem się uważnie nieznanemu; w twarzy i spojrzeniu młodej kobiety nie wykryłem żadnych oznak obłędu, zauważyłem jedynie jakby zadumę, przygnębienie, jakiś pełen rezygnacji tajony smutek, którego przyczyną była może świadomość własnej sytuacji. Chwilami cudowny zagadkowy uśmiech zmieniał na moment twarz przybyłej, natychmiast ustępując miejsca poprzedniemu wyrazowi. Dama jadła niewiele i powoli, z rzadka rzucając nieuchwytnie dla mnie słowa; przez cały czas pobytu w sali otaczana była przez swych towarzyszy najtroskliwszą i najczulszą opieką.

Kiedy odprowadzono ją na górę, wybiła dwunasta. Brat powrócił niebawem i siadłszy przy kominku, wyjął cygaro. Przedstawiłem się, on wymienił swoje nazwisko. Odczekawszy, ile wymagało dobre wychowanie, naprowadziłem delikatnie rozmowę na interesujący mnie temat, a mianowicie chorobę młodej kobiety.

— Wyobraźmy sobie — odparł — że to tylko bajka, ale nawet wówczas nie byłaby ona bardziej zdumiewająca niż to, co się wydarzyło. Siostra ma na imię Assol. Przed dwoma laty poznała w podróży kapitana „Astarte”, Ivlette'a, i wyszła za niego za mąż. Trzy miesiące temu mąż powrócił z rejsu. Małżonkowie znużeni radością powitań i rozgardiaszem powrotu wcześniej udali się na spoczynek. Spali na jednym pościu, Ivlette — od ściany.

W nocy obudził go głośny krzyk i hałas upadającego ciała, a gdy zerwał się z pościeli, spostrzegł żonę leżącą w omdleniu na podłodze. Paliło się światło. Kiedy domowe środki nie pomagały, kapitan wezwał lekarza; dzięki jego pomocy Assol wróciła do przytomności.

„Kim pan jest? — spytała męża, przyglądając mu się ze strachem, zdumieniem i zachwytem. — Nie znam pana, jak pan tu trafił? Gdzie Ivlette?”

„Assol, kochanie — odparł zaniepokojony kapitan — co ci jest? Nie ma tu nikogo poza mną i lekarzem”. Tak zaczął się nieoczekiwany obłęd mojej siostry. Ciężko mi opowiadać, jak mąż, którego nie poznawała, niczym przerażone dziecko przytaczał dowody, że jest sobą, a nie tym kimś, kogo widziały jej oczy. Wróćmy jednak do niej.

Po przebudzeniu się i zapaleniu światła ujrzała obok siebie nieznanego mężczyznę, który spał — jak zwykł to czynić kapitan — na wznak z rękami pod głową. Twarz miał pełną uroku, młodą, o harmonijnie czystych rysach; była to twarz Feba wysubtelniona przez duchowe piękno i nieuchwytną grację. Lekko wijące się złociste i połyskliwe włosy odsłaniały wysokie gładkie czoło. Twarz ta wydała się jej ideałem ludzkiej twarzy, osiągalnym jedynie w marzeniu. Sądząc, iż śni, Assol wstała, zrzucając przy tym szklankę z nocnego stolika, a dźwięk pękającego szkła wytrącił ją z równowagi. Przerazona krzyknęła i upadła.

Jej relacja o tym wydarzeniu niejednokrotnie i w różnym czasie powtórzona kilku lekarzom nasunęła tym ostatnim wniosek, że jest to rzadki przypadek obłędu, sprowadzającego się do dziwnej i niezwyklej halucynacji. We wszystkich pozostałych sprawach Assol przejawiała całkowitą równowagę i pełne rozeznanie sytuacji. Przekonana przez otoczenie, że widzi

męża, nie wyrażała już w tej kwestii wątpliwości, mężnie przemilczając cierpienia, jakie przypadły jej w udziale za sprawą owej tajemnicy umysłu, rzutującej na rzeczywistość. Sama wyraziła chęć na pobyt w lecznicy i okazywała żal z tego jedynie powodu, iż być może nigdy się nie dowie, gdzie spoczywa prawda — w przeszłości czy teraźniejszości.

Opowieść brata Assol była znacznie bardziej szczegółowa niż moja. Skróciłem ją na tyle, na ile uległa ona skróceniu jako odległe wspomnienie. O szóstej rano wyruszyłem do Zurbaganu. Towarzyszyło mi współczucie dla nieszczęśliwej, nieszczęśliwej dlatego, że nikt nie mógł patrzeć jej oczami, skazanymi obecnie na nieme pytanie.

II

Po upływie mniej więcej pół roku przeczytałem w „Kurierze Wieczornym” następującą wiadomość:

„11 października parowiec przybrzeżnych linii Lloyda — «Astarte» zatonął w ciągu 20 minut w pobliżu Mizogenu, w wyniku przebicia rufowej części statku. Na łodziach ratunkowych ocalało się niewiele ponad połowę pasażerów. Zginęła również prawie cała załoga i kapitan parowca, Ivlette. Okoliczności jego śmierci są dramatyczne i wzruszające.

Pewna kobieta wsiadająca w pośpiechu do opuszczanej właśnie szalupy upuściła trzyletnią córeczkę i krzyżąc przeraźliwie zawisła na linach. Blok zmiażdżył palce nieszczęsnej, lecz rozpacz silniejsza od bólu kazała jej czepiać się lin, czym przeszkadzała w dalszym opuszczaniu łodzi. Błagała, by ratowano dziewczynkę. Burza i łoskot fal zagłuszały jej wołanie.

Wówczas kapitan Ivlette zrzucawszy surdut wskoczył do wody, pochwycił tonące dziecko i podał je matce. Rufa «Astarte» tworząc niebezpieczny wir dosłownie spadała z szybkością pionowo ciśniętej żerdzi. Wypełniona po brzegi szalupa zatrzymała się przy burcie — marynarze chcieli uratować kapitana. «Ani słowa! — krzyknął. — Natychmiast odbijajcie! Strzeżcie się! Wir wciągnie łódź!» Mówiąc to odepchnął szalupę i znikł. Marynarze w samą porę pochwycili za wiosła — za nimi rozwarła się bezdenna kipiela, o mało ich nie pochłaniając”.

W tym miejscu przerwałem czytanie i uważnie wpatrzyłem się w zamieszczoną obok tekstu fotografię Ivlette'a. Zdjęcie dokładnie odpowiadało opisowi kapitana, jaki przekazał mi brat Assol. Był to krępy mężczyzna około czterdziestki, z kwadratową dobroduszną twarzą, krótką górną wargą i małymi upartymi oczami.

Pomyślałem jednak, iż być może w momencie, gdy kapitan odpychał szalupę, jego twarz była właśnie taka, jaką ujrzała nocą Assol i jaka z pewnością wywoływała ów uroczy uśmiech na jej smutnej twarzyczce i w oczach znających tajemnicę.

Przełożyła Zofia Dudzińska

Walka ze śmiercią

I

— Dręczy mnie pewna nie załatwiona sprawa — powiedział Lorch do lekarza. — Ale, ale — czemuż to pan nie wyjeżdża?

— Pytanie niebywale taktowne — odparł bez pośpiechu Dimen, rozglądając się ze

skupieniem. — Łóżko należy przysunąć do okna. Stąd widać za przepaścią cały zaśnieżony krajobraz. Niech pan patrzy na góry, Lorch; nie ma nic bardziej pobudzającego do rozważań.

— Dlaczego pan nie wyjeżdża? — z uporem powtórzył chory, wzrokiem zmuszając lekarza, by na niego spojrział. — Dimen, niech pan będzie ze mną szczery.

Lorch leżał na plecach z głową zwróconą ku rozmówcy. Zaostrzone rysy jego bezkrwistej twarzy obrośniętej gęstwą włosów mogłyby należeć do trupa, gdyby w tej twarzy nie płonęły całym oceanem życia ogromne, nienaturalnie wypukłe na skutek wychudzenia oczy. Ale Dimen doskonale wiedział, że przed upływem dwu dni choroba bezlitośnie przerwie życie Lorch'a.

— Podoba mi się tu — powiedział. — Karmią mnie doskonale, dwa tygodnie oddycham górskim powietrzem i beztrudnie przybieram na wadze.

Lorch z wysiłkiem uniósł do warg papierosa, zapalił i natychmiast go odrzucił: tytoń miał obrzydliwy smak.

— Dręczy mnie pewna nie załatwiona sprawa — wrócił do początku rozmowy. — Powiem panu, o co chodzi. Może wówczas zrozumie pan, że powinienem znać prawdę.

— Proszę — mruknął niechętnie Dimen.

— W najbliższych dniach przyjedzie tu Wilton. W jego rękach są wszystkie sprawy nowej koncesji, muszę porozmawiać z nim osobiście. Jeśli to dla mnie już niemożliwe, należy natychmiast znaleźć kogoś, komu mógłbym zaufać. Prawda mnie nie przerazi. A więc?

— Od trzech dni poddaje mnie pan niemal śledztwu — powiedział lekarz. — Dobrze, powiem panu. Umrze pan, Lorch, nie później niż za dwa dni.

Lorch drgnął, aż jęknęły sprężyny łóżka. Był wstrząśnięty i nagle jeszcze bardziej osłabł. Zapadło milczenie. Lekarz z miną sędziego, który odczytał właśnie wyrok śmierci, wstał, splótł z chrzęstem palce i podszedł do okna.

Chory roześmiał się prawie niedosłyszalnie.

— Powiedzmy, że żaden Wilton nie przyjedzie — powiedział z kpina w głosie — i że nie istnieje żadna koncesja. Ale dowiedziałem się, czego chciałem. Łóżko istotnie można przesunąć pod okno.

— Pan sam... — zaczął Dimen.

— Sam, oczywiście. Dziękuję, doktorze.

— Medycyna bywa bezsilna.

— Wiem. Chce mi się spać.

Lorch przymknął oczy. Lekarz wyszedł, zadysponował, aby mu osiodłano konia, i ruszył na polowanie. Chory długo leżał bez ruchu. Wreszcie wzdychając głęboko, powiedział na głos:

— Co za świństwo! Aż obrzydzenie bierze. Co za świństwo! — powtórzył.

II

Lorch zasnął i otworzył oczy dopiero wieczorem, kiedy było już ciemno. Czuł się ni gorzej, ni lepiej niż zazwyczaj, lecz na wspomnienie słów lekarza ścierpł wewnętrznie.

— Będzie jeszcze czas, by przemyśleć to wszystko — mruknął, naciskając guzik dzwonnka. Weszła pielęgniarka.

Lorch zażądał, by wezwano jego bratanka.

Bratanek — barczysty, lekko zgarbiony dwudziestoczteroletni mężczyzna w okularach na starczej twarzy z brwiami i rzęsami albinosa — słysząc prośbę stryja, zwrócił się do niedawno przybyłej siostry:

— Chyba wygraliśmy, Betsy. Popłakałaś już nad nim?

— Nie. — Betsy, dama w wieku dojrzałym, handlarka opium, była zdania, że łyż to niepotrzebny zbytek, jeśli można się bez nich obejść. — Nie, nie płakałam i płakać będę dopiero post factum. Testament jest na twoją korzyść.

— Jak sobie chcesz. Idę do niego.

— Idź. Napomknij, że ja też chciałabym go dziś zobaczyć.

Beniamin mocno potarł kułakiem oczy i delikatnie zapukał do drzwi.

— Proszę — oschle zezwolił Lorch.

Beniamin, cierpiętniczo wywracając oczy, podszedł do łóżka, westchnął i usiadł przybierając pełną prostoty pozę egipskich posagów.

— Stryju! Stryju! — rzekł z udanym smutkiem. — Kiedyż wreszcie stryjek wyzdrowieje? Nad domem zawisło nieszczęście.

— Słuchaj, Beniaminie — odezwał się Lorch — rozmawiałem dzisiaj z lekarzem.

Przerwał. Beniamin zawczasu uniósł dłoń do okularów, by zdjąć je dokładnie w najbardziej dramatycznym momencie i zrosić łzami chusteczkę. Obserwując go, Lorch rozmyślał:

„Szczeniak ma trzy kochanki. Dwie z nich to wulgarne, piękne bestie, a trzecia — idiotka. On sam jest szubrawcem. Podrobił trzy moje weksle. Nienawidzi mnie, o czym świadczy jego wystąpienie w Klubie Spartańskim. Nie wiadomo, ile za nie wziął, ale spowodował masę plotek i przez niego przepadłem w wyborach. Dla takiego grona mój milion to nędzny kasek”.

— O! Mam nadzieję, że doktor... Stryju! Stryj jest uratowany?! — z napięciem wykrzyknął bratanek.

— Chwileczkę. Żał mi was, ciebie, mój drogi, i Betsy, bardzo żał...

— Stryjku! — zaszlochał obłudnie Beniamin — proszę powiedzieć, że to nieprawda... że stryj zażartował!

— Ani trochę. Musicie pogodzić się z losem.

— O Boże!

— Tak.

— Pogodzić się?! Ukochany i drogi stryju...

— Dobrze, dobrze, dziękuję ci. Chciałem powiedzieć, że przeszedłem zbawienny kryzys i najdalej po upływie doby znów będę wyśpiewywał basem arie z „Poławiaczy pereł”.

Beniamin osłupiał. Fala niepohamowanej wściekłości zerwała go na równe nogi, ale w porę zdołał przekształcić to uczucie w chaotyczne okrzyki radości.

— Co za świnia z tego Dimena!... Mógł nam powiedzieć... I nie dręczyć nas! Gratuluję, drogi stryju! Żyj i pracuj! Oczekiwałem tego!

Lorch uważnie przyjrzał się dziurce od klucza, z wysiłkiem sięgnął pod poduszkę po rewolwer i strzelił w sufit.

Bratanek gwałtownie odskoczył. Za drzwiami rozległ się pisk, ktoś tam upadł. Otwierając drzwi Beniamin odsłonił rozciągniętą jak długa Betsy.

— Ale lubisz to zajęcie, Betsy! — rzucił krótko Lorch.

— Idiotka! — syknął Beniamin do siostry, pomagając jej wstać. — Dobranoc, stryju! Stryj potrzebuje teraz spokoju!

— I wy też — chłodno pożegnał go Lorch.

Krewni wyszli. W salonie Betsy zalała się ciężkimi, pełnymi nienawiści łzami. Beniamin wyjął różę z wazonu, powąchał i ukręcił jej koronę:

— On łże. Perfidnie nas dręczy — powiedział.

Betsy wytarła nos. Usiedli obok siebie i zaczęły szeptać.

III

Zgodnie z życzeniem Lorcha łóżko przysunięto do okna. Noce były gorące.

Dom stał na samym skraju przepaści; między jego ścianą i pionową skałą bezdennego urwiska biegła ścieżynka szerokości dwu stóp. Wśród rozsypiska zimnych gwiazd świecił księżyc w pełni; jego promienie padały w przepaść nad skrajem nieprzeniknionego cienia. Patrząc przez okno w kierunku swych stóp, Lorch widział krzew białego kwiecica wśród skalnych kamieni. Rozmyślał, że te kwiaty zostaną, a jego już nie będzie.

Postanowił żyć nadal. Pojął, że najważniejsze jest pokonanie własnej słabości. Usiadł gwałtownie. Poczul zawrót głowy. Zachwiał się, potem sięgnął po leżący na stoliku nóż i uderzył nim w biodro. Przenikliwy ból spowodował przyspieszenie tętna; krew napływała Lorchowi do mózgu. Spocił się; pot i zaciekła chęć oporu obudziły w nim burzliwą energię, której towarzyszyły gorączka i dreszcze.

O najmniejszym nawet ruchu myślał z niewysłowioną odrazą (najchętniej zapadłby we właściwy chorem bezwład), samo pojęcie ruchu zdawało mu się czymś wbrew naturze. Nie bacząc jednak na to, wstał jak zahipnotyzowany i runął na podłogę. Obok znalazł buty; włożył je na leżąc, potem z pomocą nogi łóżka podniósł się i zaczął wkładać ubranie. Kiedy skończył, ogarnęło go straszliwe osłabienie. Nowy zawrót głowy rzucił go na łóżko i Lorch leżał kilka chwil z twarzą ukrytą w poduszce. Później dostał torsji; nieludzko spragniony, zalewając się całą wodą, opróżnił karafkę i cisnął ją w przepaść. Wreszcie na chwiejnych nogach ruszył ku drzwiom, lecz wpadł na piec. Znów skierował się do wyjścia, ale piec powtórnie stanął mu na drodze i Lorch przez pięć minut nie wypuszczał go z objęć. Kiedy dobrnął wreszcie do drzwi, w pokoju wszystko było poprzewracane. Opadł na czworaki, by nie sprawiać hałasu, pół godziny stracił na wymacanie głową w ciemności drzwiczek kredensu, odnalazł je i zaczął pić koniak.

Wbrew jak najsurowszemu zakazowi lekarza, który zabraniał mu pić nawet mocnej herbaty, nie mówiąc już o alkoholu, Lorch jednym tchem opróżnił butelkę koniaku i wpadł w ten rodzaj uniesienia, kiedy — niezależnie od sytuacji — człowiek z pożarem w głowie i burzą w sercu, opętany jedną tylko ideą, pada jej ofiarą lub ją realizuje. Taką ideą Lorcha był basen — prostokątny, ujęty w cement zbiornik wody, napełniany przez zimne górskie źródło. Działanie alkoholu chwilowo dodało Lorchowi siły; chwiejąc się, ale już tylko z racji wypitego koniaku, zlany potem, z zaślinionym papierosem przyklejonym do warg, wyszedł bocznym korytarzykiem na dwór i jak stał — w garniturze i butach — spełził do basenu, zanurzył się w nim, zadygotał z przejmującego chłodu, wyszedł z wody i ruszył z powrotem do sypialni.

Pod działaniem lodowatej wody podrażnienie całego organizmu skoncentrowało się w nieludzko przeciążonej głowie. Serce waliło niczym karabin maszynowy. Lorch myślał o wszystkim jednocześnie — od węzłowych problemów bytu po cegły, z których zbudowany był dom, a jego przeszywany błyskawicami umysł przenikał najgłębsze mroki poznania. Mijając kredens łyknął nową porcję ognistego leku, który tym razem mocno poszedł mu w nogi, i Lorch zmuszony był przywrócić sobie równowagę za pomocą powtórnej dawki. Stojąc obok łóżka, w zadumie przyjrzał się rozbitym na podłodze butelkom z lekarstwami i powstałej z wody, którą ociekał, kałuży. Potem przerzucił ciało przez parapet, trzeźwiejąc nieco przeszedł wzdłuż ściany do krzewu okrytego białymi kwiatami, zerwał je, zawrócił i rozebrany wszedł pod kołdrę, zwaliwszy na nią uprzednio wszystkie spodnie i marynarki, jakie znalazł w szafie. Dokonawszy tego przeciągnął się. Wstrząsnął nim przyjemny dreszcz i — nagle — Lorch stracił przytomność.

IV

- Chory ani razu się nie budził? — spytał Dimen pielęgniarkę.
- Nie. Nawet się nie poruszył.
- Dlaczego zostawiła go pani samego? Podczas nocnego ataku mógł rzucić się w przepaść. Wszystko było potłuczone i poprzewracane. Pił alkohol, kąpał się! To agonia!
- Wie pan, doktorze, że chory zawsze usuwał mnie z sypialni. Przyznaję — zdrzemnęłam się... ale...
- Może pani odejść; wszystko i tak skończone. Proszę zawołać Beniamina i Betsy.
- Weszli: dwa znaki zapytania, za wszelką cenę usiłujące wyglądać jak wykrzykniki.
- No cóż — rzekł Dimen — koniec nastąpi najpóźniej wieczorem. Ten wyskok (najprawdopodobniej atak gorączki) spowodował, jak państwo widzą, całkowitą utratę przytomności. Tętno jest przyspieszone i nierówne. Oddech — przerywany. Temperatura gwałtownie spadła, co jest złowieszczym symptomem. Trzeba... musimy... przygotować się... wydać dyspozycje.
- Betsy, błysnąwszy brylantami na czerwonych dłoniach, zakryła twarz i szczerze zaszlochała z radości. Beniamin złożył ręce do modlitwy. Lekarz poczuł się wzruszony.
- Wszystkich nas to czeka... — zaczął poważnie.
- Lorch otworzył oczy. Jego spojrzenie było jasne i zdrowe.
- Przynieście jedzenie! — wykrzyknął. — Śniła mi się pieczeń. Przynieście dużo różnego jedzenia. A najlepiej pieczoną wieprzowinę, koniak, whisky... Dajcie mi to wszystko, i to dużo!

Przełożyła Zofia Dudzińska

Potęga nieprzeniknionego

*Kiedy jedni widzieli w snach baśniowe skarby
Wschodu, tej samej nocy inni śnili, że diabły
porywają ich w niezbadane głębie oceanu,
gdzie będą się błąkać do końca swych dni.*

J.F. Cooper — Mercedes of Castile

I

Gracjan Duplet zajmował wśród ludzi obdarzonych wyjątkową wrażliwością to niedobre miejsce, na którym intensywność doznań graniczy z szaleństwem. Nader często zdarzały się mu stany, kiedy to ulegając biernie napierającym nań wrażeniom zaczynał raptem drzeć w urzekającym i straszliwym przeczuciu nagłego odkrycia, którego treścią byłoby ujawnienie sensu istnienia. Naturalnie umysł Dupleta odrzucał instynktownie ten natłok doznań, a po eksplozji podniecenia następował upadek sił, w przeciwnym bowiem wypadku coś potężniejszego od świadomości, polegającego być może na gigantycznej syntezie, musiałyby go nieuchronnie zniszczyć, niczym drewniany młyn poruszany przez Niagarę.

Podstawowym motywem życia Dupleta było nie opuszczające go ani na chwilę uczucie muzycznego urzeczenia. Najlepszym przykładem, ilustrującym ową właściwość jego duszy,

może posłużyć kinematograf, którego obrazom towarzyszy, jak wiadomo, muzyka. Niemy film, uzupełniony dźwiękami dostosowanej do jego akcji muzyki, nabiera poetyckiego wyrazu. Gubi się jego perspektywa etyczna: bohaterstwo i rozpusta, poświęcenie i zbrodnia, budząc różne wrażenia wzrokowe, dają w sumie jedynie interesujące widowisko — uczucia zostały pobudzone, lecz jedynie z punktu widzenia estetyki. Między akcją i orkiestrą unosi się niedostrzegalny cień melancholii i w nim to właśnie zacierają się granice faktów, czyniąc z nich — powtórzmy to raz jeszcze — interesujące widowisko. Przyczyną jest urzeczenie muzyką, skutkiem — drgania rozbudzonych uczuć, wiodących poprzez cień melancholii ku radości wyrafinowanej kontemplacji.

Taki właśnie stosunek do rzeczywistości, polegający na muzycznym urzeczeniu, był niezmiennym motywem życia Dupleta. Towarzyszyła mu jak gdyby niewidzialna orkiestra, snując nie kończące się wariacje na temat jakiejś podstawowej melodii, której dźwięki niedostępne dla słuchu fizycznego, rodziły wrażenie muzycznej ekstazy. Na skutek owego skomplikowania odczuć osoba Dupleta razem z tym, co robił, myślał i mówił, jemu samemu wydawała się czymś jakby oglądanym z boku, postacią z dramatu bez tytułu i zakończenia, przedmiotem obserwacji jedynie. Nawet cierpienia w ich najbardziej ponurej i dotkliwej postaci Duplet odbierał również jakby z zewnątrz; sam — publiczność i bohater sztuki jednocześnie — pogrążony był w głębokiej kontemplacji, upiększonej muzycznym wzruszeniem.

A zarazem w niespokojnych i dziwacznych snach, splatających życie z niemal dotykającym światem wyrazistych marzeń sennych, słyszał kilkakrotnie muzykę, której pierwsze takty wprawiały go w stan półobłąkanego lęku. Owa muzyka była odkryciem harmonii, jaka nie narodziła się jeszcze nigdy i nigdzie. Jej piękno budziło grozę niebiańskim brzmieniem dźwięków, zdolnych, jak mu się zdawało, zamienić piekło w raj. Nieogarniona umysłem doskonałość tej boskiej, triumfalnej muzyki była — Gracjan Duplet czuł to całym swym jestwem — idealnym ucieleśnieniem wielkiego urzeczenia, które towarzyszyło mu przez całe życie i stanowiło, być może, echo olśniewającego pierwowzoru.

Ale po przebudzeniu pamięć Dupleta nie chciała odtworzyć tego, co słyszał. Pełen jeszcze wstrząsających wrażeń daremnie w zachwyceniu sięgał po papier i ołówek, łudząc się, że zdołał pochwycić skarb; dźwięki zamierały, milkły wybuchając z rzadka bolesną ekstazą, a cisza nocy zazdrośnie pochłaniała ich echo — muzyczne urzeczenie.

Gracjan Duplet był skrzypkiem.

II

Odkrycia Roumiere'a w zakresie fotografii kolorowej i hipnozy — dwu tak odmiennych dziedzin prac badawczych — po przyniesieniu mu znacznych sukcesów skupiły wokół nieustrudzonego badacza liczny i stale powiększający się krąg wielbicieli. Z tej to właśnie przyczyny dzwonek przy drzwiach był torturą Roumiere'a i uczonego tego dnia, o którym mowa, z rozpaczą słuchał jego dwudziestego z kolei terkotu, napomknawszy służącemu, że jeśli gość nie będzie zbyt nastawał, dobrze byłoby mu uświadomić, iż za pięć minut kończy się czas przyjęć doktora.

Służący jednak po chwili zameldował, że gość, mężczyzna o chorowitym wyglądzie, okazał stanowczość i upór. Roumiere odłożył nieostre zdjęcie bujnych porannych obłoków i podszedł do biurka, przy którym witał gości. Skinawszy, by służący wpuścił nieznanego, zobaczył człowieka o prostackiej powierzchowności drobnego aferzysty, ubranego z całkowitym lekceważeniem mody i wątpliwą schludnością; był niski, ale okropnie wychudzony, co przydawało mu wzrostu, bez uciekania się do wysokich obcasów. W jego zapadniętych oczach tliło się tępe cierpienie; czoło miał wysokie, lecz ukryte pod kosmykami czarnych, nie

tkniętych grzebieniem włosów; jego twarz, chyba niewiele ponad trzydziestoletnia, stanowiła mieszaninę inteligentnej nerwowości i grubiaństwa, nabytego w ciężkiej szkole życia.

— Jestem muzykiem — przedstawił się po paru wstępnych zdaniach — i gorąco proszę, by nie odmawiał mi pan pomocy. Wątpię, by pacjent, jakiego ogląda pan w mojej osobie, trafił się nawet w pańskiej tak bogatej praktyce. Nazywam się Gracjan Duplet.

Mniej więcej rok temu usłyszałem w snach, które dzięki swej, że tak powiem, plastycznej wyrazistości mają dla mnie wręcz realną wymowę, pewien motyw, jakąś nieuchwytną melodię. Od tej pory prześladowuje mnie ona co noc. Siła i właściwości owej melodii nie dają się wyrazić zwykłymi słowami; słysząc ją, gotów jestem uwierzyć w muzykę sfer; w jej wielkości jest coś nieludzkiego, a jednocześnie harmonia tych dźwięków niepomiarnie przewyższa wszystko, co wygrano dotychczas na strunach i trąbach. Zbudowana jest według nieznanych nikomu zasad. Po przebudzeniu niczego nie pamiętam i próżno czepiając się w r a ż e ń — jedyne, co mi wówczas pozostaje niby pióro rajskiego ptaka — usiłuję odkryć źródło, którego słodka kropla zwielokrotnia po dziesięciokroć pragnienie ginącego na pustyni. Może we śnie nasze jestestwo jest bardziej chłonne, skoro widząc, p a m i ę t a j ą c, że słyszałem tę muzykę, nie mogę zachować w świadomości ani jednego taktu. Jakikolwiek byłoby tego przyczyny, usilnie pana proszę, by użył pan swej sztuki albo w celu wzmocnienia mojej pamięci lub też — jeśli to możliwe — by uciekł się pan po prostu do hipnozy, pod której działaniem mógłbym w pańskiej obecności odegrać (przyniosłem ze sobą skrzypce) to wszystko, co tak wyraziście prześladowuje mnie w snach. Taki eksperyment mógłby dać dwójakiego rodzaju rezultat. Po pierwsze, może się okazać, iż doskonałość tajemniczej muzyki jest efektem zniekształcenia odczuć w snach, jak to często zdarza się tym, którzy śnią, że czytają z niezwykłym talentem napisaną książkę, a budząc się pamiętają jedynie pozbawione sensu zdania; w takim przypadku przekonany, że ulegam złudzeniu, zacząłbym systematycznie leczyć, całkowicie uspokojony niewielką stratą. Po drugie, tym rezultatem może stać się zapis owej melodii, co byłoby nieporównanie cenniejsze. A nuż cały świat muzyki przeszłości i terażniejszości zginie w nowych odkryciach, jak giną nasiona zamieniwszy się w kwiaty lub gaśienica, która w pewnym momencie przestaje być utajonym triumfującym motylem. A nuż zmieni się, ruszona w samych swych podstawach, świadomość ludzkości, ponieważ — powtarzam raz jeszcze i wierzę w to święcie — siła tej muzyki ma w sobie coś boskiego i niszczycielskiego.

Duplet wyrzucił to wszystko z siebie, pomagając sobie energiczną gestykulacją. Jego sposób mówienia zdradzał w nim człowieka nawykłego do rozważań na tematy nie tylko potoczne lub banalne; wzrok, aczkolwiek pełen napięcia zdradzającego skrajną nerwowość, pozbawiony był mroków szaleństwa i Roumiere doszedł do wniosku, iż doświadczenie może być co najmniej ciekawe. Zanim jednak do niego przystąpił, uznał za właściwe uprzedzić Dupleta, że gwałtownemu pobudzeniu uczuć w transie hipnotycznym towarzyszy niebezpieczeństwo.

— Nie podejrzewa pan zapewne pułapki — powiedział — w jaką może pana wciągnąć nadmierne przeciążenie umysłu, który (a należy się z tym liczyć) okaże się bezsilny, by odtworzyć coś, co nie istnieje. Zakładając, że melodia jest jedynie zdumiewająco intensywnym tworem wyobraźni, wyrazem pragnienia, pożądania — mogę narazić pana na ciężką chorobę; zagraża panu nawet śmierć w przypadku wylewu krwi do mózgu, co jest również niewyklucone.

— Jestem gotów — odparł Duplet. — Proszę o moje skrzypce.

Kiedy je przyniesiono, a muzyk z instrumentem i smyczkiem w rękach zasiadł w głębokim wygodnym fotelu, Roumiere usypiał skrzypka nie dłużej niż minutę.

— Gracjanie Duplet! — rzekł lekarz, odczuwając niecodzienne podniecenie. — Rozkazuję, by mi pan ulegał i we wszystkim był posłuszny.

— Będę posłuszny — martwym głosem odpowiedział Duplet.

Mieszkanie Roumiere'a znajdowało się na parterze, jego okna wychodziły na niewielki zaułek. Okno gabinetu było otwarte, muzyk siedział w pobliżu. Zesztywniał i zbladł, po jego twarzy spływały wielkie krople potu. Roumiere odczekawszy chwilę powiedział:

— Duplet! Słyszysz pan muzykę, o której rozmawialiśmy?

Muzyk zadrżał; szeroko otworzył niewidzące oczy, a błyskawica ekstazy zmieniła jego twarz niczym promienie słońca zamgloną powierzchnię morza. W pokoju zabrzmiał przeciągły jak echo zacichającego dzwonu jęk.

— Słyszę! — wykrzyknął Duplet.

— Teraz — drżąc w potoku nerwowego promieniowania, niedostrzegalnie emanującego z muzyka — teraz — kontynuował Roumiere — proszę grać to, co pan słyszy. Skrzypce trzyma pan w ręku. Proszę zaczynać!

Duplet wstał, gwałtownie przeciągnął smyczkiem po strunach i serce hipnotyzera załomotało boleśnie pod naporem raptownie napływającej krwi. Już przy pierwszych dźwiękach skrzypiec Roumiere zrozumiał, że dalej słuchać *n i e w o l n o*. Te dźwięki raziły go i oślepiały. Nikt nie potrafiłby ich *o p o w i e d z i e ć*. Roumiere czuł tylko, że całe jego dotychczasowe życie jest mu całkowicie zbędne, nienawistne i bezużyteczne i że pod wpływem tej muzyki człowiek — kimkolwiek jest — zrobi z jednakim uniesieniem wszystko: popełni najstraszliwszą zbrodnię i okaże najwznioślejsze bohaterstwo. Ogarnął go mdlący strach. Zmuszając się do nadludzkiego prawie wysiłku, wydarł Dupletowi skrzypce z uczuciem, że pluje w twarz bóstwa, i niweczając niebezpieczny czar wykrzyknął:

— Duplet! Niczego pan nie słyszał i nie grał. Zapomniał pan o wszystkim, co działo się podczas pańskiego snu, proszę usiąść i otworzyć oczy!

Muzyk usiadł, rozwarł ciężkie powieki. Ogarnęło go uczucie bezgranicznej melancholii; pamiętał jedynie, po co przyszedł do Roumiere'a, i uprzytomniwszy to sobie do końca, zadał nawiązujące do ich rozmowy pytanie.

— Tego właśnie należało się spodziewać — powiedział Roumiere zwrócony do niego plecami i ukazując twarz dopiero wówczas, gdy opanował wzburzenie. — Zagrał pan kilka arii operetkowych przemieszanych z urywkami serenady Schuberta.

Po krótkiej wymianie zdań Duplet przeprosił z roztargnieniem, podziękował i wyszedł na ulicę. Tutaj prawie natychmiast dogonił go i zatrzymał jakiś nieznany, przywoicie ubrany mężczyzna. Był niebywale poruszony, obrzuciwszy spojrzeniem skrzypce Dupleta, skłonił się lekko i spytał:

— Przepraszam, czy to pan grał przed chwilą za oknem wychodzącym na zaułek? Muzyka urwała się nagle; usłyszałem ją przechodząc tamtędy przypadkowo i gorąco pragnąlbym słuchać jej dalej. Co pan grał?! Pytam nie z czezej ciekawości; ja, były oficer, płakałem w głos jak dziecko, wśród hałasów i gwaru dnia, poruszony nie znanymi mi dotąd uczuciami. Co to było, na miłość boską, i kim pan jest?

Duplet, który początkowo słuchał nieznajomego z nieuwagą, pod koniec w jednej chwili zrozumiał wszystko. Owładnęło nim szaleństwo. Porzuciwszy rozmówcę, zawrócił z pośpiechem kogoś nadzwyczaj wzburzonego i śmiertelnie urażonego, zadzwonił do drzwi. Po chwili znów stał przed osłupiałym hipnotyzere. Wściekłość odebrała mu mowę; wykrzyknął przerywanym głosem:

— Zataiłeś!... Zataiłeś!... Łajdaku! Czy wiesz, co mi odebrałeś?! To gorsze niż morderstwo! Nie ma przebaczenia! Tylko śmierć!... Śmierć ci za to!

Rzucił się na Roumiere'a i powalił go, okładając razami. Do pokoju wpadli służący. Nie bez trudu związali Dupleta, który na polecenie lekarza odwieziony został do kliniki psychiatrycznej.

Przebywał tam od tej pory, zdradzając wszelkie objawy nieuleczalnej depresji, którą od czasu do czasu zmieniały ataki nieokiełznanego szaleństwa. W chwilach melancholii grywał

długimi godzinami ze smutkiem i łzami w oczach na swych skrzypkach, usiłując odnaleźć to, co utracił, i zadziwiając lekarzy oryginalnością niektórych komponowanych bezustannie fantazji. Niekiedy, wśród wariacji na pewien szczególnie smutny temat, spod jego smyczka wydobywały się dziwaczne takty, wywołujące niepokój słuchaczy; były to żałosne odbłaski bezsilnego piękna, jakby aluzje do czegoś wielkiego... ale zdarzało się to coraz rzadziej i skończyło wraz ze śmiercią skrzypka, która przyszła do niego w majaczeniach pełnych żarliwych próśb o podniesienie bezlitosnej zasłony, kryjącej tajemnicze, urzekające widowisko.

Przełożyła *Zofia Dudzińska*

Tam i z powrotem

(Feeria)

I

Pod koniec maja i w początkach lipca miasto Zurbagan odwiedza „Szalony Szybkobiegacz”. Błędem byłoby uważać, że ów gość jest człowiekiem jakiejś zwariowanej powierzchowności; człowiekiem długonogim, ryczącym i szybkim jak konkluzja strusia na temat magicznej mocy piasku.

„Szalony Szybkobiegacz” to kontynentalny wiatr stepowy. Niesie obłoki kurzu, motyle, płatki kwiatów; deszcze zimne i krótkie jak pocałunki, chłód dalekich wodospadów, skwar kamienistej ziemi, dzikie aromaty dziewiczych lasów i tęsknotę za nieznanym. Poddani władzy wiatru mieszkańcy miasta łatwo ulegają podnieceniu i stają się roztargnieni; ich sny bywają niespokojne, myśli — dziwaczne, pragnienia zaś mgliste i kuszące niczym wizje anachorety lub marzenia młodości. Na burzliwe dni „Szalonego Szybkobiegacza” przypada najwięcej nieoczekiwanych odjazdów, gorzkich rozstań, niespodziewanych wypraw i desperackich podróży.

Piątego lipca czterdzieści kilometrów od Zurbaganu trzech mężczyzn szło wąską stepową ścieżką, kierując się na zachód.

Idący na czele był silnym, wyprostowanym, nerwowym trzydziestolatkim. Natura obdarzyła go szczególnego rodzaju kolorytem, odlegle przywodzącym na myśl egzotycznego ptaka tropików: smągła skóra, lśniąca błękitne oczy i czarne wijące się, z brązowym połyskiem włosy sprawiały dość oryginalne wrażenie, maskując brzydotę ostrej, grubo ciosanej twarzy właśnie dzięki bogactwu barw. Posuwał się naprzód jakby skokami, sprężysto i pewnie. Ubrany był, jak i jego towarzysze, w strój myśliwego; na ramieniu wisała strzelba; resztę podróznego wyposażenia — torbę, zwinięty koc i skórzany woreczek z nabojami — rozmieścił wokół bioder z rzeczowym, przemyślanym praktycyzmem przewidującego wędrowca, który, gdy trzeba, wykorzystuje nawet kształty własnego ciała.

Zwano go Nef.

Drugi wędrowiec, który rozkołysanym krokiem podążał za pierwszym, był pyzaty, zdrowy i nieciekawy, jak nieciekawo są ludzie stworzeni do pracy i małych myśli o pracy bliźnich. Młody, zapewne dobroniosny, lecz oporny i niechętny wobec wszelkiej nowości, reprezentował ów złoty środek każdego społeczeństwa, który w gruncie rzeczy jest oczywisty jak stół czy mocno przyszyty guzik. Sama natura rozkwita przy takich ludziach niczym wygłodzony poeta przy szynce. Drugiego wędrowca zwano Pek, a był on ogrodnikiem.

Trzeci mógłby wpędzić w melancholię najweselszego błazna. Wyobraźcie sobie żywą

trumnę; trumnę na długich, koślawych, niepewnych nogach, z zapadłym brzuchem, podniesionymi ramionami, głęboko osadzonymi, ponurymi oczami i rękami jak grabie. Jego rude wąsy zwisały na kształt nóżek martwego pająka, szedł zamasyżycie i chwiejnie, ospale przebijając się przez powietrze niby przez rzędy kufców. Tego zwano Chin. W Zurbaganie był pucybutem.

Szli we trójkę do półlegendarnych, niedostępnych okolic Achuan Scapu po złoto ukryte w tajemnej kopalni Enocha, który umierając przekazał plan skrytek Nefowi. Chin uległszy pokusie zużył na ekwipunek pieniądze z książeczki oszczędnościowej, a Pek szedł jako potężna siła robocza, godna kopać ziemię i wiązać tratwy na przeprawach.

II

Kiedy zapadł zmrok, wędrowcy zatrzymali się w niewielkim lasku, rozpalili ognisko, zjedli kolację i napili się kawy.

Ogromna stepowa noc migotała różnobarwnymi gwiazdami, wielkimi jak oczy rozszerzone ze strachu lub zachwytu. Zapach suchej trawy, dymu ogniska, oparów dolin, cisza jeszcze cichsza niż senne odgłosy stepu wydającego westchnienia, szelest gałęzi, potrzaskiwanie ognia, nagły krzyk ptaka czy zwodniczo bliski bełkot dalekiego wodospadu — przeniknięte były tajemniczym smętkiem, majestatycznym jak sama przyroda, rodzicielka uczuć pełnych smutku. Człowiek jest samotny; w obliczu stepu staje się to dla niego bardziej oczywiste.

Nef rozłożył mapę.

— No, braciszku — rzekł zakreślając paznokciem odcinek nie większy niż pięć milimetrów — tyle oto zrobiliśmy pierwszego dnia.

— A ile jeszcze zostało? — spytał po chwili Chin.

— Tyle. — Nef przesunął dłoń na przeciwległy skraj mapy.

— T-tak — mruknął Pek.

Chin milczał. Nef z natężeniem wpatrzony w mrok, jakby wychylony ulatywał ku dalekiemu celowi, powiedział:

— Pamiętajcie, że droga jest niełatwa. Wspominałem już o tym. Los będzie dla nas bezlitosny, ale przejdzie- my po jego trupie. Idziemy w głąbę, gdzie spotkamy tylko lasy, mrok, wrogów i zwierzęta; nikt nam nie pomoże. Złoto zaległo w skale. Jeśli chcecie, by wasze dłonie rozbłyły jak oczy blaskiem zachodu, a świat znalazł się w waszej kieszeni — nie kwękajcie.

Pek i Nef wkrótce usnęli, ale Chin nawet nie zmrużył powiek. Zaniepokojony, po raz pierwszy z takim lękiem i tak realnie wyobraził sobie nieskończenie długą drogę, deszcze, głód, wichry i choroby; pantery spadające z drzew na kark, niesamowite oczy żmij, strzałę w brzuchu i kulę w sercu... Czyjś szkielet w głębokiej przepaści... Wspomniał urodę imitującej drzewo orzecha skrzynki, na której wspierała się stopa szczodrego przechodnia, lśniący w słońcu asfalt, swoją gazetę, swoją kawiarenkę i niezawodne srebrne krążki. Odżegnał się wewnętrznie od miejsca na mapie, gdzie uśmiechnięty Nef oparł dłoń. Odżegnał się i odzyskał spokój.

Wstał ostrożnie, zebrał rzeczy i nie budząc towarzyszy zawrócił do Zurbaganu, unosząc na plecach spojrzenie dogasającego ogniska. Tak odwraca się plecami do rozległego placu i idzie przezeń tyłem człowiek cierpiący na lęk przestrzeni... Świat wszędzie jest niebezpieczny.

III

Rankiem Nef pokazał Pękowi ślady stóp zwróconych do miejsca noclegu piętami.

— Zostało nas dwu — powiedział. — To dobrze i źle zarazem. — Pek zaklął, rozważając mimo woli, jakie to powody skłoniły China do powrotu. Poczul się niepewnie.

Potem upłynął miesiąc, kiedy dwaj mężczyźni z godnością i uporem lunatyków, balansujących na krawędzi dachu i wpatrzonych w księżyc, przecinali równinę Alarget. Nef szedł pierwszy. Mówił mało, często popadał w zadumę; kiedy pogoda dopisywała, był roześmiany, gdy się psuła — zagryzał wargi. Szedł pewnie jak po chodniku. Pek gadał bez przerwy i nudno, uskarżał się na przeciwności losu, dużo jadł i często wzdychał, ale szedł wytrwale z miłości do czekającego nań bogactwa.

Pewnego wieczoru do osady położonej na brzegu dużej rzeki wkroczyli dwaj brudni i brodaci osobnicy. Ich paznokcie były czarne, a odzież ubrudzona błotem. Weszli do niewielkiego domku, gdzie piękna jak wiosenna zieleń młoda dziewczyna i krzepki wysoki starzec zasiadali do kolacji.

— Dokąd idziecie? — zainteresował się starzec.

— Do Szarych Gór — odparł Nef.

— Daleko.

— Nieblisko.

— Po co?

— Po złoto.

— Głupcy — zawyrokował starzec. — Wielu tam odchodzi, ale mało kto wraca.

— I co z tego? — oświadczył Nef. — Ja przecież idę pierwszy raz.

Starzec mruknął coś niewyraźnie.

— Nerra, daj im jeść i przygotuj posłania — przykazał córce. — Niech we śnie całują się ze złotem, a na jawie — ze śmiercią.

— Kpinkami nikt nie napelni kieszeni — zauważył Nef.

Dziewczyna parsknęła śmiechem. Pek dobrał się do jadła; Nef łyknął wódki, później także zaczął jeść.

Kolacja upłynęła w milczeniu. Potem Nerra powiedziała:

— Głupcy, wasze posłania są gotowe.

— A ty lubisz mądrych? — rzucił Nef.

— Chyba tak, skoro nie lubię głupich pytań.

— Jaki ci przynieść podarek?

— Własny skalp, jeśli go odnajdziesz.

— Bierz go natychmiast. — Nef nadstawił kudłatą głowę.

Starzec wyjął fajkę z ust i roześmiał się głośno. Dziewczyna wpadła w złość.

— Wynoście się spać! — krzyknęła.

Nef zasnął szybko. Pek wierząc się wspominał krągłe ramiona Nerry. Rankiem, gdy Nef zajęty był czyszczeniem broni, Pek wyszedł na podwórze i przysiadł na pieńku.

Daleko, za ukwieconym żywopłotem widniały pagóry uprawnych pól. W chlewie pokwikały różowe świny z czarnymi łatami. Na dziedzińcu obok wałęsały się krowy. U stóp Peka biegały duże różnobarwne kury i gadatliwe indyczki; nieustannie wybijające pokłony gęsi syczały jak teściowe; błękitnozłote kaczki z czubkami na łebkach robiły w słońcu toaletę.

Z chlewu wyszedł starzec. Dostrzegłszy Peka zbliżył się i powiedział:

— W górach, łaskawco, jest dziko i marnie, a u mnie — dużo roboty. Dwa miesiące temu utonął mój syn. Jeżeli chcesz, zostań jako parobek. U nas zawsze bywa spokojnie i syto.

Na podwórzu zjawiała się uśmiechnięta Nerra. Szła w słońcu i barwnej sukni, bogata w młodość. Znikła. Cały ten obraz tak dobrze znanego Pękowi farmerskiego życia był dla niego

jakby odwilżą wśród srogiej zimy: wśród trudów wyczerpującej i niebezpiecznej wędrówki.

— Zgoda — odparł.

Starzec z uciechy podrzucił łopate. Pek wrócił do domu, gdzie zderzył się z Nefem, ubranym już i gotowym do drogi.

— Pośpiesz się, idziemy — rzekł Nef.

— Nef... Ja...

— Gdzie twoja strzelba?

— Słuchaj...

— Szkoda czasu, Pek.

— Zostaję tu pracować.

Nef odwrócił się. Stał tak chwilę, potem minął Peka, jakby go nie dostrzegał. Przy wrotach zatrzymał się, spostrzegł Nerre obserwującą go spod ocieniającej czoło dłoni.

— No, idę — powiedział.

— Żegnaj. Pilnuj skalpu!

Nef z urazą wzruszył ramionami. Dziewczyna parsknęła pogardliwym śmiechem i plecami odwróciła się do drogi wiodącej ku górcom.

IV

Życie mierzy się nie czasem, lecz czynami, a także ilością wydarzeń. Dlatego bez pedantycznego wyliczania miesięcy, jakie oddzielają te dwa rozdziały, trafiamy pod okno, które Nerra dopiero co wypucowała do blasku nieskalanej duszy. Obok niej stoi Pek.

— No i co mam teraz robić?

— Pławić konie.

— Nerra!

— Daj mi spokój, Pek. Nie będę twoją żoną.

Patrzył na jej proste plecy, puszyste włosy, nieprzyjazne oczy i małe silne dłonie. Patrzył, jak rybak bez wędki na igraszki pstrągów w wartkim potoku. Poczł przyływ nagłej złości, odszedł więc i poprowadził konie do rzeki, a kiedy z nimi wracał, zauważył idącego z boczem pagórka nieznanego człowieka w łachmanach i tak zarośniętego, że błyszczały mu tylko oczy i zęby. Nieznajomy silnie utykał.

— Pek! — odezwał się włóczęga, chwytając konia za uzdę.

— Nef!

— To ja. Ja i moje złoto.

— A więc nie umarłeś?

— Nie, ale umierałem wielokrotnie.

Weszli do domu. Pek przywołał starca i Nerre. Obstąpili Nefa we trójkę, przyglądali mu się z trwożliwą ciekawością.

Wyglądał okropnie. Przez poszarpane łachmany prześwitywała poczerniała skóra; blizny na twarzy i rękach sklezione zapiekłą krwią przypominały straszliwy tatuaz; bosc stopy spuchły, jedno oko było przewiązane. Nef zdjął z pleców worek, strzelbę, ciężki skórzany pas i cisnął je w ką.

— Skalp jest cały — oświadczył zwięźle.

Dziewczyna uśmiechnęła się, ale milczała.

Dali mu jeść i wódki. Usiadł, wypił. Zasnął na sekundę i natychmiast się ocknął.

— Opowiadaj — nakazał starzec.

— To na początek... — rzekł Nef, podwijając lewy rękaw.

Od ramienia aż do przegubu zwiślały strzępy zabliznionych mięśni, straszny ślad

niedźwiedziej łapy. Opuściwszy rękaw, Nef spokojnie i bez pośpiechu opowiadał o takich trudach, udrękach, męczarniach, grozie i rozpacy, że Pek spojrzawszy w kąt, gdzie leżały worek i skórzany pas, zobaczył niemal, jak zmalowały i straciły na wadze w jego oczach.

Następnego dnia wypoczęty Nef ogolił się, umył i ubrał. Nie straszyl już swym wyglądem, który jednak nadal świadczył wymownie o niejednym.

Kiedy starzec i Nerra wyszli, Pek zwrócił się do Nefa:

— Podstępnie mnie tu porzuciłeś, Nef, i nie pociągnąłeś za sobą, co winien uczynić wierny druh. I oto proszę — ty jesteś milionerem, a ja po dawnemu nędzarzem.

Nef uśmiechnął się i rozwiązał worek. Sięgnął po szklanke, nasypał w nią po brzegi matowego złotego piasku.

— Masz! — rzekł do poczerwieniałego z chciwości Peka.

O zmierzchu Pek znikł. Nef znalazł na łóżku karteczkę od niego i pokazał ją dziewczynie.

„Chciwy i wiarołomny przyjacielu! Zjawiwszy się jako wielki bogacz dałeś mnie, swemu nieodstępniemu towarzyszowi, zaledwie nędzną cząstkę. Bądź przeklęty! Zostawiam ciebie i rozpustną dziewczę, Nerre. Odjeżdżam do wuja, gdzie w ciągu pięciu lat postaram się wzbogacić bardziej niż ty, podstępny włóczęgo”.

— Przypalimy od tego świstka — powiedział wesoło Nef. — Nie przerażaj się, Nerro, pamiętaj, że głupiec kąsa jedynie powietrze. Posłuchaj... Skalp ocaliłem dla ciebie.

Milczała chwilę, wreszcie położyła dłoń na jego ramieniu, a potem łagodnie przesunęła ją na wijące się włosy Nefa.

— Za tydzień statek popłynie w dół rzeki — szepnęła. — Jeżeli chcesz, pojedę z tobą.

— Chcę — odparł z prostotą Nef.

Tak zaczęło się ich wspólne życie. Świat zyskał jeszcze jednego męża i jeszcze jedną żonę. Świat bogaty w najróżniejsze pary, lecz nader ubogi w miłość i szacunek.

Przy podjeździe okazałego zurbagańskiego teatru siedział nasz znajomy Chin i z zawodowego przyzwyczajenia obserwował stopy przechodniów; prawie nigdy nie podnosił wzroku wyżej, uważając to za nieopłacalne.

Minął jakiś czas. Na skrzynce China oparła się niewielka męska stopa w lakierowanym bucie; potem — druga. Chin starannie je wyglansował i nastawił rękę.

To, co znalazł w dłoni, najpierw zaskoczyło go swą barwą — różową i brunatną, nie była to bowiem barwa banknotu. Rozwinąwszy paperek Chin wstał odczytując z uniżonością i szacunkiem, że jest to czek na okaziciela na sumę pięćdziesięciu tysięcy. Podpis brzmiał Nef.

Chin rozejrzał się gorączkowo i uległ złudzeniu, że na barwny zurbagański tłum legły cienie stepu, a nad nagrzanym asfaltem przemknął groźny wiew dzikich gór, musnąwszy go świeżością nie milknących wodospadów.

Przełożyła Zofia Dudzińska

Święto noworoczne ojca i małej córki

I

W mieście Comenville, które bynajmniej nie słynęło z czystości, rozkwitu handlu i z tego wszystkiego, co stanowi podniecający i nieprzytulny blask wielkich lub żyjących gorącz-

kowo miast, osiedlił się, ze względu na panujące tam spokój i ciszę, uczony Egmond Drape.

Tutaj piętnaście lat temu zaczął pisać pracę naukową w dwu tomach.

Idea tej pracy zawładnęła nim, gdy był jeszcze studentem. Żył niemal w nędzy i niejednemu sobie odmawiał, ponieważ nie posiadał majątku; jego doraźne zarobki wyrażały się niewielkimi sumami honorariów za drobne tłumaczenia korespondencji. Cały wolny czas, którego strzegł zazdrośnie, poświęcał swej pracy, zapominając często o jedzeniu i śnie. Stopniowo doszedł do tego, że nie interesował się niczym poza owym dziełem i córką Tawinią Drape, która przebywała u krewnych.

Miała sześć lat, kiedy straciła matkę. Raz lub dwa do roku przywoziła Tawinię do ojca starucha z orlim nosem, spoglądająca tak, jakby chciała powiesić Drape'a za jego nędzę i roztargnienie, za wszystkie te przejawy żaru wewnętrznego, które dostrzegała w postaci popiołu z fajki i bałaganu bliskiego całkowitej ruiny.

Z roku na rok chaos w ciasnym mieszkaniu Drape'a wzrastał, przybierając dziwaczne kontury snu lub futurystycznego rysunku, na którym najróżniejsze przedmioty tworzą przeciwną naturze kolekcję, lecz rósł także stos rękopisu uczonego, ukryty w środkowej części niewielkiej szafy. Od dawna już był narażony na sąsiedztwo najrozmaitszych rupieci.

Zmięte chustki do nosa, szczotki do butów, książki, skorupy, jakieś ramki i fotografie oraz mnóstwo innych pokrytych kurzem przedmiotów przewalało się na szerokiej półce, wśród zeszytów, notesów czy wprost przewiązanych sznurkiem rozmaitych skrawków papieru, na których zniecierpliwiony bezowocnymi poszukiwaniami przyzwoitej kartki nerwowy i roztargniony Drape zapisywał swe genialne olśnienia.

Trzy lata temu, jakby oprzytomniawszy raptem, zawarł umowę z żoną dozorczy. W zamian za niewielką opłatę miała codziennie sprzątać mieszkanie. Ale pewnego razu Drape odkrył, że porządek czy raczej tak dobrze mu znany nieład na biurku przekształcił się w ohydłą symetrię, wskutek której daremnie szukał notatek sporządzonych na mankietach, przyciętych dla pewności masywnym orłem z brązu. Odnalazłszy wreszcie zgubę w koszu z brudną bielizną, burzliwie rozstał się z siłą najemną, trzaskając w finale drzwiami, w odpowiedzi zaś wysłuchał zapalczywych powątpiewań co do należytego stanu swych władz umysłowych. Od tej pory Drape borykał się z życiem samotnie.

II

Zmierzchało, gdy po włożeniu płaszcza i kapelusza Drape spostrzegł wreszcie, że od dłuższego czasu stoi przed szafą, usiłując pojąć, co chciał właściwie zrobić.

Udało mu się to dopiero wówczas, gdy jego wzrok padł na depeszę.

„Kochany mój ojczulku — głosiła — przyjeżdżam dziś o ósmej. Całuję i mocno tulę się do ciebie. Tawi”. Drape uświadomił sobie, że zamierzał iść na dworzec.

Dwa dni temu wsunął do szafy drobny banknot, ostatnie pieniądze, które przeznaczył na dorożkę i kupno czegoś do jedzenia. Ale zapomniał, gdzie je włożył, nie w porę obmyślając przy tym trzydziesty drugi rozdział; o tym samym rozdziale myślał także teraz, póki tekst depeszy nie wyrwał go z zaczarowanego kręgu nieustannych rozważań. Drape wyobraził sobie miłą twarzyczkę Tawi i uśmiechnął się.

Teraz myślał już wyłącznie o niej. Z gorączkowym pośpiechem zaczął szukać pieniędzy, zanurzawszy dłonie we wnętrzościach trzeciej półki, na którą odkładał rękopis.

Stłoczone warstwy papieru stawiały mu opór. Poszukawszy spojrzeniem, dokąd by je szybko przełożyć, Drape wyciągnął spod biurka kosz na śmiecie i począł ubijać w nim rękopis, zatrzymując chwilami wzrok na przypadkowym zdaniu z kartki leżącej na wierzchu lub śledząc tok myśli zrodzonych przy pisaniu wiele lat temu.

Kiedy Drape myślał o swej pracy lub wspominał jej koleje, zdawało mu się, że nie było w jego życiu okresu, kiedy nie istniałaby ona w nim samym lub na jego biurku. Narodziła się, rozwijała, rosła i towarzyszyła mu jak ludzka istota. Była dla niego podobieństwem tęczy, przesłoniętej na razie mgłą wytężonego procesu twórczego lub widział ją w postaci złotego łańcucha, łączącego brzegi otchłani. A czasem wyobraźnia rysowała przyszłe dzieło jako grom i wichur siejący prawdę. Praca i on stanowili jedność.

Znalazł wreszcie banknot, który zawieruszył się w pustym pudełku po papierosach, spojrzął na zegarek i spostrzegłszy, że do ósmej brak zaledwie pięciu minut — wybiegł na ulicę.

III

W kilka chwil później ponury dozorca wpuszczył Tawi Drape do ojcowskiego mieszkania.

— Wszedł, panienko — powiedział towarzysząc dziewczynce, której błękitne oczy wytropiły ślad uśmiechu na jego brodatej twarzy — wszedł i sądzę, że po to, by panią powitać. Ależ panienka wyrosła!

— Tak, czas płynie — przytwardziła Tawi z głębokim przeświadczeniem, że czternaście lat to już wiek całkiem poważny. Tym razem przyjechała sama niczym dorosła i po cichu była z tego ogromnie dumna. Dozorca odszedł.

Dziewczynka zajrzała do gabinetu.

— Ależ chlew — mruknęła, dobierając w bolesnym osłupieniu dostatecznie mocny odpowiednik tego, co zobaczyła. — Albo może nie uprzątnięta stajnia. Jakże jesteś samotny, ojczulku, zapracowany ty mój! A przecież jutro Nowy Rok!

Z sercem przepełnionym tkliwością i współczuciem zdjęła elegancki jedwabny płaszczyk, rozpięła i podwinęła rękawy. Po chwili niezliczone opasłe tomy z hałasem powędrowały w kąt pokoju, dotąd zwałała je energicznie ze wszystkich najmniej odpowiednich miejsc. Otworzyła również lufcik; do mrocznego od dymu papierosów, nie opalanego i wilgotnego pokoju wtargnął przezroczysty strumyk świeżego powietrza.

Tawi znalazła obrus, szybko zmyła naczynia, wreszcie rozpałała w kominku napełniony go szczelnie zakurzonymi papierami z kosza, śmieciami i resztkami węgla znalezionymi w kuchni. Potem zaparzyła kawę. Miała swoje podróżne zapasy, rozłożyła je więc jak najładniej na stole. Krzątając się nuciła z uśmiechem na myśl o zaskoczeniu ojca i jego radości.

Drape podchodząc do domu spostrzegł światło w oknie, pojął więc, że się rozminęli, a jego maleńka, dobra Tawi już przyjechała i go oczekuje. Wszedł na palcach. Tawi poczuła, jak na jej twarz, zakrywając od tyłu oczy, legły duże, silne i delikatne dłonie. Odwróciwszy się mocno objęła ojca, tuląc go i tarmosząc, jakby był dzieckiem.

— Ojczulku kochany, nareszcie jesteś, tak się za tobą stęskniłam! — wykrzykiwała, gdy ją głaskał i całował, chciwie wpatrzony w jej śliczną, wrażliwą twarzyczkę, która promieniała szczęściem.

— Mój Boże — powiedział siadając i nadal obsypując Tawi pieścizotami — nie widziałem cię całe pół roku. Dobrą miałas podróż?

— Doskonałą. Przede wszystkim pozwolono mi jechać samej, dzięki czemu mogłam rozkoszować się życiem bez ciągłego marudzenia starej Cecylii. Ale wyobraź sobie, że i tak zmuszona byłam przyjąć mnóstwo przysług od nieznanomych ludzi. Nie wiesz, dlaczego? Ale słuchaj: czy ty niczego nie widzisz?

— Co mam zobaczyć? — powiedział ze śmiechem Drape. — Widzę ciebie.

— A poza tym?

— O co ci chodzi?

— Niemądry, roztargniony uczony barbarzyńco, rozejrzyj się uważnie!

T e r a z zobaczył.

Stół był starannie nakryty białym obrusem i przygotowany do kolacji; nad dzbankiem do kawy unosiła się para; pieczywo, ser, owoce i plastry pospiesznie nakrajanego pasztetu przedstawiały zdumiewający obraz dla Drape'a, który zwykł jadać chodząc lub na stojąco z książką przed oczami. Podłoga była zamieciona, a meble ustawione tak, że pokój stał się przytulniejszy. Kominek pochłaniał swój przypadkowy żer.

— Musiałam się spieszyć i dlatego wszystko wyszło byle jak, ale jutro wezmę się do roboty na dobre i dopiero tu zaczniesz błyszczeć!

Wzruszony Drape popatrzył na Tawi z czułością, potem ujął jej brudne ręce i parokrotnie uderzył jedną o drugą.

— No, teraz będziemy ciebie otrzepywać z kurzu. Ale skąd wzięłaś opał?

— Znalazłam w kuchni nieco węgla.

— Pewnie jakieś resztki.

— Tak, ale tu, w tym koszu, było mnóstwo papieru.

Drape jeszcze nie pojmując do końca, spojrzał na nią z niejasnym niepokojem.

— W którym koszu? Pod biurkiem?

— No właśnie. Wprawdzie zgarnęłam strasznie dużo śmieci, ale pałą się nie najlepiej.

Wówczas przypomniał sobie i pojął.

IV

Osiwiał w jednej chwili i ogarnęła go nagła ciemność. Nie zdając sobie sprawy, co robi, wyciągnął rękę do lampy i przekręcił kontakt. Ten mimowolny gest uratował dziewczynkę, oszczędzając jej mgnienia w wyrazie ojcowskiej twarzy, którego nie zdołałaby już nigdy zapomnieć. Mrok skoczył Drape'owi do oczu i wydarł mu serce.

Przez kilka sekund odnosił wrażenie, że niepowstrzymanie pędzi wprost na kamienną ścianę, bijąc o nią uderzeniem bez końca.

— Ależ, ojczulku — rzekła zdumiona dziewczynka, spokojną dłonią przywracając blask jaskrawego światła — czyżbyś rzeczywiście tak lubił mrok? I czym posypałeś sobie włosy?

Jeżeli Drape w tym momencie nie oszalał, to jedynie dzięki pogodnemu głosikowi, który swą tkliwością przeszył mu serce. Spojrzał na Tawi. Wsparłszy policzek o złożone dłonie, patrzyła na niego z uśmiechem i wzruszającą czułością. Jej czystego wewnętrznego światła strzegła miłość.

— Dobrze ci, ojczulku? — spytała Tawi. — Śpieszyłam się przed twoim powrotem, żebyś mógł odpocząć. Ale dlaczego płaczesz? Nie płacz, bo mi smutno!

Drape zmagął się jeszcze w bólu i torturach niemego jęku, ale napięcie przeżytego wstrząsu doprowadziło do jego serca z jaskrawością słonecznego promienia całą radość dziecka, kiedy widziało go w czystości i ciepłe — i znalazł w sobie siły, by się odezwać.

— Tak — powiedział odejmując ręce od twarzy — nie będę już płakał. To zabawne, że istnieją odruchy serca, za które warto, być może, zapłacić całym życiem. Zrozumiałem to dopiero dziś. Pracując — a potrwa to jeszcze z pięć lat — będę wspominał twoje dobre serduszko i troskliwe rączki. Nie mówmy o tym więcej.

— No, to wszystko w porządku!

Stworzenie Aspera

I

W ponurej dolinie Engry, w pobliżu kamieniołomów, sędzia Hacker przyznał mi się do wielu niezwykłych spraw.

— Przyjacielu — rzekł Hacker — najwyższym przeznaczeniem człowieka jest twórczość. Twórczość, której poświęciłem życie, wymaga za życia twórcy głębokiej tajemnicy. Nazwisko artysty nie może być znane nikomu, więcej, ludzie nie powinni podejrzewać, że zjawiska, które ich zadziwiają, są wyłącznie dziełami sztuki.

Malarstwo, muzyka, poezja tworzą wewnętrzny świat wyobraźni artystycznej. Jest to godne szacunku, ale mniej interesujące niż moje twory. Ja tworzę żywych ludzi. Więcej z tym ambarasu niż z kolorową fotografią. Staranne wypracowanie drobnych elementów, dopasowywanie ich, oczyszczanie, obmyślanie zdolności umysłowych nowo stworzonej postaci, a także konieczność śledzenia, aby postępowała ona zgodnie ze swoją sytuacją — zabierają niemało czasu.

— Nie, nie — ciągnął, dostrzegłszy na mojej twarzy niedowierzenie i przymus — mówię poważnie i wkrótce pan to zobaczy. Jak każdy artysta jestem ambitny i chcę mieć następców; dlatego też, ponieważ wiem, że jutro skończę życie, postanowiłem zawierzyć panu metodę, przy pomocy której osiągnąłem pewne rezultaty.

Ziemia skąpo tworzy nowe odmiany roślin, zwierząt i owadów. Przyszło mi na myśl, aby we wspianiałą różnorodność natury wnieść nieco więcej urozmaicenia przez stworzenie nowych form życia. Odkrycie nowej odmiany kokuja * albo orchidei uwiecznia nazwisko szczęśliwego profesora, tym bardziej mogłem być dumny, skoro udało mi się — nie drogą krzyżowania, jest to bowiem droga natury, ale sztucznie — zmienić cechy gatunkowe poszczególnych osobników z zachowaniem tych zmian w potomstwie. Znalazłem pewną drogę, tak dziwną, choć nieskończenie prostą, że niewątpliwie zdumieje się pan, gdy pana wtajemniczę w swoje odkrycie. Jednakże milczę, aby nieszczęsnych zwierząt nie uczynić pasierbami świata nauki, zabawnymi unikatami: teraz bowiem są one przedmiotem pełnych pietyzmu studiów, zdobywcami sławy dla swoich badaczy.

Stworzyłem pływającego ślimaka z nowymi organami oddechowymi, sześć odmian chrabąszczy, z których jedna wyróżnia się szczególnie, wydziela bowiem wonny płyn; białego wróbla, gołębia-dziobaka, czubatego bekasa, czerwonego łabędzia i wiele innych odmian. Jak zdołał pan zauważyć, wybierałem powszechnie znane, często spotykane gatunki, ażeby jak najszybciej wskazać je uczonym. Dzieła moje zrobiły furorę, za ich autora uważano naturę, a ja czytałem o narządach pływania nowego ślimaka z uśmiechem i czułością do maleńkich stworzonek, których byłem ojcem. W tym czasie, chcąc rozeznąć się w zakresie moich możliwości, zacząłem zajmować się tworzeniem ludzi. Umyśliłem ich troje, wprowadzając w życie: „Damę z woalką”, znanego panu „poetę Teklina” i „rozbójnika Aspera”, co do którego w całym kraju panuje zgodne zdanie: jest to postrach całej okolicy.

Byłoby bezcelową zabawą tworzenie zwyczajnych ludzi, których jest dosyć. Moi powinni byli stać się ośrodkiem powszechnego zainteresowania i wywołać silne wrażenie w tym samym stopniu, co słynne dzieła sztuki; szlak, który zamyśliłem i utorowałem, powinien był głęboko wryć się w serca ludzi.

Dla doświadczenia zacząłem od „Damy z woalką”. Pewnego razu u prokuratora sądu najwyższego w D. zjawiała się smukła, młoda kobieta, twarz jej osłaniała czarna woalka.

* Świecący chrząszcz (przyp. autora).

Wyjaśniła, że chce widzieć się z prokuratorem, aby wyjawić mu w tajemnicy okoliczności związane z sensacyjnym procesem pana X, oskarżonego o zdradę stanu. Służący, który poszedł ją zameldować, powrócił, ale dama znikła. Jak się okazało, o tej samej godzinie, tego samego dnia tajemnicza interesantka przyszła z analogicznym oświadczeniem do senatora G., do ministra sprawiedliwości, do ministra spraw wojskowych i do inspektora policji i zewsząd znikła nie czekając na rezultaty swej informacji.

Domysły, jakie powstały w prasie i w społeczeństwie na tle tego niepojętego wydarzenia, przyniosły mi wiele miłych godzin. Gazety brukowe wykrzykiwały o madame K., kochance generała, członka sztabu, który był zainteresowany w skazaniu podsądnego; inni z pianą na ustach głosili, że dama jest chytrym wymysłem konserwatystów przekupionych przez usiłującą zatuszować skandal policję. Trzeci, wymyśliwszy sobie intrygę obcych państw, oskarżali o zdradę rząd i twierdzili, że dama z woalką jest morganatyczną żoną księcia B., piękną kobietą, niebezpieczną dla mężczyzn, niezależnie od pozycji, jaką zajmowali. Plotka salonowa rozciągnęła oszczerstwo na kobiety światowe i osoby z półświatka; tajemniczej damie zarzucano przekupstwo, rozpustę, intrygi, knowania partii, tchórzostwo i zdradę. Wreszcie opinia powszechna obwołała ją Marianną Czen, na wpółobląkaną siostrą kapitana Czena, kobietą, której wydawało się, że zawsze i wszędzie zna prawdę.

Przez trzy lata pojawiała się w czterech miastach — unikając wyznaczonych przez nią samą spotkań — pod pozorem różnych, ale zawsze poważnych spraw o znaczeniu światowym. Nikt nie widział jej twarzy, chyba tylko na portrecie zamieszczonym przez nią wraz z własnoręcznym listem w „Heroldzie Paryskim”. Oto jej portret.

Opowiadanie Hackera wzburzyło mnie, zacząłem mu wierzyć; było w tym coś podobnego do echa w wąwozie, gdy powracający dźwięk wskazuje głębokość urwiska; takim echem ludzkiej potęgi brzmiała opowieść Hackera.

Podał mi fotografię; trudno byłoby dobrać lepiej twarz wyrażającą tajemnicę: bieląła ona twardym owalem, na w półprzymknięte, prosto patrzące oczy pod wysokim i dumnym czołem; wydawało się, jak gdyby dopiero przed chwilą odsunął się palec od jej zaciśniętych warg.

— Marianna Czen to symbol wszystkiego co ciemne, co kryje się w każdej zawilej i groźnej dla mnóstwa ludzi sprawie.

— Stworzenie poety Teklina, którego tłumaczem byłem aż do samej jego śmierci, było sprawą trudniejszą. Jak panu wiadomo, jest to pisarz z ludu, a wymagania artystyczne stawiane samorodnym pisarzom nie przewyższają powszechnie tolerowanego poziomu; ich produktywność i sympatie demokratyczne nader często gwarantują im dającą profit popularność.

W redakcjach zaczął pojawiać się nieśmiały wiejski olbrzym proponując wiersze na przyzwoitym jak na człowieka niewykształconego poziomie, zwrócono na niego uwagę, a po roku pisał już znacznie lepiej. Następnie, po kilku imponujących felietonach i artykułach krytycznych o nim Teklin znikł, z rzadka zawiadamiając, że jest w Indiach albo w Bucharze, albo w Australii, z szybkością błyskawicy przerzucając się z jednego krańca świata na drugi. Teklin w dalszym ciągu pisał nader ideowe w społecznym sensie wiersze, jego zdrowa poezja zadowalała szerokie warstwy społeczeństwa, a sława rosła. Zacząłem go tłumaczyć na różne języki i mogę pana zapewnić, że również stałem się znany jako nie najgorszy tłumacz.

Teklin umarł niedawno w Palestro na żółtą febrę. Poeta nawet kiedy się wzbogacił, obchodził się bez służby, był jarozsem i lubił pracę fizyczną.

— Pan żartuje! — zawołałem. — Przecież to niemożliwe!

— Dlaczego? — Hacker zdziwił się szczerze. — Czyżbym nie mógł pisać złych wierszy?

Zamilkł.

II

— Teklin to był dobry twór — odezwał się Hacker budząc się z zadumy. — Zrobiłem go starannie. Ale przechodzę do tego, który interesuje mnie nade wszystko — do Aspera. Nie wdając się w technikę, pytanie to pozostawiam otwarte. Na tym przykładzie ujrzy pan brulion, dzień powszedni artysty.

Asper — to typ wyidealizowanego rozbójnika: romantyk, postrach kupców, przyjaciel biedaków i przedmiot platonicznej miłości dam, które poszukują bohaterstwa wszędzie, gdzie huczą strzały. Aczkolwiek to dziwne, ale społeczeństwo, zawzięcie zwalczając przestępczość, otoczyło złoczyńców swoistą aureolą, dając jedną ręką to, co odbierało drugą. Potrzeba niezwykłości jest zapewne najsilniejszą potrzebą obok snu, głodu i miłości; pisarze wszystkich krajów i narodów uwiecznili w swoich utworach nasz pozytywny stosunek do słynnych rozbójników. Cartouche, Morgan, Rocambol, Fra-Diavolo, Razin znad Wołgi — jakkolwiek wszyscy oni pachną krwią, to jednak myśl człowieka z tłumy ciągnie do nich niepowstrzymanie, jak wlecze się, piszcząc ze strachu, szczenię do powoli chwiejącej się głowy węża dusiciela. To hartuje nerwy i dlatego stworzyłem legendarnego Aspera. Powłóczywszy się po spelunkach, gdzie mężczyźni mają obrosłe twarze i przepite głosy, zwróciłem uwagę na zbiegłego z więzienia nader niebezpiecznego przestępcę. Nie kosztowało mnie wiele trudu wypędzić go przy pomocy pieniędzy za ocean; policja dobrze go znała, a jego aresztowanie byłoby dla mnie niewygodne. Wykorzystałem jego imię „Asper” — wzięłem cudzą pułapkę na myszy, ale wsadziłem do niej własną mysz. W naszej okolicy rabunki z bronią w ręku są zjawiskiem zwykłym, zręcznie więc skorzystałem z nich, ale nie ze wszystkich, jedynie z takich, gdzie przestępcy obchodzili się bez przemocy i morderstwa. Stworzywszy Aspera stworzyłem mu również bandę, po każdym rabunku ofiara otrzymywała krótkie, piśmienne zawiadomienie: „Asper dziękuje”. Jednocześnie najbiedniejsi chłopci otrzymywali ode mnie pieniądze i tajemnicze kartki: „Od hojnego Aspera”, albo też: „Swój swemu. Asper”. Czasami listy były dłuższe; przestraszeni farmerzy czytali na przykład następujące zdanie: „Wkrótce się zjawię. Za Aspera — jego pomocnik, ukrywający swe nazwisko”. Zdarzało się, że na tych farmerów istotnie napadano, ale grabieżcy, jeśli zostali schwytani, oczywiście zaprzeczali, że mają coś wspólnego z bandą Aspera, a to tym bardziej potwierdzało znakomitą dyscyplinę niepochwytanego i, co przyznawali już wszyscy, odważnego bandyty.

Zuchwałość i bezczelność Aspera zwróciły na siebie szczególną uwagę. On sam, jak mówiono, zjawiał się bardzo rzadko i opisy jego powierzchowności różniły się pomiędzy sobą. Pomagała mi bardzo wyobraźnia ofiar. Niekiedy ożywiałem te wrażenia, na przykład ujrawszy jadącego samotnie drogą chłopca — wkładałem maskę i przechodziłem koło niego w milczeniu; zrozumiałe, że wyolbrzymiając sytuację nieszczęśnik opowiadał wszystkim o spotkaniu właśnie z Asperem. Pozostawiwszy w pobliżu przystanku kolejowego wygasłe ognisko, rzuciłem koło niego na trawę dwie maski, kilka pustych gilz i nóż; rozważano to poważnie jako nocleg spłoszonego bandyty.

Jego dobre uczynki powtarzały się coraz częściej i były coraz bardziej urozmaicone. Posyłałem pieniądze ubogim pannom na wydaniu, wdowom, umierającym z głodu robotnikom, posyłałem zabawki chorym dzieciom itp. Popularność Aspera rosła z miesiąca na miesiąc, a policja goniła resztkami sił w poszukiwaniu bandyty. Całe wsie podejrzewały się nawzajem o ukrywanie Aspera, ale nie sposób było wysledzić wszystkich posunięć tego znakomitego człowieka. Pewnego razu, wiedząc, że osadzie Garrach na skutek donosów jakiegoś fantasty grozi nadzór i rewizja, w imieniu Aspera posłałem list do gazety „Zorza”; Asper zapewniał pod przysięgą, że Garrach jest mu nienawistne.

Mniej więcej w tym samym czasie Asper zakochał się.

Młoda dama R. zamieszkała w pobliżu Zurbaganu w willi swojej siostry. Podczas prze-

chadzki w lesie do nóg jej upadł kamień owinięty w arkusz papieru.

R. podniosła go i z przerażeniem i zdziwieniem przeczytała następujące słowa: „Mam wielką władzę, ale pani władza jest większa. Od dawna już kocham panią potajemnie. Proszę wyzbyć się obaw, wyzuty z praw i prześladowany, staję się inny, gdy wymawiam pani imię. Asper”. Dama śpiesznie wróciła do domu. Narada rodzinna uznała, że jest to głupi żart któregoś z sąsiadów, i uspokoiła zdenerwowaną piękną kobietę. Ale nazajutrz z rana pod jej oknem znaleziono cały ogród róż; cały trawnik, od klombów do parapetu zawałony był gigantycznymi bukietami, a w drewnianej ścianie sterczał, przytrzymując kartkę, kindżał z błękitnej stali z rękojeścią z perłowej macicy. Na kartce było napisane: „Od Aspera”.

R. natychmiast wyjechała do innej prowincji, unosząc na sobie, nie pozbawione zawisłości, spojrzenia znajomych pań.

Niepochwytność bardziej niepokoi niż przestępstwo. Policja niejednokrotnie urzędowała zasadzki na górskich ścieżkach, na brzegach rzek, nad rzeczynymi brodami, w jaskiniach i wszędzie, gdzie tylko można było spodziewać się tajemnych dróg Aspera. Ale nienaturalna niepochwytność bandyty, pozbawiająca policję nawet nędznej satysfakcji w postaci potyczki lub pogoni, powoli oziębła zapal administracji, która ospale, bez entuzjazmu, jak ktoś chronicznie chory, co stracił nadzieję na wyleczenie, stosowała środki zaradcze raczej natury kancelaryjnej — pisma i cyrkularze. A wtedy, współczując Asperowi, posłałem donos, gdzie wskazałem miejsce jego stałego pobytu, wybudowawszy uprzednio w głuchym lesie niewielki domek. Idąc tym śladem, wyruszyła konnica i piechota.

Wczesnym rankiem, kiedy prześladowcy zbliżali się do chaty Aspera, w zielonej gęstwinie rozległy się strzały. Rozbójnicy strzelali spoza krzaków. Były to ślepe naboje, które umocowałem w różnych miejscach lasu i wyposażylem w znakomicie ukryte elektryczne przewody; konni policjanci, jadący jedyną w tym miejscu ścieżką, nie podejrzewali, że kopyta ich koni uderzały o zakopaną deskę, która naciskała spust. Wszystko to kosztowało mnie wiele trudu. Policjanci rzucili się w stronę strzałów, ale nikogo nie znaleźli; rozbójnicy znikli. W palenisku chaty tliły się jeszcze węgle, na ołowianych talerzach leżały resztki pożywienia, noże i widelce, dzbany z winem — wszystko to świadczyło o pośpiesznej ucieczce. W skrzyniach pod łóżkiem, na ścianach i w niewielkim schowku znaleziono kilka peruk, fałszywych bród, pistoletów i zapasy amunicji; na podłodze leżał szylkretowy wachlarz, pasek i jedwabna kobieca chustka; uznano, że są to rzeczy kochanki Aspera. .

Gra trwała sześć lat. W okolicy śpiewają wiele pieśni ułożonych przez młodzież na cześć Aspera. Ale Asper, jak doszedłem do wniosku, musi być schwytyany. W ostatnich czasach w całym okręgu pojawiło się tyle policji, że rozboje skończyły się całkowicie. Już od roku o Asperze nic nie słyhać i wielu wątpi w jego istnienie.

Muszę go ratować, to znaczy zabić. Jutro to zrobię...

Hacker rozpiął rękaw koszuli i pokazał mi tatuaż. Rysunek przedstawiał literę „A”, czaszkę i nietoperza.

— Skopiowałem to z ręki prawdziwego Aspera — powiedział Hacker — policja przyjmie ten rysunek do wiadomości.

— Zrozumiałem. Pan umrze?

— Tak.

— Ale przecież życie więcej jest warte od Aspera, niech pan o tym pomyśli, przyjacielu.

— Mam szczególny stosunek do życia, uważam je za sztukę, a sztuka wymaga ofiar; przy tym pociąga mnie ten rodzaj śmierci. Kiedy umrę, zespolę się z Asperem, wiedząc w przeciwieństwie do innych autorów niepewnych wagi swoich dzieł, że Asper będzie żył długo i stanie się materiałem dla innych twórców, autorów legend o szlachetnych rozbójnikach. A teraz żegnaj pana. Niech pan pomodli się za mnie do Tego, który mocen jest mi wybaczyć.

Wstał, uścisnęliśmy sobie ręce. Wiedziałem, że nie zasnę tej nocy, i szedłem powoli.

Asper, jako rozbójnik, istniał dla mnie dalej pomimo opowiadania Hackera. Popatrzyłem w stronę gór i poczułem wyraźnie, że bandyta jest tam, kryje się, czyha na gościńcu, odwodząc kurki, i niezwalczona pewność, że tak jest, była silniejsza od rozsądku.

„Okolo jedenastej wieczorem, pod skałą Voola, tam gdzie jest przepaść, został zabity legendarny Asper. Rozbójnik zatrzymawszy karetkę pocztową i odwodząc kurki sztucera potknął się i upadł; skorzystał z tego poczytliw i strzelił mu w głowę. Ranny Asper skoczył w zarośla, w stronę urwiska, ale nie zdołał się zatrzymać i spadł na ostre kamienie zalegające dno czterechsetstopowej przepaści. Zniekształcone ciało rozpoznano po tatuażu na lewej ręce i po sztylcie, na którego klindze wyryte było imię rozbójnika. Szczegóły podamy w specjalnym wydaniu”.

Takie słowa przeczytałem w wieczornej gazecie, której całe stosy roznosili ochrypli gazeciarze. Krzyczeli oni — „Śmierć Aspera!”. Włożyłem tę gazetę do specjalnej szuflady z osobliwościami i ze smutnymi pamiątkami. Każdy może ją zobaczyć, jeśli tylko zechce.

Przełożył *Seweryn Pollak*

Wesoły towarzysz podróży

Znakomity aktor Douglas prawie nikomu nie opowiadał swojej historii, znałem ją tylko ja i nasz wspólny przyjaciel Emerson.

Teraz, kiedy Douglas zmarł przebaczywszy wszystkim, a w głębi duszy przebaczywszy, być może, i Emersonowi (uśmiecham się przy tych słowach, a uśmiech ten tłumaczy się tym, że podobnie jak wszyscy ludzie, sam siebie dobrze nie znam) — można bezboleśnie dla niego i bez krzywdy dla innych odsłonić tajemnicę pewnego zdarzenia na drodze do San Riol, między Warde a Case, i choć będzie to wersja literacka, niemniej całkowicie zgodna z rzeczywistością.

Okolo godziny czwartej po południu przy wielkim głazie, rzucającym cień w poprzek drogi, usiadł mężczyzna mniej więcej trzydziestopięcioletni.

Bosy, ogorzały, z twarzą zarośniętą, był ubrany lub ściślej — okryty tak straszliwymi łachmanami, że gdyby leżały na ziemi, nawet kot obszedłby je z ostrożnością.

Głowę oberwańca osłaniała pstra chustka związana w tyle głowy na węzeł. Nie miał koszuli, naga pierś wyglądała spod wytartego na łokciach płaszczka z przykrótkimi rękawami, bez guzików, w deseniach łąt.

Nogawki brudnych płóciennych spodni były u dołu wystrzępione na frędzle; płótno przeświecało na kolanach, a przez obszarpane kieszenie przebłyskiwały skrawki gołego ciała.

Mimo to na jego pochmurnej twarzy o miękkim zarysie ust i spokojnych błękitnych oczach nie malowała się udręka, złość ani upokorzenie. Umieściwszy gruby kij między kolanami i beztrudnie rozglądając się dokoła, pogwizdywał arię z „Carmen” z biegłością świadcząca o dobrym słuchu, a także zamiłowaniu do muzyki.

Spojrzenie jego padło na znajdującą się obok drogi kałużę deszczowej wody. Westchnąwszy ironicznie, mężczyzna wstał, podszedł do tego naturalnego zwierciadła, protoplasty wszystkich weneckich i paryskich luster, i pochylił się nad swoim odbiciem.

Nie było ono lepsze ani gorsze od oryginału, miało przy tym tę zaletę, że jeśli się ręką zamąciło wodę, rozpadało się i znikało, gdy tymczasem oryginał nawet przy najgwałtowniejszym huraganie tkwił w świecie realnym taki sam jak w pogodny ranek.

Włóczęga przypatrywał się sobie z dziwnym uśmiechem zadowolenia i komicznej po-

gardy. Siedział bokiem do kałuży, wspierając się rękami o ziemię.

Z owej kontemplacji wyrwał go raptem szydery, z namaszczeniem wymawiający słowo po słowie głos nieznanego mężczyzny, który zabrzmiał tak blisko naszego Narcyza, że ten podniósłszy głowę, oblał się pąsem niczym młoda panna, której zalotność mylnie sobie wytłumaczono.

Na przeciwległym brzegu bajorka, skrzyżowawszy po turecku nogi, a ręce założywszy na piersiach, siedział niemal że jego sobowtór, z tą tylko różnicą, że okrywały go innego koloru łachmany, chustkę zastępował rudy jak płomień kapelusz, a subtelna twarz o regularnych rysach wyglądała o jakieś dziesięć lat młodziej. Bystre, przenikliwe spojrzenie czarnych oczu i uparty wyraz ust nadawały tej twarzy piętno doświadczenia i duchowej giętkości właściwej starszemu wiekowi.

— Czterdziestoletnia najada w dezabilu, oczekująca wizyty Trytona — prawil sugestywnym tonem, podczas gdy oczy mu się śmiały — albo kurtyzana w sypialni rywalki. Niech pan się nie utopi w swoim tremo, mój najmilszy, i nie puszcza takiego perskiego oka do żab, bo lista pańskich konkiet może się zacząć od „kwa-kwa”!

— Co to ma znaczyć? — gniewnie wykrzyknął pierwszy włóczęga, opanowując zmieszanie. — Proszę skończyć ten monolog i zostawić mnie w spokoju.

— Co?! — pastwił się nad nim dalej żartowniś. — Co? Pominąć taką okazję? Usłużnie podać panu emaliowany grzebyczek i z szacunkiem pochyliwszy głowę, śledzić w ekstazie jaśniejące pod pudrem róże i lilie pańskiego czarującego liczka? Okrutny i niebywale pyszałkowaty hrabio! Czyż po to...

— Nazywam się Emerson — krótko przerwał ten jadowity dytyramb pierwszy włóczęga, zrywając się z pobladłą twarzą — zaraz ci tu zademonstruję twoją własną urodę!

Kpiarz nie zdążył uskoczyć, gdy sękaty kij świsnął mu koło ucha, omal nie rozkwasiwszy twarzy, i wbił się w ziemię daleko za nim. Ku wielkiemu zdziwieniu Emersona oberwaniec, zamiast cisnąć weń swoim kijem, spokojnie przekroczył kałużę i wyciągnął rękę niczym nie objawiając tchórzostwa ani chytrłości.

— Nie sądziłem, że pan to weźmie tak poważnie — rzekł po prostu, kiedy Emerson niechętnie i z chmurną miną dotknął jego ręki. — Co robić, trzeba sobie jakoś rozweselać życie, jeśli ono samo zabawia się co dnia waleniem nas po gębie i jeszcze przy tym odwraca się od nas ze wstrętem. Ale dajmy spokój uprzejmościom. Dokąd idziesz, kochasiu?

Po twarzy starszego przewinął się ledwie dostrzegalny uśmiech. Milczał przez chwilę, jakby starał się uniknąć szczerzej odpowiedzi.

— Czy to nie wszystko jedno? — odparł wreszcie. — Ludzie tacy jak my często idą tą samą drogą, lecz cel mają różny. Moja droga niedaleka.

— Nie chwał się, bracie, że w swoim życiu więcej wypieś wody z przydrożnych rowów i więcej nakradłeś cudzych kur niż ja. Zapewniam cię, że od jakiegoś czasu posiadam niemałą sztukę w tym interesującym procederze, tak że mogę ci zaprezentować kolekcję grzebieni kogucich, ważącą co najmniej kilogram.

— Mam nadzieję, że do kolekcji tej nie wchodzi koguty z mojej fermy — rzekł ze śmiechem Emerson — w przeciwnym razie może cię to kosztować utratę czupryny.

— No, przecież zacząłeś nareszcie mówić ludzkim językiem — zauważył włóczęga maszerując obok niego. — Ależ ty idziesz tak szybko, jakby naprawdę czekała na ciebie żona z świętecznym pierogiem nadziewanym jabłkami. Obiecuję ci, przyjacielu, że jeśli kiedykolwiek będziesz miał fermę, wykradnę ci koguta i kurkę na przypłodek, a prócz tego worek owsa, żebym miał je czym karmić. Widzę, że idziemy w jedną stronę. Otóż wiedz, że nazywam się Bill Żelazny Haczyk i jeśli spotkamy się jeszcze kiedyś, możesz śmiało podać mi ogień do fajki i nie obawiać się represji.

Emerson uważnie popatrzył na swego dziwnego towarzysza podróży. Ślady niedojadania i nie przespanych nocy budziły w nim pewien szacunek dla tego człowieka, który, wyda-

wało się, byłby zdolny do żartów nawet na łożu śmierci. A przy tym w jego wzroku mimo niepokoju i żywości uderzała jakaś dziwna równowaga wewnętrzna i żartobliwa, ujmująca dobroć.

— Jesteś głodny? — zapytał szybko.

— Tak, ale w sensie wyższym — odparł Żelazny Haczyk. — W wulgarnym pojęciu pożarłbym wołu z kopytami, ale w wyższym zadowolę się winnym gronem i łykiem wody Cyrana de Bergerac.

— W takim razie wybieraj między sensem wulgarnym a wyższym — rzekł Emerson — albo może znajdzie się coś pośredniego między jednym a drugim, ponieważ dziś będziesz jadł obiad u mnie, a na dodatek dostaniesz parę niezgorszych spodni i koszulę.

Absolutnie pewny siebie i niewzruszony ton, jakim Emerson wygłosił te serdeczne zaprosiny, wywołał piorunujący skutek. Bill Żelazny Haczyk zgiął się raptem w pół, jakby go zdzielono kijem w brzuch, potem siadł i przycisnął ręce do twarzy powstrzymując straszliwy, opętańczy śmiech, jaki czasami chwytą nas aż do bólu w bokach, wyrywa z piersi histeryczne piski i może skończyć się śmiercią, jeżeli rozbawiony w ten sposób człowiek ma akurat w ustach coś miłego lub ostrego, dajmy na to nie przeżutą rybę z ościami.

Kiedy się tak śmiał, Emerson patrzył na niego z wyrazem przykrego zakłopotania i lekkiej irytacji; zauważywszy to, Bill zaniósł się jeszcze gwałtowniej.

— Co... ty... mówisz — wykrztusił wreszcie wśród okrzyków, jęków i westchnień, parsając i łapiąc oddech jak podczas kąpieli. — Coś... ty... a... ee... O-och! Jakes to zgrabnie wykoncypowałeś! „Obiad”, powiadasz? Cha-cha-cha! I „spodnie”, powiadasz?! O-o! Umrę bez pochówki, ty szelmo jeden! Spodnie pewnie z jedwabnego trykotu. I do nich kamizelka z białej piki w srebrne kwiatuszki? Przyjmij do wiadomości, że nawet teraz nie zamienię moich spodni na twoje, a ponieważ jesteś owym najszcześniejszym człowiekiem, który nie ma koszuli, nie próbuj ukraść jej, by mnie ofiarować. Nie, przestań. Nie mów, że obraziłeś się za moje słowa nad kałużą — ależ to fantastycznie rozegrałeś! Pomóż mi wstać, bo osłabłem ze śmiechu.

— To smutne — rzekł starszy włóczęga — gdybyś śmiał się trochę mniej gwałtownie lub choćbyś pofatygował się, jak przystało, zapytać mnie, o co chodzi, możliwe, że pozwoliłbym ci zachwycać się moją rzekomą umiejętnością okpiwania przechodniów na środku gościńca, nie lubię jednak, kiedy mi narzucają niewłaściwą rolę. Wstawaj, wesoły człowieku.

Bill wstał. W jego twarzy i zachowaniu zaszła niezauważalna zmiana, której wszystkich odcieni Emerson nie potrafił uchwycić, odczuł ją jednak tak wyraźnie, jak piękną pogodę, kiedy się patrzy na przejaśnione po deszczu niebo. Wzrok Billa stał się przenikliwy i twardy, po jego twarzy przemknął wyraz źle ukrywanej wyższości, a lekki uśmiech wzgardy, tak finezyjnej, że odczucie jej byłoby równoznaczne z upokorzeniem, zamknął nagle usta Emersonowi. Zdawało mu się, że to chyba ktoś inny tarzał się przed chwilą ze śmiechu, trzymając się za brzuch — tak niepodobna do tamtej była dziwnie zmieniona twarz Billa.

Nie dając nic poznać po sobie Emerson milczał przez chwilę, po czym ruszył wolnym krokiem, przetrawiając nieoczekiwane spostrzeżenie. Bill siedł obok i od czasu do czasu spoglądał na swego współtowarzysza w ów swobodny sposób, jaki cechuje charaktery proste i zdecydowane.

Emerson należał do kategorii ludzi, którzy raz zacząwszy snuć jakiś wątek, nie potrafią, gdy im coś przeszkodzi, zrezygnować z rozwijania go dalej i muszą doprowadzić do końca. Toteż zmarszczywszy brwi, pełen niechęci do siebie, że poddał się płytkiemu uczuciu śmiesznej i błahej urazy, dokończył rozpoczętą opowieść.

— Powodem wszystkiego był zepsuty zamek sztucera. Wybierałem się sprawdzić i policzyć tratwy, które nadeszły do tartaku — do m e g o tartaku — podkreślił z naciskiem i podejrzliwie śledził zasłuchaną twarz Billa, jakby obawiając się jakiegoś wyskoku z jego strony. — Tartak leży o trzydzieści mil stąd. To było wczoraj wieczorem. Wbrew zwyczajowi

wziąłem ze sobą sztucer zamiast rewolweru. Często nie zdajemy sobie sprawy z pewnych odruchów. Otóż właśnie ten sztucer wystrychnął mnie na dudka. Na leśnej ścieżce, i to o zmroku, niemożliwością było dać koniowi ostrogę. Dwóch ludzi chwyciło konia za grzywę i za uzdę, a trzech zważyło mnie z siodła. Ubrani byli... hm... nieco lepiej od pana...

— Niech pan opowiada dalej — przerwał Bill łagodnie, lecz stanowczo.

— Mówić dalej to znaczy kończyć — zauważył Emerson z niezadowolaniem, czując na sobie pytający wzrok swego współtowarzysza. Podczas opowiadania peszył go także widok jego bosych nóg, śmiesznie wystających z przykrótkich nogawek spodni, i raziła absurdalność sytuacji, którą w bezlitosnym świetle słońca ostro podkreślała postać prawdziwego dzikusawłóczęgi. — Zaraz skończę. Na skutek wilgoci czy też złego oczyszczenia zamek sztucera, mimo moich wysiłków, nie chciał ustąpić, no i odebrano mi broń razem z koniem i wszystkim, co miałem na sobie. Na dobitkę oberwałem parę szturchańców i dziękuję Bogu, że wyszedłem z tej opresji cało. I tak oto szedłem z powrotem przez całą noc, nagi, dygocąc z głodu i z zimna. Te łachmany dał mi pewien zwrotniczy kolejowy — podszedłem do jego okna w wieńcu z miotełek brzoźowych, które sam powiązałem. Warto było posłuchać naszej rozmowy i moich wyjaśnień... W dodatku to odludna okolica. No, ale od zwrotniczego droga już niedaleka. O pół mili stąd znajduje się mój dom.

— To doprawdy okropne! — odezwał się Bill zupełnie innym, spokojnym i współczującym tonem, tak samo nie licującym z jego wyglądem i sytuacją, jak nieoczekiwana relacja Emersona nie dała się pogodzić z brakiem koszuli na jego grzbiecie. — Zmuszony jestem panu uwierzyć, w i e r z ę panu — dodał skwapliwie i z powagą. — To prawda, że w życiu bywają rzeczy gorsze niż w powieściach. Proszę mi wybaczyć tę mistyfikację tak naturalną wobec mego fatalnego ubioru. Jestem Edmund Robert Douglas, członek Towarzystwa Geograficznego w San Cume, sekretarz prezesa, a teraz chwilowy włóczęga na półwyspie; wolno panu myśleć, co pan zechce, lecz zakład, o jaki poszedłem z pewną damą, z natury rzeczy nie pozwala mi ryzykować przegranej. Wiem, że jest pan zdziwiony, przysięgam jednak, że i ja nie mniej się zdziwiłem, gdy zaprosił mnie pan na obiad.

— Pan kłamie! — zawołał zdumiony Emerson. W następnej jednak chwili zganił się za pośpiech, z jakim cisnął tę zniewagę.

Douglas drgnął i zatrzymał się. Twarz mu poczerwieniała, potem zbladła, skurcz męczącej walki pomiędzy gniewem a najwyższym wysiłkiem pohamowania go okrył cieniem jego rysy i tyle było w tym napięcia i godności, że Emerson tylko wzruszył ramionami.

— Powiedział mi pan dziwne rzeczy — zauważył tonem usprawiedliwienia. — Istotnie, zdumiał mnie pan.

— Mógłbym rzec to samo, jeśli chodzi o pana. Ale oprócz słów istniał jeszcze między nami jakiś niewytłumaczony prąd wewnętrzny, który kazał mi uwierzyć. Mam nadzieję, że pan odczuje to samo, gdy będę opowiadał o sobie. To prawda zresztą, że wziąłem pana za zwykłego drapichrusta i nie od razu uwierzyłem. Dlatego miał pan rację nie chcąc i mnie uwierzyć bez dowodów.

— Wierzę panu — rzekł Emerson prosto. — Wykazał pan moją winę mówiąc o owym „prądzie wewnętrznym”, jaki właśnie przed chwilą mnie przebiegł. Ale jakże to wszystko niezwykle, jakie dziwne! To znaczy, chcę przez to powiedzieć, że i pańska, i moja sytuacja, wzięta osobno, nie stanowi jeszcze nic nadzwyczajnego — niezwykłość jest dopiero w naszym spotkaniu.

— Nie mniejsza, niż gdyby ktoś postawił igłę ostrzem na ostrzu drugiej igły — uśmiechnął się Douglas. — No, więc ze mną sprawa miała się następująco. Na raucie u Ainstone'a, znanego panu zapewne ze słyszenia milionera, urządzonym na cześć znakomitego podróżnika Witalisa Crowgliego, zacząłem dowodzić, że człowiek, bez względu na to, kim jest, może bez żadnej szkody dla swego charakteru i zasadniczych skłonności przenieść się w dowolne warunki i na dowolny czas, a potem wrócić taki, jaki był przedtem. Crowglie wskazywał na

nieunikniony, jego zdaniem, nacisk środowiska, na lekki, choćby ledwie wyczuwalny osad, jaki zostawią przejściowe, a nie swoiste dla danego osobnika warunki. Dyskusja toczyła się w obecności — nazwisko nie gra tu roli — pewnej damy; kiedy mój oponent oświadczył, że wystarczy, bym spędził miesiąc na włóczędze po gościńcach, a zacząć zachowywać się dość oryginalnie — zaproponowałem ten zakład. Co prawda Crowglie brał pod uwagę moją wyjątkową wrażliwość; utrzymywał, że niepostrzeżenie dla mnie samego wykażę w sposobie bycia i wyrażania się nieznaczne cechy zapożyczonego w nowym środowisku bagażu, które będą uchwytnie tylko dla osób postronnych. Ale ja chciałem koniecznie zwrócić na siebie uwagę, zmusić do myślenia o mnie pewne zatwardziałe i zimne serce. Krótko mówiąc, podjąłem się spędzić pół roku bez pieniędzy, w prostej odzieży i przewędrować półwysep od Cade'u do Minigham i od Zurbaganu do San Riol żywiąc się czym popadnie, a po powrocie natychmiast zjawić się w towarzystwie zawczasu powiadomionych osób i ich kompetencji zostawić rozstrzygnięcie, czy włóczęga wycisnęła na mnie choćby najmniejszy ślad. Ale ponieważ jestem chłonny i spostrzegawczy, przyznaję, że zirytowałem pana zbyt przesadzonym wizerunkiem Billa Żelaznego Haczyka.

— Ależ to wszystko jest niesłychanie interesujące! — wykrzyknął Emerson tak pochłonięty opowieścią Douglasa, że zapomniał o swym bądź co bądź dziwnym ubiorze i dopiero wtedy przyszło mu to na myśl, gdy za zakrętem ukazał się fantazyjny błękitny dach pałacu. — Jesteśmy już w domu. Proszę pana, Douglas, by zechciał pan być moim gościem.

Czy mu się zdawało, że jego współtowarzysz wydał nagle nieartykułowany dźwięk, czy naprawdę wyrwało mu się coś w rodzaju krótkiego okrzyku, zamaskowanego stłumionym kaszlem — dość, że Emerson spojrzał na niego pytająco. Twarz Douglasa była jednak niewzruszenie spokojna. Wydawało się, że z przyjemnością spogląda na plantacje, ogród, budynki dla służby i na białą, wysypaną żwirem drogę, która skręcając od szosy wiodła między zielonymi płotkami ku werandzie domu.

Rozmowa między dwoma podróżnymi toczyła się teraz na temat niezwykłych przypadków. Nagle Douglas stanął, dotykając ramienia Emersona gestem nieco familiarnym.

— Co się stało? — zapytał Emerson.

— Niech pan posłucha — roześmiał się Douglas. — Podczas włóczęgi wyhodowałem w sobie biesa, który wciąż mnie kusi, żeby robić na przekór. Gdyby pan istotnie był obywatelstwem, który chcąc okpić przyjaciela udaje właściciela fermy, wie pan, jakbym wtedy do pana przemówił?

— No jak?

— Ho-ho... to nie lada sztuka. Na przykład: słuchaj, ty nie golona mordo, jakby ci się udało wśliznąć do kuchni, nie zapomnij szepnąć i za mną słóweczka. Odstaw gospodarzom jakiś rozczulający numer, dajmy na to, że nie możesz jeść z apetytem, jeśli mnie nie ma przy tobie.

Emerson roześmiał się dobrodusznie.

— Tak, pan już uchwycił ten styl — przyznał — i gdybym nie bał się pana obrazić, prosiłbym, żeby pan nie odkrywał od razu kart wobec mojej żony i nie mówił, kim jest, ot, po prostu dla żartu.

— I jeszcze — ciągnął Douglas zmarszczywszy brwi w zamyśleniu — powiedziałbym panu tak: nie wal tak prosto do głównego wejścia jak świnia do cudzego koryta, bo cię tak pomacają, że zamiast wałowy będę musiał taszczyć twoje połamane kości, stary krętaczu.

Emerson popatrzył na Douglasa bez uśmiechu, uważając ten żart za zbyt daleko posunięty.

— No tak — rzekł z roztargnieniem, trochę zniecierpliwiony. Szli teraz obok werandy.

— Anni! — zawołał Emerson spostrzegłszy przez ażur dzikiego wina białą postać z książką w ręku — Anni, nie przestrasz się. To ja. Powiem ci krótko — rozebrali mnie, ale jestem zdrow i cały.

Młoda kobieta, która aż poczerwieniała ze wzburzenia na widok męża w tak przerażającym stanie, szybko zbiegła po schodach ocierając łzy i powstrzymując nerwowy śmiech, prędko i z żywością dotykała Emersona obracając nim na wszystkie strony, cofała się o kilka kroków załamując ręce i trzęsąc głową, jakby cały ten strój pokrzywdzonego sypał się na jej ciemne włosy.

— Mój drogi — powiedziała — ależ ty zupełnie nie jesteś podobny do siebie! Naprawdę nic ci się nie stało? Pokaż się jeszcze raz, obróć się w tę stronę. I w tę. Wybacz, chodźmy, to cię przyodzieję, drapichruście! A to...

Pochwyciwszy jej spojrzenie, Emerson odwrócił się ze słowami:

— Anni, to przygodne spotkanie, my już się poznaliśmy. Ale ty nie przestrasz się po raz drugi, oto Edmund Robert Dou...

Urwał zaskoczony i wstrząśnięty do głębi. Douglas stał oparty o młody kasztan. Prawą rękę miał wyciągniętą naprzód, jak gdyby chciał odepchnąć Emersona lub uprzedzić, żeby się nie zbliżał. Lecz Emerson był oszołomiony tak dalece, że ledwie zdołał wyjąkać:

— Co... co się panu stało?

Douglas był śmiertelnie blady; dwa razy próbował się odezwać, lecz nie mógł wydobyć głosu. Z jego oczu stoczyły się dwie grube łzy, powoli otarł je dłonią, widocznie zawstydzony tym objawem słabości.

— Co? — powiedział głucho z męczeńskim wysiłkiem — nic poza tym, o diabli! — zaklął spojrzawszy na uparcie obwąchującego go pointera. — Sądziłem, że pan jest taki sam Emerson, jak ja — Robert Douglas. Jestem wstrząśnięty, bo, rozumie pan, nie przewidziałem zakończenia. Słuchając, nawet zazdrościłem panu — przecież pan ani razu się nie uśmiechnął, kiedy pan plótl... kiedy pan opowiadał o napadzie, o zwrotniczym. Tak, pan jest Emerson, to pański dom, a to — pańska żona. Lecz ja — ja jestem Bill Żelazny Haczyk, wypędzony za skandale aktor, utracjusz, gracz — i nic więcej. Myślałem, że my obaj „łapiemy pchły”. W naszej kompanii, jeśli ktoś miele ozorem, jak ja to robiłem, mówi się, że „łapie pchły”. Czasami to nudne, a czasem pasjonujące, zależy z kim, myślałem więc, że nasze zawody... Proszę mi wybaczyć roztrzęsione nerwy. To dlatego, że za wcześniej wyobraziłem sobie, iż wchodzę do domu, gdzie... gdzie mnie nie zbesztają. Żegnajcie. Jedźcie i niech wam będzie na zdrowie. Ja dziękuję za zaproszenie.

Te bezładne słowa włóczęgi głęboko wzruszyły Emersona. Kierował się on nieomylnym i wyczulonym instynktem wobec ludzi, toteż pierwszym jego odruchem było wziąć Billa za rękę i pociągnąć na werandę.

Bill cofnął rękę i pokręcił przecząco głową.

— To mnie tylko bardziej rozstroi.

— Wejdźże więc i zostań z nami! — zawołał Emerson — i niech mnie rozszarpią na sztuki moje własne psy, jeśli nie zrobię z ciebie człowieka.

I tak oto Bill Żelazny Haczyk zamieszkał u Emersona, a w przyszłości wykształcił swój niepowszedni talent aktorski i zabłysnął nim na wielkich scenach. Końcowa rycina do tego opowiadania przedstawia haczyk leżący pośród rozrzuconych na stole kart; stół stoi pośrodku gościńca, a nad tym wszystkim lśni delikatny promień wschodzącego słońca.

Przełożyła Irena Piotrowska

Niszczyciel

I

Gdy flota nieprzyjacielska zatopiła sto osiemdziesiąt cywilnych żaglowców, a także czternaście pasażerskich parowców ze wszystkimi płynącymi na nich pasażerami, wraz z kobietami, starcami i dziećmi, kiedy następnie po tym wszystkim nieustannym wysiłkiem ciężkich salw zburzyła kilka nadmorskich miast — część kwitnącego wybrzeża stała się martwa; jego puls zamarł, a dym i pył, jak blade widma, unosiły się tam, gdzie przedtem były godziny życia w pokoju.

Nie ma nic banalniejszego od przerażenia, a jednak nie ma również nic bardziej gwałtownego, wpływającego na świadomość na podobieństwo silnej trucizny. Dlatego też w nadbrzeżnych miastach i osadach pojawiło się mnóstwo obłąkanych. Zdradzały ich oczy i niepewne, nieskoordynowane ruchy. Nigdy nie płakali — szaleństwo wyzbyte jest łez — ale wypowiadali ciemne, melancholijne zdania, po których słuchającym mocniej biło serce. Tymczasem flota nieprzyjacielska zakotwiczyła się w dalekim archipelagu, gdzie, jak w raju, słońce mieszało się z różowym odblaskiem błękitnej wody — wśród tkliwych palm, paproci i dziwnych kwiatów; płomienne kaskady promieni padały w głąb podwodnych grot, na potworne iglaste ryby, przemykające pośród koralu. Z ogromnych kominów na nieruchomych stalowych kolosach płynął gęsty dym. Ciężki, lecz interesujący to widok! Moc i kanciastość, złowieszcza stanowczość zarysów, połączenie kolosalnej mechaniczności z żywiołem oceanu, owianym tumanem legend i poezji — bajeczna ponurość kształtów, wymyślnych i twardych — wszystko to wywołuje wyobrażenie o życiu innej planety, pełnej niebываłych konstrukcji!

Pewnego cudownego poranka, wśród oślepiającego jarzenia się tęczowej mgły, w upojeniu błyskającej błękitnej wody, wzburzając pianę, w stronę krążownika „Anioł burz” pomknęła tajemnicza torpeda. Cios uderzył w część rufową. „Anioł burz” otoczył się pianą wybuchu i poszedł na dno. We flocie zapanował zamęt, drżenie i trwoga ogarnęły załogę, przedsięwzięto środki ostrożności. Statki patrolowe i torpedowce otrzymały rozkazy i zaczęły krążyć po archipelagu, a w dalekim kraju setki młodych kobiet włożyły żałobę, i sny wielu przesłoniło ponure skrzydło strachu. Tymczasem najsubtelniejsze fortele nie pomogły wykryć winowajców katastrofy i wydawało się to czymś zdumiewającym, gdyż na tych dzikich wodach nie było innych statków prócz floty, która zrujnowała kwitnące brzegi.

— Niech pan tylko spojrzy — powiedział w tydzień później dowódca olbrzymiego pancernika „Dysk” do starszego porucznika — niech pan spojrzy na te działa; przypominają obalone pnie w lasach kalifornijskich. Ze wszystkich luf wylatują skondensowane powietrzne pociągi, które w tych obłych kształtach zawarły wichry i trzęsienia ziemi.

Zamilkł i rozkazującym wzrokiem spojrzął na wieczorne niebo. W tej samej chwili „Dysk” drgnął, wściekły huk stoczył się z jego żelaznych spoiw we wstrząśniętą ciemność i pancernik otrzymał śmiertelną ranę.

W następnych tygodniach zatopione zostały torpedowiec „Raum”, krążowniki „Flash”, „Robert-Diabeł” i dwie łodzie podwodne. Nie sposób było przewidzieć czy odeprzeć katastrofalnych ciosów. Zdawać się mogło, że zadawał je ocean. Zdawało się, że w jego głębokich otchłaniach rodziły się, jako odbicia pełnej spięć rzeczywistości, gromonośne siły, które w nadnaturalny sposób przybierały realną postać. Przewrót morski stał się czymś niosącym grozę, niebo świadkiem, okręty — ofiarami. Wśród marynarzy zapanowała ponura rozpacz. A wówczas, pragnąc raz na zawsze skończyć z okropnym niewidzialnym wrogiem, admirał w tajemnicy rozkazał uzbroić dwa żaglowe szkunery, ażeby krążąc po archipelagu, bronione swoim rzekomo niewinnym przeznaczeniem, starały się odnaleźć nieprzyjaciela. Mógł on,

pomimo całej swej ostrożności, zaniechać jej na widok żaglowych łysin, czego oczywiście nie uczyniłby mając przed sobą łódź zwiadowczą. Jeden ze szkunerów nazywał się „Jeleń”, drugi „Szperacz”. Kapitanem „Jelenia” był Hiram, człowiek dziwny i milkliwy; „Szperaczem” dowodził Loudrey, wesoły pijanica apoplektycznej budowy. Wyruszając na zwiady, statki popłynęły w dwóch różnych kierunkach: „Szperacz” ruszył w stronę lądu, a „Jeleń” — na południe, w pustynne łono wód, gdzie z rzadka jedynie można było spotkać skalistą rafę. Naza jutrz o świcie była gęsta, biała mgła. W stronę „Szperacza” pomknęła bezgłośnie torpeda, rozdarła go i zatopiła, a „Jeleń”, zaskoczony przez tę samą mgłę, znajdował się tego ranka niedaleko archipelagu. Żagle zatrzepotały i opadły. Wiatr ścichł.

Hiram wyszedł na pokład. W matowo białej oćmie, przesyconej duszną wilgocią, panowało zupełne milczenie. Ludzie oddychali ciężko i trwożnie, na baku marynarz czyścił gwoździem fajkę i skrzypienie żelaza o drzewo wydawało się tak oczywiście bliskie, jak gdyby dźwięki te rozlegały się w kieszonce kamizelki.

II

Hiram przez pewien czas patrzył przed siebie, jak gdyby mógł spojrzeniem rozpendzić mgłę. A potem, nie zdoławszy niczego dostrzec, siadł na składanym krześle w półhipnotycznym odrętwieniu, które nagle na niego naszło. Kapitan nie drzemał, nie spał, umysł jego był żywy i jasny, ale czuł, że jeśli zechce wstać czy przemówić choć słowo, nie zdoła tego dokonać. Jednakże nie był zaniepokojony. Zdarzało mu się dość często przekraczać granicę uczuć właściwych naszej naturze, co zaczynało się właśnie od podobnego odrętwienia, a wówczas wszystko poza nim czy też wewnątrz niego nabierało odrębnego, właściwego sensu, pokrewnego głębokiemu rozjarzeniu. Wkrótce usłyszał szum wody rozcinanej przez niewidzialny statek. Można było przypuszczać, sądząc po stukocie śruby, że przechodzi tuż w pobliżu „Jelenia”. Na statku rozmawiało dwóch mężczyzn; niegłośnie, ale tak wyraźnie, że wszystkie ich słowa, o smutnym i uroczystym brzmieniu, słychać było jak w pokoju:

— Co się z nami dzieje?

— Nie wiem.

— Jesteśmy jak we śnie.

— Tak, to nie może być rzeczywistością.

— Gdzie reszta?

— Wszyscy na tamym świecie.

— Dokoła morze i nie ujdziemy stąd.

— Chyba tak, jest mgła.

— Czuję wilgoć i ciężar w piersi.

— O, jak mnie to boli, jakie to gorzkie, bez wyjścia!

— W ciemności zrodzeni, w ciemności umieramy!

Szum oddalił się, głosy umilkły.

Hiram drgnął. Stojący za nim dyżurny oficer półgłosem wypowiadał swoje uwagi o nieznanym statku. Sądził, że jest to coś bardzo podejrzanego.

— Czy słyszał pan rozmowę, Tirren? — zapytał kapitan.

— Słyszałem rzeczywiście jakieś niewyraźne mamrotanie, ale nie podejmuję się określić, czy była to rozmowa, czy przekleństwa.

— Nie. To była rozmowa i to nader dziwna, żeby nie powiedzieć więcej.

— A mianowicie?

— Przyznam, że nie mógłbym powtórzyć jej treści. Ale mgła rzędzie.

Istotnie, mgła rzędła. Przez biały opar przeświecała senna woda, a na powierzchni

zaznaczył się mętny błękitny odcień. Wkrótce mgła, rozsiekana złotą ulewą, rozpadła się na stada białych cieni, w apoteozie jaśniejących obłoków odsłoniło się słońce oceanu. Zwiśnię żagle, pochwyciwszy wiatr, jak skrzydła pociągnęły naprzód i „Jeleń” ruszył na poszukiwanie niszczyciela. Aczkolwiek Hiram przepatrywał uważnie horyzont — nigdzie nie było widać nawet śladu statku, który niedawno przemknął.

III

Minął tydzień. „Jeleń” po bezskutecznych poszukiwaniach wrócił do swojej floty, która przez ten czas poniosła jeszcze dwie znaczne straty. Ponieważ trudno było oczekiwać, by niewidzialny wróg przerwał działania wojenne, admirał dał rozkaz wyjścia w morze. Flota ruszyła ku brzegom Nowej Zelandii.

Kiedy odpłynęła, kiedy minęła jej odurzająca obecność, znikły zapachy paliwa i metaliczne odgłosy, archipeląg przywrócił swoim lagunom i wyspom ich poprzedni wygląd — wspaniałość namiętnego tworzenia, i znowu mnie, świadkowi tych wydarzeń, zaczęło wydawać się, że ku tym oazom w malowniczym jaśnieniu subtelnie zabarwionych promieni lecą rajskie ptaki o pomarańczowych i granatowych piórach.

Burzliwą nocą, gdy szatan ciemności, oszalawszy, wznosił udręczone fale całując je z pianą na ustach, za burtę pocztowego parostatku wypadł marynarz Castro. Umiał dobrze pływać, ale wreszcie opadłszy z sił stracił przytomność i ocknął się na pustynnych głazach niewielkiej zatoczki, gdzie wyrzuciła ginącego przypadkowa fala. Castro był złamany przerażeniem i zmęczeniem. Jednakże zakątek oceanu, gdzie znalazł schronienie, był tak piękny, że nieszczęśnika natychmiast ogarnął nastrój jasnej rzeźkości. Ciasny krąg błyszczących skalnych zrębów odbijał się w dymnym błękitcie morza, a zatoka w głębi, pełna obłoków, tchnęła wspomnieniami bajki. Rozejrzawszy się, Castro zauważył w pobliżu grzbiet łodzi podwodnej drzemiącej w cieniu kamiennego nawisu. Zaskoczony taką niespodzianką marynarz długo przyglądał się niebezpiecznemu statkowi, aż na jego platformę wyszli dwaj ludzie; jeden z nich był zapewne ślepy, gdyż poruszał się niezręcznie, po omacku i miał zamknięte oczy; twarz jego, przesłonięta od wewnątrz oćmą, była pospolita i smutna. Drugi, niewątpliwie marynarz, brodac z stanowczym wyglądem, rozmawiał z pierwszym pochylając się do jego ucha, i Castro, choć nasłuchiwał, nie dosłyszał niczego. Po chwili obaj znikli w głębi łodzi, w kilka minut później łódź przysunęła się do skały i tenże marynarz wyszedł sam na mostek z sakwą na ramieniu i z kijem w ręku. Zeskoczył na kamienie i krocząc szybko wkrótce ujrzał Castra.

— Zatrzymaj się, przyjacielu — odezwał się marynarz — i jeśli nasza przechadzka nie przedłuży się, to udziel mi nieco ze swoich zapasów.

— Kim jesteś, człowieku? — podejrzliwie zapytał nieznajomy.

— Jestem człowiekiem, który umie dobrze pływać. Tej nocy zmyło mnie za burtę, ale jestem bardzo zły, zezłościłem się i ocalałem.

— Chodźmy — rzekł marynarz po chwili milczenia. — Wybrałem się na długą przechadzkę, ale sucharów nam starczy.

I milcząc, ostrożnie przyglądając się sobie wzajem, wyszli z kamiennego chaosu nadbrzeża na spokojną pustynię.

IV

— Przyjacielu — odezwał się Castro nie wytrzymawszy. — Jestem z natury ciekawy, ale jeśli nie widzisz we mnie wroga, to opowiedz, jak w ten głuchy zakątek trafiła łódź podwodna? Idziemy razem. Jem twoje suchary, czeka nas, jak się zdaje, daleka droga, bo nigdzie tu nie ma śladu jakiegokolwiek osady, i dlatego ośmielam się prosić, abyś odsłonił choć rąbek tych niezwykłości.

Nieznamy nic nie odpowiedział, uśmiechnął się i zaczął mówić o czymś innym, a Castro jeszcze ze trzy razy w ciągu dnia usiłował naprowadzić rozmowę na ten sam temat; dopiero gdy zatrzymali się na noc przy ognisku pod przydrożną skałą, marynarz wyjawiał tajemnicę łodzi podwodnej:

— Płynęliśmy z Europy z eskadrą torpedowców i — długo trzeba by opowiadać, jak to się stało — po trzech dobach sztormowej pogody straciliśmy z oczu swoją eskadrę, krążąc w pobliżu tego wybrzeża.

Wreszcie fale ucichły, stanęliśmy niedaleko starego klasztoru, który nurzał swoje białe mury w zieleni i aromacie kwitnących pomarańczowych gajów. Mieszkali tam ślepycy, trzynastu ludzi, którzy pochowali blask dnia i diamentowe światła nocy w ponurej ciemności swego tragicznego urodzenia. Wkrótce, ponieważ zabrakło nam słodkiej wody, wziąłem z sobą część załogi i ruszyłem do klasztoru.

Marynarze pod kierunkiem zakonników zajmowali się swoją robotą, a ja siedziałem w ogrodzie; owiany ciepłym wiatrem, znużony, nie mogłem oprzeć się, gdy zaczęły mi się przymykać oczy i wkrótce zasnąłem, a kiedy się zbudziłem, była noc. Wszedł księżyc, który pośród czarnych cieni rozpostarł biały świat. Zerwałem się i niespokojnie zacząłem wzywać załogę. A wtedy ogród wypełniły westchnienia i szelesty i trzynastu ślepych mężczyzn otoczyło mnie z wolna, wpatrując się we mnie ślepyimi oczami.

— Oto nasz komendant — oczekiwał nas i myśmy przyszli.

— Znamy go — mówili inni — ale on nas jeszcze nie poznaje. Kapitanie Train, niech pan prowadzi swoją załogę!

Byłem pełen lęku, ale nie mogłem sprzeciwić się niczemu, co działo się tej nocy, tak jak nie mógłbym się sprzeciwić wybuchowi wulkanu. Zapytałem:

— Gdzie są moi ludzie?

— Spójrz — powiedzieli wskazując na łączkę jaśniejącą księżycowym spokojem — są teraz w domu i będą pośród swoich rodzin aż do czasu, gdy powrócimy.

Ujrzałem wszystkich, którzy przyszli ze mną, a także tych, co pozostali na „Etnie”. Jak tutaj trafili? Wszyscy spali w trawie z uśmiechem słodkiego wytchnienia. Coś silniejszego ode mnie wypełniło mi duszę drzeniem i smutną ciszą. Ruszyłem ku morzu w otoczeniu ślepych, wszedłem z nimi do łodzi podwodnej i tam, przyjacielu Castro, ujrzałem, że ślepi w s z y s t k o w i d z a.

Tak, podejrzewam, że moje sny, moje wyraziste zwidzenia senne w ciągu ubiegłego miesiąca — były r z e c z y w i s t o ś c i a. Budziłem się koło południa, zawsze w tej samej zatoce, gdzie mnie spotkałeś, jak gdyby „Etna” nigdy jej nie opuszczała, a ze mną byli prawdziwi ślepycy błąkający się po omacku w obcym dla nich, skomplikowanym wnętrzu statku wojennego; skarżyli się głośno na dziwną przemianę swego życia, spali, dużo jedli i ustawicznie kłócili się z sobą, a ja — wyjaśnij mi to — nie mogłem uciec, jak gdyby łódź wisiała na wysokości tysiąca metrów; ale zasypiając natychmiast wraz z zachodem słońca, widziałem we śnie, że wydaję rozkazy, że cała trzynastka ślepców, z szybkością i doświadczeniem prawdziwych żeglarzy, uwija się w bojowych działaniach i że wypływając po szeregu chytrych manewrów w samym pieklisku nieznannej floty wojennej, zatapiamy okręty, zawsze wysłizgujemy się z powrotem, a potem płaczemy w bezgranicznej rozpacz.

Dziś opuściła mnie ta obca siła, podobnie jak chmury opuszczają pola; westchnąłem głęboko i odszedłem... Ślepcy znikli, pozostał jeden, najstarszy, obojętny na wszystko, co się z nim stanie. Być może na „Etnę” wrócą wkrótce moi zbudzeni marynarze.

— Cóż to za klasztor? — zapytał Castro. — Jakież to demony w nim mieszkają?

— Nie wiem. Ale w ogóle, jak słyszałem, pojawiło się tu mnóstwo obłąkanych. Włóczą się i mającą — wciąż mającą o jasnych brzegach stratowanych przez błękit morza.

Przełożył *Seweryn Pollak*

Osobista rozmowa

I

Stary umierał. Był prawie ślepy, swoją sytuację traktował z nieco zabawną dumą człowieka, który długo i do syta oddychał gorącym płomieniem życia. Dlatego właśnie Mawrey go szanował.

Dom, w którym mieszkali, stał na granicy dwóch pustkowi — stepu i lasu. Do najbliższego osiedla w dół rzeki były dwa dni drogi. W osiedlu tym znajdował się drugi — jeszcze ważniejszy dla Mawreya niż własny — dom z białymi firaneczkami. Mieszkała tam osoba w łatanych sukniach, ale zdaniem Mawreya godna nosić strój z księżycowych promieni — Katarzyna Lohar.

Mawreya żywił jego karabin. Ale tego nie wystarczyło, ażeby z rąk jego narzeczonej zeszyły grube, bolące pęknięcia i ażeby stał się spokojny napięty, zatroskany wyraz jej oczu. Dlatego też zastawił w dwójnasób sideł na kuny i bobry niż w roku zeszłym. Skórki, które zdobył, wisiały w schowku urządzonym na wysokim drzewie. Przed miesiącem nieznanymi złodziej, przechodząc tą okolicą w nieobecności Mawreya, wlaź na drzewo, wziął skórki i znikł, a Mawrey po tym przesiedział cały dzień z opuszczoną na ręce głową.

Myśliwy nie wiedział, kim był starzec, który umierał w jego chacie. Przywieźli go na brzeg ludzie spławiający drzewo; wprosił się płynąć z nimi, ale zachorował po drodze wprawiając tym wesołych chłopców w ponury nastrój. Osądziwszy, że sprawy starego i tak stoją kiepsko, poprosili go, żeby wsiadł do łódki i oczekiwał śmierci na lądzie.

— Płynąłem do krewnych w Alambo — rzekł z rana do Mawreya — każdy powinien mieć krewnych. Spodziewałem się, że kogoś tam odnajdę.

Wieczorem powiedział:

— Niech pan podejdzie i słuca.

Mawrey nabił tytoniem dwie fajki, ale umierający odmówił palenia.

— Dziś znieruchomieję — ciągnął stary — niech się pan tym nie martwi, bo w swoim czasie czeka pana to samo. Dawał mi pan jeść i pić w ciężkich dla mnie chwilach. Chcę się panu odwdziżyć.

— To zbyt cenne — odparł Mawrey.

— Wykonanie ostatniej woli jest obowiązkiem i dlatego nie musi się pan ze mną sprzeczać. W Alambo mieszka znany milioner Gordon.

— Słyszałem o nim.

— Tak. Kiedy był w nędzy, pożyczyłem mu bez weksła tysiąc złotych dukatów.

— To dobrze.

— Potem się wzbogacił.

— Z pańskich pieniędzy?
— Wiadomo. To łobuz i kanciarz. A ja zbiedniałem.
— To źle — rzekł Mawrey.
— Zapewne — zgodził się stary. — Zażądałem, aby zwrócił mi pieniądze. Od dnia, kiedy ich zażądałem, aż do dnia dzisiejszego minęło dziesięć lat. Nie dał mi ani grosza.
— Dlaczego?
— Ja również tego nie rozumiem. To jakieś zaćmienie umysłu właściwe ludziom bogatym, nawet bardzo bogatym.
— Co więc teraz robić?
Starzec wyciągnął ołówek, świstek papieru i napisał: „Tysiąc złotych dukatów, któreś ty, Gordon, wziął kiedyś ode mnie, gdy nie miałeś co jeść, masz oddać Mawreyowi. Niegdys -«twój»- Robertson”.
— Niech pan weźmie — powiedział — pieniądze należą do pana. Musi oddać.
— Ale pan pewno ma jakichś krewnych? — zapytał Mawrey.
— O, nie! — stary usiłował uśmiechnąć się. — Nie, nie mam nikogo.
Mawrey protestował. Stary upierał się. Zgodę nakazywał charakter sytuacji.
— Dobrze — rzekł wreszcie myśliwy. — Co mam jeszcze przekazać Gordonowi?
— Że jest łajdakiem — powiedział umierający odwracając się do ściany; zasnął i już się nie obudził.

II

Nazajutrz z rana Mawrey złożył go do ziemi, okrył grób darnią i kiedy przesiedział kilka minut z owym świstkiem papieru w rękach, uznał, że dla Katarzyny Lohar warto pojechać do Alambo. Ponieważ działanie szło u niego w parze z zamysłem, włożył do worka wszystko, co miał cennego, to znaczy pozostałe skórki, nóż i bieliznę, tego samego dnia wieczorem wsiadł do łódki, a już w cztery dni później widział pionową sieć masztów, wznoszących się wokół białych i zielonych tarasów miasta, które opadały ku wodzie jasnym amfiteatrem.

Mawrey przywiązał łódkę do kąpieliska, zapłacił dozorczy i wszedł w lśniące asfaltowe wąwozy miasta. Tłum powozów i ludzi przewalał się ulicami w tym oszałamiającym, aksamitnym nasileniu pracowitego dnia; w oka mgnieniu czyni ono samotnym przybysza, spodziewającego się zapewne natychmiastowego miłego towarzystwa. Mawrey co najmniej dziesięć razy pytał, jak trafić do Gordona i otrzymał kilka sprzecznych wskazówek, których słuchając, za każdym razem trafiał do wymyślnie zbudowanych ogromnych domów — wszystko to były domy Gordona, ale nie było go w żadnym z tych domów. Był w jakimś jeszcze jednym własnym domu.

Wreszcie obszedłszy pół miasta Mawrey odszukał dom, a w nim Gordona. Minał żelazną koronkową bramę, aleję z płomiennymi kwiatami i znalazł się na przerzuconym w kształt mostu podjeździe, za którym hall jaśniał jaskrawym niebem lustrzanych szyb.

Nie widząc nikogo, chociaż dokoła domu unosiły się echem kobiece i męskie głosy, Mawrey odezwał się głośno:

— Hej! Jest tam kto?

Milczenie. Koło jego twarzy przeleciał motyl: drzewa zieleniały, kwitły kwiaty i nie było nikogo. Mawrey trzy razy powtórzył okrzyk, po czym strzelił w żwir ścieżki. Kamyki rozprysły się jak woda.

A wówczas dostrzegł, że w głębi lustrzanych wypukłości hallu przebiega, ginąc gdzieś w pośpiechu, ludzka postać.

Przestraszony portier wybiegł, trzasnął drzwiami i zbliżył się do Mawreya.

— Czy to pan strzelił? — zawołał zerkając spode łba i od stóp do głów mierząc wzrokiem śmiałka. — Kto tu strzelał? Co się stało?

— Przypadkiem zahaczyłem o kurek — rzekł Mawrey chowając rewolwer. — Czy to pan jest Gordonem?

— Co?! Ja mam być Gordonem?! Ej, kochasiu!...

— Mam zwyczajną, najzwyczajniejszą sprawę — pohamował go Mawrey. — Nie mamy się o co kłócić. Jeśli pan nie jest Gordonem, to niech mnie pan zaprowadzi do Gordona.

— A pan w jakiej sprawie? Jaki ma pan do niego interes? Proszę wyjść!

— Jeśli mam do niego sprawę — rzekł Mawrey zaczynając wpaść w gniew — to powiem mu o tym sam. Jak widzę, jesteście służącym. Tylko służący potrafi się tak wściekać, gdy nie może nic odpowiedzieć na słuszne żądanie. Chcę widzieć waszego pana.

— Mój drogi — odparł portier wsadzając ręce do kieszeni; miał wyraz twarzy wskazujący, że jest głęboko urażony — spotkać się z Gordonem to nie to samo, co przywitać się z pastuchem. Gordon jest zajęty. Gordon nikogo nie przyjmuje. Gordon nie przyjąłby nawet drugiego Gordona, gdyby się taki zjawił. Ale jeśli pan chce zobaczyć Gordona — tylko zobaczyć — to możesz pan poczekać przy bramie. Za kilka minut Gordon wyjeżdża do swego majątku za miastem. A jeśli chodzi o to, aby panu pomóc, jeśli o tym mowa — to z tego...

Jedno uderzenie potężnej pięści Mawreya nadało zakończeniu tego słowa charakter drugiego strzału. Ogłuszony portier upadł bez jęku, bez drgnienia. Mawrey wytarł ręce o spodnie, rozejrzał się i nie widząc nikogo, wszedł w krzaki. Było tu tak trwożnie, pięknie i cicho, jak to bywa w biciu serca wczesnym rankiem. W jednej chwili ustalwszy plan wywołany oczywistością sytuacji i zrodzony natychmiast po uderzeniu w twarz portiera, Mawrey znów wyszedł, przeniósł do swego kwitnącego schronu nieczułe ciało zasłużenie poszkodowanego i zatkał mu chustką usta, a ręce i nogi związał kawałkiem rzemienia.

Te zabiegi świadczące o doświadczeniu i zimnej krwi człowieka, który je zastosował, zdawały się być głupstwem dla Mawreya, ponieważ życie w lasach rozwija przedsiębiorczość i dokładność ruchów. Następnie zaczął czekać tak nieruchomo, jak gdyby polował na bobra. Wkrótce potem, z głębi tylnego planu, elastycznie szeleszcząc, wpłynął na podjazd kabriolet; czarny koń stanął, malowniczo opuściwszy łeb ku piersi, a stangret w cylindrze z piórkiem ujrzał nieznanego, który przyjaźnie kładł mu rękę na kolano.

— Portierowi zrobiło się słabo — powiedział Mawrey — niech pan mi pomoże go podnieść.

— Tropke!... — zawołał stangret. — A co? Gdzie?

— Leży tu za drzewami. Dostał porażenia słonecznego — zdenerwowanym głosem powiedział Mawrey.

Stangret zszedł z kozła i pobiegł w cień promienistego listowia, Mawrey biegł obok niego. Ledwo tylko błysnął tył głowy leżącego na brzuchu portiera, gdy stangretowi wydało się, że widzi sen, gdzie wszystko się chwieje i znika z oczu: Mawrey przewrócił go, szybko związał mu usta szalem i ciało okręcił lianą. Zakneblowawszy mu mocniej usta, aby nie wydarł się z nich ani jeden dźwięk, wyciągnął przez sploty lian całą liberię wyjazdową dogadując, aby przyspieszyć sprawę, słowa, od których drętwieje mózg. Tak czy inaczej, gdy wyszedł i z batem w dłoni, obciążonej pękniętą rękawiczką, siadł na kozle kabrioletu, nic nie wskazywało na jakąkolwiek zmianę.

Gordon, który wychodząc ku swemu wielkiemu zdziwieniu nie zastał portiera, pobieżnym spojrzeniem dostrzegł jedynie, jak zawsze, piórko na cylindrze i bat. Tworzy swoich służących nie pamiętał. Jednakże, gdy przestał w skupieniu rozmyślać o interesach, dostrzegł, że powóz pędzi już przez park, nie wiadomo dlaczego pozostawiając za sobą jedyną w Alambo szosę, przy której leży niedawno kupiony majątek.

— Co tam znów, u licha! — odezwał się Gordon, przytupując w dno kabrioletu małą

tłustą nogą. — Dlaczegożeście tu zajechali?

Obejrzał się. Mawrey gwałtownie szukał jakiegoś głuchego kąta. Wreszcie, skręciwszy z alei w zarosły gęstą trawą prześwit lasu, zatrzymał naraz konia i odwrócił się do na wpół-zemdlonego Gordona.

— Oto kartka — rzekł pchając świstek papieru przed zastygłą z przerażenia, purpurową twarz. — Od Robertsona. Płacić! Szybko!

— Ja... — zaczął Gordon.

Czarny rewolwer i biała kartka stawiały go przed wyborem. Pochylił się pod lufą i przeczytał stanowczy testament.

— Czek albo pieniądze! — rzekł Mawrey. — Wszystko zaczęło się od pańskiego portiera. Myślał, że jestem żebrakiem. Potem przestał się kłócić. A później przyszła moja kolej, aby myśleć. Trafiłem na pański ślad, a ja jestem myśliwy.

Przyszła kolej na trzeciego już człowieka, aby śnić w zalanym słońcem listowiu: widział sam siebie, jak oblizując suchym, gorącym językiem kopiowy ołówek, wypisuje czek, po czym przypomniał sobie, że ma w kieszeni pieniądze, mnie go i odlicza banknoty.

— Czy coś... czy coś... ten wspaniały... ten cudowny... przekazać mi??! — wymamrotał Gordon.

— Tak — spokojnie powiedział Mawrey. — Że jest pan łajdakiem.

Potem wokoło Gordona zrobiła się cisza. Zbudziwszy się jak gdyby ze snu, nie ujrzał już nikogo. Z dała w odległych prześwitach alei poruszały się małe postaci ludzi, a koń, jak to koń — spokojnie skubał trawę.

Przełożył *Seweryn Pollak*

Gniew ojca

W przeddzień powrotu Beringa z dalekiej podróży syn jego, mały Tomek Bering, ściągnął na siebie surową naganę cioci Kornelii i męża jej, wujka Karola.

Tomek siedział w mrocznej bibliotece i puszczał kolorowe bańki mydlane. Na sumieniu miał już kilka poważniejszych przestępstw: wypalenia za pomocą szkła powiększającego dziurki w żółtej portierze, oglądanie obrazków w Dekameronie, bójkę z synkiem sąsiada — ale bańki mydlane wyjątkowo oburzyły Kornelię. Wielki, surowy dom nie znosił lekkomyślności, więc wujek Karol uroczyście odebrał chłopcu spodeczek z mydlinami, a ciocia Kornelia — szklaną rurkę.

Kornelia długo przepowiadała Tomkowi okropną przyszłość psotników — los przestępcy lub włóczęgi — wreszcie na zakończenie oświadczyła:

— Strzeż się gniewu ojca! Jak tylko powróci mój brat, nie będę się litowała nad tobą i opowiem mu o twoim zachowaniu, a gniew jego spadnie na ciebie całym ciężarem.

Wuj Karol ujął się pod boki, pochylił się i dodał:

— Gniew jego będzie straszny!

Kiedy odeszli, Tomek zasiadł głęboko w wielkim fotelu i usiłował wyobrazić sobie, co go czeka. Prawda, że Karol i Kornelia wyrażali się zawsze górnolotnie, ale stałe aluzje do gniewu ojca bardzo niepokoiły Tomka. Zapytać zaś ciotkę czy wujka, co to jest gniew, chłopiec nie mógł — byłoby to równoznaczne z okazaniem tchórzostwa. Tomek nie chciał sprawić im tej satysfakcji.

Po namyśle Tomek zsunął się z fotela i z godnością podreptał do ogrodu, aby dowie-

dzieć się coś niecoś od ludzi, których spotka.

W cieniu dębu leżał Oskar Munch, literat, krewny Kornelii, i czytał gazetę. Tom zbliżył się ku niemu bezszelestnym krokiem Indianina i zawołał:

— Hugh!

Munch odłożył gazetę, objął chłopca za kolana i przyciągnął do siebie.

— Na Orinoko spokój — powiedział. — Huronowie odeszli w prerie.

Ale Tom naraz posmutniał i nie podjął zabawy.

— Czy nie wie pan, co to jest gniew? — zapytał ponuro. — Niech pan nie powtarza nikomu, że mówiłem z panem o gniewie.

— Gniew?

— Tak, gniew ojca. Ojciec jutro przyjeżdża. Z nim przyjedzie gniew. Ciocia zaraz naplotkuje, że puszczałem bańki mydlane i że wypaliłem dziurkę. Dziurka była malutka, a ja... ja nie chcę, aby gniew się dowiedział.

— Ach tak! — powiedział Munch z dzikim i niepojętym dla Toma śmiechem, na dźwięk którego chłopiec cofnął się o trzy kroki. — Tak, gniew twego ojca wygląda niezbyt przyjemnie. Potwór, jakich mało. Ma cztery ręce i cztery nogi. Szybko biega. Oczy ma zezowate. Paskudny typ. Straszna kreatura.

Tomek zmartwił się i ze zdziwieniem patrzył na Muncha, który tak wesoło opisywał okropne stworzenie. Stracił ochotę do wypytywania kogokolwiek i przez dłuższą chwilę w zamyśleniu błądził po alejach, aż zauważył dziewczynkę z sąsiedztwa, ośmioletnią Molly. Podbiegł do niej, aby wyzaliczyć się na swoje nieszczęście, ale Molly, gdy tylko ujrzała Tomka, uciekła pędem, ponieważ zakazano jej bawić się z nim od czasu, kiedy wspólnie strzelali z łuku w szyby oranżerii. Jak zwykle w takich wypadkach za projektodawcę uważano Tomka, pomimo że tym razem właśnie Molly namówiła go, by „spróbował” trafić do ramy okiennej.

Kierowany uczuciem przywiązania i podziwu dla wiotkiej kędzierzawej osóбки, Tomek pobiegł na przelaj przez krzaki, podrapał sobie twarz, ale dziewczynki nie dogonił i otarłszy łzy urazy, powlókł się do domu.

Pokojówka nakryła stół do śniadania i poszła. Tomek spostrzegł dużą karafkę ze złocistym winem i zaraz przypomniał sobie, że kapitan Kidd (z powieści „Piraci wybrzeży”) musiał pić rum na bezludnej wyspie w najokropniejszym osamotnieniu.

Tomek bardzo lubił Kidda. Wobec tego wlaź na stół, nalał szklankę wina, szepcząc:

— Za pańskie zdrowie, kapitanie. Przyjechałem okrętem, aby pana wyratować. Niech pan się nie martwi, znajdziemy pańską córkę.

Zaledwie jednak pociągnął pierwszy łyk ze szklanki, weszła Kornelia, ściągnęła pijaka ze stołu i bez słowa, choć dobrodusznie, klapnęła go trzy razy w pewne miejsce. Po chwili rozległ się wrzask rozwścieczonej staruszki, a przestępca wyrwał się jej i uciekł do ogrodu, gdzie ukrył się pod podłogą drewnianej altanki.

Wiedział, że jest stracony. Całą nadzieję pokładał jedynie we wstawiennictwie ojca przed gniewem.

O ojcu Tomek pamiętał tylko tyle, że miał czarne wąsy i dużą ciepłą dłoń, w której można było ukryć twarz. Matki nie pamiętał.

Siedział, wzdychał i starał się wyobrazić sobie, co się stanie, gdy z klatki wypuszczą gniew.

Tomek sądził, że potwór musi być koniecznie w klatce. Wyciągnął z kąta łuk i dwie strzały, które sam sporządził, ale wnet zwątpił w skuteczność takiej broni. Wreszcie, nabrawszy odwagi, wylazł spod altany i ukradkiem wsunął się przez taras do gabinetu wujka Karola. Tam na ścianie wisały strzelby i pistolety. Tomek wiedział, że nie są nabite, była o tym mowa wiele razy, ale miał nadzieję, iż wykradnie proch synowi ogrodnika. Za kulę mógłby służyć kamyk. Zaledwie jednak wdrapał się na oparcie kanapy i zaczął ściągać ze ściany ogromny pistolet z mosiężną lufą, gdy wszedł wuj Karol i gwizdnąwszy ze zdziwienia,

chwycił chłopca twardymi palcami za kark. Tomek wyrwał się, spadł z kanapy i uderzył się w kolano.

Wstał kulejąc, pochylił głowę i ponuro spojrzął na wielkie buciory wuja.

— Powiedz mi, Tom — zaczął wujek — czy to godne ciebie, syna Haralda Beringa, aby ukradkiem, z zamiarem kradzieży, wchodzić do tego gabinetu, który nigdy nie widział jeszcze awantur? Czy zastanowiłeś się nad swoim czynem?

— Zastanawiałem się — powiedział Tomek. — Ja musiałem mieć pistolet, wujku. Nie poddam się bez walki. Wasz gniew, który przyjedzie razem z ojcem, weźmie mnie tylko martwym. Żywy nie poddam się nigdy.

Wujek Karol nie odpowiedział. Po chwili wydał głos, podobny do powściąganego beczenia, stanął przy oknie i zaczął nabijać fajkę. Kiedy skończył to zajęcie i odwrócił się, wyraz jego twarzy był dziwnie podobny do wyrazu twarzy Muncha.

— Zamknę cię tutaj i zostawię bez śniadania — powiedział spokojnie wuj Karol, zatrzymując się przed drzwiami. — Zostaniesz w gabinecie i usłyszysz zaraz, jak szcześnie kluczy, gdy będę zamykał drzwi. Tak szcześnie zęby gniewu. Nie waż się nic ruszać.

Z tymi słowami wyszedł i szcześnie dwa razy kluczem, wyjął go i schował do kieszeni.

Wtedy Tomek przywarł oczami do dziurki od klucza. Stwierdziwszy, że wuj zniknął za zakrętem korytarza, otworzył okno, wylazł na dach budynku i skoczył na klomb, łamiąc krzak cynii. Pędziła go zimna rozpacz zagubionego stworzenia. Chciał iść do lasu, wykopać lepiankę i mieszkać tam, żywiąc się jagodami i kwiatami, dopóki nie uda się znaleźć skarbu ze złotem i bronią.

Tak rozmyślając, Tomek prześliznął się około ogrodzenia i zobaczył przez kraty samochód, który jechał szosą w kierunku domu wuja Karola. W wozie obok podstarzałego pana z czarnymi wąsami siedziała młoda jasnowłosa kobieta. Za tym samochodem pędziło drugie auto, naładowane skrzyniami i walizami.

Tomek nie zdążył jeszcze temu wszystkiemu się przyjrzeć, gdy samochody skręciły w aleję wjazdową i ucichł warkot motorów.

Mgliste wspomnienie dużej ręki, w której kryła się cała jego twarz, zmusiło chłopczyka do zatrzymania się, a potem do biegu na złamanie karku w kierunku domu. „Czyżby to był ojciec?” — pomyślał i biegł na przełaj przez klomby, zapomniawszy o ucieczce z gabinetu, pragnąc pociechy i przebaczenia.

Tylnym wejściem Tomek przekradł się przez wszystkie pokoje do przedpokoju i cała jego niepewność znikła. Kornelia, Munch, pokojówka i cała służba — wszyscy byli tutaj, wszyscy krzatali się wokoło wysokiego człowieka z czarnymi wąsami i jego towarzyszki.

— Tak, wyjechałem o dzień wcześniej — mówił Bering — żeby prędzej zobaczyć malca. Gdzież on jest? Nie widzę go.

— Zaraz go przyprowadzę — powiedział Karol.

— Ja sam przyszedłem — zawołał Tomek, przeciskając się między Kornelią a tłustą służącą.

Bering zmrużył oczy, westchnął lekko i uniósłszy syna, pocałował go w podrapany policzek.

Wuj Karol wytrzeszczył oczy:

— Ale tyś przecie był ukarany. Byłeś zamknięty!

— Na dziś jest amnestionowany — oznajmił Bering, prowadząc chłopczyka ku młodej kobiecie.

„Czy to aby nie jego gniew? — pomyślał Tomek. — Chyba nie. Nie wygląda na to”.

— Ona będzie twoją mamą — rzekł Bering. — Bądź matką dla tego głuptaska, Kate.

— Będziemy się bawić razem — szepnął do ucha Tomkowi ciepły, delikatny głos.

Chwycił ją za rękę i ufny w słowa ojca, spojrzął w jej niebieskie duże oczy. Wszystko

to absolutnie nie przypominało Karola i Kornelii. W dodatku zaś śniadanie było pewne.

Wyściskano go, a potem poprowadzono do umywalni. Jednakże w sercu Tomka nie było spokoju, znał on dobrze zarówno Karola, jak i Kornelię. Zawsze dotrzymywali obietnic, a teraz bez wątpienia porozumieli się już z gniewem. Skorzystawszy z tego, że pokojówka odeszła, aby zmienić ręcznik, Tomek skoczył do pokoju, który, jak wiedział, był przygotowany dla ojca.

Wiedział, że gniew jest tam. Jest zamknięty, siedzi cicho i czeka, aż go wypuszczą.

Tomek przywarł do dziurki od klucza, lecz nikogo nie dostrzegł. Na podłodze leżały w tobołach dywany i futra, stały skrzynie owinięte w rogoże. Kilka kufrów — a wśród nich dwa z odrzuconymi do ściany wiekami — niezwykle zmieniały wygląd przestronnego pokoju, umeblowanego z przesadnym przeładowaniem, świadczącym o spokojnym i nieruchawym życiu.

Łękając się swych czynów, a jednocześnie uginając się pod pragnieniem zrzucenia z serca ugniatającego ciężaru, Tomek szarpnął drzwi i wszedł do pokoju. Ulgę sprawił mu leżący na łóżku prawdziwy rewolwer. Choć nie znał się na rewolwerach, wiedział tylko z książek, gdzie należy nacisnąć, aby wystrzeliło. Tomek chwycił brauning i trzymając go w wyciągniętej ręce, odważył się przystąpić do otwartego kufra.

A wtedy ujrzał gniew.

Wysoki na dwa sążnie, biały, czteroręki potwór wybałuszył na niego z kufra straszne, skośne oczy.

Tomek wrzasnął i nacisnął tam, gdzie należało nacisnąć.

Kufer jak gdyby wyleciał w powietrze. Ze świstem rozprysły się skorupki i zaszczękały po oknie i po stołach. Tomek siadł na podłodze i bez ustanku naciskał cyngiel wciąż strzelającego rewolweru, a potem odrzuciwszy go, skoczył z łkaniem ku blademu jak płótno Beringowi, który nadbiegł wraz z Karolem i Kornelią.

— Zabiłem twój gniew! — wołał Tomek w zachwycie i wzburzeniu. — Zastrzeliłem go! On już teraz nikogo nie ruszy! Ja nic nie zrobiłem! Wypaliłem dziurkę i piłem rum z Kiddem, ale nie chciałem gniewu!

— Uspokój się, Tomku — powiedział Bering, tuląc z westchnieniem ulgi drżące ciało syna. — Wiem wszystko. Mały mój Tomeczku... biedna, żywa duszo!

Przełożył Seweryn Pollak

Szary samochód

I

Wieczorem szesnastego lipca wstąpiłem do kina, aby rozpedzić nieprzyjemne wrażenie wywołane ostatnią rozmową z Corridą. Spotkałem ją, gdy przechodziła przez bulwar. Już z daleka poznałem ją po porywistym kroku i po charakterystycznym wymachiwaniu lewą ręką. Ukłoniłem się, usiłując odnaleźć choć cień życzliwości w tych wielkich oczach o nieco zdziwionym spojrzeniu, wyglądających tak surowo pod dumnym wygięciem kapelusza.

Zawróciłem i poszedłem obok niej. Szła szybko, nie zwalniając ani nie przyśpieszając kroku, niekiedy spoglądając w moją stronę, ale mimo mnie. Zauważyłem, że przechodnie często się za nią oglądają, i cieszyłem się z tego. „Niektórzy pewnie myślą, że jesteśmy małżeństwem i zazdroszczą mi”. Byłem tak pochłonięty tą myślą, że nic słyszałem, jak Corrida

zwróciła się do mnie, a wreszcie zawołała:

— Co z panem? Pan taki roztargniony...

Odpowiedziałem:

— Jestem roztargniony tylko dlatego, że idę z panią. Niczyja obecność tak mnie nie rozprasza, nie napełnia głęboką, radosną muzyką poczucia pełni życia i całkowitego spokoju.

Zdawało się, że nie nazbyt była zadowolona z tej odpowiedzi, gdyż zapytała:

— Kiedy skończy pan swój wynalazek?

— To tajemnica — powiedziałem. — Ufam pani więcej niż komukolwiek, ale nie ufam sobie.

— Co to znaczy?

— Jedyne to, że niedokładnym wytłumaczeniem pomysłu, który jeszcze w wielu fragmentach jest całkowicie mglisty, mogę zaszkodzić sam sobie.

— Tysiąc druga zagadka Ebenezera Sidneya — rzuciła Corrida. — Niech pan przynajmniej wyjaśni, co pan rozumie pod niedokładnym wytłumaczeniem.

— Niech pani posłucha: najlepiej pamiętamy słowa, które sami wypowiadamy. Jeśli te słowa dotyczą czegoś bardzo nam drogiego, to powinny ściśle odpowiadać faktom i uczuciom, które je zrodziły, w przeciwnym wypadku zniekształca się nasze wspomnienie albo wyobrażenie. Domieszka owego zniekształcenia pozostaje na długo, jeżeli nie na zawsze. Dlatego też nie można byle jak, pośpiesznie, tłumaczyć złożonych zjawisk, zwłaszcza jeśli mają one dopiero powstać: pani wnosi zamęt w sam proces rozwoju zamysłu.

Tyrady tej wysłuchiwała z miną uprzejmą, ale nieufnie, czułem, że moje towarzystwo staje się dla niej coraz bardziej ciężarem. Milczeliśmy. Nie wiedziałem, czy mam się pożegnać, czy iść dalej. Nie widziałem do tego zachęty, przeciwnie, Corrida miała wyraz twarzy taki, jak gdyby szła sama. Wreszcie odezwała się:

— Brat podarował mi nowego „Excelsiora”. Za dwa dni wybiera się na przejażdżkę większe towarzystwo, będzie to naprawdę błyskawiczna podróż. Przyłączam się do nich. Chce pan, żebym wzięła pana ze sobą?

— Nie — odparłem stanowczo, choć w tonie tego słowa, jak sędzę, odczuła ciężką udawkę. Nie chcąc uchodzić za grubianina, dodałem: — Pani wie, jak nienawidzę tego rodzaju sportu. — O mało nie powiedziałem „tych maszyn”, ale wolałem bardziej to omówić.

— Ale dlaczego?

— Dość szeroko wyjaśniałem to kiedyś w pani obecności — odrzekłem i wywołałem wesoły, niezbyt wesoły śmiech, nie chciałem go usłyszeć po raz drugi.

— Pan mnie stanowczo zaskakuje. — Stała przed wejściem do sklepu, przelotnie spojrzawszy przymrużonymi oczami na szyld salonu mód i zrozumiałem, że ma mnie dosyć. Szyld był tylko, pretekstem. — Tak, pan mnie zaskakuje, Sidney, i myślę, że to jedynie zły stan pańskich nerwów jest przyczyną tej dziwnej nienawiści do... do... tego pojazdu. — Roześmiała się. — Żegnam pana.

Pocałowałem ją w rękę i szybko odszedłem, aby nie przyłapać przypadkiem dziewczyny na dezercji — mogła bowiem wyjść nie spojrzawszy, czy jeszcze tam jestem.

Nie wstydziłem się sam siebie. Mógłbym uprzejmie kłamać, pojechać z bandą idiotów i długo, długo na nią patrzeć. Ale dałem już sobie słowo, aby nie kłamać, bo bardzo już byłem zmęczony kłamstwem. Tak jak wszyscy żyłem otoczony kłamstwem i kłamstwo to już mnie znużyło.

Kiedy idąc w stronę kina przechodziłem przez ulicę, pod nogi padło mi drżące, narastające, nasilające się światło i odwróciwszy głowę, zatrzymałem się na tę maleńką cząstkę sekundy, jakiej potrzeba, aby uświadomić sobie wtargnięcie białych, ślepych reflektorów maszyny. Przemknęła, uderzywszy mnie po oczach strumieniem wiatru i rozścielając po bruku widma miauczających kotów — zajęczała, zawyła i znikła, unosząc ludzi o tępych twarzach w melonikach.

Jak zwykle, każdy samochód pogłębiał o kilka nowych rysów, o kilka s z c z e g ó ł ó w mój wstręt. Zakarbowałem je sobie w pamięci i wszedłem do kina.

Był to nędzny, trzeciorzędny teatrzyk, z brudnym ekranem i z fałszującą pianolą, która wygrywała grzmiące arie. Obraz był jakich wiele — tysiące, dziesiątki tysięcy, pusty i bez treści, ale sprawiał mi ogromne zadowolenie właśnie przez to, że dla rozwoju jego akcji poświęcono tyle energii — nieprzerwanego mknącego ruchu życia na ekranie. Jak gdybym widział gracza, który bez powodzenia stawia olbrzymie sumy. Całą aparaturę, siły i talent artystów, ich zdrowie, nerwy, ich życie osobiste, maszyny, skomplikowane urządzenia techniczne — wszystko to febrycznym cieniem rzucono na płótno dla krótkiej podniety widzów, przychodzących na godzinę i odchodzących, zapominających natychmiast, na czym polegało przedstawienie — tak wbrew ich wewnętrznemu tempu, tak nienaturalnie ich wyprzedzając, pędziły te napady i porwania, uczyły i tańce. Przy tym wszystkim moja satysfakcja była tylko szyderstwem. W moich oczach energia przemieniała się w cień, a cień w zapomnienie. I doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, do czego to wszystko prowadzi.

Tymczasem, częściowo tylko śledząc treść obrazu, większą część uwagi zwróciłem na zjawiający się w nim od czasu do czasu duży szary samochód-lando. Za każdym razem, gdy się pojawił, przypatrywałem mu się, usiłując sobie przypomnieć, czy go widziałem kiedyś przedtem, czy też mi się wydaje, jak to się często zdarza przy podobieństwie widzianego przedmiotu do innego, teraz zapomnianego. Był to metalowy potwór zwykłego typu z wysuniętym naprzód sześciokątnym pyskiem, podobny do postawionego na szpulki kalosza z obróconym naprzód noskiem. Szofer nosił nastroszone jak jeź futro. Górną połowę twarzy zakrywały mu okulary, przez co, zwłaszcza w warunkach migającego obrazu, nie sposób było dostrzec rysów jego twarzy - a jednak nie mogłem przewyciężyć uczucia czegoś znanego; byłem przekonany, że kiedyś widziałem tego samego szofera, w tej samej maszynie, w okolicznościach, o których dawno i z kretesem zapomniałem. Oczywiście wobec niezliczonych, stereotypowo podobnych zjawisk nie miałem żadnych dostrzegalnych danych - żadnych na przykład indywidualnych cech maszyny — ale jego numer SS-77-7 — niegdyś — czułem to wyraźnie - związany był z określonym wrażeniem z ulicy, wrażeniem, którego charakteru i istoty, choć bardzo się starałem, nie mogłem sobie przypomnieć. W pamięci zachował się nie sam numer, ale niewyraźne odczucie jego dawnej ważności.

A przecież było to n i e m o ż l i w e. Film wyszedł z amerykańskiego studia, zdjęcia różnych jego scen robiono, sądząc z charakteru ulic, w Nowym Jorku, a więc rekwizyty były miejscowe, ja zaś już od pięciu lat nie wyjeżdżałem z Alambo i nigdy nie byłem w Ameryce. Wynikało z tego, że owo rzekome wspomnienie nie było niczym innym jak efektem całkowicie przypadkowym. A przecież właśnie ten samochód z tym szoferem kiedyś już w i d z i a ł e m.

Kiedy opanowuje nas co do czegoś pewność, choćby była ona mała albo całkiem nieuzasadniona, walczyć z nią jest równie trudno jak ptakowi, który siadł na wysmarowanych klejem liściach — każdy ruch krępuje mu skrzydła i unieruchamia coraz bardziej. Takie są właśnie fantomy zazdrości lub zmory prześladowcze, fantomy choroby — wszystkiego, co tak czy inaczej nam zagraża. Najrozsądniejsze wysiłki prowadzą tu do nowych dowodów, powstających z pustki. Tego rodzaju przekonanie, do jakiego doszedłem w kinie, nie było ani zatrwajające, ani przykre, jeśli nie liczyć mojego wstrętu do samochodów, ale siedziałem do końca seansu z dziwnym uczuciem, że jest to początek jakiegoś wydarzenia, które już prędko swoją niewidzialną pajęczynę.

Nie mówię tu o bohaterach tej krwiożerczej i nędznej sztuki, która trzymała na uwięzi ubogą wyobraźnię widzów niesamowitymi skokami i piekielnymi zbrodniami, w jakich niezawodnie lubuje się określona publiczność, wynosząca stąd poczucie ryzyka i swoje ideały... Ale samochód SS-77-7 śledziłem za każdym razem z niezmierną uwagą, pełen niepokoju przy każdym jego pojawieniu się. Zdarzyło się to sześć albo siedem razy. Wreszcie wyjechał na

wzgórzu, niby szara narośl pośród malowniczych obrazów drogi, i zaczął po jego skłonie staczać się na widza, rosnąc i zbliżając się do wielkości naturalnej. Mknął prosto na mnie. Przez jedno mgnienie brzegi płótna były jeszcze częścią pejzażu, po czym wszystko wystrzeliło ciemnością, z której wyszczerzyły się dwie napływające latarnie i widmo znikło, a jedynie cień — wyobrażenie dalszego ciągu ruchu — przemknął nad głową bezszmerym drżeniem zmierzchu, i znów wybuchł pejzaż.

Więcej nie miałem już nic w tym kinie do roboty. Do moich rozważań na temat samochodu doszedł jeszcze jeden rys, prawdopodobnie pewna wskazówka, jedna z tych, jakie z wdzięczamy tak zwanemu przypadkowi. Chwilowo tej myśli nie rozwijałem, pozostawiając przyszłości urealnienie jej — jeśli to będzie potrzebne, ale już mnie ogarnął dreszcz wielkiego podejrzenia. Ulegając niezrozumiałemu impulsowi - jak gdyby ktoś na mnie uważnie spojrział — przeczytałem sążniste litery jaskrawo oświetlonego plakatu, który zdobił wejście do kina-teatru.

SZARY SAMOCHÓD
WSPANIAŁY DRAMAT NA 6 TYSIĄCACH METRÓW!
NAJWIĘKSZY PRZEBÓJ SEZONU!
MNÓSTWO ATRAKCJI!

II

Ogarnęło mnie jakieś bardzo niemiłe uczucie, jak gdyby ktoś mi nastąpił na nogę, rozśmiał się bezczelnie i dalej podśmiewywał się ze mnie za moimi plecami. Odszedłem spiesznie, usiłując szybkim chodzeniem i drobnymi obserwacjami ulicy rozpedzić podły nastrój, który jednak zbyt powoli poddawał się moim wysiłkom, wykorzystując każdą pauzę w rozmyślaniach, ażeby znowu postawić w pewnej odległości przede mną słowa „s z a r y s a m o c h ó d”. Chociaż po przejściu dwóch ulic znikła graficzna wyrazistość liter, zastąpił je dźwięk, zdawało mi się, że te słowa powtarzał ktoś z daleka cichym i ciężkim głosem. Zawsze unikałem alkoholu, uciekając się do niego jedynie w wypadkach wyjątkowych, ale teraz poczułem konieczność wypicia czegośkolwiek.

Jak wiadomo, ulica współczesnego miasta czyha na nasze życie, spiesząc zadowolić je zawsze w porę nadarzającym się szyldem lub witryną. Jestem całkowicie przekonany, że ktoś, kto przechodzi koło straganów z owocami Giełdy Holenderskiej, a potrzebuje jakiegoś instrumentu geodezyjnego, niewątpliwie dostrzeże ten instrument w oknie nie wiadomo skąd zjawiającego się sklepu.

Alkohol czatuje na nas w najbardziej, zdawałoby się, w tym celu niewłaściwych miejscach. Co może być bardziej niezyskowne dla alkoholu niż głuchy kąt pomiędzy ścianą Instytutu Geograficznego a Bulwarem Sekretów, gdzie nawet w dzień cienie ogromnych drzew są tak gęste, że cała ściana pachnie chłodem i wilgocią; nie ma tam prawie epileptycznego ruchu ulicznego, którego odpryski rozlatują się po niezliczonych restauracjach, dzwoniąc złotem i stołową zastawą. Jednakże skręciwszy za róg, ujrzałem niewielką murowaną przybudówkę, której tam albo przedtem nie było, albo jej nie zauważyłem. Ta przybudówka o dwóch oknach, z oszklonymi drzwiami między nimi, była małą restauracyjką otoczoną kratą z wijącymi się roślinami. Usiadłem przy drzwiach w bujanym fotelu.

Było tu niewielu gości. Zaglądnawszy przez okno do środka, ujrzałem dwóch grubasów grających w domino, drzemiącego z wyciągniętymi nogami mechanika okrętowego; dłoń jego, w której tlił się gotowy upaść w każdej chwili papieros, zwisiała bezwładnie ze stołu; a także trzy kobiety siedzące z założonymi nogami, kobiety paliły, podnosząc głowy i wypu-

szczając dym powolnymi, jednostajnymi kófkami.

Kelner podał mi likier. Był to specjalny, bardzo mocny ekstrakt ziołowy. Wypiłem dwa kieliszki, a później, ociągając się i odstawivszy karafkę, wypiłem trzeci.

Skutek nie kazał na siebie czekać. Poczułem równomierne ciepło i dokładny rytm chwili, zapewne określane przez tempo bicia serca, a może przez puls uwagi, przez interwały jego równomiernie napływających napięć; myślałem intensywnie i żywo. Kiedy wypiłem, roześmiałem się ze swego niedawnego wzburzenia i słuchając świszczącego od czasu do czasu szelestu opon, byłem świadom, że pomiędzy mną a szarym 77-7 nie może być żadnego związku, że go po prostu nie ma. Byłem w tej chwili zrównoważony, ostry i dokładny w każdym wyraźnym odczuwaniu - był to stan, który sprawiał mi niezwykle zadowolenie, i korzystałem z tej chwili, ażeby obmyśleć niektóre szczegóły mojego w y n a l a z k u.

Corrida El-Basso, kobieta nieokreślonej narodowości — mówię to śmiało, ponieważ mam do tego podstawy — interesowała się moim w y n a l a z k i e m z uprzejmości. Ode mnie zależało przemienienie tej formy uczucia, tego pustego uprzejmego uśmiechu, wywołanego przez dobre trawienie, w uczucie, a może namiętność. Nie traciłem na to nadziei. Ale musiałem ją zaskoczyć i wrzucić od razu, niespodziewanie, może w takiej chwili, gdy moją obecność będzie jedynie tolerowała. Kiedy nastąpi taka chwila, wynalazek albo ściślej mówiąc to, co ona uważa za w y n a l a z e k — olśni ją całym blaskiem i obmyślonym do końca, bolesnym, wszystko ogarniającym zdecydowaniem — wywołała jej głębokie i żywe odrodzenie. Tym lepiej. Poznam wówczas prawdziwą naturę Corridy El-Basso, kobiety, którą pokochałem. Zobaczę, czy miewa inny odcień twarzy o barwie żółtej kredy. Usłyszę, jak brzmi jej głos, gdy mówi „ty”. I odczuję siłę jej dłoni — tę szczególną kobiecą siłę, która przenikając ciepłem i milczeniem w nasze dłonie, tak bardzo nas poraża.

Kołysząc się wygodnie, w myślach byłem już w swoim „laboratorium”, w wąwozie Callota, nazwanym tak zapewne przez krewnego znakomitego malarza albo też przez jego wielbiciela. Na moim ramieniu spoczęła lekka nerwowa ręka, nie odwracając się wiedziałem, że to Roncourt. Istotnie, siadł naprzeciw mnie, pytając, co tu robię.

— Znakomite miejsce na schadzkę — dodał — albo na samobójstwo. Światło z okna, tajemnicza sieć liści na chodniku, samotność i wino. Sidney, idę do kasyna Lercha, odbędzie się tam dzisiaj oryginalny pojedynek. To w pańskim guście. Czy słyszał pan o niezwykłym szczęściu Mulata Grignaulta? Już trzeci dzień bezustannie wygrywa w pokera i prócz złota i kosztowności zebrał cały plik czeków. Chce pan popatrzeć na grę? Tam już jest cały tłum.

Nikt nie mógł mi zrobić lepszej propozycji. Dobrze jest w skomplikowanym zawężeniu życia, które wymaga trudu, wybrać jako odpoczynek interesujące widowisko, a jeszcze lepiej, jeśli to przedstawienie wynika samorzutnie, jeśli czeka nas rozwiązanie autentycznego wydarzenia, z chórem, ze statystami i z autentyczną ekspresją głównych bohaterów akcji. Roncourt wziął mnie pod rękę i wyprowadził z restauracji.

III

Kasyno Lercha słynie jako kolosalny przytułek wszelkich zbrodni. Na jego frontonie nocą bieleje tajemniczo i smutnie marmurowa Pallas Atena. Na oświetlonych schodach, schodzących wachlarzem na skwer, tłoczą się sprzedawcy kokainy, opium i lubieżnych fotografii.

Po obu stronach jezdni stał tu długi łańcuch samochodów. Od czasu do czasu jeden z nich, drżąc i hucząc, półkolem wyjeżdżał z szeregu, wzbijał kurz i zagrzmiawszy znikał w dali. Za każdym razem, kiedy to widziałem, doznawałem uczucia, że jest to obca wszystkim, cyniczna i bezczelna istota, która w nieznanym celu, nieczule przebiega ogromne przestrzenie. Zazwyczaj podłużne jamy tych masywnych, szalonych maszyn pełne były ludzi, którzy z

własnej woli wybrali tę czy inną drogę — ale wzrok ma własną logikę, odrębną od logiki abstrakcyjnej. Nigdy nie mogłem sam sobie powiedzieć: „Oni jada”, ale mówiłem: „Ich uwożą”, nasza zwykła znajomość wewnętrznego, właściwego wszystkim tempa, nie mogła powiązać tego nienaturalnie szybkiego tempa ze zjawiskami, które wzajem wobec siebie pozostają w wypróbowanej i zwykłej równowadze. Kiedy przechodziłem ulicą, zawsze ogarniała mnie i denerwowała atmosfera przemocy, jaką roztaczały skrzekoczące i pędzące z szybkością gigantycznych żuków te skomplikowane s i e d z i s k a. Tak, wszystkie moje zmysły odczuwały przemoc, nie mówiąc już o wyglądzie tych jak gdyby wyśnionych maszyn, musiałem za każdym razem, kiedy opętany sygnał albo pisk samochodu chłostał moje nerwy, gwałtownie hamować całe moje utajone, wewnętrzne życie; musiałem cofać się, rozglądać albo też pospiesznie odbiegać, gdy brutalnie tnący ruch uliczny groził mi kalectwem albo śmiercią. Przy tym wszystkim miał on nad podziw wygląd żywego, nawet wtedy, gdy stał w milczeniu, na coś czyhając. Od pewnego czasu zacząłem podejrzewać, że jego istnienie nie jest już tak niewinne, jak sądzą niefrasobliwi prostaczkowie opiewający kulturę lub też ściślej mówiąc zwyrodnienie kultury, jej okropną groteskę...

— Precz z czwartego wymiaru! — odezwał się Roncourt, widząc, że w milczeniu zatrzymałem się na chodniku. — Opuszczają pana czarodziejki, bo latarnie tego pojazdu mogą przypawić je o bezsenność.

Osobliwością tej spelunki był przygnębiający krzykliwy przepych — słuszną rachuba na podświadomość — ilustracja do wygranej. Weszliśmy na górę wśród jaśniejącej zarazy błękitnawego światła i ciał kobiecych, rozwiewających lekkie tkaniny w perspektywach ogromnych obrazów. Po dywanach, na których traciło się poczucie własnych nóg, przedostaliśmy się przez wytwornie ubrany tłum pod baldachimy palmowych liści; tutaj, mając za sobą marmurową grupę fontanny, a przed sobą — drżące ręce przed chwilą zrujnowanego gracza, Mulat Grignault dawał wspaniałą spektakl.

IV

Stanąłem pod ścianą na podwyższeniu, a Roncourt obok mnie. W ten sposób doskonale widzieliśmy i stół, i twarze grających — było ich siedmiu razem w Mulatem. Przy stole emocjonował się robiący zakłady tłum.

Mulat siedział rozsunawszy łokcie, z podwiniętymi rękawami koszuli, bez surduta. Na jego pełnej twarzy barwy kawy błyszczały drobne krople potu. Czarna broda, szorstkim pierścieniem okalająca policzki i podbródek, drgała, gdy poruszając zaciśniętymi szczękami, zastanawiał się nad dokupieniem karty albo podwyższeniem stawki. Bardzo często zgłaszał kolor i fula, ale równie często pasował. Na moich oczach zagarnął dwie stawki po dziesięć i dwadzieścia tysięcy, pokazawszy tylko trzy damy, podczas gdy jego przeciwnik miał za pierwszym razem dwie pary siódemek, a za drugim trzy walety. Zdarzyło się, że na karetę rzucił karetę z dzokerem. Grali z dzokerem i zauważyłem, że dzoker trafiał mu się dość często.

Gdy jeszcze podchodziłem do stołu, zauważyłem, jak już o tym wspomniałem, gracza, który rzucił bezsilnie karty ze zdenerwowaniem świadczącym o ostatecznej przegranej. Miałem przy sobie dość dużo pieniędzy i zacząłem obserwować gracza, aby usiąść na jego miejscu, jeśli przyjdzie mu do głowy odejść od stołu. Stało się to wkrótce. Ziewając jakby od niechcenia, gracz wstał z pobladłą twarzą, tłum się rozstał i znowu się zerwał, gdy tamten wy dostał się z jego zaciskającego pierścienia.

Fotel był pusty. Spojrzawszy na Roncourta, który z zimną krwią odpowiedział mi zachęcająco uśmiechem, zająłem miejsce naprzeciwko Mulata. Nie spojrzął nawet na mnie. Krupier rozdał karty, w moich nie miałem koloru, daleko im było do sekwensu, krótko mó-

wiąc, nie przedstawiały żadnej wartości, jednakże nie spasowałem, ale zrzuciwszy karty, dokupiłem wszystkie pięć. Teraz, dzięki dzokerowi, który przyszedł przy dokupieniu, utworzył się ful. Jak wiadomo, dzoker jest to karta z wizerunkiem diabła — pięćdziesiąta trzecia w talii; ma ona umowne znaczenie — ten, kto otrzymuje dzokera, może go podać za dowolną kartę dowolnego koloru. Miałem dziesiątkę, trzy siódemki i dzokera, licząc go za czwartą siódemkę, miałem silną kombinację czterech jednakowych kart, czyli karete.

— Tysiąc — przebiłem, gdy przysła moja kolej. Gracz z lewej strony rzucił karty, drugi zrobił to samo, trzeci powiedział: Dwa. — Pięć — rzekł Grignault. W drugiej kolejce — jak to prawie zawsze bywa, jeśli nie znajdzie się nieustępliwy trzeci gracz, przy grze pozostałem ja i Grignault.

— Dziesięć — powiedziałem z miną i ryzykanctwem nowicjusza, który chce zastraszyć przeciwnika. Grignault spojrział na mnie mętym wzrokiem i tym samym tonem odpowiedział mi sto.

Teraz należało albo zgodzić się na jego sumę i otworzyć karty, albo też wymienić jeszcze większą sumę, po czym on mógł, jeśliby zechciał, odmówić porównania kart, tracąc bez gry swoje sto tysięcy. W takiej samej sytuacji byłem i ja. Taką to już grą jest poker; dwaj gracze, nie pokazując sobie kart wymieniają kolejno coraz większe sumy, aż któryś z nich stchórzy w obawie, że może stracić jeszcze więcej, jeśli karta przeciwnika okaże się silniejsza od jego karty; albo też, zgodziwszy się na ostatnią wymienioną przez przeciwnika sumę, odkrywa jednocześnie z nim karty — ten, czyje karty są silniejsze, zabiera stawki przeciwnika — i wszystkich innych graczy.

Oczywiście nie wiedziałem, co Mulat ma w ręku. Mógł mieć silniejszą od mojej karete, z kart wyższych niż siódemki, następnie mógł mieć sekwens z pięciu kart jednego koloru w określonej gradacji: na przykład — od szóstki do dziewiątki albo też od dziewiątki do asa. W tych wypadkach wygrałby, jeśliby, oczywiście nie rzucił kart przestraszywszy się mojej n i e w i a d o m e j — jeślibym zachował wygląd człowieka całkowicie pewnego zwycięstwa, coraz bardziej podwyższając stawkę. Ale mógł również nie przestraszyć się i gdybyśmy wreszcie odkryli nasze karty, okazałoby się, że sam narzuciłem mu większą wygraną, niż na to liczył.

Podobnie jego karty mogły być słabsze od moich, mogły nie mieć żadnej wartości, jeśli przy dokupieniu (zrzucił i dokupił cztery karty) — nie uzyskał nawet minimalnej szansy — jedna para jednakowych kart — kombinacja, z którą przy odwadze, a raczej przy zuchwałstwie, wygrywa się czasami wielkie sumy, jeśli przeciwnik wyobraziwszy sobie, że ktoś go atakuje z *carré*, zrzuci, powiedzmy, fula.

Tak więc nic nie wiedzieliśmy o wartości naszych kart. Ponieważ słyszałem już o ryzykownej grze Mulata, przypuszczałem z początku, że po prostu blefuje, choć tak wielka suma, jaką postawił, przemawiała za tym, że ma chyba podstawę, aby grać wysoko. Miałem przed sobą trzy możliwości: albo otworzyć karty, zapewne przegrywając, jeśliby Mulat był silniejszy ode mnie, albo zadeklarować więcej niż sto, dając tym Grignaultowi możliwość zadeklarowania jeszcze wyższej sumy, albo też rzucić grę płacąc dziesięć tysięcy.

Zamierzałem już tak postąpić, gdyż nie miałem podstaw, aby ryzykować poważną sumę dla karety z siódemek. Jeszcze raz przyjrzałem się kartom, nieco zdziwiony tym, że pomyliłem się przy liczeniu siódemek - było ich c z t e r y. Jedną z nich, mianowicie kierową, nie potrafię wyjaśnić czemu, uważałem za dziesiątkę. W ten sposób mój dzoker — moja piąta karta, którą mogłem określić jako kartę dowolną, stawała się oczywiście piątą siódemką — szczytem potęgi w pokerze — pięć jednakowych kart to rzecz zdarzająca się nader rzadko. Mając w ręku cztery jednakowe karty, z dzokerem na dodatek, można przeciwnika oskubać do nitki, jednakże pod warunkiem, że on także ma silną kartę.

Tak też miałem zamiar postąpić. Nie należało niczym się zdradzić, trzeba było zasugerować Grignaultowi, że mam co najwyżej silnego fula. Taki chwyt możliwy był przy założe-

niu, że mam do czynienia z kartą nie słabszą od fula. Przyłożywszy do czoła wskazujący palec zacząłem się zastanawiać - oczywiście udając — nad swoją piątką i zacisnąłem wargi, aby w ten sposób pokazać, że obliczam z napięciem. Jednocześnie zadaniem moim było, aby Grignault zrozumiał, że udaję, ale niezręcznie; że mam — niechby tak sobie pomyślał — słabą kartę, ponieważ zazwyczaj gracze udają wahanie przy słabej karcie, pragnąc wmówić coś przeciwnego — że mają kartę mocną, ta sprzeczność stanie się zrozumiała, jeżeli dodam, że gracz z doprawdy mocną kartą postępuje stanowczo i gra wysoko, licząc na to, że przebije kartę przeciwnika. Krótko mówiąc moje postępowanie powinno było sprowadzić się do tego, aby Grignault wyciągnął z niego wnioski niezgodne z rzeczywistością. Zacząłem więc od długiego wahaniasię.

Teraz, gdy tamten myślał zapewne, że udaję mając słabą kartę, trzeba było pokazać co innego — udawanie z kartą bardzo mocną. Gdyby się domyślił, że idę na pewniaka, rzuciłby karty i nie zacząłby dalej licytować. Powiedziałem więc:

— Trzysta tysięcy.

Była to suma dwukrotnie przewyższająca mój majątek. Ale grałem na pewniaka, mogłem absolutnie niczym nie ryzykując deklarować miliony.

Zrobiła się taka cisza, jaka bywa, gdy wszyscy wyjdą. Ale podniósłszy głowę ujrzałem niezliczoną galerię portretów płonącej w oczach widzów chciwości; ich rysy stały się lasem drżącym z podniecenia. Mulat i ja byliśmy dla nich bóstwami dzierżącymi w dłoniach gromy.

— Czek — wychrypiał Mulat spoglądając na mnie ciężkim i przenikliwym wzrokiem.

Choć mu się pilnie przyglądałem, nie mogłem odgadnąć jego myśli. Patrzył niczym się nie zdradzając, przykrywszy swoje karty obu dłońmi i tępo patrząc na stół w połowie odległości między mną a nim. Odłożyłem karty i zacząłem wypisywać czek, powoli kreśląc okrągłym pismem równe rzędkie liter. Zanim się podpisałem, zmarszczyłem nos, z roztargnieniem spojrziałem na Mulata i nakreśliłem: Ebenezer Sidney.

Kiedy spojrzałem na niego, dostrzegłem, że mały palec jego lewej ręki zdradziecko drgnął. Wszystko stało się dla mnie oczywiste. Denerwował się z chciwości, licząc, że zagarnie wielki majątek. Jak wiecie — ja nie miałem żadnego powodu do denerwowania się i mogłem dowoli udawać człowieka „piekielnie panującego nad sobą”.

Napisałem czek i podałem go krupierowi.

— Czek na trzysta tysięcy dolarów na królewski bank w Entway — rzekł głośno krupier.

Grignault widomie poweselał.

— Pięćset tysięcy — oświadczył niedbale zsuwając na środek stołu leżące przed nim wszystkie pieniądze i чеки.

— Dodaję — odrzekłem oziębło.

Grzmot zachwytu przetoczył się wokół stołu. Zamach na pół miliona dolarów! Roncourt patrzył na mnie wzrokiem ptaka, który ujrzał węża. Nadeszła chwila odkrycia kart. Gracze, którzy zawierali zakłady, wstrzymali oddech.

— No — rzekłem ze śmiechem — Grignault, niech pan wyklada pańską k a r t ę!

Odwrócił karty uderzywszy po nich kciukiem dłoni, tak że as odleciał na bok. Ale były tam jeszcze trzy asy — kareta z asów, to miał właśnie w ręku. Wściekły ryk towarzyszył temu ruchowi, dziki wybuch ulgi u tych, którzy postawili na Grignaulta. Zdawało się, że wichur rozpędził ten tłum, który skłębił się i przesunął z szybkością ataku. Roncourt zbladł z żalości. Widziałem na jego wytwornej twarzy szczere, wielkie zmartwienie. Taka karta prawie nigdy nie bywa przebita. Rencourt znał moje sprawy finansowe i dlatego, spokojnie wyciągnąwszy książeczkę czekową, zapytał półgłosem:

— Ile panu potrzeba, Sidney?

— Pan się myli — odrzekłem pokazując swoje karty wraz z uśmiechniętym diabłem i układając je jedna obok drugiej. — Grignault, czy podoba się panu ten dżentelmen?

Chwila była nie do opisania. Nie słyszałem okrzyków i jęków, gdyż syciłem się nieskończenie wyrazem twarzy zaskoczonego Mulata.

— Pańskie... — odezwał się poprzez przypominające wycie odgłosy. Po czym przechylił się do tyłu, oczy mu się wywróciły... zemdlął. Jeszcze zanim go wynieśli, krupier przeliczył pieniądze i podał mi je, zwracając uwagę na to, że brak dziesięciu tysięcy. Podjął się zasięgnąć informacji u Grignaulta i wyszedł, a ja rozmawiałem z Roncourtem, otoczony mnóstwem dobrowolnych niewolników, tych wytwornych pariasów każdej większej spelunki, lgnących do złotego pyłu.

Tymczasem wrócił krupier i dał mi do przeczytania zalaną winem kartkę Grignaulta: „Trochę pieniędzy przyślę jutro — pisał — ale nie starczy mi na spłatę całego długu. Przyślę jednak panu w rozliczeniu nową maszynę, SS-77-7, którą niedawno kupiłem. Oczywiście, jeśli pan zechce. W przeciwnym wypadku będzie pan musiał poczekać, aż odwiedzi mnie diabeł”.

— Co się panu stało? — zapytał Roncourt, widząc, że wstałem.

Stałem naprzeciw lustra i kiedy w nie spojrzałem, zrozumiałem jego pytanie. Ale było mi całkowicie obojętne, co o mnie pomyśli. Od nóg do góry powoli, ciężko wznosił się w moim ciele głęboki, śmiertelny chłód. Znikło podniecenie ryzyka. Znowu spojrzałem na notatkę, zapytując się w duchu, dlaczego Grignaultowi przyszło na myśl napisać numer. Rencourt, jeszcze raz spojrzawszy na mnie uważnie, wziął ode mnie kartkę.

— No, cóż? — powiedział. — Teraz się pan oczywiście wyleczy ze swego straszego uprzedzenia — sam los śle panu piękny i szybki wóz.

— Jak pan myśli, dlaczego on napisał numer?

— Mimo woli — rzekł Roncourt.

— Ja też tak sądzę. Chce pan, zrzucimy go z góry w przepaść.

— Ale dlaczego?

— Wydaje mi się, że tak trzeba — odpowiedziałem opanowując się. Tego wieczoru władały mną straszne moce — myśli i pragnienia zlewały się z sobą nierozdzielnie.

— Niech pan spojrzy, co to? Wszyscy gdzieś biegą — Roncourt wziął mnie pod rękę. — Chodźmy zobaczyć, co się stało.

Istotnie, sala pustoszała. Niektórzy zostawali, ale inni zamieniwszy ze sobą parę słów, unosili do góry brwi i szybko znikali w błękitnym dymie jarzącej się amfilady drzwi. Chciałem iść za Roncourtem, ale ciekawość nasza została zaspokojona natychmiast; trzech stałych gości, już z dala wymachując rękami, wołało zbliżając się do nas:

— Dzoker zabił Grignaulta! Dostał wylewu krwi do mózgu!

— Co!/? — odezwał się. Wbrew pewnemu wzburzeniu, które ogarnęło mnie na tę wieść — przyjąłem ją zimno; podziałała na mnie znacznie słabiej niż notatka z cyfrą — tak wieloznaczna, tak tajemnicza, milcząca i przemijająca językiem niedostępnych dla nas rzeczy — zauważyłem z przerażeniem, że gadam zupełnie bzdury śmiejąc się i odpowiadając ni w pięć, ni w dziewięć tym, co otaczali mnie w tej chwili. Tymczasem przez wszystkie sale przebiegł tragiczny szmer, na jedno mgnienie trwożąc przesądnych i tych, którym nie całkiem jeszcze umarło serce, po czym wszyscy po dawnemu zaczęli wyraźnie słyszeć orkiestrę, a ruch w salonach ożywił się na nowo. Ze śmiechem przechodziły pary. Chmara kobiet, otoczywszy jakiegoś grubasa, który jak tłusty bąbel pływał w tym natarczywym klombie, uśmiechała się tak niewinnie, jak gdyby swawolił w raj.

V

Roncourt, widząc, że jestem zdenerwowany do ostateczności, i na swój sposób tłumacząc sobie mój stan, nie zatrzymywał mnie, gdy skierowałem się w stronę wyjścia. Życzyłem mu szybkiej wygranej. Został, aby zagrać w bakarata.

W moim stanie ducha znaczyła się czarna ukośna rysa wywołana kartką Mulata. Ta rysa gwałtownie przecinała płonące pole mego podniecenia — jakkolwiek to by się wydawało dziwne, jakkolwiek sprzeczne z moim *w y n a l a z k i e m*, niespodziewane bogactwo zdawało się nie tylko zbliżać mnie do Corridy, ale stawiało mnie z nią w jednym rzędzie. Oczywiście to złe o niej wyobrażenie wynikało z jej własnej natury. Corrida żyła paskudnie, to znaczy była w pełni posłuszną niewolnicą otaczających ją rzeczy. Tymi rzeczami były przybory toaletowe, powozy, samochody, narkotyki, lustra i kosztowności. Jej słownik składał się z nazw niepożytecznych, a nawet szkodliwych rzeczy, tak jakby nie miała na co obrócić wzroku, jeśliby odebrano jej tę osnowę jej życia. Spośród wszystkich rozrywek najbardziej lubiła wystawy, choćby tylko wystawy obrazów, ponieważ obraz był niewątpliwie w jej oczach przede wszystkim — rzeczą. Nie lubiła roślin, ptaków i zwierząt, a jej ulubioną lekturą były powieści Huysmansa, który nadużywał przedmiotów, a także powieści kryminalne, gdzie sam przebieg akcji nieuchronnie musi opierać się na przedmiotach martwych. Jej dzień był wspaniałym przykładem puszczanej w ruch maszyny i jestem przekonany, że jej sny składały się z różnych przedmiotów. Największą rozkosz sprawiało jej targowanie się na licytacji.

Przy tym wszystkim kochałem tę kobietę. W Alambo zjawiła się niedawno. Z początku przyjechał jej brat, który otworzył tu biuro handlowe, potem przyjechała Corrida. Poznałem się z nią dzięki Roncourtowni, który prowadził jakieś interesy z jej bratem. I oto wokoło tej pustej istoty legła, zwinąwszy się w kłębek na podobieństwo dużego psa, moja wielka nieodwzajemniona miłość. Niemniej, kiedy pomyślałem o niej, najłatwiej mogłem sobie wyobrazić ją jako manekin, ze spokojnym uśmiechem, jaśniejący za szybą.

Kochałem w niej tę, którą chciałem widzieć niezmiennie w tym samym pięknym kształcie, ale z włożoną weń nową treścią. Nie byłem jednak na tyle zadufany w sobie, aby bez zastrzeżeń polegać na własnych siłach, aby uwierzyć w skuteczność przede wszystkim samych usiłowań. Sądziłem jedynie, że mogę i mam obowiązek zrobić wszystko, co tylko można. Niestety, dobrze wiedziałem, czym jest *k a z a n i e*, jeśli go słucha istota obojętna, która sama uważa się jedynie za słodki cel fizycznych pożądań, i w myśli tłumaczy sobie cały szczyry zapał w sensie cynicznym, szydząc z czyjejś bezsilności usiłowań, aby zapanować nad sytuacją. Dlatego też liczyłem nie na słowa, ale na działanie jej własnych uczuć, gdyby udało mi się wywołać w niej przemianę. Pragnąłem niewiele, o, bardzo niewiele: żywego, przenikniętego lekkim wzruszeniem rumieńca, nieśmiałego uśmiechu, cienia zadumy. Często nie wiemy, kim jest ten drugi, który w nas żyje, drugą zaś duszą mojej dręczycielki mógł się okazać dobry duch żywego życia, który podobnie jak piękno, sam przez się jest dobrem, ponieważ zaraża innych.

Właśnie *t a k* myślałem i tak też to przekazuję, nie usiłując w tej niezbyt dla mnie świętej sytuacji nadać wydarzeniom odcienia jakiejś scholastyki, tak przydatnego w sensie literackim, każe on bowiem podejrzewać w tym *c h w y t* — coś, co już samo przez się komplikuje wrażenia czytelnika. Zawsze myślałem o tej kobiecie z ciepłym uczuciem, a wiem, że istnieje miłość gotowa nawet na śmierć, ale pełna przy tym beznadziejnej, okrutnej złości. Nie miałem powodu, aby zniechęcić Corridy El-Basso. W przeciwnym wypadku byłbym stracony sam dla siebie. Mogłem jej tylko żałować.

Miałem dużo czasu, aby myśleć o tym wszystkim, kiedy w świetle elektrycznych księżyców z uczuciem ulgi wychodziłem z klubu, niezmiennie szczęśliwy, że nie mogłem odpowiedzieć Mulatowi, ponieważ nieuchronnie musiałbym powiedzieć „tak”, to znaczy zgodzić

się na przyjęcie samochodu z przekory i na złość samemu sobie; zawsze nas bowiem coś zmusza patrzeć dalej niż tego lękamy się albo możemy. Smutny zbieg okoliczności sprawił, że samochód całkowicie już mu zbędny pozostawał jego własnością. Wilgotny mocny poryw morskiego wiatru, uderzając mi w twarz, zrównoważył nieco mój nastrój; gotów już uśmiechnąć się, niespiesznym i elastycznym krokiem przechodziłem przez ulicę, prawie pustą o tej nocnej godzinie. Zmusił mnie do obejrzenia się jednostajny szelest sypiącego się gdzieś w pobliżu piasku. Poślizgnąłem się i to mnie uratowało, ponieważ straciwszy równowagę konwulsyjnie uskokczyłem w bok tuż sprzed nadlatujących kół. Nie zdążyło jeszcze zniknąć widome odczucie straszliwej bliskości, gdy z przenikliwym skowyczącym szczekaniem ogromny szary samochód przemknął w świetle na rogu ulicy i znikł w zamierającym syku opon. Latarenie miał zgaszone, był pusty. Nie zdążyłem przyjrzeć się szoferowi. Nie zdążyłem również dostrzec jego numeru.

Przy całej starannej, po tym wydarzeniu, samokontroli dostrzegłem, że tylko serce bije mi nieco mocniej i że się prawie nie przeląknę. Byłem nawet, zda się, z czegoś zadowolony, ponieważ otrzymałem coś w rodzaju przestrogi. Nie mogłem sobie w związku z tym uświadomić ani jednej wyraźnej myśli; wszystkie, nader żywe i liczne, przypominały brzdąkanie na strunach, wpadające już w melodię, ale taką, która brzmi zrozumiale jedynie dla ucha znającego motyw — a ja przecież nie znałem tej melodii. Czy znacie próby ożywienia snu natychmiast po przebudzeniu, gdy jego sytuacje widzicie wyraziście i gdy je rozumiecie, ale nie możecie natychmiast przełożyć tego zrozumienia na myśl, a tymczasem cały sens spływa z szybkością ujętej w garść wody i rozwiewa się całkowicie, gdy tylko w pełni rozjaśnia się nasza świadomość? Tego rodzaju czy też podobne do tego uczucia miałem podówczas. Wsiadłem w dorożkę, kazałem jechać do mego domu i gdy przybyłem o czwartej pod bramę, dowiedziałem się, że domownicy jeszcze nie śpią.

Przebywałem tu jako gość u Kolmonsów. Nasi ojcowie razem zaczęli się dorabiać. Teraz ich dzieci zamieszkały w jednych murach, aby żyć dla przyjemności i nieokreślonej miłej przyszłości. Wszedłem wiedząc, że zastanę dyskusję, tańce lub koncert.

VI

Wstąpiłem z początku do swego pokoju, otworzyłem biurko i włożyłem do niego moją wygraną. Nie miałem ochoty opowiadać o niej komukolwiek, przynajmniej teraz.

— Wobec tego — usłyszałem, zbliżając się do drzwi stołowego, znajomy głos Hopkinsa — Hopkins był adwokatem — przejechał go samochód. Wiecie państwo, jak Sidney jest pod tym względem ostrożny. A właśnie ostrożni ludzie często stają się ofiarami tego, czego się boją.

— Pan ma niemal rację — powiedziałem wchodząc. — Mało brakowało, aby tak właśnie się stało.

Kobiet nie było. Moja siostra i żona mego starszego kuzyna, Jutecja, dawno już poszły spać. Starszy kuzyn, Kishley, i młodszy, Tomasz, siedzieli z gośćmi, Hopkinsem, Stersem i Mikołajem. Tak miał na imię krytyk z pewnego dziennika, który niedawno zaczął wznosić gmach swojej kariery; nazwisko jego było tak długie i dziwaczne, że nie mogłem go spamiętać. Opowiedziałem zdarzenie z samochodem, przez pewien czas słuchałem rozważań i tłumaczeń adwokata, który długo mi wyjaśniał, dlaczego nie należy cofać się, gdy nadjeżdża samochód, odrzekłem „tak” i zamilkłem. Rozmowa, nie zatrzymawszy się dłużej na mnie, wróciła do swego poprzedniego biegu — mówiono o futuryzmie, który Hopkins odrzucał z nienawiścią, a Mikołaj wyśmiewał. Przeciwstawiał im się Tomasz i choć to dziwne — Kishley, którego okrągła, dobrodusznna twarz, w chwili zapalania ze smakiem cygara, wydawała

się wcieleniem zdrowych, niezaprzeczonych prawd.

— Zawsze prześladowano i wyśmiewano nowatorów! — odezwał się Tomasz.

— Niektórzy z tych ludzi niewątpliwie mają talent — odparł Hopkins — ale oni właśnie, jak na to wskazują pewne cechy ich utworów, pójdą własną drogą. Reszta — to po prostu epilepsja rysunku i smaku.

— Oburza mnie, gdy tak otwarcie i bezczelnie ktoś uważa mnie za idiotę — rzekł Mikołaj — i podsuwa mi obraz albo wiersz, z premedytacją robiąc zamach na moją kieszeń, czas i wyobraźnię. Nie wierzę w szczerą futurystkę. Wszystko to zdrowe chłopy, a przyciskają dzwonek u drzwi i uciekają, ponieważ nie mają nic do powiedzenia.

— Ale — odparł Kishley — musi być jakaś przyczyna, skoro to zjawisko tak się rozprzeczniło. Przyczyny muszą wynikać z życia. Macie do tego taki stosunek jak Sidney do samochodu, za żadne skarby nie pojedzie nim, choć dziesiątki i setki ludzi co dzień z niego korzystają.

— Kishley ma rację — odezwał się — futurystkę trzeba rozpatrywać tylko w związku z c z y m ś. Proponuję rozpatrywać go w związku z samochodem. Jest to zjawisko tego samego rzędu. Istnieje wiele innych zjawisk tego samego rzędu, ale nie chcę bawić się w ich wyliczanie. Niedawno widziałem na sklepowej wystawie zastawę stołową we wzory rysowane przez jakiegoś kubistę. Na rysunku były barwne kwadraty, trójkąty, laseczki i linijki skomponowane w różnorodnych układach. Rzeczywiście, z naszego ludzkiego punktu widzenia nie ma tu co mówić o sztuce. Trzeba znaleźć inny punkt widzenia. Po namyśle przyjąłem punkt widzenia samochodu założywszy, że posiada on poza ruchem jakąś niewyraźną świadomość. A wówczas znalazłem powiązanie, znalazłem harmonię, porządek, sens; zrozumiałem jakiś złowrogi margines całego naszego pola widzenia oddany mu we władanie. Zrozumiałem, że zlewające się w trójkąt barwne laseczki rozłożone są ciasno i równolegle. Musi on tak widzieć, gdy pędzi ulicą z jej niezliczonymi, zlewającymi się z sobą w jednolite migotanie pionowymi liniami gzymsów, rynien, drzwi, sztyldów i narożników. Spójrzcie w kierunku chodnika, stanąwszy tuż pod ścianą domu. Ujrzyte przed sobą krótki, ściśnięty pod nadzwyczaj ostrym kątem zarys tej strony, po której się znajdujecie. Będzie on barwnym pomieszaniem linii. Ale założywszy widzenie, trzeba nieodmiennie założyć estetykę, to znaczy najwłaściwszy wybór. Ponieważ w zjawiskach podobnych do twarzy ludzkiej odgadujemy istotę ludzką, widzimy więc powiązania i blask życia, to, czego nie może dostrzec maszyna. Jej wrażenia z natury rzeczy mogą być tylko geometryczne. W ten sposób dalekie podobieństwo do człowieka, pomieszanie trójkątów z kwadratami i półkołami, przyozdobione jednym tylko okiem, nad czym prostaczek łamie sobie głowę, a niektórzy przymrużają nawet oko, jest, jak należy sądzić, wrażeniem wzrokowym Maszyny na widok Człowieka. Maszyna wszystko upodabnia do siebie. Ideałem piękna w jej świadomości musi być trójkąt, kwadrat i koło.

— Do diabła! — zawołał Hopkins. — Przecież pan nie sądzi, że samochód ma świadomość i duszę?

— Owszem, ma — odpowiedziałem. — W tym samym stopniu, w jakim obdarzamy go tą częścią naszej istoty.

— Niech pan to wyjaśni — rzekł Kishley.

— Chętnie — powiedziałem. — Akceptując samochód, wprowadzając go jako część naszego życia w nasze zamysły i czyny, tym samym bez zastrzeżeń zgadzamy się z jego naturą: zewnętrzną, wewnętrzną i potencjalną. Nie mogłoby się to w żadnym wypadku wydarzyć, jeśliby jakaś część naszej istoty nie była mechaniczna, a nawet, mówiąc po prostu, gdyby nie było samochodu. Podejrzewam, że właśnie ta część naszej świadomości stanowi j e g o świadomość.

— Proszę tego dowieść — zawołał Mikołaj.

— Mógłby pan z takim samym powodzeniem żądać dowodów, gdybym twierdził, że kot widzi inne barwy niż ja. A tymczasem ani mnie, ani kota nic można doprowadzić do

konfrontacji, ponieważ nie rozumiemy się nawzajem. Nie ma na to sposobu. A przecież zwierzęta p o w i n n y mieć inne, może nawet całkowicie odrębne niż my, odczucia fizyczne. Na przykład ważka z jej dziesiątkami tysięcy oczu. Musi się pan zgodzić, że odczuwanie światła przy takim urządzeniu organu wzroku musi być inne niż nasze.

— Materia nieożywiona to co innego — rzekł Kishley. — Żelazo i stal są martwe.

Nic na to nie odpowiedziałem. Wydało mi się, że za oknem wrzasnął samochód. Rzeczywiście, wrzask powtórzył się bliżej, a potem pod samym oknem.

— Słyszysz pan? — odezwałem się. — Oto jego głos — wycie, które przypomina trochę jakieś brutalne, złe słowa. A więc ma on głos, ruch, wzrok, a może nawet pamiętać. Ma własny dom. Wystarczy na ulicy Bock-Metan wstąpić do hurtowych składów samochodów i popatrzeć na nie w ich warunkach domowych. Stoją błyszczące, wysmarowane oliwą, na cementowej podłodze ogromnego pomieszczenia. Na ścianach wiszą ich portrety — fotografie modeli i zwycięzców w wyścigach. Mają własną muzykę — niektóre nowe kompozycje, które tak starannie oddają dysonans ulicznego huku czy też powstających przy każdym ruchu przypadkowych dźwięków. Mają wreszcie gramofon, kino, mają lekarzy, panegirystów, poetów — tych samych, o których mówiliście przed pół godziną, ludzi z mocno rozwiniętym odczuciem mechanizmu. Mają nawet kochanki, te damy, co z witryn magazynów mody ślą uśmiech swoich woskowych twarzy. I czy to nie jest życie? Powiedziałbym, że to dość pełne istnienie. Poza tym zajmują się sportem, bywają mordercami i biorą udział w wojnach.

— Wychodzi na to — odezwał się Mikołaj — że... Zresztą powiem krócej: pewien samochód, okryty błotem i ranami, wrócił z pola walki. Ogoliwszy się u fryzjera ruszył do domu, gdzie nastawił na gramofonie płytę z marszem „Za sławę i chwałę” i kazał sprowadzić sobie aparat filmowy z obrazem pod tytułem „Wyścigi samochodowe pomiędzy Lissą a Zurbaganem”. Z zachwyty pękła mu opona.

— Pańska satyra wskazuje na to, że mnie pan zrozumiał — ciągnąłem. — Jeżeli stosunki wzajemne pomiędzy przedmiotami są dla nas obojętne, to mogą one być takie, jak to wynika z ich natury, a jakie są naprawdę — nie wiemy. Ale kiedy te ustosunkowania nanoszą określony kontur na kontur mego życia, tworzą potrzebne albo niepotrzebne rysy, to trzeba koniecznie wysledzić powiązanie tych zjawisk, ażeby wiedzieć, z jakim niebezpieczeństwem mamy do czynienia. Strzeżcie się rzeczy! Nader szybko i na trwałe biorą nas w niewolę.

— Jakież to są te szkodliwe rysy? — zapytał Tomasz. — Życie robi się coraz bardziej złożone, szybsze, jego intensywność nieustannie rośnie. Tej intensywności pomaga technika. Czyż mamy powrócić do stanu dzikości?

VII

Od tej chwili rozmówcy moi przejęli prowadzenie rozmowy, a ja cierpliwie wysłuchiwałem ich obrony samochodu. Obrona polegała na tym, że jego szybkość sprzyja wymianie towarów, błyskawicznemu załatwianiu spraw i możliwości przerzucania się do odległych miejscowości niemal z szybkością czytania. Wysłuchiwałem ich i wyszedłem śmiejąc się. W swoim pokoju, gdy zostałem sam, przeliczyłem pieniądze. Była to duża suma. Niepokoiło mnie nieco, że nie odczuwam oszałamiającego wzlotu — upojenia. Wszystkie wrażenia brzmiały we mnie głucho jak uderzenia w grube drzewo. Trzymałem w ręku pieniądze i zdawałem sobie sprawę, że z człowieka zamożnego stałem się bogatym, ale myślałem o tym jak o przeczytanej książce. Możliwe, że moje pragnienia przesłonięte były w tej chwili przez największe pragnienie, przez nieodstępną myśl — o dziewczynie. Poza tym byłem bardzo znużony myśleniem przez ten cały czas o jednym i tym samym. Ale w żaden sposób nie mogłbym wyrazić, nawet we wszystkich językach świata — czym jest to, co mnie tak zżera i

niszczy. Kiedy się zastanawiałem, sądziłem, że jest to jedynie dręcząca przeszkoda w zrozumieniu samego siebie. Ale określić tego nie potrafiłem.

Zasnąłem o świcie ogrzany i ukołyszany promieniami słońca spoza dachów. Jutrzejszy, a raczej dzisiejszy dzień należało zacząć od działania. Kazałem się zbudzić o trzeciej. Mój w y n a l a z e k, który na mnie czekał, wzywał mnie i ją. Po długich wahaniach zdecydowałem się wreszcie. Zdecydowałem postawić ją twarzą w twarz z Żywą Śmiercią, ją, która była Martwym Życiem.

VIII

Moja znajomość z Corridą El-Basso pełna była skrajnego napięcia. Kiedy jej nie widziałem, to przy całej miłości do tej dziewczyny mogłem o niej myśleć, jak już państwo wiecie, beznamytnie; mogłem nawet w sposób niewymuszony prowadzić z nią błahe rozmowy. Ale w jej obecności czułem jedynie krępujące i wiążące mnie napięcie. Powodowała to nie tyle jej piękna i lekka postać, która wywierała na mnie zniewalające wrażenie, ile świadomość niewspółmierności mojego tempa serca z tempem jej serca; jej tempo pełne było przeskoków i dysharmonii, podczas gdy moje w powolnym, równym i ostrym falowaniu brzmiało nieprzejednanie wobec wszystkiego, co nie było moim nastrojem albo przypadkowo nie odpowiadało nastrojowi chwili. Kiedy inni niemal od razu łatwo się z nią zżywali i żartowali, ja musiałem pozostawać w cieniu, ponieważ chciałem widzieć ją w tym pełnym, skupionym, wyjątkowym nastroju miłości, w którym byłem sam i którego przerywanie pustą gadaniną wydawało mi się czymś nienaturalnym, niemal zbrodniczym. Dlatego zapewne tak często nudziła się w moim towarzystwie. Wiedziałem dobrze, że nie potrafię tak zręcznie zarzec się samego siebie, ażeby nie ujawniło się to natychmiast jako fałsz, w odpowiedzi - jako udawanie. Pragnąłem nieświadomie, aby ani na chwilę nie zapominała o mojej miłości, gdyż czułem, że jestem skrępowany, roztargniony i niezręczny jedynie z miłości do niej.

Dlatego też przebywanie w jej towarzystwie było i dla mnie ciężarem, jeśli poza mną był jeszcze u niej ktokolwiek inny. W takich razach napięcie często przemieniało się dla mnie w ciężkie, głębokie cierpienie, po czym nie mogłem już pozostawać u niej dłużej; koniec końcem ponury wyraz twarzy wywołać musi lęk i obrzydzenie. Wiedziałem jednak, jaki byłbym, gdyby zaprzestała oporu, gdyby powiedziała mi „ty”.

O wpół do piątej podniosłem słuchawkę telefoniczną: było mi niewesoło, a musiałem mówić z wesołym ożywieniem kawalarza. Ale utrzymałem się w roli.

Kiedy usłyszałem jej głos, ujrzałem — w głębi duszy — jej twarz o chorobliwym, denerwującym wyrazie na wpół uchylonych ust i z zawsze otwartymi, nieco sennymi i roztargnionymi oczami. Jej dziecinne czoło — na drugim końcu miasta — budziło pragnienie, aby je pogłaskać.

— To pan — odezwała się, a ja drgnąłem, bo tak przyjaźnie zabrzmiał jej głos — o, bardzo się cieszę — muszę panu powinszować.

— Czego? — Ale już wiedziałem, co chciała mi powiedzieć.

— Mówią, że wygrał pan milion dolarów.

— Nie — tylko połowę tej sumy.

— To też nieźle. Teraz pan pewno pojedzie w podróż?

— Nie, nie pojedę. Ale proponuję pani — przysięgam — wyjątkową przyjemność. Wykończyłem swój w y n a l a z e k. Jeśli pani nie ma nic przeciwko temu, to pokażę go pani pierwszej; nikt nic jeszcze o tym nie wie.

— O! Chcę! Chcę! — zawołała. — I to jak najszybciej!

— Wobec tego — rzekłem — jeśli pani jest wolna, czeka panią niewielka konna prze-

jażdżka do wąwozu Callota. To nie jest dalej niż dwadzieścia pięć mil. Mam konia — drugiego da mi kuzyn Kishley.

— Doskonale — powiedziała po krótkiej pauzie. — Zgadza się. Pan naprawdę jest bardzo dobry.

— Za pół godziny będę u pani.

— Czekam.

Na tym skończyła się rozmowa. Póki siodłano konie, myślałem, co z tego wszystkiego może wyniknąć. Przyszło mi na myśl, że nie mam prawa w ten sposób postępować. Ale to mnie nie rozbroiło. Przeciwnie, umocniłem się jeszcze w moim postanowieniu, bo mógłbym potem całe życie żałować swojej słabości. Gorzej już być nie mogło — w nic lepszego nie wierzyłem.

W tej właśnie chwili zadzwonił telefon. Dzwonek rozległ się w jakiejś miłej, czulej i rozmarzonej chwili moich rozmyślań. Podniosłem słuchawkę.

Któż to ze mną mówił? Przymilny natężony głos, jak prośba o litość, a tak wyrazisty, że można by, zdawałoby się, odłożyć słuchawkę i dalej go słuchać! Tego dnia zbudziłem się z uczuciem m g ł y — dzień był uroczyście jasny, ale mnie się wydawało, że niewidzialna, spokojna mgła uciska mi mózg. Teraz to dziwne uczucie jeszcze się spotęgowało.

To, co usłyszałem, przypominało zakończenie rozmowy; tak się zdarza, jeśli nasz rozmówca kończy mówić do kogoś innego. Ten wyrazisty, ścielący się w nieznaną przestrzeń głos mówił: — „...minie bardzo niewiele czasu” — po czym dało się słyszeć zwrócone do mnie pytanie: — „Czy to mieszkanie Ebenezera Sidneya?”

— To ja — pomimo woli odsunąłem słuchawkę od ucha, ażeby nie dotykała skóry — tak nienaturalnie i wstrętne blisko, jak gdyby w samej mojej dłoni, rozlegał się ten metaliczny głos. Powtórzyłem: — Tu mówi Sydney, kim pan jest i czego pan sobie życzy?

— Nie zna pan mojego nazwiska, mówię z panem z polecenia zmarłego wczoraj Emanuela Grignaulta, Mulata. Zlecił mi kilka drobnych spraw, których nie zdążył załatwić. W tej liczbie była prośba, aby przesłać panu wygrany czteroosobowy samochód marki „Levanda”. Dlatego też proszę, ażeby wyznaczył pan czas, kiedy pański pokorny sługa ma wypełnić polecenie.

Tak nagle ogarnął mnie wściekły gniew, że zacząłem krzyczeć i tupać nogami. Krzyczałem dygocząc ze złości na tego nieznanego i gdybym mógł, to bym go z rozkoszą wychłostał.

— Idź pan do diabła! — zagrzmiałem — idź pan, powiadam panu, do diabła! Nie potrzeba mi samochodu! Grignault nic nie jest mi winien! Weź pan sobie ten samochód i rozwal pan sobie w nim łeb! Nikczemny łajdaku, widzę na wylot pańskie zamiary!

Ale poprzez mój krzyk, gdy traciłem dech i milkłem — jednocześnie z moimi szalonymi słowami przebijał głos tego człowieka, którego najwidoczniej wcale nie wzruszała ta burza w przewodach. Beznamiętnie i niewzruszenie wbijał swój równy cienki głos w moje uniesienie. Słyszałem tracąc siły z wściekłości: — „Proszę wziąć pod uwagę” — „z poczucia delikatności” — „sam charakter wydarzenia” — i inne podobne zdania; tak metodycznie i spokojnie sznur zaciska ręce człowieka wrywającego się z jego zwojów.

Rzuciłem słuchawkę i odszedłem. Po kilku minutach służący zameldował, że konie czekają.

Dzień był przepiękny! Nawet m g ł a, o której mówiłem, zdawała się rozpraszać od czasu do czasu, abym mógł odetchnąć pełną piersią, a jednak dalej odczuwałem niemal stale jej równomierny ucisk. Miałem ochotę potrząsnąć głową, aby pozbyć się tego uczucia. Służący jechał za mną na drugim koniu. Zbliżywszy się do domu, w którym mieszkała Corrida, ujrzałem jej uśmiechniętą twarz: stała na balkonie patrząc w dół i wtulając policzek w dłoń oparte o balustradę balkonu. Już z daleka zaczęła machać do mnie chusteczką. Zbliżałem się w podniosłym i nieco głupim nastroju człowieka traktowanego dobrze, bo może być pożyte-

czynym bo jest bogaty. Nie oszukiwałem sam siebie. Jeszcze nigdy Corrida El-Basso nie była wobec mnie tak uprzejma. Ale nie chciałem na tym poprzestać, cel mój już się zbliżał, chociażby dzięki urokowi wielkiej wygranej.

Pozostawiwszy konie, zdecydowanym i twardym krokiem wszedłem do domu. Teraz, kiedy panowałem nad sytuacją, znikło nagle krępujące przygnębienie — pewność, że uczucie ciąży mi, że jest p r z e k l ę t e, skoro siedząc obok ukochanej odczuwam samotność. Zacząłem żywić nadzieję, że to, co zamyśliłem, ma sens, że mi się powiedzie.

Pocałowałem jej wąską dłoń i popatrzyłem jej w oczy. Uśmiechała się.

— Wygląda pan na zadowolonego — rzekła Corrida — nic dziwnego, podwójne powodzenie. Co pan uważa za ważniejsze? Ale może wynalazek przyniesie panu jeszcze więcej pieniędzy?

— Nie, nie przyniesie mi ani grosza — odrzekłem — wprost przeciwnie, może mnie zrujnować.

— Czemu to?

— Jeśli nie spełni moich nadziei, bo jeszcze go nie uruchomiłem, nie przeprowadziłem doświadczeń.

— Na czym polega pański wynalazek? I jakim celom ma służyć?

— Za godzinę sama pani zobaczy. Czy nie warto poczekać?

— To prawda — odrzekła niechętnie, opuszczając woalkę i biorąc pejcz. Była w amazonce. — Czy jest ładny?

— Na to pani mogę odpowiedzieć zupełnie szczerze. Jest piękny.

— O! — powiedziała czując coś w moim tonie. — A więc jedziemy do pracowni?

— No tak — i nie powstrzymałem chęci podroczenia się z nią. — Do pracowni natury.

— Pan jest naprawdę mistyfikatorem, jak o panu mówią. Wszyscy mistyfikatorzy są nieuprzejmi. No, jedźmy.

Wyszliśmy. Dosiedliśmy koni, pomogłem jej.

— Jestem w świetnym humorze — oświadczyła - a pańskie konie też są dobre. Jak się nazywa mój koń?

— O d m i a n a.

— Dziwne imię, tak jak i pan.

— Jestem bardzo zwyczajny — odpowiedziałem — dziwne we mnie jest tylko to, że zawsze spodziewałem się tego, co niemożliwe.

IX

Wyjechawszy za miasto, puściliśmy się galopem i po pół godzinie byliśmy u stóp górskiej ścieżki prowadzącej do wąwozu Callota. Prowadziliśmy rozmowę tak błahą, tak obelżywie i nienaturalnie płytką, że kilka razy wpadałem w zły humor. Jednakże w żaden sposób nie mogłem skierować jej przynajmniej na to, co by tworzyło względną bliskość między nami — nie mogłem wywołać zgodnego z moim nastroju na widok pejzażu, który od miejsca, gdzieśmy jechali, nabierał coraz bardziej zachwycającego kolorytu. Na wszystko, co ją nie interesowało, odpowiadała obojętnym głosem: „O tak” albo też — „Doprawdy?” Ale moja wygrana interesowała ją nadal i często do niej wracała, choć opowiedziałem jej już wszystko najważniejsze o tej potyczce z Grignaultem. „Ja go rozumiem!” — powiedziała usłyszawszy, że Mulat dostał ataku apopleksji. Moja odmowa przyjęcia samochodu wywołała w niej jednak głębokie, pogardliwe zdziwienie — spojrzała na mnie tak, jakbym zrobił coś bardzo śmiesznego, coś nieprzyjemnie śmiesznego.

— To wszystko przez tę pańską manię — powiedziała po chwili namysłu. — Tyle już o

niej słyszałam! A ja lubię tę oszałamiającą szybkość, lubię, gdy powietrze rozsadza płuca. To jest życie!

— To szybkość upadku — odrzekłem. — Dzicy bardzo lubią taką szybkość. To, co pani, jak się zdaje uważa za oznakę swoistego wyrafinowania, jest zwyczajnym atawizmem. Wszystkie tego rodzaju rozrywki — sport wodny, rowery, wszystkie te łyżwy, narty, diabelskie młyny, karuzele, trojki, wyścigi konne — wszystko to jest coraz bardziej wzrastającą namiętnością do uczucia zawrotnego upadku. Istnieje granica szybkości, poza którą ruch poziomy przemienia się w u p a d e k. Pani upaja się uczuciem omdlewania przy upadku. I celem ludzi, którzy rozumują tak jak pani, jest upodobnić ruch do u p a d k u. Co może być bardziej prymitywnego? I — że tak powiem — bezcelowo prymitywnego?

— Ale — odezwała się — całe tempo dzisiejszego życia... Różnorodność stała się naszą naturą.

— Święta racja i bardzo źle, że tak jest. A przecież właśnie to, co odbywa się powoli, oczywiście, stosunkowo powoli, ponieważ miary szybkości są różne w swej istocie, w zależności od rodzaju ruchu — właśnie to jest najbardziej cenne. Szybkość agenta jakiegoś przedsiębiorstwa prowadzącego transakcje handlowe zwiększa ilość, ale nie jakość wyrobu, na przykład w dziale produkcji i sprzedaży płótna, ale niech spróbuje on ze swą samochodową szybkością umieścić i rozpowszechnić dębinę, zwyczajną dębinę. To drzewko rośnie stulecia. Krowa wyrasta w dwa lata. Prawdziwy, w pełni ukształtowany człowiek przebywa tę drogę w jakieś trzydzieści lat. Diament i złoto nie mają wieku. Dywany perskie robi się całe lata. Jeszcze wolniej idzie człowiek drogą nauki. A sztuka? Czy warto mówić, że najlepsze dzieła widzą czasami, jak mistrzowi zaczyna dopiero rosnać broda, a gdy się kończy realizacja, dostrzegają już jego siwiznę. Powie pani, że szybki ruch przyspiesza wymianę, że posuwa naprzód kulturę?! Spycha ją tylko. Kultura posuwa się tak szybko dlatego, że nie może się zatrzymać.

— Nie wiem — odparła Corrida — możliwe, że pan ma rację, ale żyć trzeba lekko i szybko, nieprawdaż?

— Gdyby pani umarła — zapytałem — a potem urodziła się na nowo, pamiętając poprzednie życie — to czy żyłaby pani dalej tak samo jak teraz?

— Nie podoba mi się pańskie pytanie — odpowiedziała zimno. — Czy żyję źle? Jeśli nawet tak, to jakie ma pan prawo mnie niepokoić?

— To nie prawo, ale zwyczajna sympatia. Zresztą to moja wina i muszę ją naprawić. Za...

— Nie, pan mi się nie wykręci — zawołała zatrzymując konia. — To już nie po raz pierwszy. W jakim celu zadaje mi pan takie pytania?

— Corrido — powiedziałem łagodnym głosem — jeśli będzie pani tak dobra, że przestanie pani się chwilowo gniewać i odpowie mi na jeszcze jedno pytanie, ale tylko całkowicie szczerze, to daję słowo, że równie szczerze rozproszę pani wątpliwości.

Zbliżyliśmy się już do wąwozu, z którego otwartej szczeliny płynęło widmowo liliowe światło, pełne dalekiej zieleni. Patrząc tam i p r z y p o m i n a j ą c sobie, co chciałem zrobić, zorientowałem się od razu, że pytanie moje było przedwczesne, jednakże chciałem się o tym przekonać. Mgła stopniowo się rozpraszała (mówię o wewnętrznej mgle, która przeszkadzała mi jasno myśleć) i jak w blasku gigantycznej świecy widziałem wszystkie cuda wynikające z mojego zamysłu. Dlatego też przestałem się wahać.

— Czekam — powiedziała Corrida.

— Niech mi pani powie — zacząłem — (a pozostanie to między nami) — dlaczego i w jakim celu wyszła pani z... magazynu mód?

Mówiąc to czułem, że błędę. Mogła się domyślić. Rzeczy mają instynkt, który świetnie pomaga im padać, na przykład tak, że temu, kto chce je podnieść, okropnie przeszkadza jakiś postronny przedmiot. Ale byłem już przygotowany na to, aby obrócić moje słowa w żart —

nadać im pierwszy lepszy sens, a jeśli będzie udawała zaskoczenie — być roztargniony. Przyglądałem się jej uważnie.

— Z ma-ga-zy-nu mód?! — powoli rzekła Corrida, przeszywając mnie tak uważnym, głębokim i chytrym spojrzeniem, że aż drgnąłem. Nie mogłem wątpić. Przy tym twarz jej stała się nagle b i a ł a, nie blada, lecz tej matowo białej barwy, jaką mają figury woskowe. Wystarczyło mi to. Roześmiałem się i nie chciałem jej więcej niepokoić.

— Nie mam więcej pytań — powiedziałem — mówię o spotkaniu z panią wczoraj, kiedy weszła pani do sklepu. Pani natychmiast wyszła, a ja nie chciałem podejść do pani po raz drugi.

— Ależ... to bardzo proste — odrzekła usiłując coś zrozumieć. — Nie zastałam modystki. Ale pan nie to chciał powiedzieć.

— Pani po prostu zdenerwowała mnie swoją ostrą odpowiedzią. Zapytałem o pierwszą lepszą rzecz, która przyszła mi na myśl.

Po czym nie pozwalając jej snuć dalej podejrzeń — jeśli je miała — wróciłem do gry z Mulatem, opowiadałem jej szczegóły pojedynku w sposób tak humorystyczny, że śmiała się do łez. Jechaliśmy wąwozem. Po lewej stronie ciągnęła się głęboka poprzeczna szczelina, do której podjechawszy zatrzymałem konia.

— To tutaj — powiedziałem.

Corrida zeszła z siodła, a ja przywiązałem konie.

— Niepokoi mnie trochę cała ta tajemniczość — powiedziała rozglądając się dokoła — czy mamy jeszcze dużo do przejścia?

— Ze sto kroków. — Chcąc ją uspokoić, zacząłem znowu żartować, przyrównując nasz spacer do stronic dawnych powieści kryminalnych. Szliśmy obok siebie, gładkie dno wąwozu nie hamowało naszych kroków i wkrótce rozproszył się mrok szczeliny — doszliśmy do jej końca — do urwiska, które pionowo opadało nad zalaną słońcem doliną, gdzie daleko w dole ukrywały się, niby ptasie stada, fermy i wioski. Ogromna, błękitna przestrzeń uderzała wiatrem w twarz. Zatrzymałem się i wskazałem ręką w dół.

— Widzi pani? — odezwałem się, wpatrując się w jej piękną twarz z przymrużonymi oczami.

— Widok niebrzydki — odpowiedziała mi niecierpliwie — ale może jednak pójdziemy do tego pańskiego laboratorium?!

Zaczął mnie ogarniać szaleńczy zachwyt. Ująłem jej rękę i ucałowałem. Była, zdaje się, tak zdumiona, że się nie opierała. Owładnął mną już wewnętrzny impuls, mimo woli obejrzałem się na szczelinę za nami, w której ukryć się było sprawą jednej sekundy, i zagroziłem ją sobą. Ale ku szczelinie skoczyliśmy jednocześnie, w każdym razie wtedy, gdy chwyciłem ją w pól, była już prawie za mną i jedną ręką wparła mi się w pierś. Twarz miała białą, martwą, oczy okrągłe i ogromne. Drugą ręką szybko manipulowała z boku, gdzie miała kieszeń. Traciłem oddech, ale ciągnąłem Corridę ku przepaści, krzycząc, przekonywując ją i błagając:

— To tylko jedna chwila! Jedna! I nowe życie! Tam jest twoje ocalenie!

Ale było już za późno — niestety! — za późno. Wyrwała się nieprawdopodobnie szybkimi ruchami i podniosła rewolwer. Widziałem, jak szarpnął się w jej rękę i zrozumiałem, że strzeliła. U mojej lewej skroni jak gdyby zawisł kamień. Nieświadomie, pomimo woli, konwulsyjnie, opierając się upadkowi — upadłem, dostrzegając, jak od mojej twarzy pośpiesznie odsunęły się małe lakierowane nogi. Zdażyłem jednak chwycić je i szarpnąć.

Corrida upadła tuż koło mnie, przy upadku wypadł jej z ręki rewolwer. Dostrzegłem go, gdy odwróciłem głowę. Na pewno bym go dosięgnął, gdyby mi nie przeszkadzała chwytając mnie za rękę. Miała jednak kocią zwinność.

Objąwszy ją wpół i przyciskając do siebie, aby nie zerwała się na nogi, dotykałem już lewą ręką rewolweru, starając się go przyciągnąć, ale Corrida wyłamywała mi rękę w przegubie, odciągając mi palce. Wreszcie uderzenie kamieniem po dłoni zrobiło swoje. Wyślizgną-

wszy się jak ściśnięta w rękę ryba. Corrida zawładnęła rewolwerem — i tu opuściły mnie siły. Mogłem leżeć i patrzeć.

Poderwała się i wstała, przez cały czas trzymając wycelowany we mnie rewolwer. Nastąpiło milczenie — i oddech — oddech nas obojga był słyszalny jak krzyk.

— Cóż to znaczy?! — odezwała się. — Teraz niech pan mówi, słyszy pan?!

X

Nie traciłem czasu, aby dowiedzieć się, co traci.

— Tak — powiedziałem — na tym właśnie polega mój w y n a l a z e k. Widziała pani promienny świat? Ten świat nas wzywa. Skoczmy więc tam, aby natychmiast zmartwychwstać. To jest konieczne dla nas obojga. Nie ma pani po co więcej udawać. Karty są odkryte i dobrze widzę pani karty. Są zakapane woskiem. Tak, z pani pięknej twarzy kapie wosk. Twarz ta roztopiła się. Wystarczyło, aby odbił się na niej gniew i strach, a wosk przypomniał sobie dawne swoje życie w kwiatach. Ale prawdziwe, prawdziwe życie rozpromieni panią dopiero po unicestwieniu, po śmierci, po wyrzeczeniu się! Niech pani wie, że chciałem także skoczyć. To nie takie straszne! Powinniśmy byli umrzeć i narodzić się!

— Gdzie jest pan ranny? — zapytała surowo.

— W głowę koło ucha — odpowiedziałem dotykając mokrymi palcami mokrych i lepkich włosów. — Niech pani sobie idzie! Co ja teraz dla pani znaczę; droga dla pani wolna.

Uniósłszy suknię obeszła mnie od tyłu i poczułem, jak głowę moją unosi mała chłodna ręka. Usłyszałem rozdieranie chustki. Mocno obwiązała mi głowę, a potem znów przeszła z cienia w światło. Ja zaś leżałem całkowicie osłabiony z utraty krwi i obojętnie przyjąłem ten objaw troskliwości. Przerazało mnie, że nie osiągnąłem celu.

— Czy może pan dojść do konia? — zapytała Corrida. — Jeśli pan może, to pomogę panu wstać. — Jeśli zaś nie — to niech pan leży i postara się być cierpliwy; powiem, żeby po pana przyjechali.

— Jak pani woli — powiedziałem. — Jak pani woli. Nie mogę dojść do konia. Teraz już jest mi obojętne, czy żyć, czy umrzeć, bo na zawsze panią straciłem. Możliwe, że tu umrę. Dlatego też będziemy mówić szczerze. Powinna pani pamiętać nasze pierwsze spotkanie, nie w Alambo — nie, odbyło się ona w Glen-Arrol. Czy pamięta pani Glen-Arrol? Jakiś staruszek odślaniał muślin i pokazywał panią leżącą w skrzyni, był to wosk z mechanizmem wewnątrz — to była pani — pani spała, oddychała i uśmiechała się. Zapłaciłem za wejście dziesięć centów, ale zapłaciłbym całym swoim życiem. Nie wiem, w jaki sposób uciekła pani z Glen-Arrol i dlaczego znalazła się tutaj — ale pojąłem tajemnicę pani mechanizmu. Upodobił się on na pozór do życia ludzkiego na zasadzie wszystkich mechanizmów huczących dokoła nas. Ale proszę zrozumieć, że stać się kobietą, stać się doprawdy żywą istotą może pani dopiero po unicestwieniu. Wiem, że wtedy serce pani drgnie miłością do mnie. Sam jestem na wpół-martwy, poruszam się i żyję jak maszyna, już rośnie i zgrzyta we mnie mechanizm, słyszę szcęk jego żelaza. Ale istnieje moc samounicestwienia i zmartwychwstawszy natychmiast ogłuszemy świat cały śpiewem naszych serc. Stanie się pani c z ł o w i e k i e m i przemknie ognistą smugą. Twarz pani jest piękna i wesłaby pani do ziemskich ogrodów jako symbol autentycznej piękności. Pani oczy? Blask włosów? Charakter uśmiechu? — Porywająca energia przejawiałaby się również w losach pani życia. Pani głos? - Brzmi jak czułe wezwanie. — I postępowałaby pani tak, jak brzmi ten głos. Jakże wiele pani dano! Jakże pani jest martwa! Jakże musi pani umrzeć!...

Mówiąc te słowa nie widziałem jej. Kiedy otworzyłem oczy i rozejrzałem się z wysiłkiem, nie dostrzegłem nikogo. Przekleństwo! Serce jej mogło od ruchu prostych małych

dźwigiemek przejść na pełne pulsowanie — ku łzom i radości, zachwytom i wzruszeniom — a wreszcie mogło pokochać mnie, płonącego w ogniu natchnienia, aż śmiałybym się jak dziecko — a ono odeszło! ... Jestem przekonany, że nie chciała wspominać Glen-Arrolu. To prawda, że w tej miejscinie patrzyły na nią jedynie potworne podobieństwa ludzi, a jednak...

Zebrałem siły, podniosłem się i usiadłem. Nie miałem już zawrotu głowy, ale takie uczucie, że jest nie dość niesiona do góry — że może upaść. Spróbowałem ugiąć nogi, aby w ten sposób ułatwić sobie dalszy ruch, i udało mi się to... Wreszcie wstałem, chwytając się ściany i ruszyłem. Chciałem iść do domu, aby się uspokoić i zastanowić się nad przyszłością. Jak się orientowałem, kula nic dotknęła mózgu, i dlatego nie obawiałem się, że zwałę się po drodze. Powlokłem się, przytrzymując się nierównych głązów wąwozu i od czasu do czasu tracąc równowagę, tak że musiałem przystawać.

Podczas gdy szedłem, zmrok (już ściemniało się), rozpościerający się z bezbrzeżnym cieniem, zastąpiło tego rodzaju niepojęcie przejmujące światło, jakie daje księżyc przy przejściu światła dziennego w magiczny widmowy mrok. Kiedy minąłem szczelinę, ujrzałem zaczarowane dno wąwozu w blasku czystego miesiąca; dno, usiane kamieniami, których okrągłe cienie wydawały mi się czarnymi daszkami białych czapek — było jak łóżysko gigantycznej rzeki, która znikła na zawsze. Koni nie było. — W o s k o w a wzięła mego konia, sądząc bez wątpienia, że umarłem. Nie wierzyłem w jej obietnicę, że przyśle po mnie, raczej mogła mi tu nasłać morderców.

Dotknąłem chustki, zanim ją zdjąłem. Wciąż jeszcze czułem lekką gorączkę, ból i wrażenie ściągniętej skóry tam, gdzie drasnęła mnie kula, ale krew już nie płynęła.

Podejrzewając, że przesiąknięta krwią chustka może mi coś wyjaśnić, popatrzyłem w świetle na wyhaftowany znak. Nie były to jej inicjały. Ujrzałem znaki nie znane w żadnym z alfabetów naszej planety:

CEB

— i zrozumiałem, że nigdy nie dowiem się, jaka jest natura istoty, która używała podobnych znaków.

— Corrido! — zawołałem. — Corrido! Corrido El-Basso! Kocham, kocham, kocham cię, szalona w swoim zimnym jaśnieniu, niedostępna, bo nieżywa — nie, po tysiącokroć nie! Chciałem ci dać trochę życia mego własnego serca! Strzeliłaś nie we mnie — w życie, zraniłaś życie! Wróć!

I echo wyrwawszy „rri” z jej imienia, uparcie grzechotało gdzieś spoza wysokich głązów: były to dźwięki przypominające odległe dudnienie motoru. Nie opuszczało mnie wspomnienie o Glen-Arrolu, gdzie ujrzałem ją po raz pierwszy. Tak — tam, na podwyższeniu, w białej szerokiej skrzyni, pod szkłem, leżała z wyciągniętymi i skrzyżowanymi nogami pod gazą, pośród zakurzonych kwiatów. Rzęsy jej drgały i opadały, lekka jak płatki pierś oddychała, sprawiając wrażenie żywego spokoju. Zdawało się, że oto otworzą się te pełne uśmiechu oczy, że stan wygnie się w figlarnej urodzie lękliwego ruchu, a ona podniesie się i wypowie wielkie słowo zawarte w milczeniu. Teraz, dzięki milczącemu pobłażaniu jakichś ludzi, przebywa ona wśród nas, przyrzekając tak wiele, zabijając tak pewnie, tak powoli, tak beznaściejnie.

Znużony i drżący, przeszedłem chwiejąc się wąwóz i zauważyłem to dopiero wtedy, gdy przeszedłem. Wśród zielonego, srebrzystego morza wzgórz wiło się kilka ścieżek, jedna z nich była bardziej stroma i stoczyłem się z niej na leżącą niżej szosę. Tu, nieco na uboczu, stał dom, o którym można powiedzieć tylko słowami wierszy Grewhouda: „Był ubogi i spał”. Przeszedłszy przez niskie kamienne ogrodzenie, dostrzegłem, że okno jest nie domknięte, więc wsadziłem za ramę swoją wygraną, przewróciwszy coś przy tym. Kto tu mieszkał? Jakie siły rozbudzę nazajutrz moim zbędnym mi darem? Wiedziałem tylko, że na ziemi trzeba zostawić duże ślady, mały ślad szybko zarasta trawą. Z rana będzie tu krzyk, hałas, sprzeczki i

zdumienie, dygocące kolana, jęki, może nawet ktoś zachoruje z zachwytu — a co było przedtem? To jest życie, jego konwulsje, grymasy, krzyk i uśmiech — każde życie jest dobre.

Księżyc wzeszedł wyżej, jego okrągły czerep opuścił w dół oczy, wybielając szosę aż do horyzontu. Szosa w tym miejscu przedstawiała kształt rozciągniętej litery V — tak rozciągniętej, że przypominała raczej środkową część podwójnego wygięcia łuku. Stojąc na wzniesieniu drogi widziałem, jak przeciwległe, dalekie wzniesienie przecinała ciemna kresa. Pojawiła się tam i zaczęła rosnać kropka, która rosła jak rozplywająca się na papierze plama atramentu; plama ta spełzła ku środkowi wygięcia z niepokojącą mnie szybkością. Przez pewien czas szedłem naprzeciw temu zjawisku, jednakże szybko zmusiło mnie ono do zatrzymania się. Nie omyliłem się — szary samochód już pędził w górę naprzeciw mnie z tą niemłą lekkością automatu, która niweczy zwykle wyobrażenie wysiłku. Zboczywszy ku zaroślom, skryłem się w ich wilgoci; teraz pomiędzy mną a samochodem była już tak niewielka odległość, że mogłem dostrzec ludzi — mogłem ich policzyć. Było ich czterech i ten sam szofer w okularach, którego widziałem wczoraj; jeden z nich mówił coś do drugiego w chwili, gdy maszyna przemknęła tuż koło mnie.

Wszystko było teraz dla mnie jasne. Zaczęło się polowanie, może zemsta, podła i okropna. W powietrzu, jak wydrukowane, stały tamte litery i cyfry, które ujrzałem nieprzytomny z wściekłości, litery te to były „SS”, a cyfry „77-7”. Zaiste, byłem bliski szału. Dygocąc, jak gdyby już mnie pojмали, niepewnymi ruchami szukałem innej drogi niż ta, którą już zawładnął wróg; potykałem się w zaroślach, ale iść nie mogłem. Doły i korzenie tak ciasno splotły się ze sobą, że cały czas szedłem, jak gdybym zapadał się w kupy gałęzi; suche ciernie darły mi ubranie, poza tym szedłem głośno, co było dla mnie niebezpieczne ze względu na pogoń; niektóre doły były tak głębokie, że padając odczuwałem w całym ciele ból wstrząsu.

Zatrzymawszy się i złapawszy oddech znowu zbliżyłem się do szosy i wyrząłem na nią. Droga była pusta. Ani z lewej, ani z prawej strony nie dochodził najmniejszy odgłos; dlatego też wiedząc, że zawsze mogę ukryć się w krzakach, wyszedłem na szosę, ażeby przebiec jak najszybciej jak największą odległość.

Tak więc pobiegłem. Kiedyś biegałem tak dobrze, że wygrywałem w zawodach. Umiejętność biegania nie opuściła mnie i teraz — droga równomiernymi podrzutami pędziła przede mną do tyłu, a szybki ruch powietrza chłodził rozgorączkowaną twarz. Byłem bardzo znużony, ale nic pozwalałem, aby opanowało mnie zmęczenie.

Wyprowadził mnie z tego stanu wybór — niewielki czarny dołek, który zauważyłem przed sobą i ze zdumieniem stwierdziłem, że nie mogę dobiec do niego z tą szybkością, z jaką zacząłem mój bieg. Był niezbyt daleko, a przybliżał się do mnie tak powoli, jak gdyby posiadał zdolność dowolnego zwiększania odległości. I dopiero wtedy, obejrzawszy się w udręce, zrozumiałem, że nie biegnę, lecz idę ledwo powłócząc nogami. Wystarczyło tego podrzutu wstecz — a usiadłem, ale nie mogłem nawet siedzieć; skłoniwszy na ręce twarz w stronę wyboju pojąłem, słysząc odgłosy oddalonego drgania ziemi, że wróciła pogoń. Nie minęły nawet dwie minuty, gdy szary samochód zaczął zbliżać się z tyłu ku mnie — gotowemu przyjąć ostatni cios.

Czułem, że nie mam sił się poruszyć. Byłem tak szalenie, nieskończenie słaby, że nie odczuwałem nawet lęku. Lęk mógł spokojnie pędzić naprzeciw mnie, skoczyć mi na kark, bez jakiegokolwiek szansy, że wywoła najmniejszą szkę w mojej twarzy i w duszy. Leżałem nieruchomo, płasko, byłem jak sama droga. W myśli twardym uśmiechem witałem zbliżanie się świszczących kół. Śmierć — zamiast słonecznej, żywej otchłani, tryumfującej nieśmiertelności — dotknęła już mojej twarzy jasną kosą promienia rzuconego przez nadbiegającą latarnię — gdy nagle ten żelazny kot, który pędził wprost na moje ciało, zatętnił głuchym gromem, skręcił w bok i stanął. Wybiegło z niego czterech, podnieśli mnie i przenieśli na siedzenie. Ledwo poruszyłem ręką, gdy natychmiast stoczyłem się z niego, przestając widzieć, przestając niemal słyszeć — wydawało mi się, że głęboko pod ziemią ktoś rozdziera gruby brezent.

XI

Ocknąłem się w wysokim, niewielkim pokoju z podejrzaną ciszą dokoła i z głuszącymi dźwiękami drzwiami. Leżałem na łóżku, mając po lewej stronie niewielki stolik, na którym stały sztuczne kwiaty, zrobione z nadzwyczajnym kunsztem; płatki ich (wąchałem je, dotykałem) odznaczały się takim samym wilgotnym chłodem i taką samą miękkością jak prawdziwe — nawet pachniały jak prawdziwe. Dotknąwszy głowy poczułem, że jest zabandażowana. Pod sufitem rzucała okrągły cień zielona lampa. Czułem się dość silny, aby mówić i domagać się wytłumaczenia mojej niewoli. Ujrawszy dzwonek, nacisnąłem guzik.

Otworzyły się drzwi i zjawił się w nich mężczyzna, którego widziałem po raz pierwszy w życiu. Był tęgi i trzymał się prosto, miał stanowczą kwadratową twarz i niemiłe jasne spojrzenie poprzez okulary. Jego protekcyjny uśmiech dotyczył zapewne mnie, gdyż miłe mu były moja bezradność i słabość.

— Kimkolwiek pan jest — odezwałem się — pańskim obowiązkiem jest natychmiast powiedzieć mi, gdzie się znajduję.

— Jest pan w mieszkaniu doktora Emersona — powiedział — jestem Emerson. Czy pan czuje się już lepiej?

— Zostałem porwany — odrzekłem takim tonem, by uświadomić mu, że przede wszystkim chcę wiedzieć, co się stało, kiedy byłem nieprzytomny. — Kim pan jest — przyjacielem czy wrogiem? Po co mnie tu sprowadzono?

— Proszę — rzekł z zadziwiająco zimną krwią — zachować całkowity spokój. Jestem pańskim przyjacielem, jedynym moim pragnieniem jest, aby jak najszybciej pomóc panu wyzdrowieć.

— Wobec tego — usiadłem, opuściwszy z łóżka nogi — odchodzę stąd natychmiast. Jestem dostatecznie zdrowy. O pańskim postępowaniu będzie powiadomiony prokurator królewski.

Wstał również i zadzwonił tak szybko, że nie zdążyłem chwycić go za rękę. Natychmiastowe zjawienie się trzech rośłych mężczyzn w białych kołpakach i fartuchach sprawiło, że musiałem położyć się na poduszkę w dawnej pozie — opierać się bowiem czterem było niepodobieństwem.

Leżąc patrzyłem na Emersona z rozpaczą i oburzeniem.

— A więc jest pan w zмовie ze wszystkimi — rzekłem — dobrze, jestem bezsilny. Proszę, niech pan stąd wyjdzie.

— O jakiej zмовie pan mówi? — zapytał, dając znak tamtym, aby wyszli. — Nie ma tu żadnej zмовy, czeka pana leczenie i odpoczynek.

— Pan udaje, że tego nie rozumie. A tymczasem — i opisałem ręką k o ł o w powietrzu — chodzi tu o zмовę obwodu przeciwko centrum. Niech pan sobie wyobrazi obracający się w poziomej płaszczyźnie dysk — dysk, którego wszystkie punkty wypełnione są myślącymi, żywymi istotami. Im bliżej centrum, tym wolniej wraz ze wszystkimi innymi punktami odbywa się obrót. Ale punkt na obwodzie opisuje koło z maksymalną szybkością, równą nieruchomości centrum. A teraz skróćmy porównanie: Dysk — to czas. Ruch — to życie. Centrum — to prawda, a istoty myślące - to ludzie. Im bliżej do centrum, tym wolniejszy jest ruch, ale jest on równy w czasie ruchowi punktów na obwodzie — osiąga więc cel w wolniejszym tempie, nie naruszając ogólnej szybkości dla osiągnięcia tego celu, to znaczy powrotu po obwodzie do punktu wyjścia.

Po obwodzie zaś z wizgiem i trzaskiem, jak gdyby przeganiając wewnętrzne, coraz bliższe centrum istnienia, ale zrzędzeniem losu wraz z innymi opisuje szalone kręgi ż y c i e f a ł s z y w e, zarażając ludzi mniejszych kręgów tym gorączkowym nasyceniem, którym samo jest przepełnione, i naruszając ich coraz spokojniejszy wewnętrzny rytm łoskotem ruchu

tak skrajnie dalekim od prawdy. To wrażenie gorączkowego migotania, pełnego jak gdyby ostatecznego szczęścia, w istocie swej jest udawką opętanego ruchu, który pędzi wokół celu, ale daleko — zawsze od nich daleko. I słabi — podobnie jak ja — jakkolwiek byliby blisko centrum, zmuszeni są nieść w sobie ten czysto powierzchowny wicher beznadziejnego pośpiechu, poza którym jest tylko pustka.

Jedna tylko wizja nie daje mi spokoju. Widzę ludzi, którzy się nie śpieszą, jako punkty najbliższe centrum, o mądrym i harmonicznym rytmie, w pełni sił życiowych, ludzi panujących nad sobą, uśmiechniętych nawet w cierpieniu. Nie śpieszą się, ponieważ cel jest blisko nich. Są spokojni, ponieważ ich cel daje im zadośćuczynienie. I są p i ę k n i, bo wiedzą, czego chcą. Pięć siostr kusi ich w centrum wielkiego kręgu — są nieruchome, one bowiem są celem i są równe całemu obrotowi kręgu, bo one właśnie są źródłem ruchu. Na imię mają: Miłość, Wolność, Natura, Prawda i Piękno. Powiedział pan, panie Emerson, że jestem chory — o! jeśli tak, to jedynie na tę wielką miłość. Albo też...

Spojrzałem na drzwi, które skrzypnęły, i dostrzegłem, że się uchyliły. Wąsata szydercza twarz zaglądała jednym okiem. Zamilkłem.

Ten rękopis wraz z zaleceniem dla naczelnika Centaurów, aby niezwłocznie pochwycił szary samochód, a także woskową figurę, która nazwała się Corridą El-Basso, a uciekła z panopticum, wrzucam dziś w nocy do skrzynki zażaleń.

Przełożył Seweryn Pollak

Elda i Angotea

I

Gotorn wszedł za kulisy teatru Bishama. Było to pod koniec próby. Gdy próba się skończyła, Gotorn, stojąc w przejściu wśród lamp i bloków, wręczył bileterowi wizytówkę z prośbą, aby ten przekazał ją Eldzie Silvan.

Po chwili, wchodząc do jej garderoby, znów poczuł się zaskoczony podobieństwem artystki do zabranej Fergusonowi fotografii.

Elda nosiła czarną suknię, pozwalającą całą uwagę skupić na twarzy tej małej zdolnej aktoreczki, która jeszcze nie wybiła się jedynie z powodu braku wpływowego kochanka.

Była średniego wzrostu, o nieprawidłowych, nerwowych rysach twarzy. Jej czarne włosy i czarne wielkie oczy, którym długie rzęsy nadawały wyraz tkliwej, pełnej powagi łagodności, a także zarys czoła i szyi były bardzo piękne. Dopiero przyjrzawszy się dobrze można było zauważyć twardą ostrość źrenic, rzeczowo i dokładnie obserwujących to, na co patrzą.

Obserwując jej swobodną pozę, jej nogę, założoną na drugą, zgiętą pod kątem, a także męski sposób puszczania dymu z papierosa, Gotorn pozbył się skrepowania, towarzyszącego każdej drażliwej sprawie.

— Dziecinko — rzekł. — Pani pewno widziała nieraz różnych dziwaków i dlatego z góry włączam się w ich poczet. Przyszedłem, aby zaproponować pani występ, ale nie na scenie, lecz w życiu.

— Chociaż jak na początek znajomości — odpowiedziała Elda z obojętną uprzejmością — jest to z pana strony propozycja zbyt śmiała, ale nie jestem od tego, aby się z panem bliżej poznać. Jedyne warunki: niech mnie pan nie ciągnie za miasto. Uwielbiam restaurację „Alfa”.

— Niestety, moja kochana, sprawa jest znacznie poważniejsza — odrzekł Gotorn. — Zaraz przekona się pani, że mój wybór był podyktowany przez wyjątkowe okoliczności.

Aktorka zdumiała się i podkreślając to zdumienie mimiką, jak na scenie, oświadczyła, że chętnie posłucha, o co chodzi.

— W czasie moich przechadzek poznałem niejakiego Fergususa Fergusona: wstąpiłem do jego domu, aby się napić wody. Dom jego stoi na wzgórzach Tarincourtu. Ferguson żyje z renty, pozostawionej mu przez męża siostry. Ma on około czterdziestu pięciu lat. Służba jego uciekła nie chcąc przebywać z chorym. Wpadł w obłąd, a w tej chwili jest umierający. Przyczyną jego obłądki było zniknięcie żony, której zapewne nigdy nie miał, co zostało stwierdzone. Możliwe, iż będąc nieznośnie samotny, wymyślił sobie tę żonę i uwierzył w swoją fantazję. Tak czy inaczej, na fotografii Angotea — tak nazywa żonę — zdumiewająco podobna jest do pani, a widziałem panią na scenie i w magazynie Estrema. To niezwykle podobieństwo nasunęło mi myśl, ażeby pomóc Fergusonowi w odnalezieniu utraconej żony. Skąd ma tę fotografię — nie wiadomo. Myślę, że ją kiedyś kupił.

— Ach tak! — odezwała się rozgniewana Elda. — Pan swata mnie bez mojej zgody, i to jeszcze za obłąkanego!

— Proszę o chwilę cierpliwości — przerwał jej Gotorn. — Ferguson jest umierający, już pani to powiedziałem. Mam bardzo mało czasu, ale muszę dokończyć opowiadania. W dniu ślubu Angotea poszła sama ścieżką, nad którą znajduje się owalny otwór w cienkiej ścianie skalnej. Przegradza on ścieżkę i jej część za owalem tak podobna jest do tej dróżki, która ku niemu prowadzi, że w wyobraźni Fergusona ów pusty owal przemienił się w tajemnicze zwierciadło. Jest przekonany, że Angotea weszła w zwierciadło i tam zablądziła. Lekarz sądzi, że pozostało mu nie więcej niż dwanaście godzin życia. Chciałbym, aby umarł nie tęskniąc. I żeby ją ujrzał.

— No, no! — odezwała się Elda, z uprzejmości chwilę pomilczawszy. — Zabawne. Dziwaczny, sentymentalny idiota. Pan wybaczy, ale nie podobają mi się takie typy. No proszę, niech mi pan powie, po co mi ta cała historia?

— Powiem pani, po co — odparł surowo Gotorn. — Czy nie zgodziłaby się pani zostać na pół godziny Angoteą? On ją wzywa. To człowiek o szlachetnej duszy, zasługuje na lepszy los. Jeśli się pani zgodzi, to zapłacę taką sumę, jaką tylko pani wyznaczy.

Przy ostatnich słowach Gotorna twarz Eldy znieruchomiła, jakby była pozbawiona tchu; źrenice zaś zachowały trzeźwość.

— Cóż więc mam mówić? — zapytała szybko.

— Mniej więcej to, co naszkicowałem. — Gotorn podał jej kartkę papieru.

Elda zaczęła czytać poruszając wargami.

— To zadziwiające — rzekła opuszczając kartkę. — Mam po prostu zamęt w głowie. Niech mi pan powie, a może pan jest psychiatrą?

— Nie — spokojnie odparł Gotorn. — Jestem patologiem.

— A! — zawołała z nutą zaufania. — Proszę zaczekać, spróbuję. Tymczasem niech pan wyjdzie.

Gotorn wyszedł i zaczął chodzić pod drzwiami. Po chwili drzwi się uchyliły i Elda wezwała go skinieniem głowy.

— Sądzę, że jakoś to załatwimy — oświadczyła, zaciągając się chciwie papierosem i odgarniając dłonią dym od oczu, które zimno i z uwagą badały Gotorna. — Przed wszystkim pieniądze. Ile ma pan zamiar mi zapłacić?

— Dziesięć tysięcy — rzekł Gotorn, ażeby ją oszołomić.

— Co-o-o?

— Powiedziałem: dziesięć tysięcy.

— Ulegam — odezwała się Elda kłaniając się nisko w żartobliwym ukłonie, który podzielał na Gotorna nieprzyjemnie, gdyż wydał mu się nazbyt przypoehlebny. — Na mniej

bym się i tak nie zgodziła — dodała chciwie, choć myślała jedynie o dziesiątej części tej sumy. — Poza tym jeszcze jeden warunek: jeśli ten pański Ferguson wyzdrowieje, nie jestem obowiązana do przedłużania tej mistyfikacji.

— Dobrze — zgodził się Gotorn. — Tak więc moje auto czeka, niech się pani zbiera i jedziemy.

II

Po uzgodnieniu warunków wyszli, wsiedli do samochodu i pojechali w kierunku wzgórz Tarincourtu.

Podczas tej podróży, która trwała wszystkiego półtorej godziny, Elda prawie przez cały czas milczała; nic jej nie interesowało poza zakreślonym przez Gotorna zakresem działania, który uważała za całkowicie technicznie wystarczający. Nagle, gdy samochód wyjechał na drogę wijącą się nad przepaścią, z lasem w dole i z bystro toczącymi się strumieniami, a Gotorn chciał zwrócić jej uwagę na niesłychane piękno pejzażu, Elda odezwała się:

— Czy powinnam mówić tylko tak, jak pan zapisał? To nie jest całkiem odpowiednie. Trzeba mówić prościej: chociaż pański Ferguson widział ją tylko w zamroczeniu, to teraz już nie jest zamroczenie.

— Chyba tak — rzekł Gotorn, dla którego całe to wydarzenie było i eksperymentem, i obowiązkiem współczucia. — Wystarczy zresztą pani twarz. Podobieństwo do nie istniejącej Angotei.

— Nie, to za mało.

— Może pani postąpić według swego uznania, nie zapominając o wielkiej odpowiedzialności. — A potem Gotorn wskazując ręką dodał: — Tu jest jeszcze jedna przepaść: czy widzi pani tam cienie we mgle? To piękny korowód pustki.

— Tak — rzekła z roztargnieniem Elda. — Chciałabym pana zapytać, czy pieniądze otrzymam natychmiast?

— Niewątpliwie.

— Dziękuję.

Znów pogrążyła się w zadumie, z której wyprowadził ją Gotorn wskazując na ścieżkę wijącą się wśród krzewów.

— Wydaje mi się — powiedział — że powinna by pani spojrzeć na owo urojone „zwierciadło”, na ów prześwit w skale, przez który, jak twierdził Ferguson, odeszła Angotea.

— Tak, żeby wpaść w nastrój — zgodziła się Elda. — Dobremu majstrowi wszystko jest pomocne. To niezbyt daleko?

Uspokoiwszy ją pod tym względem Gotorn kazał zatrzymać samochód i oboje poszli ścieżką. Ścieżka biegła nad stromym urwiskiem i nagle ukazał się ów prawidłowego kształtu, wysoki, owalny otwór w poprzecznej warstwie skały, o którym opowiadał. Istotnie zarówno przed, jak i za tym otworem wszystko było bardzo podobne: symetria krzewów i kamieni, cieni i światła i tu, i tam — nie dotycząca oczywiście szczegółów — powtarzała się nad podziw.

Przyjrawszy się otworowi Elda przekroczyła próg owalu, poszła naprzód jakieś dziesięć kroków i biegiem powróciła.

— To właściwie nic nie daje — oświadczyła Gotornowi. — Więc jedziemy dalej?

Do końca drogi było już niedaleko. Oboje powrócili do auta i okrążywszy dużą skałę zatrzymali się. Widać było dach i narożnik niewielkiego murowanego domu, stojącego w lesie. Wskazawszy Eldzie ścieżkę prowadzącą do domu, Gotorn oświadczył, że przyjdzie po nią za pół godziny, i odszedł pełen wątpliwości, sądząc, że przywiózł kobietę, która mimo

woli mogła się zdradzić, przemieniając cały ten zawikłany i ryzykowny czyn miłosierdzia w śmieszna i kłopotliwą sytuację.

Gdy Gotorn odszedł, Elda skryła się za krzaki, aby się przebrać, odpędzając natrętne muchy i klnąc trawy, które kłuły jej bosc stopy. Ale myśl o pieniądzech, o takiej sumie! — dodawała jej zapału. A przecież w głębi tej złej i oschłej duszy zaczynała już gdzieś swoją wędrówkę po kamienistej ścieżce lekka i tkliwa Angotea i Elda naprędce starała się ją zrozumieć.

III

Nie wstępując do pokoju Fergusona Gotorn poprosił pielęgniarkę, aby wezwała doktora, ogromnego, rozczochranego mężczyznę, a kiedy ten przyszedł, wprowadził go do najdalszego od chorego pokoju i zaczął wypytywać.

— Leży bardzo spokojnie — rzekł doktor — i milczy. Niekiedy bierze fotografię i przygląda się jej, ale siły opuszczają go tak szybko, jak schnie na upale mokry ręcznik. Od czasu do czasu traci przytomność, a gdy się ocknie, pyta o pana.

— Przywiozłem ją — powiedział Gotorn. — No cóż, czy można ją wprowadzić?

— Jestem w trudnej sytuacji — odparł doktor podchodząc z Gotornem do okna i przypatrując się wierzchołkom skał. — Wiem, że on umrze najpóźniej dziś wieczorem. Jednakże czy warto ryzykować, gdy istnieje możliwość przejrzenia, które czasami w obłędzie maniakałnym występuje nagle przy wstrząsie systemu nerwowego? Chcę powiedzieć, że w efekcie możemy mieć rezultat wręcz odwrotny, niż zamierzaliśmy.

— Więc co robić?

— Nie wiem.

— Ja też nie wiem — rzekł Gotorn.

Obaj pograżyli się w ponurym milczeniu. Gotorn szukał odpowiedzi we własnym sumieniu. Cienie skał okrywały urwiska. Pozostawił doktora i poszedł do Fergusona, ale powrócił mówiąc:

— Nie wiedziałem, ale teraz wiem. Nabrałem znowu pewności. Nie będziemy przy nim, doktorze. Będziemy ich obserwować przez otwarte drzwi z sąsiedniego pokoju.

Gotorn wyszedł przez werandę, pospieszył tam, gdzie czekała na niego Elda, i zastał ją siedzącą na kamieniu.

Jego pewność wzrosła, kiedy spojrzał na nią, już gotową do odegrania swej roli. Znikło wymyślne uczesanie Eldy, zastąpił je niedbały węzeł włosów, odsłaniający czoło. Twarz jej, pozbawiona charakterystyki, różu i pudru, o pobladłych wargach, wydawała się wychudła, owiana wiatrem. Bosa, w podartej krótkiej spódnicy, w rozchylonej przy szyi bluzce, z wiszącą na zgięciu łokcia ciemną chustką, tak niespodziewanie upodobniła się do jego ukrytego wyobrażenia o urojonej postaci, że zdołał tylko powiedzieć:

— Właśnie tak. Widzę, że pani zgadła.

— Zgadłam? Niech pan da spokój — odparła Elda, przecierając zęby roztworem kwasu jabłkowego, aby usunąć zapach tytoniu. — Bądź co bądź jestem już sześć lat na scenie. No co, czas już iść?

— Tak, czas. No, Eldo — Gotorn mocno ścisnął jej ręce. — Niech pani uważa. Pani jest kobietą, pani powinna to rozumieć.

Wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok. Miała wielką ochotę jak najszybciej skończyć z tą ponurą historią i powrócić do miasta. Zbliżyli się w milczeniu do wejścia i minawszy trzy zapuszczone, nie sprzątnięte pokoje, podeszli do uchylonych drzwi, za którymi widać było łóżko, a na poduszce wychudła twarz, obrośniętą na wpół siwą brodą.

Gotorn dostrzegł doktora, który już siedział pochyliwszy się na krześle ustawionym tak, aby z półmroku mimo zamkniętych w tym pokoju okiennic widać było wyraźnie wszystko, co dzieje się za otwartymi drzwiami.

Elda głęboko westchnęła.

— Boję się — wyszeptała, ale natychmiast zaczynając niedostrzegalnie zmieniać się na twarzy, stanęła tak blisko w świetle otwartych drzwi, że widać ją było z pokoju. Trzy razy powoli poruszyła palcami u nogi i w myśli policzyła: „Raz, dwa, trzy”. Potem, cała we łzach, szczęśliwa i płacząca, szybko podbiegła do łóżka.

Doktor pomimo woli wstał, przeszedł go zimny dreszcz, podobnie jak i Gotorna, który wyzwolił się wreszcie z napięcia widząc wspaniałe przeobrazenie Eldy. Spadł z niego cały ciężar. Oddał Fergusona w doświadczone i zręczne ręce.

— Wreszcie tu jestem — usłyszał z zachwytem pewny i żywy głos Eldy, pełen głębokiej ulgi. — Jak gdyby minęły wieki! Przywitaj się ze swą wędrownicą i włóczęgą, mój kochany. Czyś mnie nie zapomniał? Jeśli nie zapomniałeś, to wybacz!

Ferguson usiadł i oparłszy się plecami o ścianę wyciągnął ręce. Patrzył na nią z uniesieniem jak strącany w pustkę. Ale dokoła jego wilgotnych zębów obwiedzionych wychudłymi wargami błysnął szeroki i ostry uśmiech. Nie zdołał ani nic powiedzieć, ani krzyknąć, dusił się tylko, unosząc się całym ciałem do góry i odrzucając głowę do tyłu. Wreszcie zakrzyknął z udreką, a jego krzyk — „Angotea!” był tak okropny, że doktor i Gotorn wbiegli do pokoju. Chory miotał się i śmiał się z twarzą zalaną łzami. Podtrzymując go za ręce, Gotorn stwierdził, że Ferguson nie dostrzega nikogo, prócz Eldy; patrzył na nią ostatkiem sił.

— Angotea — wyszeptał — teraz nie będziesz już chodzić sama?

— Nigdy — powiedziała Elda. — Byłam daleko, ale zawsze myślałam o tobie. Zgłodniałam i bałam się; nogi mam zmęczone i poranione. O, jakże tam wszystko było niemiłe i obce. Dokoła wznosiły się urwiska, w dole słyszałam łoskot. Nie mogłam wyjść spomiędzy skał. Ale tamto zwierciadło jest już rozbite...

Gotorn ze zdziwieniem słuchał, jak przekręca ona jego szkic rozmowy.

— Rozbijcie je — rzekł Ferguson — precz z podłą szybą.

— Stłukłam ją kamieniem — potwierdziła Elda.

Okryła mu nogi kołdrą, podłożyła poduszkę pomiędzy głowę a ścianę, a potem uklękła przed łóżkiem i ujęła dłoń chorego. Pochyliwszy twarz do jego kolan otarła łzy. Ferguson wyrwał rękę z dłoni doktora i dotknął jej czoła, wodząc po nim czubkami drżących palców.

— Głuptasku... — odezwał się, a potem zamknął oczy i zaczął konać. Głowa jego dygotała z początku gwałtownie, potem coraz wolniej, miarowo; powoli opadł na poduszkę z zamkniętą już twarzą i tylko szybkie podrzuty oddechu podnosiły jego żebra.

Doktor uniósł powieki Fergusona, pomacał puls.

— Agonia — rzekł bardzo cicho.

Elda wstała z podłogi. Lękliwie rzuciwszy okiem na umierającego, potarła zdrętwiałe kolano i wybiegła, aby się przebrać.

Gdy powróciła, umarły był już przykryty prześcieradłem. Doktor i Gotorn siedzieli przy stole w drugim pokoju i przeglądali jego papiery.

Na widok Eldy wstali i Gotorn podziękował jej, dodając, że jedynie wyjątkowość sytuacji nie pozwala mu oddać sprawiedliwości jej talentowi, który poświęciła, choć to może wyglądać dziwnie, prawdziwie ludzkiej sprawie.

— A co pan sądzi? — zapytała doktora.

— Znakomicie — odpowiedział doktor. — Ale ciężko mi jest teraz o tym mówić.

Elda podeszła do Gotorna kreśląc parasolką na podłodze jakąś zawiłą figurę geometryczną.

— Chodzi o to — odezwała się z dziecinnym wyrazem dużych, szczerych oczu — czy zapłaci mi pan czekiem, czy gotówką? Zgodzi się pan chyba z tym, że jutro banki są zamknię-

te.

— Gotówką — odpowiedział Gotom podając jej przygotowany plik pięćdziesięciu banknotów.

Zarumieniwszy się z zadowolenia Elda przeniosła pieniądze na wolny róg stołu. Usiadła, aby je przeliczyć. Doktor długo przyglądał się, jak liczy banknoty, a potem zasepił się i zamknął oczy.

Przeliczywszy Elda poruszyła wargami i niepewnie spojrzała na Gotorna.

— Brakuje siedemdziesięciu pięciu — odezwała się. — Liczyłam dwa razy. Jeśli pan nie wierzy, proszę przeliczyć samemu.

— Wierzę i proszę mi wybaczyć roztargnienie — odpowiedział Gotorn dodając brakującą sumę. — Teraz niech pani idzie do auta. Wydałem już polecenie, by odwieziono panią do miasta.

— Dziękuję panu — powiedziała uszczęśliwiona, zmęczona i wstrząśnięta swym sukcesem. No, wszystkiego najlepszego... Proszę ode mnie złożyć na grobie waszego dziwaka trochę kwiatów. Ale tylko z inicjałami: „ES”.

Odprowadziwszy ją i popatrzwszy na nią z daleka, gdy samochód ostro skręcił, Gotorn powrócił do lekarza, który odezwał się:

— Ona jest słaba w arytmetyce.

— Zrobiłem to umyślnie, ponieważ przejrzałem ją i wiedziałem, że zacznie liczyć. A zrobiłem to w tym celu, aby całkowicie oddzielić Eldę od Angotei.

Przełożył *Seweryn Pollak*

Sześć zapalek

I

Miało się ku wieczorowi; napór sztormu był słabszy, ale fale nie nabrały na powrót tej malowniczości, jaka nastraja nas protekcyjnie wobec żywiołu morza, gdy leżąc na brzegu patrzymy w ich zieloną głąb.

Pomiędzy tymi strasznymi pionowymi masami wód o czarnej barwie szkliscie połyskiwało wgłębienie, które w tej samej chwili, kiedy się je dostrzegło, wzlatywało, wzdymało się i czerniało na wysokości dwupiętrowego domu.

W ciżbie mas wodnych błąkała się łódź prowadzona przez dwóch mężczyzn.

Przy wiosłach siedział mężczyzna bez czapki, o zdziczałej, wychudzonej twarzy, bosi i w łachmanach. Zaczerwienione oczy łzawiły mu od wiatru, twarz i szyja, poczerwiała od doznanych klęsk, porosły mu brudną szpeciną. Głowę z długimi jak u kobiety włosami przewiazaną miał chustką, czarną przy skroni od zaschłej krwi. Wiosłował odchylając się do tyłu całym ciałem i za każdym razem zamykając oczy. Jeśliby się śledziło, w jakim kierunku zwraca nieruchome spojrzenie, można by się domyślać, że ten człowiek patrzy na skrzynkę u burty.

Drugi siedział przy sterze i kierował łodzią z najgłębszą troską, aby nie pozwolić wściekłemu pędowi wody wytrącić sobie z rąk steru, który dygotał nieustannie, podobnie jak dygotały z najwyższego wysiłku ręce sternika. Mężczyzna ten był ubrany, a raczej rozebrany, podobnie jak i pierwszy, z tą tylko różnicą, że prócz bielizny, podartej, łopocącej na rękach i plecach, nosił przesycone smołą spodnie, ściągnięte skręconymi kawałkami drutu. Długie

czarne włosy smagały go po oczach; w ich spojrzeniu widać było więcej rozsądku niż w spojrzeniu jego towarzysza nieszczęścia. Twarz mu opuchła, przez silną opalenizną przebijało znużenie. Wąsy i broda zbiły się w kosmaty kłęb wokoło jego pogryzionych zapiekłych warg. Był muskularny, ciężki, poruszał się powoli i rzeczowo, nawet teraz, kiedy targało nim każde uderzenie fali i kiedy wydawało się, że całkowicie już stracił orientację.

Dno łodzi zalane było wodą, pływały tam uderzając o burty blaszanki od konserw, odłamki ław, które niedawno służyły za pochodnie, mokły tam również telepiąc się, gdy łódź przeskakiwała przez grzbiety fal, gałgany, kawałki skóry, strzępy papieru. Sami tego nie dostrzegając obaj żeglarze nieustannie drżeli drobnym dygotem, kuląc się pod zimnym wiatrem.

Wreszcie jeden z żeglarzy odezwał się powolnym i zaciętym głosem:

— Metlowen!

— Wyteż siły, Boss, chłopie, dobry, stary psie! — zawołał sternik. — Słyszysz, co mówię? Wiatr osłabł.

Boss uniósł głowę, poruszył wiosłami, jak gdyby od niechcienia i zaczął patrzeć na skrzynkę u burty.

Przez pewien czas milczeli. Niebo przed nimi stało się nieco czystsze i ściemniało, piana przestała przelatywać przez głowy żeglarzy, a pęd fal stał się bardziej równomierny. Nie wypuszczając steru, grubym końcem przywiązanego do pasa, Metlowen przechylił się w lewo i wyciągnął ze skrzynki burtowej złoty kieszonkowy zegarek, którego nie zapomniał nakręcać w każdych okolicznościach czterdziestodwudniowego błąkania się po falach. Przybliżywszy zegarek do oczu Metlowen ujrzał, że jest za dwadzieścia szósta.

Przez pewien czas trzymał zegarek w ręku, jak gdyby nie mógł się zdecydować na rozstanie z tym namacalnym dowodem trwale istniejącego za horyzontem spokojnego i bezpiecznego życia, po czym włożył zegarek do skrzyni. Kiedy uniósł głowę, dostrzegł spojrzenie Bossa, które ciężko jak wymówka legło na jego ręku.

Tymczasem bałwany zmniejszyły się i niespodziane uderzenia wód przemieniły się w spadziste zbrocza wodnych przełęczycy. Rozległ się huk tysiąca wodnych młynów.

Boss odezwał się:

— Na zachodzie nie ma nic. Po co mamy płynąć na zachód?

— Próbowaliśmy już wszędzie! — odrzekł Metlowen. — Musimy płynąć gdziekolwiek, ale stale w jednym kierunku. I niech mnie Bóg skarże, jeśli wiem, gdzie się znajdujemy.

Lęk jego był tak silny, że dosłyszał ostry, świszczący oddech Bossa. Oddech ten brzmiał jak jęk. Boss uniósł głowę i dzikim a niepewnym głosem powiedział:

— Chcę zapalić.

II

Metlowenowi potrzebna była dłuższa chwila, aby po usłyszeniu tego prostego oświadczenia pogodzić się z tym, co nieuniknione, zrozumieć, że przyszedł już na to czas. Zachnął się niespokojnie i z rozpaczą spozjrzał w ciemność. Strach pozbawił go wszystkich myśli i uczuć prócz bezsensownego gniewu na Bossa. On sam trzymał się, jeśli nie ostatnimi, to takimi siłami cierpienia, które, gdyby został sam, mogłyby go natychmiast opuścić, rzucając jego i łódź na los przypadku. Śmierć jednego z nich wróżyła bliski koniec drugiego.

— Hej, Boss — powiedział Metlowen hamując przekleństwo — jeżeli masz zamiar zdychać, to zrób to lepiej we śnie. Kładź się i śpij.

Boss nie zwrócił uwagi na jego słowa. Podtrzymując ręką głowę, mocniej wparł się nogami w dno łodzi i zaczął mówić, rozdzielając słowa chrypieniem przerywanego oddechu:

— Wiedziałem już o tym, gdyśmy wsiadali do łodzi. Tknięto mnie coś tak, jakby ktoś

machnął mi palcem przed oczami. W domu mi być nie sądzone — wiem o tym. Ani jeść, ani pić, Metlowen, nic z tego już nie będzie — chcę tylko palić. Nie możesz powiedzieć, że byłem złym kolegą. Straciłem siły i umarłem — i to wszystko. No, daj!

Mówił o połowie cygara schowanego na samym dnie skrzynki burtowej wraz sześcioma zapawkami. Zapawki i połówka cygara owinięte były w kawałek smołowanego brezentu, a brezent omotany rękawem starej kurtki. Zgodnie z umową wypalić ten niedopałek mógł tylko umierający. Przed dziesięcioma dniami Metlowen sprawdzając zawartość skrzynki znalazł ten pobrudzony i rozpuchły kawałek cygara na dnie pudła od jarzyn. Cygaro było własnością Butlera, ostatnie cygaro na trzech mężczyzn oszalałych na myśl o tytoniu. Palili je kilka razy po kolei, Butler oświadczył, że upuścił niedopałek do wody, a tymczasem przetrzymawszy go w rękawie schował w nocy do blaszanki.

Gdy Metlowen znalazł niedopałek, Butler był już nieprzytomny i umarł nie odzyskawszy świadomości.

— Prędeż, Metlowen — rzekł Boss — kręci mi się w głowie, źle ze mną.

Odczuwał cierpienie, podczas którego ciało jego jak gdyby na chwilę zanikało; pełen niepokoju zaczął wstawać. Gdy łódź przy przeskoku przez falę runęła w dół i silnie się wstrząsnęła, Boss zsunął się na kolana, a potem, siedząc na podkurczonych nogach, przypadł prawym ramieniem i policzkiem do burty.

W sytuacji, w jakiej znajdował się Metlowen, nie miał on żadnych środków, aby ożywić umierającego. Lęk, że pozostanie sam, przemienił się w dzikie nerwowe uczucie smutku i w napiętą uwagę, z jaką musiał teraz wypełnić ostatnie życzenie Bossa. A przecież powiedział:

— Wgryź się zębami w swój los, wstawaj!

— Długo będziesz się zastanawiał? — wychrypiął Boss z nienawiścią.

Metlowen przywiązał ster tak, aby nie zmienił położenia, to znaczy zakończenie sterownicy owinął sznurem z dwoma końcami, które przymocował do burt: jeden — do lewej, a drugi do prawej. Zrobiwszy to, popatrzał z powątpiewaniem na łódź, która, pozbawiona żywej kierującej nią do tej pory siły, zaczęła się odwracać, ale zdecydował, że wydobycie niedopałka — to sprawa jednej minuty i że przez ten czas ryzyko wywrócenia się łodzi jest niewielkie. Otworzył więc skrzynkę burtową i rozwiązał zawiniątko trzymając je na kolanach, aby nie upuścić za burtę.

Było ciemno, ale czuł, że Boss żyje teraz oczami w każdym jego ruchu. Wymacawszy niedopałek, Metlowen nie mógł powstrzymać pokusy, aby zacisnąć w zębach jego koniec, nadający ślinie mocny i gorzki smak, a później wciągnął jeszcze raz zapach tytoniu i oddał niedopałek Bossowi. Ręce ich spotkały się poszukując jedna drugiej i Metlowen zdziwił się, jak łączywie i mocno chwycił Boss swój ostatni poczęstunek.

— O-ho-ho! — rzekł chciwie Boss. — Ognia!

— Oddaj cygaro. — Metlowen wyciągnął rękę.

Nastało milczenie. Po chwili Boss wyciągnął rękę i Metlowen poczuł na swoim kolanie zimny kościsty ciężar. Była to ręka Bossa, który usiłował ironicznie poklepać swego towarzysza.

— Jeżeli się rozmyśliłeś... — cicho odezwał się Boss — i jeżeli...

Zabrakło mu sił, aby dopowiedzieć, rzuciło nim, to przyciskając go do burty, to znów z całej siły przechylając w bok, a wtedy Boss chwycił się brzegu burty. Metlowen wiedział, co tamten ma na myśli. Starając się być lakoniczny, aby falom i śmierci wydrzeć czas, Metlowen pochylił się do ucha Bossa i z mocą zaczął wbijać każde słowo do głowy na współprzytomnego człowieka:

— Mam sześć zapawek, które ty zepsujesz, nim zdołasz zapalić cygaro. Tylko ja dam radę zapalić. Trzeba to zrobić szybko, bo fale zbijają łódź i mogą ją zalać. Czy doprawdy sądzisz, że cię w takiej chwili oszukam?

Przez mgnienie Boss wahał się, a potem spojrzawszy prosto przed siebie i tak samo

prosto i gwałtownie wyciągnawszy zaciśniętą dłoń, pozwolił Metlowenowi wyjąć spomiędzy opuchłych palców przedmiot sporu. A wówczas Metlowen trzymając niedopałek w ustach usiadł tuż przy skrzynce, z której przezornie nie wyjął jeszcze zapalek, aby nie zawilgły. Pudełko z sześcioma zapalnikami leżało oddzielnie, zawinięte w długi pasek gazetowego papieru, oblepiony z zewnątrz pakim, który Metlowen powydłubywał ze szpar łodzi. Zdarłszy warstwę paku i ostrożnie wyrzuciwszy zapalniki na dłoń, Metlowen natychmiast przystąpił do operacji zapalania cygara.

Musiała się ona odbywać w gimnastycznych warunkach kołysania się i niespodziewanych podrzutów łodzi, co sprawiało, że zadanie to było nie mniej trudne, niż pisanie w czasie jazdy w trzęsącym się powozie.

Metlowen pochylił się nad skrzynką, wziął do ręki pudełko i wyciągnawszy zapalnik zdecydowanym ruchem potarł ją o draskę. Wprawdzie wiatr przycichł, ale pęd powietrza wystarczył, aby zagasić nikły płomynek. Ogień zapłonął, zadrżał i zgasł, zanim Metlowen zdążył donieść go do oczyszczonego z popiołu końca cygara.

Z drugą zapalniczką było jeszcze gorzej: osypała się z niej siarka jeszcze przed zapaleniem.

Metlowen wyprostował się i chwycił oddech. Przyszło mu na myśl, że trzymając cygaro w ustach nie zdoła go zapalić zarówno z obawy, by nie przypalić brody, co odbierało mu pewność ruchów, jak i dlatego, że z powodu przeskoków łodzi z grzbietu na grzbiet fali musiał walczyć z własną głową i ręką, aby doprowadzić je do zgodności ruchów. Skręcił w lont pasek papieru i potarłszy trzecią zapalniczkę przyłożył papier do ognia. Papier nie rozпалиwszy się dostatecznie zgasł, gdy tylko poruszył nim w kierunku cygara, ale tlił się dalej i Metlowen przez krótką chwilę usiłował wessać w cygaro część czerwonej, kurczącej się iskry. Gdy mu się to nie udało, ogarnął go lęk i niepewność, czy da sobie radę, tym bardziej że pozostały wszystkiego trzy zapalniki. Był to lęk podobny do lęku dziecka, które niesie pełny dzban mleka i nagle przychodzi mu na myśl, że rozleje; dziecko staje i zaczyna płakać.

Metlowen nie zapłakał, ale z zaschłym z niepokoju gardłem zbliżył się do pudełka czwartą zapalniczką, potarłszy ją tak ostrożnie, jak gdyby bał się wywołać wybuch.

Jasna linia wskazała granicę jego wysiłku i Metlowen pomacawszy główkę zapalnika stwierdził, że chociaż się nie zapaliła, to powinna zapalić się, nie osypawszy się jak druga. Potarł ją nerwowo, rozległ się lekki trzask, płomień wystrzelił i utrzymał się w silnym pędzie powietrza. Drewnienko zapalnika ogarnięte było do połowy płomieniem. Metlowen podnosił je powoli, zczekał na stosunkowo spokojną chwilę, przytknął zapalniczkę do cygara i straciwszy równowagę, uderzył podbródkiem o brzeg skrzynki. Płomień w dłoni, która się szarpnęła, aby czegoś się chwycić, musnął burtę i zgasł.

— Czwarta — odezwał się Boss hamowanym z napięcia głosem.

Na to słowo oczekującego bez skargi człowieka cała ambicja i opanowanie Metlowena rozgorzały niby świeca w twardej, wysoko wzniesionej dłoni. Prawie niedbale zepsuł piątą zapalniczką, kiedy starał się być beztroski, jak w hamaku, a zepsuł dlatego, że długo wodził ślepym końcem po pudełku, podczas gdy nasiarkowany koniec spociał się w wilgotnych palcach. Równie niedbale, z pogardą, z wyzwaniem do własnych ruchów, które stawały się bolesne, zapalił szóstą oświetliwszy ją na mgnienie wewnątrz skrzynki; zgasła ona tak samo obojętnie dla losów Bossa jak i poprzednie zapalniki. Kiedy się to stało, Metlowen zaczął drżącymi palcami wymacywać dno pudełka, szukając — z obowiązku szukania i bezmyślnie oczekując, co powie Boss. Rzeczowo wciągnął powietrze przez cygaro i nawet je głośno possał, nie wiedząc, co teraz będzie.

— Wszystkie? — spokojnie zapytał Boss.

— Tak... ale zdaje się jest jeszcze jedna — odpowiedział Metlowen. Gardło mu się ścisnęło i westchnął głęboko, zachłystawszy się gryzącą strugą dymu, która dostała mu się do nosa i gardła z nieświadomie rozpalonego niedopałka. Cygaro zapaliło się. Mała iskierka, która z tlejącego się papieru upadła na tytoń i której w pośpiechu nie dostrzegł, stopniowo

wywołała ogień.

Do głowy Metlowenowi uderzyło coś jasnego i słonego. Konwulsyjnym ruchem wyciągnął niedopałek do podnoszącego rękę Bossa i rzekł spiesźnie:

— Trzymaj, trzymaj, mocno, nie upuść. Zapaliłem.

Nie miał już czasu na rozważania ani na to, aby śledzić, co robi Boss: łódź brzegiem burty położyła się na wodzie. Metlowen szarpnął za sznur z lewej strony, ostro obrócił ster, aby nakierować dziób łodzi z biegiem fal i usiadłszy tak, jak siedział przedtem, zaczął patrzeć na powoli rozpalający się złoty krag, który oświetlał zamgloną i zsiniałą twarz z przepaską na czole.

III

Boss głęboko wciągnął dym, rozkaszał się, przegiął się całym ciałem i lzy zadowolenia ukazały się w jego zaognionych oczach. — „Tak, to daje pociechę” — wymamrotał, wydmuchując coraz gęściej dym ustami i nozdrzami, jak gdyby chciał napalić się aż do obrzydzenia. Odwykł od palenia i walczył z wywołanym przez nikotynę zawrotem głowy, ale myśli jego odżyły. Chwytał je, rozptyływały się i uchodziły z dymem, z życiem, gdzieś w dół, pod łódkę.

— Okropność — odezwał się — tak umierać... Gotowe!

Odnosiło się to do niedopałka, który wysliznął mu się z palców. Ogień zasyczał w wodzie. Boss siedział schylony nisko, później przeczołgał się do ławki i położył się na niej z rękami podłożonymi pod głowę. Był nieczuły na kołysanie, na zimną wodę, w której siedział. Wydawało mu się, że głośno mówi do Metlowena, aby tamten, jeśli ocaleje, napisał do jego rodziny, w rzeczywistości zaś milczał leżąc bez ruchu.

— Boss! — zawołał Metlowen. Umierający powrócił do świata realnych dźwięków i rzekł, kończąc głośno to, co mówił w myśli:

— Więc będziesz pamiętał?

Nie powiedział już nic więcej. Metlowen siedział obracając sterem, przysłuchując się i zastanawiając, czy Boss jeszcze żyje. Boss żył i Metlowen wiedział o tym.

— Jeszcze jesteśmy we dwóch — powiedział wpatrując się w leżącego i odczuwając jego życie jak gdyby w swoim ciele. Boss leżał całkowicie nieruchomo, jeśli nie liczyć lekkich poruszeń ciała wywoływanych kołysaniem fal. Jego nieruchoma postać widniała jak niewyraźna, pokorna bryła.

— Boss — odezwał się Metlowen cichym głosem. Odpowiedzi nie było i być nie mogło, ale nie było jeszcze i śmierci, i Metlowen znów pomyślał bez słów: „Jesteśmy we dwóch”. Pilnie bacząc na łódź i na Bossa niejednokrotnie powracał do tego odczucia istnienia we dwóch, które czasami nikło, a on niecierpliwie poruszał się na swoim miejscu, jak gdyby mogło to pomóc, ażeby tym wyraźniej usłyszeć słowo: „Dwóch”.

Nagle — a przyszło to jak niespodziane wspomnienie, które ukazuje się naraz — przez ciało Metlowena, przez jego myśli i przez to miejsce liny, której przytrzymał się ręką, przemknęło poczucie czegoś i s t o t n e g o, niepodobne do żadnego z uczuć, czy też wyobrażeń rzeczy, ale w pełni wyraziste. Coś zaszło. Z niejasną i trwożną zachętą Metlowen rzekł głośno:

— Boss! Ocknij się!

W tej samej chwili znikło uczucie d w ó c h. „Jesteśmy we dwóch” — pomyślał z naciskiem Metlowen, oczekując żywego potwierdzenia w głębi siebie, ale słowa „jesteśmy we dwóch” tępo odbiły się od jakiejś głuchej przeszkody i tępo powróciły z powrotem.

A wtedy Metlowen uświadomił sobie, że jest s a m w łodzi i ze stygnącą nadzieją płynie długą zdradziecką nocą w poszukiwaniu ocalenia.

Rankiem dostrzegł go bryg „Saturn” i wziął na pokład.

Przełożył Seweryn Pollak

Renée

I

Bramę zamknięto.

Nowicjusz, który przechodził przez podwórze, pilnowany był starannie. Otaczał go oddział żołnierzy. Odźwierny przez cały czas, kiedy niebezpieczny przestępca znajdował się w polu jego widzenia, nie wypuszczał z rąk rewolweru.

Champolion uśmiechnął się pogardliwie. Prowincjonalne więzienie z jego staromodnymi kluczami, malowniczą pleśnią na murach i z oknami przypominającymi strzelnice śmieszyło człowieka, który wymknął się z gigantycznych międzynarodowych pułapek Paryża, Londynu i New Yorku — z wzorowych więzień czystością dorównujących szpitalowi, a beznadziejnością — mogile. Wpadł przypadkiem i nie wątpił, że ucieknie przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Na prawo od bramy, przylegając do zewnętrznej ściany więzienia, stał dom naczelnika więzienia; część jego okien z wprawionymi podobnie jak w więzieniu kratami, wychodziła na dziedziniec. Naczelnik, znacznie bardziej niż Champolion zdenerwowany odpowiedzialnym i nader ważnym wydarzeniem, siedział za biurkiem w ponurej kancelarii więziennej szykując się, aby z godnością spotkać legendarnego gościa, a w mieszkaniu przy oknie stała Renée, córka naczelnika. Widziała, jak Champolion szybko odwrócił głowę prześlizgując się wzrokiem po zakątkach dziedzińca — był to nawyk drapieźnika, który wszędzie spodziewa się zasadzki lub nadającej się do ucieczki szczeliny. Nie dłużej niż na sekundę wzrok Renée spotkał się ze spojrzeniem Champoliona. Dostrzegł młode oczy i niejasny w cieniu bluszczu zarys twarzy.

Ale ona widziała go całego. Twarz jego, namiętna i delikatna, o wyniosłych, zimnych oczach, błyszczących nieruchomo pod wysoką krechę brwi, tchnęła życiem pełnym ogromnego, nieuchwytnego napięcia na podobieństwo pozornej nieruchomości elektrycznego wału dynama, którego wichrowego obrotu nie sposób pochwycić wzrokiem. Champolion znikł pod arką, ale Renée długo się jeszcze wydawało, że oczy jego błyszczą w przestrzeni, gdzie spotkały się ich spojrzenia.

Tego dnia ojciec z córką jedli obiad później niż zazwyczaj. Stary Maspero długo zajęty był w więzieniu, lustrował przeznaczoną dla przestępcy celę, sprawdzał klucze i zamki, ostukiwał kraty i wydawał mnóstwo rozkazów, aby odizolować Champoliona od świata za murami. Uwieńczeniem zastosowanych środków ostrożności był rozkaz, aby czterech ludzi konwojowało aresztowanego przy każdym jego wyjściu z celi. Zresztą Maspero miał nadzieję, że przyspieszy przeniesienie Champoliona do więzienia centralnego i w ten sposób uwolni się od ciężaru odpowiedzialności. Pomimo tych wszystkich środków zapobiegawczych Maspero, zaniepokojony tak wyjątkowym wydarzeniem, wszedł wreszcie sam do więzienia z półoficjalnym uśmiechem, przypoehlebiając się temu, kto przez swoje czyny i opinię stał się panem sytuacji.

— Będzie pan dobrze traktowany — wymamrotał — ale i pan musi mi obiecać, że stąd nie ucieknie. Niech pan ucieka z innego więzienia, skąd pan chce, ale niech pan ma litość nad

starym człowiekiem! Mogą wypędzić mnie z posady. Zostanę z córką bez kawałka chleba.

— Dobrze — powiedział Champolion i roześmiał się. Niedbale rozwalił się na pryczy opierając się na łokciu, w pozie jego było coś swobodnego, co rozsadzało mury więzienia. Maspero wyszedł ze ściśniętym sercem.

Przy obiedzie naczelnik więzienia opowiedział córce okoliczności aresztowania Champoliona. Obława zapędziła przestępcę na plac jarmarczny, gdzie właśnie w tym czasie słynny linoskoczek Dagneau szykował się do przejścia po linie przez rzekę z każdym, kto by tego zapragnął, na ramionach. Champolion, wmieszawszy się w otaczający akrobatę tłum, tak szybko i zdecydowanie wyraził zgodę na propozycję Dagneau, że wywiadowcy dopiero po kilku pytaniach rzuconych obecnym domyślili się, kim jest ten, kto, niepochwytny dla nich, posuwa się po linie na ramionach linoskoczka, prawie dochodząc już do przeciwległego brzegu. Szerokość rzeki odbierała wszelką nadzieję wyprzedzenia śmiałka łodzią i Champolion na pewno zdołałby się ukryć, gdyby nie nieprzewidywany wypadek, który przytrafił się Dagneau: wygięła się sprzączka u rzemieni przytrzymujących Champoliona, ześliznęła się w dół i pasażer naruszył wspólną równowagę. Obaj wpadli do wody. Dagneau, doświadczony pływak, sam się uratował i wyratował Champoliona, ale ten ogłuszony upadkiem, stracił przytomność. Pochwycono go.

Renée jadła mało, słuchała uważnie i oczy jej błyszczały jak dzieciom w teatrze. Odezwała się:

— Dziwne, że taki człowiek jest przestępcą.

— I w dodatku bezlitosnym — stwierdził ojciec.

„Takich jak on może zmienić tylko miłość” — pomyślała dziewczyna. Champolion pobudził jej wyobraźnię; jego życie, jego zdolności i obecność tuż w pobliżu, nie dalej niż czterdzieści stóp od stołu, przy którym jedli obiad, wydawały jej się cudem barwnej nocy wśród drobnej przymusowej systematyczności powszedniego życia. Ciężył nad więzieniem, nad świadomością, zaprzętał myśli. Renée czytała o nim w gazetach sprawozdania sądowe i notatki z kroniki — były to prawdziwe romanse tajemnic; postać Champoliona w pełni odpowiadała jej wyobrażeniu o nim.

Reszta dnia i wieczór minęły całkowicie pod wrażeniem tego człowieka. Przyjeżdżali prokuratorzy, sędziowie, adwokaci, komendant garnizonu i po prostu ciekawscy ze świata oficjalnego. Maspero prowadził ich, aby sobie obejrzeeli aresztanta przez sekretny otwór w drzwiach. Renée usłyszała mnóstwo opowieści. Champolion był synem wysokiego dygnitarza i cyrkówki. Wszechstronnie wykształcony, znał wszystkie języki europejskie, był przy tym zamiłowanym sportowcem. Wszystkie swoje zamysły realizował pod względem psychologicznym i technicznym z dokładnością formuł matematycznych. Był wynalazczy i nieustraszony. Miał na swoim koncie mnóstwo rabunków, szantaży, rozprutych kas bankowych, trzech zdumionych miliarderów (mówimy: „zdumionych”, ponieważ własność amerykańskich władców chroniona jest w sposób idealny) i sześć morderstw, dokonanych z przestępczych konieczności, czego nie zaprzeczały nawet władze. Nie żałował pieniędzy. Kompani i kobiety uwielbiali go.

Cela, w której go zamknięto, mieściła się na parterze, naprzeciw bramy. Okna jej były na poziomie płyt dziedzińca. W nocy Renée widziała, jak słabo od wewnątrz oświetlone okno odbija rytmicznie majaczący na kracie cień — to Champolion chodził myśląc o swoich sprawach. Nad ranem Renée miała sen pełen lęków, łez i dręczących widzeń.

II

Renée urodziła się i wychowała w więzieniu. Poród zabił jej matkę, dziewczynka rosła pod opieką ojca. Domowe wykształcenie otrzymała dzięki dwóm więźniom, jeden z nich, były nauczyciel, spędził w więzieniu cztery lata; drugi, skazany na krótszą karę, dawał Renée lekcje w piętnastym i szesnastym roku jej życia. Był to poeta, który zmarnował sobie życie zabijając kochankę żony. Znał doskonale historię, jego wyobrażenia, zgodnie z jego nieszczęściem, karmiła się z lubością historycznymi epizodami więziennymi: Latude, Żelazna Maska, Benvenuto Cellini i inni byli stałym przedmiotem jego rozmów. Renée od urodzenia słyszała brzęk łańcuchów, skrzywienie więziennych zaworów, widziała smutne, beznadziejne spojrzenia konwojentów i więźniów. Stałe rozmowy ojca i jego gości o życiu więzienia, o sądach, ucieczkach i karach, przy jej uporczywej skłonności do marzeń, nauczyły ją wyobrażać sobie życie jako powszechną okrutną niewolę, którą zniweczyć mogą tylko bohaterowie. Charakter miała skryty i ponury. Nawyk czytania, upiększania i idealizacji wyimaginowanego życia tworzył w jej duszy wieczny konflikt z rzeczywistością, drobiazgową, chaotyczną i ubogą. Marzyła o błyskotliwym odrodzeniu, wybuchu uczuć i wydarzeń, o buncie w imię nieznanego szczęścia.

Champolion władczo zagarnął puste miejsce w jej świadomości, miejsce, gdzie winien był dudnić dzwon uczuć, zestrzelonych w jedno ognisko. Niewiele myślała o jego zabójstwach. Były to zbyt banalne fakty w jego niezwyklej biografii. Jego zbrodnicza awanturniczość nazbyt zaskakiwała uwagę, aby mogła podlegać jakimś hańbiącym określeniom. Jednakże Renée była mądra i serce miała czyste. Nie sądziła, aby całkowicie ukształtowany charakter, temperament i sposób życia mogły naraz się zmienić. Ale wierzyła, że wszystko to, zachowując swój kształt, może nabrać uszlachetnionych treści. Wyobrażała sobie genialne zdolności Champoliona wyładowujące się w tym samym awanturnicznym stylu, prawdopodobnie właściwym mu organicznie, ale ożywionym, powiedzmy, innymi bodźcami. Widziała go jako Rocambola, który wyzwala porwane dzieci, restytuuje testamenty, odbiera zrabowane skarby, wreszcie zabija potwory w ludzkiej postaci — słowem, łamie prawo tam, gdzie jest ono bezsilne, wypaczone lub też przekupione. W działalności tego rodzaju zachowałyby się wszystkie dawne chwytły i metody, cały urok ryzyka i napięcia, cała koncentracja sił. Champolion stałby się przekazaną w ludzkie ręce opatrnością, ze wszystkimi ludzkimi namiętnościami, błędami i pasjami. Byłaby to, można by rzec, opatrność, która by swój mistyczny aparat rozmiętała na sztylet i wytrychy.

Renée w tym czasie skończyła dwadzieścia lat. Była w miarę wysoka, a doskonałość jej budowy przejmowała kornym zachwytem. Jej wspaniałe, bujne i długie ciemne włosy zaplecione były w jeden warkocz prawie trzy razy otaczający głowę. Białe, delikatne, o miękkim zarysie wysokie czoło odpowiadało poważnemu wyrazowi twarzy o jasnych oczach, patrzących spokojnie, ale smutno. Namiętna, surowa fałda ust cudownie przeobrażała się w uśmiech, zaraźliwie otwarty i czysty.

Pomimo że Maspero od pierwszego zaraz dnia robił gorliwe starania o przeniesienie Champoliona do więzienia centralnego, jednakże różne formalności sprawiły, że aresztant pozostawał w S.-J. przez pięć dni.

III

Nie sposób przeprowadzić granicy, gdzie kończą się przecucia, a zaczyna prawdziwa miłość. Najlepszym na to przykładem jest zasypianie. Ktoś, kto zasypia, jest jeszcze tutaj, na

łóżku, zdaje sobie z tego sprawę odczuwając swoje ciało, pościel, oddech, ale myśli jego są już fantastycznie zniekształcone, a ciemność zamkniętych oczu pełna jest mimowiednie pojawiających się scen. Wszystko jest poplątane, postrzępione, sen i jawa przedsenna zlewają się w zamglonej świadomości i oto gdzieś tam, niepochwytne, nagle gaśnie jakiś najciemniejszy promyk. Głęboki sen ogarnia duszę, w tym innym świecie człowiek żyje i działa jak w dziwnej fantasmagorii.

Na czwarty dzień Renée ujrzała Champoliona na przechadzce. We wszystkich kątach dziedzińca stali uzbrojeni wartownicy, z ponurą ciekawością obserwując każdy ruch więźnia. Z tchórzostwa nie zakuto go w kajdany, chodził szybko po przekątnej dziedzińca pałac w skupieniu papierosa. Renée stała przy oknie, nieco z boku, w cieniu bluszczu. Przyjrzała mu się dobrze. Poruszał się z lekkością noża przecinającego powietrze, gwałtownie odwracając się przy końcu przekątnej na podobieństwo wzbijającego się w powietrze ptaka. Jego zimne magnetyczne spojrzenie padając na mury, na okno, za którym stała Renée, i na twarze wartowników, zdawało się pozostawiać wszędzie niewidzialny ślad.

Serce Renée biło głucho i mocno. Bała się spotkać wzrok Champoliona, a jednocześnie pragnęła tego. Słońce wysliznąwszy się spoza dachów rozświetlało dziedzińiec i głąb zakratowanego okna. A wówczas Champolion ujrzał Renée. Jej nieruchome spojrzenie, lekki uśmiech i coś w wyrazie twarzy — jakieś uszczęśliwione roztargnienie — sprawiły, że zaskoczony drgnął i powstrzymał krok. Był w odległości trzech kroków od okna, gdy odezwał się, czując, że się nie pomylił:

— Zdaje się, że panią wczoraj widziałem, byłoby lepiej... dla mnie, gdyby się to nie stało.

Jego spokojne, nieruchome spojrzenie wzmocniło znaczenie słów, wypowiedzianych tak, że słyszała je tylko Renée. Zarumieniła się, ale nie odeszła od okna. Ogarnął ją niepokój i smutek. A tymczasem Champolion, przechodząc obok wartownika, powiedział mu coś takiego, na co żołnierz wybuchnął głośnym śmiechem. Renée zapamiętała to. Zmusić do śmiechu najokrutniejszego i najbardziej ponurego z wartowników — to było nie byle co.

Z wielu względów Champolion wolał uciec z tego więzienia niż w czasie transportu albo też z więzienia w wielkim mieście. Po ośmiu poprzednich ucieczkach mógł się spodziewać przy dalszym transporcie wyjątkowo surowych środków ostrożności, które by z ucieczki uczyniły długotrwałą chińską łamigłówkę, wymagającą ryzyka i skomplikowanej zorganizowanej pomocy. Dlatego też podszedłszy znów do okna i chcąc się przekonać, czy rzeczywiście pod tym względem osiągnął sukces, powiedział tak samo miarkując ton i siłę głosu:

— Jak się pani nazywa?

— Renée.

— Renée, czy dadzą mi „wesołą wdowę”?

— Nie — odrzekła niemal wbrew woli, samymi wargami, i odeszła.

Champolion zrozumiał. Renée przeszła do stołowego pokoju, wyrównała serwetę, zamknęła leżącą na kanapie książkę, potem otworzyła drzwi do gabinetu ojca, w zamyśleniu podciągnęła wagi ściennego zegara i usiadła usiłując się skupić. Myśl o ojcu, przedtem tak troskliwa i jasna, była teraz okrutna i uparta, skierowana na jeden sprzyjający zamysłowi cel, który krył się w mroku uczuć, a każde ich poruszenie dudniło jak dzwon. Wiedziała, że się nie cofnie. Monotonny bieg jej życia miał się ku końcowi i nagle się urywał.

Wieczorem przed snem odezwała się do ojca:

— Nie mogę sobie wyobrazić, co by było, jeśli by Champolionowi udało się uciec.

— To bardzo proste — zmarszczył się Maspero. — Śni mi się to każdej nocy. Mnie wyrzuca z posady, a ty pójdziesz do pracy jako sprzedawczyni albo praczka.

Renée zmilczała. Słowa ojca roztkliwiły ją, ale nie przejęły, były jak skarga beznadziejnie chorego, któremu i tak sądzona jest śmierć. Znikła wewnętrzna więź pomiędzy nią a przeszłością. Czuła się obca, w obcym domu, z obcym, godnym litości i przeszkadzającym jej

człowiekiem. Ślepa na przeszłość, ogłuszona miłością, była bezradna i silna. Stworzony przez nią nowy świat przygniatał ją burząc wszystko.

— Będziesz musiał sam go pilnować.

— Tak, tych kluczy — uderzył dłonią w blat biurka — nie daję nikomu, nawet memu zastępcy. Służą do nocnych obchodów.

— Zapasowe?

— Tak, zapasowe, Renée. Mój rejestr prosi, żebyś wyszła, bo inaczej popłacze cyfry.

Renée rozebrała się i położyła do łóżka nasłuchując, co się dzieje w domu. Maspero pracował do w pół do drugiej. Słyszała, jak pogwizduje, co oznaczało koniec roboty, później Maspero wszedł na górę do swojej sypialni. Renée leżała spokojnie i czekała, kiedy cisza doda jej w końcu odwagi. Ale ciszy nic nie naruszało. Z kuchni i z góry nie dochodził najmniejszy szelest. Renée wstała z dojmującym uczuciem ryzyka.

Ponieważ w gabinecie było ciemno, Renée chciała zapalić świecę, ale po chwili zastanowienia nie odważyła się na to. Klucz od biurka Maspero kładł do pudełka z papierem listowym; tak też było i tym razem. Wzięła go z lękiem mordercy unoszącego nóż nad ofiarą.

Ten mały kluczyk, zdawało się, skupił w sobie całą moc więzienia — tak dojmująco poczuła jego ciężar w ręku. Od tej chwili aż do końca nie opuszczało jej niejasne wyobrażenie okropności, jaką powinna by odczuwać, jednakże niebezpieczeństwo rozpraszało prawdziwy lęk, i tylko jego cień siedł za nią przez cały czas, póki trwał dramat.

Renée miała plan całkowicie obmyślony, prosty i po kobiecemu mądry, ponieważ nie wykraczał poza realne okoliczności.

Prawe skrzydło więzienia łączyło się korytarzem z oficyną Maspera: żelazne drzwi wiodły do niego z kuchni. Tędy właśnie Renée miała zamiar przejść do więzienia.

Z pękiem kluczy w ręku, z głową okrytą chustką, gotowa na wszystko, po omacku znalazła pióro i kartkę papieru, i na ślepo napisała jedno zdanie pożegnania: „Tatusiu, wybac! Renée”.

— Wybacz... — szepnęła i nagle zapłakała, ale równie nagle powstrzymała łzy.

Służąca spała w sieni. Renée przeszła przez kuchnię i zatrzymała się przed drzwiami, bo musiała zapalić świecę — bez tego nie sposób było dojrzeć klucz i otwór w zamku.

Drzwi się otworzyły. Zawsze tu stał wartownik. Ujrzawszy córkę naczelnika wstał ze stołka. Renée rzadko bywała w więzieniu i nigdy nie przychodziła w nocy, i dlatego wartownik zdziwił się. Pod jego czujnym spojrzeniem Renée zebrała wszystkie swoje siły. Powiedziała:

— Ojciec jest niezdrowy, przyszedł zamiast niego. Numer dwudziesty trzeci jutro rano ma być przewieziony pod konwojem do D., chcę obejrzeć celę i sprawdzić, czy aresztant nie przygotował czegoś do ucieczki.

— Wątpliwe, jest dobrze strzeżony.

— No tak, obiecaliśmy zastosować wszystkie środki ostrożności.

Niedbale podzwaniając kluczami zesłała po kręconych schodach na korytarz parteru. Panował tu piwniczny mrok. Przyćmione czerwone światło lamp oświetlało symetryczny szereg drzwi w głębokich niszach.

Wartownik, który stał w końcu korytarza, szybkim krokiem zbliżył się do dziewczyny. Powiedziała mu to samo, co pierwszemu — i z tym samym skutkiem. Żołnierz nachyliwszy się zabrzączał kluczami w zamku celi numer dwadzieścia trzy.

— A teraz — rzekła Renée — proszę nie odchodzić od drzwi i wejść natychmiast, gdy zawołam... w razie czego.

Nogi jej się uginały, ale twarz miała dalej posępną i rzeczową. Pchnąwszy drzwi, zamknęła je bez pośpiechu i znalazła się twarzą w twarz z Champolionem.

Jakkolwiek droga była każda chwila, z początku nie miała sił unieść oczu. Po chwili spojrzała i opuściło ją zmieszanie. Miłość, wstyd, zdenerwowanie, ciężar ciemnej przyszłości

— wszystkie uczucia skamieniały w niej, poza namiętym, pożerającym pośpiechem. Champolion patrzył na nią ponurym wzrokiem, niczym nie zdradzającym ani radości, ani nawet nieco szyderczej ciekawości, co będzie dalej. Był ubrany.

— Niech pan stanie za drzwiami — szepnęła Renée — gdy wejdzie wartownik...

Pojmując wszystko, bezszelestnie wziął kołdrę i stanął w kącie.

— Ach!... Kival... — zawołała z cicha Renée. — Niech pan tu wejdzie!

Wartownik wszedł szybko i zasłonił drzwiami Champoliona. Za chwilę już się dławił, szamocąc się z głową w kołdrze. Champolion przewrócił go, związał mu nogi rzemykiem od rewolweru, a ręce prześcieradłem i wstał ciężko dysząc.

— Teraz niech pan idzie... — zmarszczyła się, widząc, że powtórzy się scena walki. — Niech pan przejdzie do końca korytarza, aż do schodów i szybko, bezszelestnie wejdzie na górę, gdy upuszczę klucze.

Poszła przodem, a Champolion rozerwawszy siennik wytrząsnął z niego słomę i z płótnem w ręku szedł w pewnej odległości za Renée. Dziewczyna podeszła do wartownika przy drzwiach od kuchni.

— Wszystko w porządku — usiłowała otworzyć zamek, ale nie udało jej się — co z tym zamkiem? Niech pan spróbuje, nie mogę otworzyć.

Wartownik, odwrócony plecami do schodów, wyciągnął rękę i pochylił się, aby podnieść klucze, które Renée podając mu upuściła. Korytarzem przebiegł żelazny huk.

Szybciej, niż mogła się spodziewać, Renée ujrzała, jak Champolion siedział okrakiem na obalonym żołnierzu, którego głowa zamotana była w płócienny worek. Renée pomogła Champolionowi związać go, a potem małą rozpaloną dłonią uchwyciwszy za rękę Champoliona przeprowadziła zbiega przez ciemne pokoje do głównych drzwi, które wychodziły bezpośrednio na pusty zaułek. Nie było tu już wartownika — wieczny błąd przezorności, która ogarnia wejrzeniem całe horyzonty, a nie dostrzega pod butem skórki od pomarańczy.

Wyszli. Padał deszcz, raz po raz uderzał porywisty wiatr.

— Wszystko skończone — rzekła Renée.

— Nigdy tego pani nie zapomnę — odezwał się Champolion. — A więc... jestem wolny.

— I ja.

— Muszę się spieszyć — ciągnął Champolion, domyślając się, co przez to chce powiedzieć Renée, ale sprzeciwiając się temu okrutnie i drapieźnie. Brał swoje, łamiąc cudzy los, chciał być sam. — Uciekam, uciekam spieszenie do moich przyjaciół. A pani?

— Ja? Czyżby...

Szli w tej chwili obok siebie głuchym zaułkiem. Lał deszcz, porywiście raz po raz uderzał wiatr.

Skuliła się i duszy jej dotknął cień przecucia. Champolion powtórzył:

— Idę do moich przyjaciół. Słyszysz pani?

Wciąż jeszcze nie rozumiała, siłą inercji szła obok niego, ciężko dysząc i z trudem przyspieszając kroku, ponieważ Champolion szedł wciąż szybciej, prawie biegnął. A wówczas, przekonany o jej natręctwie, zatrzymał się gwałtownie i odwrócił się.

— No! Czego pani chce? — zapytał szybko, ze złością.

— Ja...

Zamilkła. Lekko, krótkim i obojętnym ciosem uderzył ją w pierś — tak po prostu, jak popycha się odporne drzwi.

Renée upadła. Gdy się podniosła, w zaułku nie było nikogo. Padał coraz mocniejszy gęsty jesienny deszcz.

IV

Minęły dwa lata.

W obszernym mieszkaniu przy ulicy Padyszacha siedział jakiś mężczyzna, z ręcznie ukształtowanymi na Anglika. Jego rozmówca, przysadzisty pan o tłustej twarzy, stał przy oknie patrząc na ulicę. Mówił nie odwracając się, ścisłym głosem.

— W ubraniu w paski, wczorajszy — rzekł. — Wygląda na szlifibruka. Kupuje gazetę.

— Zwykła historia — odparł drugi. — Tak się zaczęło z Tessi. Zdaje się, że teraz na ciebie kolej, West?

— Czy nie na ciebie, kochany Champolionie?

— Nie, zwyczajny tajniak z tym sobie nie poradzi. Stale jestem w ruchu, i to w sposób nieoczekiwany.

— Tak. Ale po jakim obwodzie?

Champolion drgnął. West celnie określił sytuację. Krąg wciąż się zwężał. Zaczęło się to jakieś sześć miesięcy temu. Niebezpieczeństwo, jak zaraza, przerzucało się z miasta na miasto; całe dzielnice stawały się niebezpieczne, coraz bardziej zmniejszała się wolna przestrzeń, na której słynny przestępca mógł jeszcze działać, i to zachowując mnóstwo ostrożności. Nie udawało mu się tam, gdzie ściśle wyliczenie bezbłędnie zapowiadało żniwa. Sprawy szły źle, ginęły ważne listy, sześciu drugorzędnych i dwóch najbliższych współników siedziało w więzieniu. Champolion walczył z nowym niewidzialnym wrogiem, który według informacji nie miał nic wspólnego z leniwą i niemal w całości przekupną policją państwową. Dreptała ona bezsilnie w miejscu, czasami hałaśliwie dążąc za śladem własnych stóp. Champolion niejednokrotnie był systematycznie śledzony, ale tym razem było to prawdziwe prześladowanie, tropienie jego śladów. Tym razem często wyprzedzano jego zamysły, ścigano go ze wszystkich stron — tak, że nieraz jedynie wyjątkowa przebiegłość ratowała go przed toporem „wesołej wdowy”: polowała na niego okrutna i twarda ręka. Ogromne stosunki, jakimi rozporządzał, nie zdały się na nic, były bezradne nie mogąc wyjaśnić, kto to wszystko organizował, a on sam dążył do tego, aby wyrwawszy się z kręgu zmusić obławę do zderzenia się wzajem na pustym miejscu, ale do tej pory nie udawało mu się tego dokonać. Rozszerzając się, to znów coraz silniej ścieśniając, zakłęty krąg nie wypuszczał ofiary poza swoją giętką linię.

— Warto by było — odezwał się Champolion, przemilczając uwagę Westa — dać temu szpiclowi przewodnika.

„Przewodnika”, to znaczy osobę, która ściągała na siebie uwagę wzbudzając podejrzenie, używano w wypadkach niejasnych dla sprawdzenia, czy rzeczywiście zarządzono obserwację i kogo właściwie obserwowano; była to dywersja w pustkę.

— Ale on odszedł — odparł West.

— Tym lepiej.

Champolion pierwszy dostrzegł agenta. Gdyby nie to, West nie musiałby mrugnąć, co oznaczało rozkaz odejścia.

— West, jutro wrócę. Gdyby się coś zdarzyło, to zadzwoń.

— No tak.

Rozmowa ich przeszła na mroczną dziedzinę grabieży, po czym Champolion wyszedł.

West włożył ręce do kieszeni i uniósł się na palcach. Na jego nieruchomej twarzy, doskonale maskującej w obecności Champoliona wewnętrzne rozbawienie, kąciaki oczu drgnęły w jasnym uśmiechu. Usiadł i zamyślił się głęboko.

Champolion ze wszystkimi ostrożnościami, właściwymi jego nawykom i sytuacji, doszedł do innego mieszkania. Dama, z którą się przywitał, była wspaniałym wcieleniem kobiecości w tej rzadkiej postaci, która zachwyca i wzrusza. Jej spokojną piękność i oczarowanie, jakie wzbudzała, należałoby nazwać raczej ukojeniem niż zachwytem — głębokim wytchnie-

niem serca. A jednocześnie nie było w niej nic niezmiernego, żadnych mistycznych, chorobliwych cieni rozmarzenia, wszystko świadczyło o rozkwicie, zarówno twardy uścisk dłoni, jak dźwięczny, miły głos.

Poznali się dwa miesiące temu w skromnym uzdrowisku — miejscu przymusowego odpoczynku Champoliona. Siedząc tu dla bezpieczeństwa spotkał młodą wdowę, Polinę Tourneil. Zbliżenie zapoczątkowała poważna rozmowa o życiu, która rozpoczęła się przypadkiem, ale doprowadziła do tego, że elegancki cynizm Champoliona, pod głębokim wrażeniem, jakie wywarła na nim młoda kobieta, szacunku dla niej zamaskował się pod postacią chwiejnego, pesymistycznego poglądu na świat.

Tak, z szacunku. W życiu Champoliona wiele było związków i kobiet epizodycznych i Champolion bynajmniej ich nie szanował. Kochały go jako żywą sensację, Ignęły do niego pokornie i z drzeniem, oddając się w dobrowolną niewolę tajemniczego, złowróbnego cienia, towarzyszącego niebezpiecznemu kochankowi. Przykuwały je do niego ciekawość i strach. Wszystkie jego poprzednie kochanki odznaczały się jakąś krzykliwością ducha, w różnym oczywiście stopniu, ale jednakowo przypominającą kwiatek przyozdobiony dziwacznie sterczącą kokardą. Nie wierząc w istnienie kobiet o innym usposobieniu, przypadkiem spotkał żywe ich przeciwieństwo i w głębi duszy zrozumiał to. Spotkania ich powtarzały się, szukał do nich okazji, a kiedy wreszcie powiedział „kocham”, poczuł, że powiedział niemal prawdę. Nie wiedziała, kim jest. Jej „tak”, jak można było sądzić, wyrosło z samotności, sympatii i ze szlachetnej ufności, właściwej naturom wielkodusznym. Później przybrał maskę spiskowca politycznego, aby choć tym wytłumaczyć skomplikowaną tajemniczość swego życia — było to rola popłatna nawet w złym wykonaniu, czego nie można było powiedzieć o Champolionie. Przy tym odważny sceptyk jest zawsze czymś wspanialszym od najbardziej pompatycznego idealisty. Wiedział, że oszust, nawet najwyższej klasy, nie może być bohaterem Poliny, i tak przywykł do swojej roli, że niekiedy w myśli dalej prowadził kłamliwą rozmowę w stylu i tonie rozpoczętej z Poliną.

Miała charakter otwarty i równy, jej wykształcenie, w sposób naturalny kojarząc się z wrodzonym rozsądkiem, nie zaskakiwało niemiłym demonstracyjnym wysuwaniem własnych atutów; jej wesołość nigdy nie była obrażająca, jej smutek potęgował miłość, jej pieszczoty były ciepłe i czułe, a namiętność — czysta jak na wpół rozchylone usta małej dziewczynki. Bez najmniejszego wysiłku zagarnęła i trzymała przy sobie Champoliona tylko tym, że żyła na świecie.

Champolion oderwał prawy bokobrod i ścierał charakteryzację, za lewy leciutko pociągnęła Polina i bokobrod odlepił się, przy czym odciągnięty policzek wydał zabawny, głuchy dźwięk.

— Dziękuję — powiedział. — Przez trzy dni nie mogłem tu przyjść i tęskniłem za tobą.

Objął młodą kobietę i przypadł do jej twarzy w długim pocałunku, odwzajemnionym, chociaż krótszym, ale nie mniej wyrazistym. Ręka jej nadal spoczywała na jego ramieniu, a potem przesunęła się poprawiając plasteron.

— Masz kłopoty?

— Tak. Ściągają mnie.

— Więc trzeba pomyśleć — odezwała się, drgnawszy i z poważnym wyrazem twarzy siadając przy stole. — Czy sytuacja jest aż tak kiepska?

Champolion zaczął opowiadać nie uciekając się nawet do jaskrawego przekręcania faktów. Każde prześladowanie jest w istocie jednakowe — niezależnie od tego, kto mu podlega, złodziej czy Garibaldi.

— Boże! Pilnuj się, Collar! — rzekła Polina. — Czy chcesz jechać do Ameryki?

— Nie, jeszcze pomyślę — odparł Champolion siadając koło niej. — Nie ma jeszcze nic wyraźnego. Myślę raczej o tobie.

Podczas gdy to mówił całując ją po rękach, głuchy męski głos pędząc po przewodzie

telefonicznym z przestrzeni w przestrzeń kończył rozmowę następującymi słowami:

- A więc o szóstej alarm.
- Tak, tak postanowiono — zabrzmiała odpowiedź.
- A wtedy odpoczniemy.
- Tak jest, odpoczniemy...

Aparaty zamilkły.

O świcie Champolion zbudził się nagle i w tak równym i pogodnym nastroju, że myśli jego, jasno wysnuwając się z resztek drzemki, swoją logiczną ciągłością przypominały czytanie książki. Leżał na wznak. Na wznak również leżała obok niego Polina, z lekka odwróciwszy ku niemu głowę, i wydało mu się, że poprzez cień jej rzęs błysnęło spojrzenie. Chciał coś powiedzieć, ale kiedy się przyjrzał, doszedł do wniosku, że się pomylił. Polina spała. Brzeg koszuli na na wpół odsłoniętej piersi drgał ledwo dostrzegalnie, wtórując rytmowi serca i dzięki temu, mocą tajemniczych znaczeń naszych wrażeń, Champolion poczuł tkliwą serdeczność do śpiącej i radość przebywania z nią. Lekko położył rękę na jej sercu, zsunął z małego uszka posłuszne włosy i wesoło spojrzał na sufit, gdzie pomiędzy błękitnymi kwadratami wymalowane były liście, kwiaty i ptaki. Wówczas, chcąc i nie chcąc budzić Poliny, ostrożnie zszedł z łóżka, nalał sobie wody z syropem i siadł przy oknie obserwując stadko gołębi, które żerowały na jeszcze nie zamiecionym bruku.

Było tak cicho, że przeciągły dzwonek telefonu, który rzeczowym trelem przeciął milczenie pokojów, przykro ożywił siedzącego w roztargnieniu przy oknie Champoliona. Polina nie zbudziła się, jedynie głowa jej sennym ruchem odwróciła się od ściany w stronę pokoju.

Champolion zdjął słuchawkę z aparatu stojącego w gabinecie, który dzieliło od sypialni troje drzwi.

- Proszę mówić i słuchać — odezwał się w sposób umowny.
- Czy wszyscy zdrowi? — zapytał go ktoś.
- To zależy od pogody.
- Niech się pan ciepło ubierze, jest dość silny wiatr.
- Słucham.
- Wszystko będzie dobrze, jeśli uda się spacer.
- Tak.
- Czy sprzedaje pan czarnego konia?
- Nie, kupiłem jeszcze jeden zaprzęg.

Champolion gwałtownie odrzucił słuchawkę. Dzwonił i rozmawiał z nim West. Cała ta rozmowa, złożona z umownych wyrażen, oznaczała, że Champolion musi uciekać, opuścić miasto przed południem, i to w jednym, wyraźnie określonym kierunku. Wywiad wpadł na ślad i zorganizował zasadzkę.

Kiedy Champolion wrócił do sypialni, wydawał się już kimś obcym spokojnej atmosferze mieszkania. W twarzy jego widniało napięcie niebezpieczeństwa, oczy mu zapadły, błyszcząc ostrym, okrutnie skupionym spojrzeniem, a każdy rys w jego twarzy stał się tak wyrazisty, jak gdyby całą twarz i postać zbrodniarza zalało niezmiernie mocne światło. Champolion ubrał się i gwałtownie zbudził Polinę.

- Która godzina? — zapytała przeciągając się.
- Godzina odjazdu. Wstawaj. Nie można tracić ani chwili — grozi mi niebezpieczeństwo.

Zerwała się, mocno przetarła oczy, a potem przejętym głosem rzuciła szereg pytań. Ujął ją za rękę i powiedział:

- Tak, uciekam. Nie czas na pytania.
- Jadę z tobą.
- Jeśli możesz... — rzekł z radością. — Jesteś pierwsza, której tak mówię.
- Wierzę ci.

Jej piękna cierpiąca twarz była mokra od łez. Ale nie były to łzy słabości. Ubierając się rzuciła uwagę:

- Podróżny w towarzystwie kobiety wzbudzi mniej podejrzeń.
- Tak, to ma swoje znaczenie w tej fatalnej sytuacji.
- Dokąd jedziemy?
- Do Marsylii. Z wielu względów mogę jechać tylko w tym kierunku.

Tourneil nie odpowiedziała mu. Champolion szybko charakteryzował się. Kiedy Polina odwróciła się na jego głos, stał przed nią wyblakły, przygarbiony pięćdziesięcioletni mężczyzna o rozpustnej twarzy plugawego kombinatora, z brzuszkiem, łysiną i z posiwiałymi bakami.

- To okrutne! — uśmiechnęła się z wysiłkiem przypudrowując sobie oczy.
- Okrutne, ale konieczne. Zresztą, patrz! — podrzucił do góry i pochwycił błyszczący rewolwer. — Weź pieniądze.
- Wzięłam.

Teraz, całkowicie gotowy do wyjazdu i do walki, poczuł febryczne znużenie hazardowego gracza, któremu z biegiem lat coraz dłuższe wydają się niegdyś krótkie w swym napięciu noce, coraz bardziej uciążliwe oczekiwanie na stawki i coraz bardziej denerwujące przegrane, a znużenie to podkreślała jeszcze miłość. Chętnie by znowu siadł przy oknie, przyglądając się gołębiom i słuchał równego oddechu śpiącej kobiety.

Wyszli biorąc ze sobą jedynie po niewielkiej walizeczce. Champolion, nie budząc służącej, otworzył drzwi własnym, dopasowanym na wszelki wypadek kluczem.

W niepokoju przemknęły stacja, kasa biletowa i peron. Pociąg odszedł. W przedziale, prócz nich, nie było nikogo.

Pociąg szedł polami z zalegającą w parowach poranną czystą mgłą. Purpurowe i białe obłoki rozchodząc się przepuszczały niski pęk ostrych promieni, które padały na wzgórza. Nigdzie jeszcze nie widać było ludzi, z rzadka tylko samotna furmanka z drzemiącym na niej chłopem pilnowała zamkniętego przejazdu; ten dalszy ciąg bezludnej ciszy, w której zbudził się Champolion, pomagał mu zrozumieć swój stan. Kiedy tak siedział naprzeciw Poliny, patrzył na nią i rozmawiał z nią, w dalszym ciągu po omacku, nieświadomie, odpychał niepokój fatalnych przypuszczeń, orientował się w sytuacji i w myśli robił obrachunek niebezpieczeństwa we wszystkich jego postaciach, jakie malowała mu jego doświadczona, ścisła wyobraźnia.

— Prowadzisz okropne życie — odezwała się Polina. — Uciekać i napadać, mieć się stale na baczności, badać samego siebie, doświadczać innych... Cóż to za tortury! Jaki spisek zmienił kiedykolwiek istotę tego świata? Collar, rzuć politykę, póki jeszcze nie uciekło życie. Jeszcze nie jest za późno. Możemy na zawsze ukryć się w jakimś dalekim kraju.

- To nie dla mnie — odparł krótko Champolion.
- Ty nie przywiązujesz znaczenia do moich słów.
- Już nieraz o tym mówiliśmy. Pomimo wszystko najbardziej lubię w życiu jego zimne zawrotne szaleństwo.

— Collar, to wszystko minie, minie zapewne już niedługo i nie zdołasz odzyskać tego cichego zakątka, który cię oczekiwał wraz ze mną.

- Nie mogę.
- A jednak zdecyduj się. Wystarczy mi twoje słowo, Collar. Z Marsylii wiedzie droga i do Anglii, i do Ameryki.
- Spieszę do Londynu.
- Nie. Dalej.
- Jaka ty jesteś uparta!
- Przecież wiesz, że cię kocham.
- Ja też, do diabła! Jednakże to nie miłość decyduje o ludzkich losach! Zostawmy to.

Odwrócił się do okna tak silnie wydmuchując dym z cygara, że rozpląszczył się na szybie w okrągłą plamę.

Ze smutną i namiętą uwagą patrzyła kobieta na tego, kto był (czy też kto nazwał się) Collarem. Maciło się jej w myślach. Wreszcie wola zwyciężyła i kiedy Champolion znowu na nią spojrział, nie dostrzegł nawet śladu subtelnej gry namiętności, która spłynęła w głąb duszy tej kobiety.

— S.-J. — powiedział konduktor sprawdzając bilety.

Polina podała swój bilet. Jeden róg jego był zagięty.

— Czy jest tu bufet, Collar?

— Jest, to małe miasteczko.

— Znasz je?

— Tak, byłem tu kiedyś.

Przygoda w więzieniu sprzed dwóch lat rozjarzyła go zimnym wspomnieniem. Wagon zatrzymał się, drgnął, zaskrzypiały hamulce.

Znowu otworzyły się drzwi wpuszczając trzech konduktorów i mimowolne poruszenia ich twarzy, bezpośrednie spojrzenie na ręce Champoliona zdradziły mu zamierzony atak; zorientował się w mgnieniu oka, że podróż się skończyła. W przedziale było ciasno. Jeden z agentów zasłonił swoim ciałem Polinę. Champolion jej nie widział. Było już za późno myśleć o czymkolwiek. Wiązali go i bili. Wywijał się jak wielka, śliska ryba w chciwych rękach, wreszcie stracił siły. Ręczne kajdany zakończyły sprawę. Wychodząc w tłumie, który zapchał przejście, oślepiiony wzburzeniem, bez tchu, odezwał się:

— Gdzie jesteś?

Odpowiedział mu — znikąd i z bliska — martwy jak uderzenie głos:

— Będę z tobą...

V

Kat grzał się w kuchni, bez ustanku, z gnuśnym drżeniem niewolnika, oczekującego datku i chłosty, myśląc o szyi przestępcy. Był to ponury starzec. Obiecali mu sto franków i darowanie jednej czwartej kary. Nie śmiał odmówić. Poza tym w jego znużonym więzieniu sercu żyła śmiała nadzieja powrotu o trzy lata wcześniej do zaniedbanych grządek ogórków, choć nie pamiętał o małych dziewczynkach, które płakały zawsze głośno i żałośnie.

Był zimny, ciemny i wilgotny poranek. Champolion nie spał. Tuż przed czwartą opuściło go męstwo. Ale skupioną siłę ducha zastąpił nie lęk, dławił go inny ciężar — fatalizm zewnętrznych okoliczności. Siedział w celi numer dwadzieścia trzy, z której dwa lata temu wypuściła go, jak dumnego ptaka, skromna i odważna dziewczyna. Było to to samo miasto, w którym pochwycono go i podówczas, i teraz. Zakurzony napis na parapecie okiennym, wydrapany wtedy z nudów gwoździem niedbałą ręką, głosił:

„Jeszcze nie przyszła moja godzina”.

„Jeszcze” i „nie” starły się. To, co pozostało, wstrząsnęło skazańcem. A jednak wzrok jego ciągnął w stronę parapetu, jak do magnesu, i z zimnym drżeniem, z niepojętą żądzą udreki uważnie powtarzał te słowa, wzdragając się jak przed ciosem noża.

Władze, w obawie ucieczki, skończyły z nim szybko i zdecydowanie. Skuty za ręce i nogi, Champolion przesiedział tylko tydzień. Sąd zjechał do S.-J. naprędce zebrawszy materiały oskarżenia w najgłośniejszych sprawach bandyty, sędziowie wysłuchali dla przyzwoitości obrońcy i oskarżyciela i skazali go na gilotynę.

Poliny Champolion już nie widział. Sądził, że przetrzymują ją w innym więzieniu. Kiedy sobie wyobrażał, jak zniosła wieść o tym, kim jest Collar, serce ścisnęło mu się z żalu,

ale oddałby głowę za to, aby ujrzeć Polinę Tourneil. Nadziei na to nie miał żadnej.

— Wina! — powiedział przez otwór w drzwiach.

Po niedługiej chwili otworzyły się drzwi. Ręka dozorczy brutalnie podała mu butelkę. Champolion pił wprost z butelki. Nastrój mu się odmienił, stał się jaśniejszy i szerszy; zabłyśły iskry beztroski, śmierć wydała mu się życiem... Wtem ciężki cios jasnej świadomości rozproszył zamroczenie.

— Chcę żyć! — zawołał Champolion. — Chcę żyć na całego!

Ale atak wkrótce minął. Nadeszła szczęśliwa chwila obojętności — rozkładu nerwów. Champolion siedział, machinalnie kiwając głową i myślał o operze.

Stan, w jakim się znajdował, można by porównać z nie istniejącym, przewlekłym wybuchem. Najmniejszy szelest niepokoił słuch. Dlatego też słysząc długi pobrzęk klucza w drzwiach drgnął jak tknięty elektrycznym prądem.

Poderwał się nagle: za kobietą, która weszła do celi, stał cień w dwurzędowym mundurze. Cień wyrzekł:

— Za specjalnym zezwoleniem.

Słów tych nie dosłyszał. Machnąwszy skutymi rękami — był to jedyny dostępny mu gest — pomimo woli szarpnął kajdanami. W twarzy pani Tourneil uderzyło go coś niezwykłego — nie solenność przedśmiertnego spotkania — ale milczenie. Oprzytomniawszy powiedział:

— Polina?! Tak, to ty! Widzisz?

Milczała. Po dawnemu w sercu jej kłóciła się nienawiść i miłość, ale najbardziej pamiętny uścisk nie był przecież tak pamiętny, jak tamto nagłe uderzenie w pierś.

— Przyszłam — odezwała się zimnym głosem, spostrzegłszy, że zaczyna im ciążyć milczenie — zobaczyc pana znów, Champolion, w tym samym miejscu, skąd pana uwolniłam. Przecież ja jestem Renée.

Nie zrozumiał tego od razu, ale kiedy wreszcie pojawił, nie było w nim ani myśli, ani słów — jedynie łoskot wspomnień. Stał absolutnie chory, chory z nieopisanego wstrząsu. Z głębi pamięci, rozsnuwając jej mgliste cienie, wyłonił się wyraziście obraz owiniętej w chustkę dziewczyny; obraz ten, gwałtownie utraciwszy zarysy, zespolił się z postacią Poliny Tourneil i przemienił się w nią.

— Pani mnie zdradziła... — rzekł w lęku przed tym wszystkim, kiedy wzmagający się ból nie pozwalał już dłużej milczeć.

— Tak.

— Pani jest Renée!

— Tak.

— Niech pani wie — rzekł po chwili, śmiejąc się tak pogardliwie, jak śmiał się w najlepszych dniach swej świetnej przeszłości — że znowu odepchnąłbym panią... tam!... precz!...

Na białych wargach Renée pojawił się żalony, znużony uśmiech. Nawet jej niezwykle siły przygniatał ciężar tego zwycięstwa, w którym zwycięzca, zadając cios sam sobie, nie prosi o wybaczenie i nie udziela wybaczenia. Wybaczyć nie mogła.

— Tak, pchnął mnie pan w sposób najprostszy. W błoto. Upadłam... i to niżej jeszcze. Sprzedawałam się za pieniądze. Spotkałam Tourneila, wzięłam resztę jego suchotniczego życia i jego miliony. Prawie wszystko wydałam na pana, Champolion. Pomagali mi najlepsi agenci. Zaprzedał mi się West i inni. Prowadzili pana pod ręce, z zawiązanymi oczami, ku przepaści... ale przyznaję, jakież to było diabelnie trudne! I oto pan wpadł.

— Agenci? — zapytał z niedowierzaniem. — Kto taki? Czy nie ci ograniczeni na umyśle Hickton i Faselio?

— To obojętne. I w tej sferze są godni uznania geniusze.

— Być może. Jest pani zadowolona?

— Co? Nie wiem, Champolion.

Z trudem wyszeptła te słowa, ujrzał, że oczy ma pełne łez. Champolion usiadł i pochylił głowę. A wtedy szybkim, macierzyńskim ruchem przycisnęła jego rozpaloną głowę do swojej czulej piersi i zapłakała gorzko, a on, przewyciężywszy spustoszenie serca, również przyłgął do niej, przejęty siłą tej miłości, która znalazła sobie ujście w nienawiści, miłości nienawidzącej — uczucia z okropnej bajki.

Renée wstała.

— Ojciec umarł, rozpił się — powiedziała. — Moje marzenia, te marzenia, dzięki którym ciebie uwolniłam, ty znasz, ponieważ znasz mnie. Żegnaj więc! Kiedy ty... odchodzisz?

— Z ostatnim uderzeniem piątej.

— Wkrótce przyjdzie ksiądz.

— Powie mi o pustym niebie.

— Napełnijmy więc jego przewróconą czaszę ostatnimi spojrzeniami. Czy pamiętasz moje słowa w wagonie?

— Pamiętam. „Będę z tobą”.

— I będę... i będę z tobą.

— Renée — rzekł zatrzymując ją. — Czy jesteś duchem? Kto cię tu wpuścił do tego grobu?

— Ci, którzy mają władzę i znają moje losy.

Wyszła; jej ostatnie spojrzenie uspokoiło Champoliona i dodało mu otuchy. Myślał o owiniętej szalem dziewczynie, której się nawet dobrze nie przyjrzał, i o kobiecie, która przed chwilą wyszła, którą stracił. Ale zdawało się, że jest dalej niewidzialnie obecna w półmroku wstającego świtu, w celi z zamglonym światłem lampy.

Podszedł do parapetu i spokojnie przeczytał to, co nie da się zetrzeć nigdy:

„... przyszła moja godzina”.

Renée była sama. Gdy zegar wiszący naprzeciw niej zaczął wybijać piątą i ostatnie uderzenie zabrzmiało mocniej od innych — to uderzenie z dala głośno zabrzmiało w niej, niby wichur zmiatając przeszłość. Dygotała, zęby jej dzwoniły. Wypiła truciznę, mocno przycisnęła do oczu wilgotną chusteczkę i położyła się na kanapie.

Przełożył Seweryn Pollak

Dom zamknięty na cztery spusty

Kiedy zabłysło i rozszumiało się lato, posępny dom przy ulicy Rosengard, na wyboistym pustkowiu, mniej już przytłaczał serce nocnego przechodnia. Jego złowieszczy rozgłos potknął się o letnie wrażenia. Na pustkowiu roily się pośród kwiatów pszczoły; urwisko na końcu zaułka jaśniało błękitną dalą ogrodów; w palącym słońcu czarne facjaty opuszczonej starej budowli nie wyglądały tak groźnie jak w noc zimową podczas śniegu i zadymek. Bądź co bądź, kiedy zapadał wieczór, każdy z mieszkańców Amerhausenu odznaczających się równowagą ducha — ktokolwiek by to był — wolał przecież po godzinie jedenastej wieczór iść nie ulicą Rosengard, lecz zaułkiem Tromtus, mając przed sobą pokrzepiające światło okien piwiarni z szyldem, na którym był wymalowany byk, z tyłu zaś nie mniej jasne lampiony kina „Orion”. Kto natomiast, lekceważąc równowagę ducha, podążył uparcie ulicą Rosengard, czuł, że od spiczastych daszków zamkniętego domu wieje ku niemu zdradzieckie zwątpienie i więźnie w płaczących się nogach, bezsilnie starających się przyspieszyć kroku.

Lecz cóż to za dom? Otóż tak się złożyło, że właściciel piwiarni z wymalowanym na

szyldzie bykiem był wielkim gadułą, od niego też dowiedziałem się o wszystkim. Nie każdemu się to udaje; ten tylko wychodzi z pełną satysfakcją, kto pochwali szpica stanowiącego własność restauratora. Szpic otrzymał nagrodę na wystawie psów, lecz odczuwa to jedynie przy tej okazji, gdy ktoś pieszczotliwą dłonią pogładzi jego wymytą bielutką sierść, podrapie go za uchem i w bystrych czarnych oczach wyczyta tęsknotę za pogawędką.

Rzekłem do niego: „Jesteś wręcz imponująca, wspaniała psia ekscelencja, na pewno za czystość krwi musiano cię odznaczyć medalem”. (A wiedziałem już, że odznaczono.)

Natychmiast stał się przymilny jak mufka, żwawy jak foksterier i w mig oblizał mi nos. Restaurator aż poczerwieniał ze szczęścia. Marzycielsko przewracając oczami i głaszcząc brodę dłonią, powiedział:

— Widzę, że zna się pan na psach. Wielki złoty medal zeszłego roku w Dietsheim. No cóż, przyjacielu — pańskie włosy są długie, kapelusz szerokoskrzydły, a laska sękata; wskazujący palec prawej ręki nosi od spodu nie zmywające się ślady atramentu. Z tego wszystkiego wnoszę, że jest pan poetą. A ja do poetów czuję taką samą słabość jak do psów, proszę więc, by pan zechciał skosztować mego specjalnego piwa, za które nie biorę pieniędzy.

— Zamknięty dom Berholza — ciągnął, kiedy s p e c j a l n e piwo zaczęło działać i kiedy okazałem natarczywe zaciekawienie tym tematem — znam od dość dawna. Inni napłotą panu o nim nie wiadomo jakich głupstw; ja jeden wiem, jak było naprawdę. Berholz powiesił się przed lunchem, w samo południe; zostawił kartkę, z której jasno wynika, co go popchnęło do takiego kroku — krach banku. Majątek się ulotnił. Zdawałoby się, że na tym koniec, tymczasem w niespełna rok wyprowadzili się z tego domu wszyscy lokatorzy. A wszystko byli to ludzie poważni, solidni, którym nic nie można było zarzucić. Ilu było lokatorów, tyle przyczyn wyprowadzki, ale żaden nie powiedział, że niepokoiło go s t u k a n i e albo jakieś k r o k i, albo jeszcze inne — czy ja tam wiem — s t r a c h y. Wkrótce jednak rozeszła się fama, że Berholz stuka do drzwi wszystkich pokojów, a kiedy drzwi otworzyć, nie ma za nimi nikogo. Jakże poważny człowiek może się przyznać do takich rzeczy? Mowy nie ma; straciłby kredyt z kretesem. Toteż każdy podawał inne przyczyny, lecz w końcu wszyscy się wynieśli i w domu tylko wiatr zaczął hulać. Było to blisko dwadzieścia lat temu. Spadkobierca wypuścił dom w dzierżawę, a sam wyjechał do Ameryki. Dzierżawca zapisał się i od tej pory nikt w tym domu nie mieszka, choć znaleźli się tacy, co chcieli spróbować — a nuż ich ominą kaprysy nieboszczyka. Próby nie trwały długo. Niebawem wozy śmiałków zaczynano ładować — do odlotu w przyjemniejsze miejsca. Aż raz... byłem wtedy młodszy — poszedłem o zakład z sędzią Stropem, że spędzę noc w towarzystwie nieboszczyków i diabłów...

— Diabłów? — zapytałem z pewnym pośpiechem, żeby nie dać umknąć temu słowu, albowiem pan Walter Abortius miał zwyczaj brać wysokie nuty nie zwracając uwagi na orkiestrę, jak również bezczelnie spuszczać z tonu, gdy słuchacz sam już nastawiał się na górne „c”. — No i co z tymi diabłami, czy ich tam dużo?

— Jak by to powiedzieć — rzekł ambitny Abortius pociągając łyk s p e c j a l n e g o piwa, które miało na niego wpływ specjalny. — Jak by to powiedzieć i jak rozumieć? Diabły... no tak, to były one albo coś w tym rodzaju, tylko jeszcze straszniejsze. Odmówiłem modlitwę i położyłem się w gabinecie Berholza — było to zeszłego lata, akurat w noc świętojańską. Już zaczynałem drzemać, jako że przedtem łyknąłem sobie s p e c j a l n e g o, gdy naraz drzwi, które zastawiłem stolikiem z przyborami do palenia, otworzyły się tak gwałtownie, że przewróciły stolik. Wiatr wionął przez pokój, świeca zgasła i usłyszałem, jak tuż nad moim uchem niewidzialne skrzypce wygrywają diabelską melodię. Zaczęły się takie numery, że jeden gorszy od drugiego. Co robić? Nie jestem tchórzem, ale przy takim obrocie sprawy uważałem, że najlepiej będzie wyskoczyć oknem. Jak pędziłem — o tym wiedzą tylko moje nogi i sąsiednie pola warzywne. Sędzia otrzymawszy wygraną śmiał się tak złośliwie, że go znieawidziłem.

— Master Abortius — odezwał się naraz czyjś głos od sąsiedniego stołu; podniósłszy

głowy spostrzeżliśmy kwadratową brodę Klausa van Topfera, buchaltera. — Wstydz się pan! — ciągnął owym t r z e ż w y m tonem, który nawet pod wpływem piwa przejawia cechy stateczności charakteru. — Plecie pan duby smalone! Jakie diabły?! Jakie diabelskie melodie?! Przecież ja sam nocowałem raz w domu Berholza i także szło o zakład. Spałem spokojnie i bez przeszkód. Dom jest stary, dąb stoczony przez robaki, piece, okna i sufity wymagają pewnego remontu, ale diabłów nie ma. Diabłów nie ma! — powtórzył z pewnością siebie właściwą naturom zdrowym — choćby pan nawet sto lat tam nocował, żaden wisielec nie przyjdzie do pana uskarżać się na interesy banku „Dietsheim”. To wszystko. Płacę za piwo.

Abortius wydawał się speszony i nieco zawstydzony tak kategorycznym oświadczeniem. Nim zebrał się na odwagę, by odpowiedzieć Klausowi, wymknąłem się tylnymi drzwiami i mając w głowie zapas działania s p e c j a l n e g o piwa, ruszyłem do zamkniętego na cztery spusty domu Berholza. Tak! Postanowiłem sam zbadać to sporne miejsce. Tymczasem gwiazdy kłoniły się ku zachodowi, ciemność straciła ową intensywną, trwałą czernią, kiedy noc króluje niepodzielnie. Noc zaczęła tajać i choć było jeszcze dobrze ciemno, powietrze ochłodziło się.

Na zewnątrz domu pięły się wzdłuż ściany żelazne schody; wszedłem po nich i dostałem się do środka przez dymnik. Miałem przy sobie zapałki, zapalałem więc jedną po drugiej, póki nie znalazłem podnoszonej klapy prowadzącej do wnętrza mieszkania na drugim piętrze. Nie byłem już na tyle młody, by wierzyć w diabły, ale i nie tak stary, by odmówić sobie nadziei na coś o s o b l i w e g o. Duch odkrywczy wiódł mnie przez ciemne pokoje. Potykałem się o meble, od czasu do czasu oświetlając staromodne wnętrza płomykiem zapałek, których wciąż ubywało; wreszcie skończyły mi się wszystkie. Akurat błądziłem po niewielkim, lecz pełnym zakamarków korytarzu i nie mogłem znaleźć drzwi. Zmęczony się, siadłem i zasnąłem.

Otworzyć oczy w takim miejscu, w którym nie wiadomo, c o s i ę z o b a c z y, to zawsze rzecz interesująca. Otworzyłem je z zaciekawieniem. Gorący blask dnia dymił w złocistym pyłe, wpadał przez weneckie okno z migotem i siłą kaskady. Jak należało oczekiwać, drzwi znajdowały się tuż obok mnie, a z wnętrza dolatywał świergot piegży. Wszedłem tam natychmiast i zobaczyłem tę śliczną ptaszynę, skaczącą po sztywnym kolorowym obiciu mahoniowych mebli; jedna szyba w oknie, wybita kamieniem czy gradem, tłumaczyła obecność piegży. Ptak frunął pod sufit i znikł w sąsiednim pokoju. Tutaj też, pośród śmiecia, między listwą podłogi a ścianą wił się dziki powój, którego nasiona, zawleczone z wiatrem, znalazły dość kurzu i próchna, by wypuścić kiełki i zakwitnąć. Nagle za ścianą zagrzemiał bas: „Śmielej, toreadorze!” Zagrzemiał — a ja rzuciłem się do owego l o k a t o r a i pchnąwszy drzwi ujrzałem dramaturga Topeliusa spacerującego z piórem w ręce w obłokach dymu tytoniowego.

Moje zdumienie wobec takiego a f r o n t u było niezwykle; przekroczyło nawet moją zdolność opisu.

— Drogi Topeliusie! — rzekłem wyciągając ręce, by odeprzeć napaść upiora — jeśliś jest marą, zgiń, przepadnij. Nie przystoi widmom spacerować z fajką w zębach!

Upiór wrzasnął z wściekłością:

— Czy i tu nawet moi przyjaciele nie dadzą mi spokoju! A więc to twoje wałęsanie słyszałem dzisiejszej nocy, kiedy scena pożegnania Tristana z Izoldą zbliżała się już ku końcowi?! Przysięgam na tragedię, że spodziewałem się lada chwila wizyty Berholza. A zresztą, siadaj; sztuka jest gotowa. Posłuchaj: kiedy na dole pod tobą sto razy dziennie będą bębnić rapsodię Liszta, a nad tobą „Modlitwę dziewicy”, a na podwórzu wędrowni muzycanci będą się zmieniać bez przerwy od świtu do nocy — i ty wyszukasz sobie jakiś zamknięty na cztery spusty dom, do którego trzeba włązić przez okno, ale w którym dzięki litościwej famie mieszkają same upiory... A poza tym — tu jest c u d o w n i e!

Tak, cudownie, ja też powtórzę to za nim, albowiem cuda są w nas samych. Czy nie

wzruszył mnie blask słoneczny zabarwiony liliowo? I powój na starej boazerii? I ptak skaczący po meblach? I wreszcie ten rękopis, rękopis, który mój przyjaciel podał mi z dumnym uśmiechem i który powstał tam, gdzie inni boją się oddychać?

Przełożyła Irena Piotrowska

Na obłocznym brzegu

I

Kiedy August Mistrey i jego żona Tawi postanowili ostatecznie porzucić czarowną nadzieję, nie mieli innego wyboru, tylko zamieszkać na krótko u swego dalekiego kuzyna Johnsona. Przed rokiem, gdy interesy jego zaczęły iść świetnie, Johnson w ferworze powodzenia nabajał im mnóstwo rzeczy równie fałszywych, co przesadnych; toteż jego ówczesne zaproszenie, by, kiedy tylko zechcą, przyjeżdżali do świeżo nabytej przezeń posiadłości, Mistreyowie dotychczas uważali za szczerzy odruch serca i z dobrą wiarą wyruszyli do niego, pożegnawszy westchnieniem cudowny zakątek, którym nie byłiby w stanie zarządzać, nawet gdyby zapłacili za niego po raz wtóry.

Było to osiem dni temu. Mistrey zbladł i przymknął oczy, a Tawi uczepiwszy się małymi rączkami kraty, stanęła na palcach, żeby choć raz jeszcze rzucić okiem na kwitnący rozłożniony zakręt ogrodowej alei. Właścicielka, zalotna młoda kobieta o pogodnej twarzy, odprowadzając ich, musnęła lekko dłonią gałąź lauru i ten pieszczotliwy gest, pełen poczucia własności, odbił się w duszy Tawi niezawistnym smutkiem. Ich oboje ograbiono tak sprytnie, że próżno byłoby szukać oszusta, próżno jątrzyć ból tropieniem śladów.

Poza tym zarówno Tawi, jak jej mąż, odczuwali najgłębszy wstręt do wszelkiej brudnej walki.

— Dlaczego państwo zaufali temu człowiekowi? — zapytała właścicielka. — Dlaczego wcześniej nie przyjechaliście do nas sami?

— On powiedział... — zaczęła krztusząc się Tawi i popatrzyła na męża. — Co? Czy nie tak było?

— No, mów — zgodził się Mistrey.

Tawi kiwając wskazującym palcem zaczęła nieśmiało i z powagą:

— Zamieściliśmy ogłoszenie... wie pani? W tej gazecie z papugą. Spieniężyliśmy to i owo, właściwie wyprzedaliśmy się ze wszystkiego, no, ale nasze marzenie, by zamieszkać w malowniczym słonecznym ustroniu, powinno się być przecież spełnić, prawda? No i przyszedł ten O'Heyl...

— Mówiliśmy już o tym — łagodnie przerwał Mistrey. — O! Co za przykra sprawa! No więc w dwóch słowach: oszukano nas i niczyja to wina, tylko nasza. Oddaliśmy prawie wszystkie pieniądze, ponieważ zapewniono nas, że na tę posiadłość jest już wielu amatorów i że trzeba się spieszyć.

— Ależ państwo nawet nie zobaczyliście, co kupujecie!

— Niestety! — rzekł Mistrey. — Według relacji tego oszusta cudownym zrządzeniem znajdowało się tu wszystko, co idealnie dogadzało naszym upodobaniom. Trzeba przyznać, że pod tym względem istotnie nas nie oszukał.

— On, wie pani, robił wrażenie — powiedziała Tawi czerwieniąc się — całkiem przyzwoitego człowieka. I tacy byliśmy zadowoleni.

— To prawda — potwierdził Mistrey i skinął na żonę zmęczonym gestem. — Tawi, czas jechać.

— Niech państwo natychmiast zwrócą się do sądu — powiedziała właścicielka. — Może jeszcze nie jest za późno, by znaleźć przestępcę.

Mówiąc to zrywała jedną po drugiej ciężkie paśowe róże, aż zebrał się w jej energicznej smagłej ręce bukiet o kapryśnym kształcie. Następnie podała kwiaty zdenerwowanej młodej kobiecie.

— Proszę to przyjąć — rzekła ciepłym tonem — chciałabym choć w ten sposób panią pocieszyć.

Tawi poweselała na chwilę, wzięła podarunek i oddaliła się w wielkim pomieszeniu. Oboje milczeli. Zanim wsiedli do powozu, Tawi popatrzyła na męża skruszonym, ale stanowczym wzrokiem, odbiegła na bok i ustawiła swój bukiet w bujnej trawie, tak by się nie osuwał. Potem, westchnąwszy, pomaszerowała równym krokiem pod rękę z Mistreyem.

— Zwróciłam je ziemi i słońcu. Nie mogłam ich zatrzymać. Dlatego, że są — nie nasze.

II

Mąż i żona nie byli sami. Jechał z nimi do Johnsona niewidomy starzec, Ned Swan. Oślepił on blisko trzydzieści lat temu, lecz dalej po swojemu w i d z i a ł wszystko, o czym mówiono mu wyraźnie i prosto, gdyż na zawsze zachował w sobie oblicze zjawisk. Ci, którzy przez pewien czas opiekowali się nim, rzucili go, jak się rzuca gazetę. Swan przesiedział do wieczora w zatrutym ciszą pokoju, potem wyszedł na schody i zapukał do pierwszych drzwi z brzegu, Tawi zaś żywo się zakrztałnąwszy, rzekła do Mistreya:

— Daj ucho. Nie, nie będę targać. Coś ci powiem: to jest bardzo zacny człowiek, a sam na pewno zginie. Weźmy go do siebie.

Ned Swan pokwitował swoją przeszłość kilkoma słowami: „Głupstwo, nie mówmy o tym” — i z uśmiechem odwrócił niewidzącą, skupioną twarz w kąt pokoju. Był zgarbiony, młodzieńczy mimo swego wieku, siwy i pełen życzliwości.

O zmierzchu powóz stanął przed bramą Johnsona. Tuż obok płonąca w świetle zachodu strzała rozpadliny spoczywała na liliowej zieleni urwistych zboczy, rozsypujących swe nieprzebyte ostępy z rozrzutnością i rozmachem pieśni. Stąd zaczynały szatańsko pięć się w górę wspaniałe upłazy Góry Organowej, omotane spiralą ścieżek załamujących swój zawrotny lot nad pasmem chmur.

Dawno już rozmowa Mistreya i Tawi była tylko odbiciem tego, co widzieli i co wyrażali z cichym żarem miłości do czystej i pięknej ziemi. „Patrz!” — mówiła Tawi; potem oboje kiwali głowami. — „Patrz! — mówił Mistrey — a tam!” — „Tak, tak! — tam! Patrz!” Tak jechali, co trochę wydając okrzyki.

— O, gdybyśmy tu mogli zamieszkać! — powiedział Mistrey. — Jak cicho! Jak przejrzyste!

Od czasu do czasu Ned wypytywał ich o to, co widzą. Wówczas Mistrey starał się wzorem opisu literackiego, zwięźle scharakteryzować krajobraz, a ślepiec, kiwając głową, powlekał obraz rzeczywisty, którego widzieć nie mógł, harmonijnymi odpowiednikami wyobraźni, przy czym linie ich i kolory nie były dalsze od prawdy niż król Lear od króla w ogóle.

Pomagała mu w tym Tawi. Dawała objaśnienia zagmatwane, na przykład: „Strumień, jak by tu panu powiedzieć, macha spoza gałęzi chusteczką”. Lecz z wyraźnych wahań jej głosu, które jak gdyby łagodnie popychały go naprzód, Swan wyławiał więcej dla swej tajemnej wizji niż ze szczegółowej relacji Mistreya.

A później, gdy słońce skryło się za zakrętem drogi, powóz pomknął w dół i mniej

więcej po dziesięciu minutach stanął przed oświetlonymi oknami domu Johnsona.

III

— Dwie massa * — oznajmił Murzyn. — I jeden mały dama. Tam na dworze. Powiedziałem, że pan nie spać.

Johnson podniósł się zza biurka, lecz wyprzedziła go żwawa grubokoścista kobieta z małym koczkiem rzadkich włosów na czubku głowy; jej zwiędła twarz o ciemnej cerze, dziwnie harmonizującej z bystrym spojrzeniem, miała wyraz chłodny i cierpki. Za nią dopiero ukazała się zwałista postać Johnsona.

Dwaj Murzyni, trzymając w górze latarnie, oświetlali całą grupę.

— Ależ, oczywiście, bardzo się cieszę — oświadczył Johnson tonem nieco odmiennym od tego, jaki spodziewał się usłyszeć Mistrey, po czym spojrzał badawczo na żonę — w jej zaciśniętych wargach kryła się dezaprobata pod adresem przybyłych. Niemniej i ona uznała za stosowne odezwać się.

— Tak, tak. Prawie nikt u nas nie bywa poza interesantami. Oczywiście, bardzo nam miło.

Ostatnie zdanie Tawi mogła równie dobrze zapisać na swój rachunek, jak i na rachunek „interesantów”. Odrzekła:

— Proszę nam wybaczyć, jeśli przyjechaliśmy nie w porę. Ale Mistrey wszystko opowie. Nie jesteśmy sami. To jest Swan, czy państwo w i d z a? Nie rozstajemy się z nim. Pan nas nie opuści, Ned, prawda?

— Póki oczu nie zamknę — wyrzekł dobitnie ślepiec. Stał trzymając pod rękę Mistreya, zwiesił głowę, zdawało się, że wyczuwa już zimno obcego kąta, wrogiego dla ciepłej ufności.

— Marto — zwrócił się Johnson do żony. — Trzeba wydać dyspozycje. Proszę, wejdźcie.

Wszyscy weszli do ogromnej sali oświetlonej elektrycznością. Stały tu symetrycznie rozmieszczone sztywne i ciężkie meble; kilka tanich obrazów w kosztownych ramach było mizernym urozmaiceniem tej masywnej siedziby, zbudowanej w stylu koszar z kamiennych bloków. Wnętrze, z niskimi oknami i szarym obiciem ścian, nosiło również wyraźne piętno tej koszarowości; drzwi zamykały się szczelnie, z hukiem, którego posępnej tonacji żadne pióro oddać nie jest w stanie.

Tawi zaprowadziła Swana w kącik pokoju, gdzie usiadł przysłuchując się rozmowie. Próbowwała dziękować Johnsonowi za to, że przed półtora rokiem sprawił im tyle czystej radości swoim zaproszeniem. Lecz Johnson odpowiedział spojrzeniem tak szczerze zdezorientowanym, że Tawi zamilkła. Potem zabrał głos Mistrey. Opowiedział o oszustwie, którego padli ofiarą na skutek misterynych forteli obliczonych na ich naiwność; o swoim marzeniu, żeby osiąść na stałe gdzieś w ciszy pośród drzew, z daleka od miasta i jego wrzawy, i o tym, jak kupiona posiadłość okazała się cudzą własnością.

W środku opowiadania nadeszła Marta i siadła obok męża w pozie, w jakiej widuje się pary małżeńskie na tandetnych fotografiach. Miała na sobie czarną jedwabną suknię, w rękę trzymała kolosalnych rozmiarów wachlarz, nie wystawiając go jednak na niebezpieczeństwo trzaśnięcia w jej mocarnych dłoniach.

Johnson wysłuchiwał opowiadania Mistreya i wybuchał głośnym śmiechem.

— Nieżle namotane — rzekł i trącił łokciem żonę. — Co?! Marta?! Słyszałaś o czymś podobnym?

* Massa — pan.

— Cudy niewidy — odparła przyglądając się bezceremonialnie gościowi. — Wszystko sprzedaliście?

— Niestety — przyznał Mistrey. — I nasz mały spadek, i meble. Inaczej nie zebralibyśmy potrzebnej sumy.

— Ale czemu, u diabła — rzekł Johnson głaszcząc się po kolanie — czemu, powiadam, u diabła, nie obejrzelicie waszego kota w worku?

— Kota? — zdziwiła się Tawi.

— No tak, mówię o tym domu. Powinniście byli przyjechać na miejsce i zobaczyć, co wam proponują do kupienia. A tak daliście z siebie wystrugać wariata. Czyja to wina?

— Wariata — machinalnie powtórzył Mistrey — no tak, wariata. Ale...

Umilkł. Tawi otworzyła usta, poczuła jednak, że jeśli się odezwie, nie będzie zrozumiana. Odpowiedział za nich Ned Swan.

— Moi przyjaciele — zaczął ze swego kąta — nie będą mieli pretensji, jeśli za nich dokończę. Otóż chcieli oni cieszyć się niespodzianką, tą, być może, niewielką, ale zawsze przyjemną niespodzianką, kiedy stawiając pierwsze kroki na swoim kawałku ziemi, jeszcze się go nie zna. Moi przyjaciele cenią świeżość doznań, zwłaszcza w tak ważnej sprawie, gdy pierwsze wrażenie na zawsze okrasza przyszłość. Dlatego właśnie zaufali temu nie budzącemu podejrzeń pleciudze.

Tawi roześmiała się skonfundowana. Mistrey zapiął zatrząsk bluzy na ramieniu, potem rzekł:

— Chyba tak się rzecz miała.

— K-ha... — odchrząknął Johnson poruszając węzlastymi szczękami i popatrzył na żonę.

Ona, podniósłszy wachlarz, nachyliła się szepcząc mu do ucha:

— Widzisz, że to idioci. Tylko że oni n i e w s z y s t k o sprzedali...

Nim zdążył bodaj ruchem głowy zapytać, co ma na myśli, Marta zwróciła się do młodej kobiety:

— Czy to prawdziwe perły?

— Moje?! — Tawi musnęła sznurek obejmujący jej szyję gładkim dotykiem dużych jak groch pereł. — O! Tak, prawdziwe! Resztkę spadku, którego już nie ma.

— R e s z t k a wcale sobie — zauważył Johnson wstając i przyglądając się perłom z wysokości swoich siedmiu stóp. — Ależ pani nosi na szyi co najmniej pięć niezgorszych domów.

Tawi westchnęła wesoło i czupurnie.

— Widzę, że muszę państwu coś wyjaśnić — powiedziała, mrugnawszy figlarnie do męża. — Ten sznureczek nas wyswatał. Kiedy Mistrey przyszedł wyznać mi różne... bardzo piękne rzeczy... i... wtedy właśnie spostrzegł te perły na moim stole. Należały ongiś do mojej prababki. Ożywił się i zaczął mi tak obrazowo opisywać, jak to na dnie morskim drzemie świetlista muszla. Jak żyje głęboką perłową myślą... I... i... że jak kocha, to zamyka perłę w swoim wnętrzu. Siedzieliśmy obok siebie... i... i...

— ...i na pewno pocałowaliście się — odezwał się dobroduszny bas Swana.

— Ned! Proszę się nie wtrącać! — wykrzyknęła Tawi. — Co to za sufler tam w kącie?! Zapanowało sztywne milczenie.

— Chyba nic złego, że o tym powiedziałam? — Tawi odwróciła się do męża.

Uspokoił ją wzrokiem.

— Wszystko nic, wszystko przejdzie — rzekł i zwracając się do Johnsona, dodał: — Rozumie się, że takie rzeczy, podobnie jak obrączki, nie są na sprzedaż.

— Dobra! — powiedział Johnson.

— I co teraz macie zamiar robić? — spytała Marta.

— Przed wszystkim zastanowić się. — Mistrey westchnął bezwiednie. — Tylko parę

dni, drogi Johnsonie. Niech o n a nacieszy się dzikim pięknem waszych okolic.

— Przy-ro-da! — wyskandował Johnson. — Mam co innego na głowie, moja fabryka marnie idzie. Jest co prawda...

— Kolacja podana — oznajmił Murzyn ustrojony w marynarkę, otwierając drzwi.

— Pan dawno zaniewidział? — spytała Swana Marta.

— Dawno.

IV

Cierpki humor gospodarzy niewiele się poprawił przy stole, mimo że Johnson pił dużo i zachłannie. Lecz Marta stała się bardziej uważająca. Chwilami uprzejmości jej były tego rodzaju, że goście cudem się opanowywali, ale w każdym bądź razie ożywiona paplanina rozładowała częściowo naprężenie, którego Tawi nie mogła już znieść.

Wreszcie Johnson — wsparłszy się o stół — przy czym zachwiał się, gdyż źle wycelował łokciem — postanowił wtajemniczyć Mistreya w swoje interesy. Fabryka chyli się ku upadkowi. Pech go prześladowuje, długi rosna, zbliżają się fatalne terminy podatków, popyt mały, zastój i kryzys w handlu. On jednak nie upada na duchu. Tyle razy w swoim życiu wyplątywał się z sytuacji znacznie gorszych — i ta chmura się rozwieje.

Mistrey wyraził nadzieję, że rozwieje się nadspodziewanie prędko. Ponieważ Tawi kleiły się oczy, nie podtrzymywał specjalnie rozmowy; milczał także Ned Swan. Na krótko przed wybiciem północy pod oknem przeraźliwie huknął strzał, któremu zawtórowało szczenie i wycie psa.

— Hog wrócił — zauważyła Marta — nasz syn.

W całym domu rozległo się trzaskanie drzwiami i przed zebranymi zjawił się wysoki, jak jego ojciec, młody mężczyzna o dzikiej twarzy. Na głowie miał czerwoną chustkę zawiązaną na modłę góralską, sztywna broda nienaturalnie, jak czarny plaster, okalała pełną ogorzałą twarz o niemitych ustach i bezbarwnych oczach, które mrugały sennie, ciężko i powoli obracały się w orbitach.

— Pies przybłąda — oznajmił nieco zmieszany widokiem obcych i zawrócił do wyjścia. — Prosto w łeb. Cha-cha!

— Siadaj — powiedział Johnson.

Hog mruknął coś pod nosem i wyszedł stuknąwszy w drzwi lufą karabinu.

— Gbur! — krzyknął za nim ojciec. Matka wyjaśniła:

— Nie ma rady na niego. Jak już nabierze wody w usta albo czegoś nie chce — szkoda czasu na prośby.

Nie mówiono o tym więcej. Goście posiedzieli jeszcze chwilę, po czym zaprowadzono ich do przygotowanych dla nich pokojów. Młodzi przed położeniem się spać wstąpili jeszcze do Neda, żeby sprawdzić, czy mu czegoś nie potrzeba.

— No i co pan powie? — zapytał Mistrey. — Jakie są pańskie wrażenia?

— Widzę bardzo wyraźnie całą trójkę — Swan zmrużył niewidzące oczy i zapatrzył się w tamten świat, w którym wszystko było mu znajome — Johnson: czarny, duże usta i ryżaska w poprzek przekrwionego oka. Jego żona: nieduże zębate koło z paszczą ośmiornicy wewnątrz. Hog... ten jest niewyraźny... tak, ciemność, dwa miedziane punkty i skrzydła sowy.

— I co jeszcze? — Tawi odniosła się do tych słów z lekką niechęcią. — Kochany Nedzie, pan jest dziś zdenerwowany. Co prawda ja też czuję jakiś niepokój.

— Zdaje się, że przyjechaliśmy nie w porę — zauważył Mistrey, nie chcąc jednak denerwować Tawi, dodał: — To na pewno przesadna podejrzliwość... Dobrej nocy, Ned!

— Dziękuję. Niechże dobre będą i wasze noce — odpowiedział Ned — dobre, p ó k i

jestem ślepy.

Mąż i żona od dawna już przywykli do dziwnej formy, w jakiej czasami wyrażał swoje myśli Ned Swan, toteż nie zwracając specjalnej uwagi na jego ostatnie słowa, pożegnali się i poszli do siebie.

V

Kilka dni spędzili schodząc rankami w doliny lub wspinając się wśród kwitnących parowów do fantastycznych zakątków górskiego świata, gdzie raptowne niespodzianki krajobrazu są niby radosne spotkania z ukrytymi marzeniami, które naraz oglądamy w łagodnym lub dech zapierającym kształcie. Obok, niedaleko domu, kałała dymem delikatne piękno gór fabryka Johnsona. Kominy otoczone murami i magazynami. Zdawało się, że jakimiś podziemnymi drogami, przeniesiona z miasta, wychynęła tu nagle pośród promiennej zieloności górskich zboczy. Tawi patrzyła na nią bez słowa, czasami tylko wymawiała cicho „Aha!” — jeśli Johnson, który znalazł się tam przypadkowo, coś jej objaśniał. I spieszyła nad jezioro, gdzie beztroscy oberwańcy z wędkami w rękę wchłaniali całą swoją istotą blask bezdennej wody odbijającej ich postacie.

Ned Swan towarzyszył im za każdym razem. Dzięki jego obecności spacerowały się powoli i spokojnie, ponieważ trzeba było prowadzić ślepcę, pozwolić mu trzymać się za poję lub za koniec laski, której drugi koniec Mistrey brał pod pachę. Ned Swan wypytywał ich, słuchał, potem określał to po swoim.

Tymczasem wrażenia związane z d o m e m — co było naturalne na skutek wzajemnej obcości, która z niejakim trudem dawała się ukryć — szły tuż za nimi, lecz oni rzadko się odwracali, by spojrzeć w ich ostre rysy. Tam, wśród krzykliwych głosów, rachunków i przekleństw, kłótni i swoistej duchowej czkawki, ściśle odmierzającej wszystkie wahania pracowitego dnia, płynęło zebrane w rzadki kok na czubku głowy inne życie. Gospodarze i goście spotykali się rzadko. Hog przychodził czasem na obiad, częściej jednak dawał znać o swym istnieniu orkiestralnymi strzałami albo gromkim śmiechem gdzieś na tyłach stajni, a śmiech ten dźwięczał tak długo, jednostajnie i głośno, że chciało się zamknąć okno. Hog prawie się nie odzywał, witał się niemal ze wstrętem i w ogóle był — s a m.

Minał tydzień i ci obcy dla siebie ludzie równie mało wiedzieli o sobie, jak przy pierwszym spotkaniu.

VI

Następnego dnia przed wieczorem Johnson pijany, lecz dobrze trzymający się na nogach, nagle odzyskał dar mowy i wszedł do pokoju gości z taką miną, która już z góry, nim padło pierwsze słowo, zapowiadała, że coś się święci.

— Muszę z panem pogadać. Mistrey — powiedział wolno Johnson. Oczy mu latały, wsunął pięści do kieszeni i poruszał nimi, jakby miesił ciasto. — I z pańską żoną również. Mam pewien interes. To znaczy chciałbym o nim pomówić, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

— Proszę, słucham pana. — Mistrey wskazał krzesło Johnsonowi i sam usiadł naprzeciw niego. Tawi siedziała w głębi pokoju, ukryta w cieniu, wydając się stamtąd daleka i cicha. — Uprzedzam jednak, że nie jestem człowiekiem interesu, o czym mógł pana przekonać mój eksperyment z kupnem c u d z e j posiadłości.

Wzrok Johnsona błysnął przebiegle.

— Hm... — rzekł — no tak, każdy może paść ofiarą sprytnych frantów, to się rozumie... mimo to... powiem wprost, że interes dotyczy wyłącznie pana i mnie.

— A mnie? — roześmiała się Tawi.

— Pani? Pani także, rzecz jasna. Dotyczy obojga państwa, ale przede wszystkim mnie.

— Więc proszę, niech pan mówi — powiedział Mistrey rozmyślnie unikając przerw.

Johnson westchnął ciężko, wykrzywił twarz w grymasie, który wszystkie rysy jego twarzy jak gdyby skupił wokół oczu pilnie starających się wyczytać z twarzy małżonków coś, co by mu pozwoliło pchnąć rozmowę na właściwe tory.

— Jestem zrujnowany — oznajmił schrypniętym głosem — zrujnowany z kretesem i najdalej za miesiąc będę musiał wynieść się stąd. Jest tylko jedno wyjście z sytuacji. Niech pan posłucha; oferuję mi dużą partię surowca za pół darmo. Dlaczego, sam dobrze nie wiem; wiem tylko, że człowiek, z którym pertraktuję, jest absolutnie pewny. Mam jeszcze do dyspozycji dwadzieścia cztery godziny. Jeżeli wniosę połowę sumy, towar należy do mnie i za dwa tygodnie wypuszczę już gotowe fabrykaty po cenie znacznie niższej niż rynkowe. W ten sposób oprócz poważnego zysku otrzymam zamówienia i zadatki, które pozwolą mi odroczyć i częściowo spłacić weksle. Ale dziś lub najpóźniej jutro trzeba temu człowiekowi wpłacić trzydzieści tysięcy.

Umilkł, odchylił się w tył przymknawszy powieki, potem nagle i bezczelnie wlepił uporczywy wzrok w Mistreya klepnawszy się ręką po kolanie.

— Tak — powiedział Mistrey po chwili zastanowienia. — Lecz ze mnie doprawdy żaden doradca.

— Niepotrzebna mi rada.

— A zatem... co?!

— Pieniądze?!

— Co takiego?!

— Perły — powiedział Johnson denerwując się już w sposób widoczny. — Perły pańskiej żony. Naszyjnik wart jest sześćdziesiąt kawałków. Proszę zaczekać. Zaraz skończę. Da mi pan naszyjnik, a ja go zastawię i złożę kaucję. Nic mu się nie stanie, ręczę za to słowem. Dokładnie za miesiąc, nawet o dzień nie wcześniej ani później, zwracam go panu plus dwadzieścia od sta. I jesteśmy kwita.

Zapadło milczenie. Tawi przysiadła się do Mistreya. Dłoń jej powędrowała ku szyi, gdzie w świetle elektrycznym rozsiewało swój gorący mleczny blask jej tęczowe wspomnienie, z którym rozstawała się jedynie na noc — potem dłoń cofnęła się, a łagodny uśmiech wyraził dumę. Spojrzała przy tym na męża nie bez chytryści, przeczuwając interesującą odpowiedź.

— I panu to mogło przyjść do głowy? — rzekł Mistrey. — Odpowiem więc panu tak samo prosto, jak pan zwrócił się do mnie: nie pójdziemy na to.

Johnson przełknął ślinę.

— Dlaczego? — zapytał głucho i przymilnie.

— To wykluczone.

— Ale dlaczego, u diabła?

Na twarz wystąpiły mu czerwone plamy. Wstał, potem siadł znowu z taką siłą, że krzesło zatrzęszczało. W słowach jego dźwięczała bezsilna wściekłość.

— Niech pan posłucha — zaczął trąć dłonie — tu nie ma żadnego ryzyka. Ręczę za to i mogę przysiąc...

— Współczuję panu — przerwał twardo Mistrey — lecz duszy mojej nie zbrukam. Rzecz, o której mówi pan tak lekko — to zresztą rozumiałe, gdyż dla pana to zwykły klejnot — zamknęła w sobie nasz pierwszy pełen uroku wieczór — mój i żony mojej. Ta rzecz nie jest do sprzedania ani do zastawienia. Ona już straciła wartość, na której panu zależy; jej

wartość jest inna. To wszystko.

Johnson wstał.

— Doskonale — powiedział kiwając głową gniewnie i powoli, jakby rozmyślał na głos. — Oto ludzie ci... ha... ludzie ci przyjeżdżają do ciebie, Johnson. Tak. Czy o coś proszą? Nie, o n i c nie proszą. Są wdzięczni. To przecież goście. Mieszkają tu, jedzą, piją...

— Mistrey! — ledwo zdołała wymówić Tawi. Mistrey szybko położył rękę na ramieniu Johnsona.

— Niech pan idzie i położy się spać — powiedział tak cicho i dobitnie, że Johnson się odsunął. — Nie zostaniemy tu dłużej niż dziesięć minut. Tawi! — Lecz ona już wstała patrząc w okno.

W tej chwili Mistrey spostrzegł, że drzwi są otwarte. Lekko przytrzymując się framugi, stał w nich ze spuszczoną głową Ned Swan. Zakaszał.

— O! No i patrzcie! — wykrzyknęła spostrzegłszy go Tawi. — Niech pan się też zbiera, Ned.

— Jestem gotów — powiedział smutno ślepiec.

Johnson wyszedł, zrobił kilka kroków i popatrzył na gości. Tupnął nogą.

— Fora ze dwora! — wrzasnął. — Przez okno cisnę wam bagaż.

Swan gestem zatrzymał Mistreya.

— Bagaż moich przyjaciół, jak również moje manatki zostaną na razie tutaj — rzekł odwracając twarz do Johnsona. — Po kilku dniach będą wykupione za sumę stanowiącą zapłatę dla Johnsona. Johnson poniósł pewne wydatki. Jedliśmy i piliśmy u niego.

— Dziękuję, Swan — powiedziała Tawi. — Tak powinno być.

Wyszli bez zwłoki. Nikt nie słał za nimi przekleństw ani nie podejmował na nowo obraźliwej utarczki. Przed wejściem stał Hog. Widział, jak troje ludzi, nie oglądając się, odeszło wolnym krokiem i skryło się w lesie.

VII

Ścieżka, którą szli, wiła się łagodnym zygzakiem; tuż u ich stóp opadały tarasowato milczące, oblane jasnym światłem zbocza. Rzekłbyś, że piękno osiągnęło tu swój zenit; ledwie wzrok znużony migotliwą pustką dolin przenosił się na obrazy najbliższe, gdy zwisające nad głową skały, zakręt wycieniowany klarowną czernią nieba nagle zmieniały rytm wzruszenia zbudzonego i miarowo kołysanego przez ogłuszającą ciszę przepaści.

Zmęczeni wędrowcy siedli i spuścili nogi nad otchłanią. Mistreyowi zdawało się początkowo, że Tawi coś mówi, w taki skupiony ryjek wyciągnęły się jej wargi, szepcząc czy mrużąc coś do siebie. Lecz ona po prostu fruwała, trzymając się rękami ziemi, po przeciwległym stoku oddalonym najwyżej o lot kuli. Fruwała i w myślach opuszczała się tam, gdzie było bardziej malowniczo. Oczy jej lśniły żywym blaskiem.

— O Mistrey! — tyle tylko mogła wymówić przycisnąwszy rękę do serca. — Ned, proszę mi wybaczyć, że ja mam żrenice.

Swan milczał. Dziwny uśmiech przewinał się po jego twarzy.

— Ja widzę — powiedział. — Ale inaczej, poprzez nastrój, jaki mi się udziela od pani.

Mistrey rozejrzawszy się spostrzegł w skale coś na podobieństwo niszy — powitano ją jako chwilowe schronienie. Uszłe krzewy gęsto rosły dokoła. W sam raz na rozpalenie ogniska. Opodal na omszałym pionowym stoku zawisł skaczący w dół przejrzysty strumyk. Tawi wdrapała się na orzech i rozdarła spódnicę. Swan wyciągnął z kieszeni spory kawał chleba.

— Wziąłem ze sobą — rzekł — dopiszemy do rachunku.

Długo siedzieli przy ognisku gawędząc i zachwycając się romantycznością położenia.

Wreszcie Tawi położyła głowę na kolanach męża i zasnęła, a on oparł się o skalną ścianę.
Swan położył się u wejścia do niszy.

VIII

W samej pełni nocy, która weszła wysoko w górze i stamtąd milcząco patrzyła na swoje odbicie w przepaściach i urwiskach, z rozpadliny wyszedł na drogę niedźwiedź. Stał pod wiatr i węszył niechętnie, pełnymi nozdrzami wciągając pachnącą skałą i listowiem powietrze i starając się zeń wyłowić najdrobniejszy nawet odcień; czy mdlący dreszcz nie zwarzy oddechu, czy nie zamajaczy pamiętna z dawnych spotkań ruchoma sylwetka z wycelowanym między niedźwiedzie ślepią otworem, skąd należy się spodziewać huku i bólu?

Lecz wahliwy bilans prądów powietrznych wyeliminował lekką przędzę niebezpiecznej woni, rozwarstwił ją i przemieścił. Wówczas, głośno westchnąwszy, niedźwiedź prychnął nosem w kurz śpiącej ścieżki. Kozica, jeź i lis zamajaczyły przed jego wewnętrznym wzrokiem, gdyż wczoraj przechodziły tędy; było to jednak coś słabo uchwytnego, co oznaczało, że minął już spory odstęp czasu. Wtedy z tej części duszy, którą można porównać ze stanem sennej świadomości człowieka, gdy w uspieniu wysila się czasem, pragnąc pochwycić umykające wspomnienia, wyszedł impuls — niedźwiedź ruszył w dół ścieżką, kołysząc głową i czujnie węsząc, czy nie przetnie mu drogi podejrzana smuga powietrzna.

Nagle zatrzymał się i usiadł podniósłszy łeb niczym pies. Wiatr przypadkowo powiał w odwrotnym kierunku, w nozdrza zwierzęcia uderzyła woń ubrania i ciał kilku ludzi znajdujących się gdzieś bardzo blisko. Poczul lekki niepokój w żołądku i ociążałość w łapach. Nie uciekł jednak i nie wdrapał się wyżej, lecz ze zdziwieniem smakował zapach, badał go i strach mijał powoli. Zapach nie był zatruty jadem, mógł więc należeć do innego gatunku, prawdopodobnie tylko spokrewnionego w jakiś sposób z istotą, która miotła się z grzmiącym narzędziem w łapach.

Zwierz poruszył się prychnając cicho i pytająco. Widział tak dobrze, jak ludzie widzą za dnia. Wszedł pomiędzy grupkę osób, zbliżył swój czujny nos do twarzy Tawi i uspokoił się. Potem delikatnie przekroczywszy nogi Mistreya, przesunął pyskiem wzdłuż ciała Swana, niemal go dotykając.

Wszystko ucichło, wszystko się w nim zasklepiło, w dodatku obok zapachniało czymś dawno zapomnianym. Była to skórka chleba. Zgarnął ją delikatnie językiem, pożuł szczękami i leży wyciągnąwszy łeb u nóg młodej kobiety niby dywan z niedźwiedziej skóry, spoczywający, być może, w tej chwili pod bestialską nogą jakiegoś człowieka.

Spał. Kiedy ponownie zaczął go dręczyć tamten zapach, od którego uciekł o dwie mile, żeby sobie zapewnić spokojny spacer nocny — potwór górski wylazł na przyćmione światło gwiazd i stanąwszy na dwóch łapach ruszył w kierunku Hoga, który pospiesznie wycelował grzmiący otwór w kudłatą pierś. Ale niedźwiedź tylko machnął łapą. Rozdarty policzek obnażył kości — i ten, który przez całą noc widział tylko perły, nagle zmartwiał, ugiąłwszy się w kolanach pod strasliwym ciosem i runął w otchłań.

Może to usymbolizowała się ciemna przeszłość rodziny, ale gdy człowiek z półmilowej wysokości plusnął niczym woda o szeroki głaz — czerwona plama, która pokryła wapień, rozplynęła się w kształcie noża. Któż to wie? Została tylko przeszłość. Przeszłość ściekała po skale i obeschła w prostopadłych promieniach słońca.

Rano Mistrey powiedział do Swana, że na popiele widać ślady łap, prosił jednak, by starzec nie mówił Tawi o jego odkryciu.

Swan uśmiechając się łagodnie, zwrócił srebrzysty wzrok w stronę urwiska, z którego — on jeden tylko wiedział — runął syn Johnsona. Ale świadomość ta była jak sen, którego

nie da się wyrazić słowem.

Wszyscy troje szczęśliwie zeszli do górskiego osiedla, gdzie mogli wynająć muły.
Po tygodniu otrzymali swój bagaż bez jednego słowa.

Przełożyła Irena Piotrowska

Czternaście stóp

I

— A więc odmówiła wam obu? — zagadnął na pożegnanie gospodarz przydrożnej karczmy. — A wy co na to?

Rod milcząco uchylił kapelusza i ruszył naprzód. To samo zrobił Kist. Obaj kopacze byli źli na siebie, że wczoraj wieczorem rozgadali się, ulegając władzy oparów wódczanych. Teraz gospodarz pokpiwał sobie z nich, przynajmniej przy tym ostatnim pytaniu prawie nie ukrywał uśmiechu.

Kiedy karczma znikła za zakrętem, Rod powiedział z zażenowanym uśmiechem:

— To tobie zachciało się wódki. Gdyby nie wódka, Kate nie potrzebowałyby się czerwienić ze wstydu przez tę naszą rozmowę, chociaż dziewczyna jest o dwa tysiące mil od nas. Co obchodzi tego hipopotama...

— I cóż wielkiego usłyszał karczmarz? — odparł chmurnie Kist. — No, kochałeś ty... kochałem ja... Kochaliśmy jedną. Jej to obojętne... A zresztą to była rozmowa o kobietach w ogóle.

— Nic nie rozumiesz — powiedział Rod. — Postąpiliśmy nieładnie w stosunku do niej: wymówiliśmy jej imię w... przy szynkwasiu. No, dosyć o tym.

Mimo że dziewczyna mocno tkwiła każdemu w sercu, pozostali przyjaciółmi.

Nie wiadomo, co by było, gdyby wybrała jednego z nich. Niestety w miłości zbliżyło ich nawet; obaj w myślach patrzyli na Kate przez teleskop, a nie ma dusz równie pokrewnych, jak astronomowie. Dlatego stosunki między nimi nie psuły się.

Jak powiedział Kist: „Kate było to obojętne”. Niezupełnie. A jednak Kate milczała.

II

„Kto kocha, ten walczy do końca”. Kiedy obaj — Rod i Kist — przyszli się pożegnać, Kate myślała sobie, że wrócić i ponownie oświadczyć powinien silniejszy i bardziej stały w swym uczuciu. Tak oto, być może zbyt surowo, zawyrokował osiemnastoletni Salomon w spódnicy. Tymczasem podobali się jej obaj. Nie wyobrażała sobie, jak można odejść od niej dalej niż cztery mile i nie wrócić po dwudziestu czterech godzinach. Jednak poważne miny kopaczy, szczelnie przylegające do ich pleców torby, słowa, jakie wypowiada się tylko przy prawdziwym rozstaniu — rozgniewały ją nieco. Było jej ciężko na duszy i zemściła się za to.

— Idźcie sobie — powiedziała Kate. — Świat jest szeroki. Nie będziecie chyba ciągle obaj stać pod tym samym okienkiem.

Mówiąc tak myślała z początku, że prędko, bardzo prędko zjawi się wesoły i żywy Kist. Lecz minął miesiąc i myśli jej zwróciły się do Roda, z którym czuła się zawsze swobodniej;

Rod miał wielką głowę, był silny i małomówny, ale patrzył na nią z taką dobroduszością, że raz nawet zawołała do niego: „Cip, cip...”

III

Najkrótsza droga do Słonecznych Kanionów wiodła przez pasmo skał — odnogę górską przecinającą las. Były tu przejścia, o których kierunkach i zawiłościach podróżni dowiedzieli się w karczmie. Przez cały niemal dzień szli trzymając się prawidłowego szlaku, ale pod wieczór zaczęli po trochu błędzić. Największy błąd popełnili przy Płaskim Kamieniu — odłame skały, zrzuconym niegdyś przez trzęsienie ziemi. Ze zmęczenia zawiodła ich pamięć — pomylili przejścia i poszli pod górę, zamiast iść około półtorej mili na lewo, a dopiero potem zacząć się wspinać.

O zachodzie słońca, przebrnąwszy przez dzikie wertepy, kopacze spostrzegli, że drogę zagradza im rozpadlina. Szerokość przepaści była dość znaczna, ale w niektórych miejscach wydawało się, że nie przekracza skoku konia.

Widząc, że zabłądzili, Kist i Rod rozeszli się: jeden poszedł na prawo, drugi — na lewo. Kist doznał do niedostępnych urwisk i zawrócił; po pół godzinie wrócił i Rod — jego droga zaprowadziła do miejsca, gdzie rozpadlinę przecinały koryta strumieni, spadających w przepaść.

Wędrowcy spotkali się w tym miejscu, gdzie po raz pierwszy zobaczyli szczelinę.

IV

Tak blisko, że wystarczyło przerzucić kładkę — leżał przed nimi przeciwległy brzeg przepaści; Kist aż tupnął ze złości i poskrobał się w głowę. Krawędź, oddzielona szczeliną, urwiskiem spadała w dół i była pokryta żwirem, ale ze wszystkich miejsc, które obeszlizując przejścia — tu było najwięcej. Przerzuciwszy linkę z przywiązaniem do niej kamieniem, Rod zmierzył fatalną odległość: miała prawie czternaście stóp. Obejrzał się za siebie: sucha jak szczotka kosodrzewina pełzała po wieczornym płaskowzgórzu; słońce gasło.

Mogli byli zawrócić tracąc dzień lub dwa, ale daleko przed nimi, w dole, lśniła cienka pętla Ascendy, a na prawo od jej łuku leżał złotodajny łańcuch Gór Słonecznych. Pokonać szczelinę — znaczyło skrócić drogę co najmniej o jakie pięć dni. Normalna zaś droga powrotna na stary szlak i wędrowka wzdłuż zakrętu rzeki — tworzyły duże „S”, które teraz mogłoby przeciąć w linii prostej.

— Żeby tak drzewo — powiedział Rod — ale drzewa nie ma. Nie ma co przerzucić i za co zaczepić sznurem po tamtej stronie. Trzeba skakać.

Kist obejrzał się i kiwnął głową. Rzeczywiście teren nadawał się do rozpędu: ku szczelinie prowadziła pochyłość.

— Wyobraź sobie, że masz przed sobą rozpięte czarne płótno i tyle — powiedział Rod. — Wyobraź sobie, że przepaści nie ma wcale.

— Rozumie się — odrzekł Kist z roztargnieniem. — Trochę zimno. Jak przed kąpielą.

Rod zdjął z ramion torbę i przerzucił ją; to samo zrobił Kist. Teraz nie pozostawało im nic innego, jak iść za swym postanowieniem.

— A więc... — zaczął Rod, ale Kist, bardziej nerwowy, któremu trudniej było znieść oczekiwanie, hamującym gestem wyciągnął rękę.

— Najpierw ja, a potem ty — powiedział. — To zupełne głupstwo. Mucha! Patrz!

Działając w transie, aby uprzędzić moment zrozumiałego lęku, oddalił się nieco, rozpedził i — szczęśliwie odbiwszy się nogą — przeleciał ku swemu workowi, grzmotnąwszy pierśią na płask. W punkcie kulminacyjnym tego rozpaczliwego skoku Rod natężył się wewnątrz, jak gdyby pomagając skaczącemu całą swą istotą.

Kist wstał. Był trochę blady.

— Gotowe — powiedział Kist. — Czekam cię z pierwszą pocztą.

Rod powoli odszedł na wzniesienie, potarł z roztargnieniem ręce i z pochyloną głową popędził ku przepaści. Zdawało się, że jego ciężkie ciało poderwie się lotem ptaka. Kiedy się rozpedził, a potem odbił, będąc już w powietrzu, Kist, nieoczekiwanie dla siebie samego, wyobraził sobie Roda lecącego w przepastną głębinę. To była podła myśl — jedna z tych myśli, nad którymi człowiek nie ma władzy. Być może udzieliła się ona skaczącemu. Rod odrywając się od ziemi spojrział niebacznie na Kista — i to go zgubiło.

Uderzył pierśią o krawędź, lecz natychmiast wyrzucił rękę czepiając się ręki Kista. Cała próżnia otchłani jęknęła w nim — ale Kist trzymał mocno, zdążywszy chwycić padającego w ostatnim ułamku sekundy. Jeszcze trochę — a ręka Kista znikłaby w przepaści. Kist leżał, ślizgając się na drobnym żwirze po zakurzonej pochyłości. Jego ręka wyprężyła się i zmartwiała od ciężaru ciała Roda, lecz drapiąc ziemię nogami i wolną ręką, z wściekłością skazanka w rozpaczliwym natchnieniu ryzyka — trzymał w uścisku rękę przyjaciela.

Rod doskonale wiedział i rozumiał, że Kist zsuwa się w dół.

— Puść — powiedział Rod tak strasznie i zimno, że Kist z rozpaczą zawołał o pomoc, sam nie wiedząc po co.

— Spadniesz, mówię ci — szeptał Rod — puść mnie i nie zapominaj, że o n a w ł a ś n i e n a c i e b i e p o p a t r z y ł a s z c z e g ó l n i e.

Tak zdradził się ze swym gorzkim, tajemnym przeświadczeniem. Kist nie odpowiedział. W milczeniu okupywał swą myśl — myśl o skoku Roda w przepaść. Wtedy Rod swobodną ręką wyjął z kieszeni nóż, otworzył go zębami i wbił w rękę Kista.

Ręka rozkurczyła się...

Kist spojrział w dół, a potem, sam ledwie utrzymawszy się od upadku, odczołgał się i przewiązał rękę chusteczką.

Przez pewien czas siedział cicho, trzymając się za serce, w którym bił grom; w końcu położył się i w milczeniu drżał na całym ciele, chwytając się ręką za twarz.

Zimą następnego roku na dziedziniec farmy Carrola wszedł przyzwoicie ubrany człowiek. Nie zdążył obejrzeć się, jak w głębi domu trzasnęło kilkoro drzwi i — nastraszywszy kury — wybiegła do niego pędem młoda dziewczyna o zadziornej postaci, ale z twarzą wychudłą i pełną napięcia.

— A gdzie Rod? — spytała pośpiesznie, ledwo podawszy mu rękę. — Czy pan jest sam, Kist?!

„Jeżeli wybrałaś, to słusznie” — pomyślał przybyły.

— A Rod... — powtórzyła Kate. — Przecież byliście zawsze razem...

Kist chrząknął, odwrócił oczy i opowiedział wszystko.

Przełożyła *Krystyna Pomorska*

Głos i wzrok

I

Ociemniały leżał cicho, uśmiechając się, z rękami złożonymi na piersiach. Uśmiechał się bezwiednie. Zakazano mu wszelkiego ruchu, wolno mu było to robić tylko w razie rzeczywistej konieczności. Leżał tak już trzeci dzień, z przepaską na oczach. Jego stan, pomimo tego słabego, zastygłego na twarzy uśmiechu, był stanem skazańca, który czeka na ułaskawienie. Od czasu do czasu nadzieja, że dzięki tajemniczej pracy źrenic będzie mógł rozpocząć życie na nowo, utrzymując równowagę w jasnej przestrzeni, stawała się naraz tak wyrazista, tak go podniecała, że rzucał się jak we śnie.

Oszczędzając nerwy Rabida, profesor nie powiedział mu, że operacja się udała i że z całą pewnością będzie znów widział. Istniała jedna dziesięciotysięczna możliwość, że wszystko obróci się znów w tragedię. Dlatego każdego dnia przy pożegnaniu profesor mówił Rabidowi:

— Niech pan będzie spokojny. Zrobię dla pana wszystko, reszta się ułoży.

W dręczącym napięciu, w pełnym różnorodnych przypuszczeń oczekiwaniu Rabid usłyszał głos zbliżającej się do niego Daisy Garan. Była to dziewczyna pracująca w klinice. W ciężkich chwilach Rabid często prosił ją, aby położyła mu rękę na czole, i z przyjemnością czekał, aż ta mała, przyjazna ręka lekko dotknie zdrętwiałej od bezruchu głowy. Tak się też stało.

Kiedy cofnęła rękę, Rabid, który tak długo był pogrążony w sobie i nauczył się nieomylnie pojmować odruchy własnego serca, zrozumiał raz jeszcze, iż w ostatnich czasach jego lęk polegał głównie na tym, że nigdy nie zobaczy Daisy. Już wtedy, kiedy przyprowadzono go tutaj i kiedy usłyszał miły kobiecy głos, wydający dyspozycję co do przyjęcia chorego, powstała w nim radosna wizja delikatnej i harmonijnej istoty, odmalowanej dźwiękiem jej własnego głosu. Był to ciepły, wesoły, bliski sercu dźwięk młodego życia, pełen śpiewnych odcieni, jasnych jak wiosenny poranek.

Stopniowo stworzył sobie wyraźny jej obraz, dowolny — jak wszystkie nasze wizje o niewidzialnym — lecz koniecznie mu potrzebny. Rozmawiając przez trzy tygodnie tylko z nią, poddając się jej delikatnym, lecz stanowczym zabiegom, Rabid wiedział, że pokochał ją już od pierwszych dni; teraz celem jego było wyzdrowieć — dla niej.

Sądził, że Daisy odnosi się do niego z głębokim współczuciem, co było dobrą wróżbą na przyszłość. Niewidomy Rabid uważał, że nie ma prawa zadawać jej żadnych pytań, i odsuwał decyzję do czasu, kiedy oboje popatrzą sobie w oczy. I wcale nie wiedział, że ta dziewczyna, której głos tak go uszczęśliwiał, myśli o jego wyzdrowieniu ze strachem i smutkiem, dlatego że jest brzydka. Jej uczucie dla niego zrodziło się z samotności, ze świadomości wpływu na niego i poczucia bezpieczeństwa. Był niewidomy — i Daisy mogła spokojnie patrzeć na siebie poprzez jego wewnętrzną wizję, która wyrażała się nie w słowach, lecz w całym stosunku do niej, i Daisy wiedziała, że Rabid ją kocha.

Przed operacją długo i dużo rozmawiali. Rabid opowiadał jej o swoich włóczęgach, ona — o wszystkim, co teraz dzieje się na świecie. Tok jej opowieści był pełen tej samej czarującej miękkości, co jej głos. Przy rozstaniu oboje obmyślali, co by sobie jeszcze powiedzieć. Jej ostatnie słowa były:

— Do widzenia — na razie.

— Na razie... — odpowiadał Rabid i zdawało mu się, że w tym „na razie” brzmi nadzieja.

Był prosty, młody, śmiały, wesoły, wysoki i czarnowłosy. Jego oczy, gdyby na nie przejrzał, muszą być czarne, błyszczące, o bacznym spojrzeniu. Wyobrażając sobie to spojrzenie,

Daisy odchodziła od lustra z przerażeniem w oczach. Jej twarz o chorobliwej cerze i nieregularnych rysach powlekała się delikatnym rumieńcem.

— Co to będzie? — mówiła. — A więc niech się skończy ten piękny miesiąc. Ale niech pan otworzy jego więzienie, profesorze Rebal, błagam pana!

II

Kiedy przyszedł okres próby i wpuszczono do pokoju światło, z którym chory mógł w pierwszym okresie walczyć nieokręptym wzrokiem, profesor i jego asystent, a z nimi jeszcze kilka osób ze świata nauki, otoczyli Rabida.

— Daisy — zawołał myśląc, że ona tu jest, i spodziewając się ją pierwszą zobaczyć. Ale jej nie było, nie było właśnie dlatego, że nie znalazła w tym momencie siły, aby zobaczyć, odczuć przeżycie człowieka, o którego losach decydowało zdjęcie przepaski. Stała pośrodku pokoju jak zaklęta, nad słuchując głosów i kroków. Mimowolnym wysiłkiem wyobraźni, co opromienia nas w ciężkich chwilach, zobaczyła siebie gdzieś w innym świecie, zmienioną, taką, jaką chciałyby się wydać nowo narodzonemu oku; westchnęła i poddała się losowi.

Tymczasem przepaskę zdjęto. Czując równocześnie i jej zniknięcie, i ucisk, Rabid leżał, pełen ostrych i błogich wątpliwości. Puls mu osłabł.

— Zrobione — powiedział profesor i głos mu drgnął ze wzruszenia: — Proszę patrzeć, proszę otworzyć oczy!

Rabid uniósł powieki myśląc wciąż, że Daisy jest tutaj, i wstydząc się zawołać ją po raz drugi.

Tuż przed jego twarzą wisiała jakaś pofałdowana zasłona.

— Proszę zabrać tę materię — powiedział — przeszkadza mi — i powiedziawszy to zrozumiał, że fałdy materiału, zawieszonego jak gdyby wprost na jego twarzy, to firanka na oknie w dalekim końcu pokoju.

Jego pierś zaczęła falować nierównomiernie i Rabid nie czując szlochu, który niepoohamowanie wstrząsał całym jego zbiedzonym, odleżałym ciałem — zaczął się rozglądać, jakby czytał książkę. Przedmioty jeden za drugim przesuwały się przed nim w świetle jego zachwyty — i Rabid zobaczył drzwi, które natychmiast pokochał: tak oto wyglądały drzwi, którymi wchodziła Daisy. Uśmiechając się szczęśliwie, wziął ze stołu szklankę, ręka mu zadrżała, i prawie bezbłędnie postawił szklankę na dawne miejsce.

Teraz czekał z niecierpliwością, kiedy odejdą wszyscy, którzy przywrócili mu wzrok, żeby mógł zawołać Daisy i — otrzymawszy wreszcie prawo walki o życie — powiedziec jej wszystko, co było dla niego najważniejsze. Ale przeszło jeszcze kilka minut prowadzonej półgłosem, uroczystej, gorączkowej uczonej rozmowy, podczas której musiał odpowiadać, jak się czuje i jak widzi.

W szybkim migotaniu przepełniających go myśli, w strasliwym wzruszeniu, zupełnie nie mógł sobie przypomnieć szczegółów tych minut i ustalić, kiedy nareszcie został sam. Ale ta chwila nastąpiła. Rabid zadzwonił, powiedział salowej, że oczekuje natychmiast Daisy Garan, i z zachwytem zaczął patrzeć na drzwi.

III

Dowiedziawszy się, że operacja wypadła znakomicie, Daisy wróciła do swego pokoju,

pachnącego czystością osamotnienia, i ze łzami w oczach, z łagodnym męstwem, jakie niesie ostatnie, przekreślające wszystko spotkanie, włożyła miłą letnią sukienkę. Swoje gęste włosy upięła prosto, nie można było zrobić nic ładniejszego od tej fali o wilgotnym połysku — i gotowa na wszystko, z podniesioną swobodnie głową podeszła z uśmiechem na ustach i śmiercią w duszy do drzwi, za którymi wszystko tak się niezwykle zmieniło. Wydawało się jej nawet, że tam leży nie Rabid, tylko ktoś zupełnie inny. I przypomniawszy z całą szybkością ostatnich minut liczne szczegóły ich spotkań i rozmów, zrozumiała, że on kochał ją naprawdę.

Dotknąwszy drzwi zatrzymała się — i otworzyła, pragnąc niemal, aby wszystko zostało po dawnemu.

Rabid leżał zwrócony głową do niej, szukając kogoś poza nią. Daisy podeszła i stanęła.

— Kim pani jest? — odezwał się Rabid z pytającym uśmiechem.

— Jestem dla pana jakby nową istotą, prawda? — powiedziała Daisy, przywracając mu natychmiast dźwiękiem swego głosu całą ich krótką przeszłość, w której byli dla siebie utajeni.

W jego czarnych oczach Daisy ujrzała nie ukrywaną, pełną radość i cierpienie opuściło ją. To nie był cud — ale cały jej wewnętrzny świat, cała miłość, strach, ambicja i rozpaczliwe myśli, i wszystkie wzruszenia ostatnich chwil — wszystko odbiło się w tym uśmiechu na twarzy zalanej rumieńcem, i cała ona, ze swą harmonijną postacią, wydała się Rabidowi dźwiękiem struny, oplecionej kwiatami. Była piękna w świetle miłości.

— Teraz, dopiero teraz — zawołał Rabid — rozumiem, skąd u pani ten głos, którego lubiłem słuchać nawet we śnie. Teraz, gdyby pani nawet oślepla, kochałbym panią i wyleczył miłością. Proszę mi wybaczyć. Jestem trochę szalony, bo zmartwychwstałem. Niech mi pani pozwoli mówić wszystko.

W tym momencie zrodzony w nim przez ciemność, lecz wyraźny jej obraz był i pozostał taki, jakiego się nie spodziewała.

Przełożyła *Krystyna Pomorska*

Gadatliwy skrzat

Stałem przy oknie
nucąc piosenkę o Annie...

H. Hornung

I

Skrzat cierpiący na ból zęba — czyż nie wygląda to jak oszczerstwo rzucone na istotę, która ma na swe usługi tyle wiedźm i czarowników, że mogłaby bezkarnie pożerać całe beczki cukru! Ale tak było, tak było naprawdę — mały, smutny duszek siedział przy dawno wygasłej kuchni, o której zapomniał ogień. Miarowo kołysząc rozczochraną głową, trzymał się za podwiązany policzek i jęczał żałośnie jak dziecko, a w jego mętnych, czerwonych oczach błąkało się cierpienie.

Lał deszcz. Wszedłem do tego opuszczonego domu, aby przeczekać ulewę, i zobaczyłem tego duszka, który zapomniał, że powinien był zniknąć.

— Teraz już wszystko jedno — odezwał się głosem przypominającym głos papugi w

transie — i tak nikt ci nie uwierzy, żeś mnie widział.

Złożywszy na wszelki wypadek palce w „ślimaka” od uroku, odpowiedziałem:

— Nie obawiaj się, nie pošlę ci ani srebrnej kulki, ani zawilego zaklęcia. Ale przecież dom jest pusty.

— O-och! Ale mimo to jakże trudno stąd odejść — odrzekł mały duszek. — Posłuchaj, trudno, opowiem ci. I tak bolą mnie zęby. Kiedy mówię, lepiej mi. Znacznie lepiej... och. Mój drogi, to była tylko jedna godzina, i przez to ugrzązłem tutaj. Widzisz, trzeba zrozumieć, jak to było i dlaczego. Moi, no, moi — westchnął płaczliwie. — Moi, no, słowem — nasi, już od dawna kręcą koniom ogony po tamtej stronie gór, poszli stąd, a ja nie mogę odejść, bo muszę zrozumieć.

Obejrzyj się — sufit i ściany, wszystko podziurawione, ale wyobraź sobie, że wszędzie tu lśnią czyściutkie mosiężne naczynia, firanki są białe i przezroczyste, a kwiatów w domu tyle co w okolicznych lasach; błyszczą wypastowana podłoga; kuchnia, na której teraz siedzisz niby na zimnym kamieniu grobowym, jest czerwona od ognia, a perkoczący w garnkach obiad wydziela kłęby smakowitej pary.

Niedaleko były kamieniołomy — kopalnie granitu. W tym domu mieszkali mąż i żona — para, jaką się rzadko spotyka. Mąż nazywał się Filip, żona Annie. Ona miała dwadzieścia, on dwadzieścia pięć lat. O, jeżeli ci się to podoba, to ona była zupełnie taka sama — tu duszek zerwał małe dziki kwiatek, wyrosły w szczelinie parapetu, gdzie przez lata nabiło się ziemi, i podsunął mi go demonstracyjnie. — Męża jej także lubiłem, ale ona podobała mi się bardziej, bo była nie tylko gospodynią; my, skrzaty, widzimy czar w tym, co zbliża ludzi do nas. Ona próbowała rękami łowić ryby w strumyku, stukwała w ogromny kamień na rozstajnych drogach i słuchała, jak dzwoni długo, długo nie milknąc; śmiała się, kiedy widziała na ścianie żółtego zajączka. Nie dziw się — w tym jest jakaś magia, głęboka znajomość wspaniałej duszy, ale tylko my, kozłonogi, rozumiemy jej znaki; ludzie nie są przenikliwi.

„Annie — wołał wesoło mąż, kiedy wracał na obiad z kamieniołomów, gdzie pracował w kantorze. — Nie jestem sam, przyprowadziłem mojego Ralfa”. Ale żart ten powtarzał się tak często, że Annie uśmiechała się tylko i, wcale nie zbita z tropu, nakrywała na dwie osoby. Witali się tak, jakby się właśnie odnaleźli — ona biegła ku niemu, a on przynosił ją do domu na rękach.

Wieczorami on wyciągał listy Ralfa — swego przyjaciela, z którym spędził część życia, zanim się ożenił, i czytał je głośno, a Annie, oparłszy głowę na rękach, przysłuchiwała się dobrze znanym sobie słowom — o morzu i blasku cudnych promieni po tamtej stronie naszej ogromnej planety, o wulkanach i perłach, o burzach i walkach w cieniu olbrzymich lasów. Zdawało się jej, że w każdym słowie jest — kamień, podobny do śpiewającego kamienia na rozstaju, który po uderzeniu dźwięczy przeciągle.

„On przyjdzie już wkrótce — mówił Filip — będzie tu u nas, kiedy trójmasztowiec »Sindbad« przybije do Grass. Stamtąd już tylko godzina jazdy pociągiem i godzina drogi od stacji do nas”.

Czasami Annie interesowała się jakimś szczegółem z życia Ralfa, wówczas Filip zaczynał z zapałem opowiadać o jego odwadze, dziwactwach, wielkoduszności, o jego życiu przypominającym bajkę: najpierw nędza, potem złota żyła, kupno statku i misterna siatka głośnych legend, utkana z ozagłowań, piany morskiej, gry i handlu, niebezpieczeństw i odkryć. Wieczna gra. Wieczny niepokój. Wieczna muzyka brzegów i morza.

Nie słyszałem, żeby się kiedy kłócili — a ja słyszę wszystko. Nie widziałem, by choć raz popatrzyli na siebie chłodno — a ja wszystko widzę. „Chcę spać” — mówiła wieczorem Annie, wtedy on zanosił ją do łóżka, układając i tuląc jak dziecko. Zasypiając, pytała: „Filipie, kto szepce na wierzchołkach drzew? Kto chodzi po dachu? Czyją to twarz widzę w strumyku obok swojej?” On odpowiadał trwożnie, zaglądając w jej półprzymknięte oczy: „To wrona chodzi po dachu; wiatr szumi wśród drzew; kamienie połyskują w strumyku — śpij i

nie biegaj boso”.

Potem siadał przy stole, by skończyć kolejne sprawozdanie; następnie mył się, przygotowywał drwa i kładł się spać. Zasympiał od razu i zawsze zapominał wszystko, co widział w snach. On nigdy nie stukał w śpiewający kamień na rozstajnych drogach, gdzie wróżki tkają z pyłu i promieni księżycy wspaniałe kobierce.

II

— Słuchaj dalej... Niedużo już zostało mi do opowiedzenia o trojgu ludziach, którzy zapędzili duszka w ślepy zaułek.

Był słoneczny dzień, dzień pełnego rozkwitu ziemi, kiedy Filip z notesem w rękę liczył bryły granitu, a Annie, wracając ze stacji, gdzie robiła zakupy, przystanęła przy swym kamieniu i jak zwykle uderzeniem klucza kazała mu śpiewać. Był to odłam skały, wysokości połowy twego wzrostu. Gdy się weń uderzy, dźwięczy długo, coraz ciszej i ciszej, a gdy wydaje się, że umilkł — wystarczy tylko przyłożyć ucho i rozróżni się wtedy w jego dalekiej głębi ledwie dosłyszalny dźwięk.

Nasze leśne drogi — to ogrody. Ich piękno chwyta za serce, kwiaty i gałęzie w górze spoglądają przez palce na słońce, które zmienia barwę, bowiem oczy męczą się od patrzenia nań i błędzą bez celu; na białym piasku odbija się żółte, kredowe i ciemnozielone światło. W taki dzień najlepsza jest zimna woda.

Annie przystanęła słuchając, jak w jej własnej piersi śpiewa las, i zaczęła stukać w kamień, uśmiechając się, ilekroć nowa fala wzmacniała milknący dźwięk. Zabawiała się tak myśląc, że nikt jej nie widzi, ale zza zakrętu wyszedł człowiek i zbliżył się do niej. Kroki jego stawały się coraz cichsze, wreszcie zatrzymał się, nie przestając się uśmiechać, ona popatrzyła na niego nie drgnąwszy, nie spłoszywszy się, jak gdyby był zawsze i zawsze tu stał.

On był smagły — bardzo smagły, i morze pozostawiło na jego twarzy ostry ślad biegnącej fali. Ale ta twarz była piękna, bo była zwierciadłem szalonej i tkliwej duszy. Jego ciemne oczy patrzyły na Annie, ciemniejac jeszcze silniej; a jasne oczy kobiety błyszczały łagodnie.

Słusznie pomyślisz, że deptałem jej po piętach, bo w lesie są żmije.

Kamień od dawna ucichł, a oni wciąż patrzyli na siebie, uśmiechając się bez słowa, bez dźwięku; wtedy on wyciągnął rękę, ona — powoli — wyciągnęła swoją, i ręce połączyły się. On ujął jej głowę — ostrożnie, tak ostrożnie, że bałem się odetchnąć, i pocałował w usta. Jej oczy zamknęły się.

Potem się rozeszli — i kamień rozdzielał ich po dawnemu.

Zobaczywszy zbliżającego się do nich Filipa, Annie pośpieszyła ku niemu:

„A oto Ralf, już przyszedł”.

„Przyszedł, właśnie. — Filip z radości nie mógł nawet krzyknąć, ale w końcu podrzucił kapelusz do góry i zawołał, obejmując przybysza: — Annie już widziałeś, Ralfie, to właśnie ona. — Jego dobra, mocna twarz płonęła podnieceniem spotkania. — Pomieszkaś z nami, pokażemy ci wszystko. I nagadamy się do woli. Oto moja żona, przyjacielu, ona także na ciebie czekała”.

Annie położyła rękę na ramieniu męża i popatrzyła na niego swoim najlepszym, najcieplejszym i najczulszym spojrzeniem, a potem przeniosła wzrok na gościa, nie zmieniając wyrazu, tak jakby obaj byli jej jednakowo bliscy.

„Muszę wracać — powiedział Ralf. — Zapomniałem twego adresu, Fil, i myślałem, że idę złą drogą. Dlatego nie wziąłem bagażu. Muszę iść po niego”.

Umówili się i rozeszli. Oto wszystko, co wiem. I nic nie rozumiem. Może ty mi wytłu-

maczysz.

— Ralf wrócił?

— Czekali na niego, ale napisał ze stacji, że spotkał znajomego, który zaproponował mu natychmiast dobrą posadę.

— A tamci?

— Oni umarli, umarli dawno, ze trzydzieści lat temu. Zimna woda w upalny dzień. Najpierw zaziębiła się ona. On szedł za jej trumną na pół osiwiwały. Potem znikł; mówiono, że zamknął się w pokoju przy otwartym rozżarzonej piecu. Ale co to ma do rzeczy?... Zęby mnie boją i nie mogę zrozumieć...

— Nic się na to nie poradzi — powiedziałem uprzejmie, potrząsając na pożegnanie włochatą, nie mytą łapę. — Tylko my, dwunogi, rozumiemy znaki serca; skrzaty nie są przelikliwe.

Przełożyła *Krystyna Pomorska*

Komendant portu

I

Ściemniło się, kiedy na jasno oświetlony trap towarowego statku „Reccord” wkroczył Komendant. Była to bardzo popularna na przystani postać — siedemdziesięcioletni, trzymający się prosto, wąty staruszek. Jego twarzyczka, pomarszczona niby zeschnięta gruszką, była starannie wygolona. Siwe baczki sterczały mu jak rybie płetwy; spod siwych daszków brwi przyjemnym uśmiechem błyskały małe niebieskie oczka. Marynarska czapka, brązowy surducik, białe spodnie, niebieski krawat i tania laseczka Komendanta — w jasnym świetle elektrycznej latarni ukazały się w całym swym ubóstwie, którego nie mogła zatrzeć nawet najbardziej troskliwa schludność. Popękane w dziesiątkach miejsc żółte buciki były tyleż razy pozszywane nićmi albo ściągnięte kawałkami drutu. Z kieszonki surduta wystawał mocno przyszyty kawałek kolorowego jedwabiu.

Dotknąwszy troskliwie kołnierzyka, a następnie podrzuciwszy ramionami, żeby przywołać do porządku uparte szelki, staruszek przystanął koło wachtowego i szybkim ruchem rozłożył ręce, skłoniwszy głowę w bok.

— Tom Laston! — zawołał Komendant wesoło, drżącym głosem. — Byłem pewien, że zobaczę was znowu na tym pięknym statku, marzącego o swej drogiej Betsy, która jest gdzieś... daleko. Do stu piorunów! Mam nadzieję, że rejs mieliście dobry?

— Coothey! — krzyknął Laston gdzieś w przestrzeń. — Przyszedł Komendant. Co ty na to?

— Przepędź na cztery wiatry! — doleciała twarda odpowiedź.

Wzrok staruszka wyraził prośbę, zdziwienie, figlarność. Jego laseczka podniosła się i opadła, niby psi ogon w chwili, gdy stara się uchwycić nastroj gospodarza.

— Ale, ale, zaraz na cztery wiatry — odezwał się Laston klepiąc starego dobrodusznie po ramieniu, aż Komendant przysiadł jak na sprężynach. — Myślę, Coothey, że zechcesz się z nim przywitać. Nie bój się, Komendancie, Coothey żartuje.

— Jakie tam żarty! — powiedział zbliżając się Coothey, starszy palacz, kościsty człowiek o szerokich barach. — Kiedy by się człowiek nie zjawił w Gerton, zaraz przychodzi Komendant. Mam tego dość. Poszedłbyś spać, stary.

— Byłem właśnie na „Abrahamie Rappie” — zamamrotał Komendant, starając się nie słyszeć nieprzyjemnych słów palacza. — U nich wszystko w porządku. Płynęli dobrze, o świecie „Rapp” odpływa. Piłem kawę, grałem w warcaby z bosmanem Towby. Wspaniały człowiek! Co u was słychać, Coothey? Mam nadzieję, że wszystko w porządku! Jak szanowna rodzina?

— Zapal sobie — powiedział Coothey wypychając staremu lichego papierosa. — Trzymaj mocno w tej swojej łapce, bo upuścisz.

— Ach, oto i pan kapitan! — zawołał Komendant, szybko obciążając surducik i podbiegając w lansadach do kapitana, który szedł z żoną do teatru miejskiego. — Dobry wieczór, panie kapitanie! Dobry wieczór, wielce szanowna i... hm... Wieczór taki śliczny, że człowiek ma ochotę przejść się po deptaku, słuchając pięknej muzyki. Jak się panu wiedzie? Mam nadzieję, że wszystko w porządku! Nie miał pan sztormu? A zdrowie... w najlepszym stanie?

— A... to wy, Tiels! — powiedział, zatrzymując się, kapitan Henry Halton, wysoki mężczyzna lat trzydziestu pięciu, o dużej, ogorzalej twarzy. — Jeszcze się trzymacie... Bardzo dobrze! Cieszę się, że was widzę! Ale my się spieszymy, bierzcie więc tego dolara i walcie do kuchni, do Butlera, tam sobie pogadacie. Powodzenia! Mary, to jest Komendant.

— Ach, to pan jest „komendantem portu”? — uśmiechnęła się młoda kobieta. — Słyszałam o panu.

— Mnie wszyscy znają! — zachichotał starczym śmiechem Tiels, trzymając w jednej ręce papierosa, a w drugiej dolara i laskę. — Marynarze to wielcy ludzie i mam nadzieję, że nasze sympatie są wzajemne. Muszę państwu powiedzieć, że uwielbiam marynarzy. Ciągnie mnie na pokład jak... jak... jak...

Nie dosłuchawszy do końca, kapitan poprowadził żonę na brzeg, a Tiels, grzecznie uniósłszy w ślad za nimi czapkę, dokończył zwracając się do Lastona:

— Zuch z waszego kapitana! Prawdziwy wilk morski. Od stóp do głów.

Trzeba tu wyjaśnić, że Komendanta (było to jego przezwisko) znali na przystani absolutnie wszyscy, począwszy od ostatniej knajpy, a skończywszy na komorze celnej. Tiels całe życie przepracował jako urzędnik kantoru przy składzie należącym do wielkiej prywatnej spółki handlowej, ale zwolniono go w końcu z powodu sędziwego wieku. Od tego czasu utrzymywała go siostra, bezdzietna wdowa, u której mieszkał, pięćdziesięcioletnia Rebeka Bartels.

Tiels nie mógł zostać marynarzem, gdyż chorował na padaczkę, i chociaż ataki na starość znikły, to jednak marynarzem został tylko w wyobraźni. Rano siostra wkładała mu do kieszeni surduta dużą kanapkę, dawała dziesięć centów na osobiste wydatki i Komendant, machając laseczką, rozpoczynał obchód portu. Nie miał na celu żadnych korzyści materialnych, ciągnęło go po prostu do marynarzy i do statków od dzieciństwa, od czasów, kiedy jeszcze w ramionach matki wyciągnął rączki na widok żagli, sunących po błękitnej tafli morza.

Zapaliwszy wyschlą drżącą ręką papierosa, Komendant równym, drobnym krokiem ruszył do kuchni, gdzie — na widok jego bokobrodów i brwi — kucharz wybuchnął śmiechem.

— Czułem, że się zjawisz, Tiels! — powiedział wreszcie, podsuwając mu taboret i nalewając kubek kawy. — Gdzieś bywał? Pewnieś nie zauważył „Stelli”, stała za przystanią naftową, naprzeciwko fabryki. Teraz tam właśnie grają w karty i piją.

— Powoli, powoli, szanowny Piotrze Butler — odpowiedział wzdychając Tiels i przysunąwszy taboret do stołu, usiadł z rękami złożonymi na rączce laski. — Jak tam szanowne zdrowie? Czy rejs był dobry? Mam nadzieję, że szanowna małżonka czeka spokojnie na wasz powrót? Hm... Byłem już na „Stelli”. Nie zaczynano tam wtedy jeszcze grać, dopiero wysłali drugiego zastępcę po karty. Tak... Ale ja, wiecie... szybko poszedłem stamtąd, bo są tam dwie osoby, które odnoszą się do mnie... no... nieprzyjaźnie. Powiedzieli, że jestem stara, dokuczliwa wrona i że... Naturalnie zdenerwowało mnie to i nie mogłem już opowiedzieć im o swojej miłości do wszystkiego... do dzielnych marynarzy... pokładu... Ja zawsze tak, wy już wiecie...

Tiels zasmucił się i chlipnął. Butler poszperał w szafce — i stuknął o stół niedużą butelką ananasowego likieru.

— Taki stary wilk morski jak ty musi wypić kieliszek, nieprawda? — powiedział Butler. — Wypijemy i zapomnimy o tych pętałkach. Twoje zdrowie! Moje zdrowie! Halo! Hop!

Butler wlał pół szklanki napoju między swe mięsiste wargi, otarł je dużym palcem i spojrzał bacznie na Tielsa, który, wysącywszy powoli swoją szklaneczkę, zrobił taki ruch ustami, jak gdyby chciał powiedzieć „a”. Popłakawszy i wysiąkawszy nos, Tiels zaczął cmoćkać zgasłego papierosa.

— Jeszcze?

— Dziękuję, może później. Do stu piorunków! „Stella” to piękny statek, bardzo piękny — mówił Tiels, a przy każdym słowie głowa trzęsła mu się lekko. — Spuścili ją z pochylni w tysiąc dziewięćset pierwszym roku. Charley nie służy już na „Wyjcu”, widziałem go wczoraj w gospodzie Marleya. „Odpuść sobie, mówi. Wiesz, mam na pieńku z towarzystwem okrętowym, nie wypłacili mi całej premii”. Byłem też dziś pod „Czarnym Bykiem”, zaszedłem dowiedzieć się, jak i co. Wszystko w porządku. Rumper przeniósł szynk na inny róg, bo tamten budynek sprzedano i zajęto na magazyn. Watson ani rusz nie może wywalczyć swojej emerytury. To dopiero bieda! Pije, niech mnie piorun trzaśnie, pije zdrowo, jak wielbłąd albo jak smok. Aż przyjemnie popatrzeć. Bierze szklaneczkę, spogląda na nią i mówi: „Na Filipinach, powiada, ta-ak, powiada, różnie bywało. Na Jamajce, powiada, morowo”. „Royal Starr” zatonął. Mówią u nas, że trafił na cyklon. Do stu par beczek! Znalście Simona Lackereya, tego pirata? Simon Lackerey był piratem; pewnego razu gościł mnie po... jakiejś tam historii. No i powiada: „Nie zatopiliby »Szczerby«, gdyby im sam diabeł nie pomagał”. I zaczął tak kłać, aż wszystkich zatkało. Piękny był mężczyzna z tego Lackereya, nie ma co gadać! Do pioruna! Powiedziałem mu wtedy: „Wiecie co, Lackerey, weźcie mnie. Na abordaż! Hip, hip, hura! Na śmierć i życie”. Ale on był czymś zajęty, nie usłuchał mnie. A tak „Szczerba” byłaby ocalała. Z całą pewnością. Ze mną nawet diabeł...

— Oczywiście, Komendancie — powiedział Laston stając w drzwiach kuchni — ty byś tam zrobił porządek.

— Naturalnie — potwierdził Tiels. — Jeszcze jaki! Naturalnie.

Wypiwszy jeszcze szklaneczkę, Tiels ożywił się, rozsiadł się wygodniej i zaczął wylizywać wszystkie spotkania, płacząc własne przeżycia z tym wszystkim, co widział i słyszał w ciągu swego długiego życia. Nie był pijany, tylko podniecony, i czuł się jak zdrowy, młody człowiek, gotów płynąć na kraj świata. Jednak już dwa razy mylił kucharza ze statku „Signor Riberra” ze starszym mechanikiem z „Granela”, a Lastona nazwał „Herr Baumann”, płacząc go z bosmanem szkunera „Boliwia”. Kucharz pomyślał więc, że czas już wyprawić Komendanta. Był na to tylko jeden skuteczny sposób. Mrugnawszy do kucharza, Laston powiedział:

— No, Komendancie, poszedłbyś pomóc naszym chłopcom cumować na „Pielgrzymie”. Tylko patrzeć, jak zaczną.

Tiels nastroszył się i powoli, spode łba spojrzał na Lastona, a potem nerwowo poprawił kołnierzyk.

— Znam „Pielgrzymę” — zamamrotał żałośnie. — To bardzo piękny statek. W tysiąc dziewięćset czternastym roku — dwie dziury na rafach koło Przylądka Głodu... szybkość — dwanaście węzłów... Naturalnie.

— Idź, Tiels, pomóż naszym chłopcom — z udaną powagą powiedział kucharz.

Komendant powolnym ruchem nasunął mocniej czapkę i odrywając się z trudem od taboretu — wstał. Zobaczył wyraźny obraz grubych, masywnych lin i natychmiast wywietrzył mu z głowy starczy, drżący opar wódczany. Tiels ochłonał i poczuł zmęczenie.

— Pójdę lepiej do domu — powiedział rzucając szybki uśmiech Butlerowi i Lastonowi, którzy siedzieli naprzeciwko niego poważnie, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i pół-

przymkniętymi oczyma. — Tak, powinienem, bo obiecałem, że nie zasiedzę się dłużej niż do ósmej. Cumujcie, chłopcy, walcie ze swoją balią na „Pielgrzymia”. Cha, cha! Wesołej zabawy! Już mnie nie ma...

— To ci historia! — zawołał Butler. — Już go nie ma! Na Boga, Komendancie, zaraz przyjdą chłopcy i bosman, pomógłbyś nam!

— Nie, nie, nie! Ja muszę, muszę iść — gorączkował się Tiels — dlatego że, sami rozumiecie, obiecałem przyjść wcześniej.

— Dokąd to? — zagadnął wchodząc młody marynarz Schenk.

— Witaj, młodzieńcze! Dobry mieliście rejs? Jak zdrowie waszej wielce szanownej...

— Mamusi, żebyście się nie pomylili; bardzo dobrze, dziękuję. Ale nie o to chodzi. Wstąpcie, jeśli macie ochotę, do Klubu Morskiego. Pracuje tam jako bufetowa pewna dziewczyna — Peggy Scotter.

— Peggy Scotter? — wymamlał Tiels, ożywiając się nieco i zapominając nawet o strachu przed grubymi linami. — Jakże bym miał nie znać? Oczywiście że znam. Wspaniała dziewczyna, niech mnie kule biją! Znam ją, zapewniam was.

— Więc powiedzcie jej, że będzie już miesiąc, jak jej ukochany, Willy Brandt, umarł na dżumę w Eno. Właśnie zawiąnął „Koguci Grzebień”, jeden marynarz od nich był w „Eurece”, gdzie siedzą nasi, i dał znać. Kto do niej pójdzie? Nikt, każdy się boi. Jak taką rzecz powiedzieć? Dziewczyna zacznie lamentować. A wy, Tiels, potraficie to zrobić, człowiek z was twardy, a i starzyście jak świat, wy to dobrze zrobicie. Czy nie tak?

— Słusznie — powiedział Laston zdecydowanym tonem i szurnął nogą.

— Słusznie — zgodził się po krótkim milczeniu Butler.

— Tylko pamiętajcie, mówcie od razu. Nie dręczcie jej. Nie owijajcie w bawełnę — pouczał Schenk.

— Tak, najgorzej jest przeciągać! — potwierdził Butler. — Rąbnać, i za drzwi.

Staruszek zacisnął wargi i spuścił głowę. Słychać było miarowe, ciężkie jak przy pracy sapanie marynarzy.

— Rzecz w tym — zaczął znów Schenk — że u was wypadnie to jak szmer drzewa czy coś takiego albo jak tykanie zegara: „Brandt u-marł na dżu-mę w E-no...” Lżej to przyjmie. A gdybym ja poszedł, to, rozumiecie, byłoby jakoś nieładnie. Musiałbym specjalnie na tę okazję się upić.

— Tak. Od razu! — krzyknął Tiels ochryłym głosem i tupnął nóżką. — Śmiało i odważnie. Przekłeta dziewczka ma serce ze stali! Twarde jak marynarska podeszwa! Obiecuję wam, Schenk, i wam Butler, i wam, Laston. Zrobię to natychmiast.

II

Peggy Scotter gospodarzyła w herbaciarni, w dolnej sali klubu, na prawo od westybulu. Była to zgrabna dziewczyna, silnie zbudowana, piegowata i perkatonosa. Jej szare oczy patrzyły poważnie i pytająco, a ciemnorude włosy spięte na karku mnóstwem mocnych szpilek — błyszczały jak pięknie wyczyszczony brąz.

W chwili, kiedy jej pomocnica po raz dziesiąty studiowała krój obszytego koronkami rękawa swej szefowej, Peggy zobaczyła Tielsa. Szedł półkołem w stronę bufetu, przystając często i kłaniając się uprzejmie znajomym gościom.

— Popatrz, Melly, przyszedł Komendant — powiedziała Peggy układając ciastka na olbrzymiej fajansowej paterze. — Idzie w naszą stronę. No, no, przebieraj nóżkami, stary gaduło!

Już z daleka kłaniając się bufetowej, Tiels podszedł do samej lady bufetu. Peggy spytała

go wzrokiem o jego starość, o codzienne trudy — i uśmiechnęła się na widok jego uroczyście tajemniczej miny...

— Witam szanowną, kwitnącą jak zawsze... — zaczął Tiels, ale zamrugał oczami i skończył: — Mam nadzieję, że rejs mieliście dobry... O, przepraszam, to nie to. Piękny wieczór, chciałem powiedzieć. Jak się wam powodzi?

— Chcesz, Komendancie? — spytała Peggy podsuwając mu biskopt. — Zjedzcie za zdrowie Williama Brandta. Pytaliście się o niego niedawno — wraca niedługo. Pisał dwa tygodnie temu. Kiedy przyjedzie, postawię wam — o, na tamtym stoliku — butelkę wspaniałego rumu... bez herbaty, i siądę razem z wami, ale teraz, idźcie sobie, bo jak przylecą kelnerzy z tacami, to was zatratują.

— Dziękuję — powiedział Tiels wsadzając powoli biskopt do kieszeni. — Tak... Kiedy przyjedzie Brandt. Peggy! Peggy! — wyrwało mu się nagle.

Ale nie powiedział nic więcej, tylko zadrżały mu pomarszczone policzki. Wzrok miał wilgotny i tępy.

Peggy zdziwiła się, bo Komendant nigdy nie pozwalał sobie na taką familiarność. Przyglądała mu się uważnie, nawet się ku niemu nachyliła.

Tiels nie mógł się odważyć na dokończenie — przy tym wesołym bufecie z wesołymi kwiatami i ładną zastawą nie mógł przecież rozlec się na całą salę obłąkany krzyk kobiety. Nerwowo przełknął więc tę część powietrza, którą przy wydechu miał porazić Peggy, wypowiadając słowa prawdy o losie jej Brandta, i tchórzliwie podreptał dalej, kłaniając się z przęgięciem, od przodu w tył, niby kołyszący się bąk.

Peggy nie rozmawiała już więcej z Melly o kroju rękawów. Coś dziwnego utkwilo jej w głowie po okrzyku Tielsa: „Peggy! Peggy!” Myślała o Brandtcie całą godzinę, stała się mroczna niby zgaszona lampa, wreszcie uderzyła ręką o marmurowy blat bufetu:

— Głupia jestem, zem go nie zatrzymała! — mruknęła. — Przestraszył mnie czemuś.

— Czy pani nie widziała, że Komendant był pijaniuteńki? — powiedziała Melly. — Czuję od niego wódkę.

Wówczas Peggy poweselała nieco, ale od tej chwili myśli jej émiła czarna plamka i kiedy po kilku dniach dziewczyna dostała wiadomość na piśmie od siostry Tielsa — owa czarna plamka stała się jak gdyby resorem, łagodzącym ciężki cios.

— Otóż i jestem, dziecinko — znalazłszy się wreszcie w domu, powiedział Tiels do starej kobiety, siedzącej w rogu pokoju przy maszynie do szycia. — Bardzo się zmęczyłem. Zdaje się, że wszystko w porządku, wszyscy zdrowi. Rejs był dobry. Byłem na „Trawiacie”, na „Stelli”, na „Abrahamie Rappie”, na „Reccordzie”. Spotkałem kapitana Haltona. „Dzień dobry — powiada do mnie kapitan. — Jak się masz — powiada — Tiels, drabie jeden! Potrafisz jeszcze utrzymać żagle pod wiatr”. Zapraszał mnie do teatru, ale krępuje mnie zawsze duże towarzystwo. Wypiliśmy sobie. Kapitan podarował mi biskopt, dolara i to... Nie, pomyliłem się, biskopt dała mi Peggy Scotter. Jej narzeczony umarł. Bardzo nieprzyjemna misja, ale wypełniłem ją dzielnie. Jakież łyzy... lament... Poszedłem sobie.

— Nie powiedziałaś nic Peggy, braciszku — odezwała się Rebeka. — Znam cię dobrze. Kładź się spać. Jeśli chcesz jeść, to na półce stoi talerz z kotletami.

Minął rok. „Reccord” znów zawinął do portu. Ale Komendant nie przyszedł — umarł zakrztusiwszy się zupą. Kaszlał i zanosił się tak długo, aż w jego słabym gardle pękło naczynko krwionośne; staruszek osłabł, położył się i za dwa dni już go nie było.

— Czegoś jednak brakuje — mówił Laston do Butlera, gdy nastał wieczór. — Kto nam teraz opowie przeróżne nowiny?

Ledwo przebrzmiały te słowa, na pokład wszedł spieszenie wysoki bosy chłop o czerwonej twarzy i dzikim, bezczelnym wyglądem.

— Jak się macie! — zagrzmiął, machając kapeluszem dziwnego fasonu. — Jak się wam

pływało marynarze? Rejs mieliście dobry? A rodzina jeszcze dyszy? No, no! Poczęstujcie kielichem!

— Coś ty za jeden? — spytał Butler.

— Komendant portu! Tiels zdechł, no... to ja go zastępuję.

Laston uśmiechnął się, wstał i bez słowa wzięwszy przybysza pod łokcie wyrzucił na bruk nabrzeża.

— Bądź zdrow! — powiedział marynarz. — Nie przychodź więcej.

— Dziwna rzecz! — zaczął wrzeszczeć tamten odszedłszy na bezpieczną odległość. — Jak ci buty ukradną, to przecież kupisz nowe? Chciałem wam służyć, złodziejaszki, łajdaki, szachraje, padło dla rekinów!

— Nic z tego — odpowiedział z pokładu Laston, nie obrażając się na głupca. — Za jaskrawy falsyfikat. Twoja paszcza nie potrafi nawet spytać: „Jaki mieliście rejs?”

Przełożyła *Krystyna Pomorska*

Zielona lampa

I

Zimą roku 1922, w Londynie, na rogu Piccadilly oraz jednej z uliczek zatrzymali się dwaj elegancko ubrani mężczyźni w średnim wieku. Wyszli przed chwilą z wytwornej restauracji. Jedli tam kolację w towarzystwie aktorek z teatru Drury Lane, pijąc wino i spędzając czas na wesołej zabawie.

Uwagę ich zwrócił leżący nieruchomo na ulicy nędznie odziany człowiek lat mniej więcej dwudziestu pięciu, wokół którego zaczynał gromadzić się tłum przechodniów.

— Stelton! — rzekł pogardliwie tęgi dżentelmen do swego wysokiego przyjaciela widząc, że ów schyla się i przypatruje się leżącemu. — Daję ci słowo, że nie warto interesować się tą padliną. Jest pijany albo nie żyje.

— Jestem głodny... i żyję — wymamrotał nieszczęśnik podnosząc się z lekka, by spojrzeć na Steltona, który ważył coś w myślach. — To było omdlenie...

— Posłuchaj, Ramer — odpowiedział przyjacielowi Stelton. — Oto nastęcza się okazja do żartu. Przyszedł mi do głowy ciekawy pomysł. Znudzili mi się normalne rozrywki, zresztą najlepiej można się bawić tylko wtedy, gdy zabawką są ludzie.

Słowa te były wypowiedziane półgłosem, leżący, a teraz wsparty o żelazne sztachety mężczyzna ich nie słyszał.

Ramer, któremu to wszystko było najzupełniej obojętne, wzruszył ramionami, pożegnał się i odjechał do swego klubu, by tam spędzić resztę nocy, Stelton zaś, wśród szmeru uznania tłumu, wsadził przy pomocy policjanta bezdomnego mężczyznę do cabu.

Powóz ruszył w kierunku jednej z knajpek na High Street.

Włóczęga nazywał się John Ives. Przyjechał do Londynu z Irlandii w poszukiwaniu pracy. Ives był sierotą, wychowywał się w rodzinie leśniczego, jedynym wykształceniem, jakie otrzymał, była szkoła podstawowa. Gdy miał piętnaście lat, leśniczy zmarł, jego dzieci wyjechały w świat, jedni do Ameryki, drudzy do Południowej Walii, trzeci do Europy, a Ives przez jakiś czas pracował u pewnego farmera. Później imał się wielu robót — był górnikiem, marynarzem, posługaczem w oberży, wreszcie, mając dwadzieścia dwa lata, zachorował na zapalenie płuc i po wyjściu ze szpitala postanowił spróbować szczęścia w Londynie. Bardzo prędko

jednak przekonał się, że bezrobocie i konkurencja prawie uniemożliwiają zdobycie jakiegokolwiek pracy. Nocował w parkach, na przystaniach, wychudł, przymierał głodem, aż wreszcie omdlałego podniósł Stelton, właściciel składów handlowych w City.

Stelton doszedłszy do lat czterdziestu zakosztował już wszystkiego, co za pieniądze może stać się udziałem człowieka nieżonatego, który ponadto nie zna troski o dach nad głową ani o to, co do ust włożyć. Posiadał majątek wartości dwudziestu milionów funtów. To, co zamierzał uczynić z Ivesem, było zupełnym nonsensem, Stelton jednak czuł się dumny ze swego pomysłu, miał bowiem tę słabość, że uważał się za człowieka o wielkim dowcipie i fantazji.

Kiedy Ives najadł się do syta, wypił wino i opowiedział Steltonowi swoją historię, ten oświadczył:

— Chcę uczynić panu pewną propozycję, która wywoła błysk radości w pańskich oczach. Proszę posłuchać. Otrzyma pan ode mnie dziesięć funtów pod warunkiem, że już od jutra wynajmie pan pokój przy jednej z głównych ulic, na pierwszym piętrze, z oknami od frontu.

Co wieczór, punktualnie od piątej po południu do dwunastej w nocy, na parapecie jednego z okien, zawsze tego samego, musi stać zapalona lampa, osłonięta zielonym abażurem. W tych godzinach, to znaczy między piątą po południu a północą, nie wolno panu wychodzić z domu ani przyjmować nikogo, ani z nikim rozmawiać. Słowem, zajęcie nietrudne i jeżeli akceptuje pan moje warunki, będę panu przysyłał co miesiąc dziesięć funtów. Nazwiska mego panu nie wyjawię.

— O ile to nie są żarty — odpowiedział Ives osłupiały ze zdumienia — zgadzam się zapomnieć nawet własnego nazwiska. Ale czy mógłbym dowiedzieć się, jak długo trwać będzie ten mój dobrobyt?

— Jeszcze nie wiadomo. Może rok, a może całe życie.

— Tym lepiej. Ośmielę się jednak zapytać, do czego potrzebna panu ta zielona iluminacja?

— To tajemnica! — odpowiedział Stelton. — Wielka tajemnica! Światło lampy będzie sygnałem dla ludzi i spraw, o których pan nigdy niczego się nie dowie.

— Rozumiem. To znaczy nic nie rozumiem. Dobrze więc, proszę o pieniądze i zapewniam pana, że od jutra pod adresem, który podam, John Ives będzie oświetlał okno lampą z zielonym abażurem!

Tak oto zawarta została dziwna transakcja, po czym włóczęga i milioner rozstali się bardzo z siebie nawzajem zadowoleni.

Stelton powiedział przy pożegnaniu:

— Proszę napisać na poste-restante „3-33-6”. Musi pan ponadto liczyć się z tym, że pewnego dnia, może za miesiąc, może za rok, w każdym razie całkiem niespodziewanie odwiedzą pana osoby, dzięki którym stanie się pan człowiekiem samodzielnym. Dlaczego i w jaki sposób — tego nie mam prawa panu wyjawić. Ale tak się stanie...

— Niech to diabli! — mruknął zamyślony Ives spoglądając za cabem uwożącym Steltona i mnąc w palcach dziesięciofuntowy banknot. — Albo ten człowiek jest niespełna rozumu, albo ja jestem wyjątkowym szczęśliwcem! Naobiecować tyle łask jedynie za to, że wypalę co dzień pół litra nafty!

Nazajutrz wieczorem jedno okno na pierwszym piętrze ponurej kamienicy przy River-Street nr 52 jaśniało łagodnym zielonkawym światłem. Lampa była przysunięta blisko do ramy okiennej.

Po drugiej stronie ulicy dwaj mężczyźni patrzyli przez jakiś czas na zielone okno. Wreszcie Stelton powiedział:

— A więc, drogi Ramerze, jeśli kiedykolwiek będzie się pan nudził, proszę tu przyjść i roześmiać się. Tam za tym oknem siedzi głupiec. Głupiec kupiony tanio na długoterminowe

raty. Rozpije się z nudów albo zwariuje... ale będzie czekał sam nie wiedząc na co. A otóż i on!

Rzeczywiście, ciemna postać wsparłszy się czołem o szybę spoglądała w półmrok ulicy jak gdyby pytając: „Kto tam? Czego mam oczekiwać? Kto przyjdzie do mnie?”

— Myślę jednak, że i pan jest głupcem. mój drogi — Ramer wziął przyjaciela pod ramię i pociągnął do samochodu. — Cóż wesołego widzi pan w tym żarcie?

— Zabawkę... zabawkę z żywego człowieka — odparł Stelton. — Najrozkoszniejszą rzecz pod słońcem!

II

W roku 1928 szpital dla ubogich, mieszczący się na jednym z przedmieść Londynu, napelniły nieludzkie jęki — krzyczał ze strasznego bólu starzec, którego przed chwilą przywieziono, brudny, niechlujnie odziany, z wymizerowaną twarzą. Złamał nogę potknąwszy się na ciemnych schodach spelunki.

Zaniesiono chorego na oddział chirurgiczny. Przypadek okazał się poważny, gdyż skutkiem skomplikowanego złamania kości nastąpiło poszarpanie naczyń.

Chirurg, stwierdziwszy, że u biedaka zaczął się już proces zapalny, orzekł konieczność operacji. Przeprowadzono ją niezwłocznie, po czym osłabionego starca ułożono na łóżku, gdzie natychmiast zasnął, a zbudziwszy się, zobaczył, że siedzi przy nim ten sam chirurg, który pozbawił go prawej nogi.

— Kto by przypuszczał, że spotkamy się ponownie w takich okolicznościach — odezwał się lekarz, poważny wysoki mężczyzna o smutnym spojrzeniu. — Czy pan mnie pozna, mister Stelton? Jestem John Ives, któremu polecił pan dyżurować codziennie przy palącej się lampie z zielonym abażurem. Poznałem pana od pierwszego wejrzenia.

— Piekło i szatani! — mruknął Stelton wpatrując się w mówiącego. — Jak to się stało? Czy to możliwe?

— Tak. Proszę mi powiedzieć, skąd ta gwałtowna zmiana w pańskim życiu?

— Straciłem cały majątek... kilka wielkich przegranych... panika na giełdzie... Już trzy lata minęło, odkąd jestem nędzarzem. A pan? Pan?

— Ja przez kilka lat zapalałem lampę — uśmiechnął się Ives — i najpierw z nudów, a później z coraz większym zainteresowaniem zacząłem czytać wszystko, co mi wpadło w ręce. Pewnego dnia na etażerze w moim pokoju znalazłem starą anatomię i wertując ją doznałem wstrząsu. Odsłoniły się przede mną pasjonujące tajniki ludzkiego organizmu. Jak odurzony przesiedziałem całą noc nad tą książką, a z samego rana udałem się do biblioteki i spytałem: „Co trzeba studiować, by zostać lekarzem?” Odpowiedź brzmiała ironicznie: „Trzeba studiować matematykę, botanikę, zoologię, morfologię, biologię, farmakologię, łacinę itd”. Nie zdetonowany, wypytywałem dalej, zapisując wszystko dla pamięci.

Minęły już dwa lata, odkąd zapalałem zieloną lampę i kiedyś wracając wieczorem do domu (nie uważałem za konieczne siedzieć murem w pokoju przez siedem godzin) spostrzegłem jakiegoś mężczyznę w cylindrze, który wpatrywał się w moje oświetlone okno z rodzajem złości czy też pogardy.

„Ives, klasyczny głupiec! — mruknął nie zauważwszy mnie. — Czeka na obiecaną cuda... tak, ale on ma chociaż nadzieję... a ja jestem prawie bankrutem!” — To pan był owym mężczyzną. Po chwili milczenia dodał pan: „Głupi żart. Szkoda wyrzuconych pieniędzy”.

Miałem już dostateczną ilość nakupionych książek, by nie zważając na nic oddać się nauce. Omal nie rzuciłem się na pana wówczas na ulicy, w porę jednak przypomniałem sobie, że dzięki pańskiej szyderczej hojności mogę stać się człowiekiem wykształconym...

— I co dalej?

— Dalej? Szczęśliwie. Jeżeli pragnie się czegoś ponad wszystko, rychło przychodzi spełnienie. W tym samym mieszkaniu odnajmował pokój pewien student, który okazał mi wiele zrozumienia, dopomógł w nauce, dzięki czemu w półtora roku później zdałem egzamin wstępny do kolegium medycznego. Jak pan widzi, byłem człowiekiem zdolnym...

Zapadło milczenie.

— Dawno już nie byłem pod pańskim oknem — przemówił wreszcie Stelton wstrząśnięty opowiadaniem Ivesa — dawno, bardzo dawno... A teraz wydaje mi się, że tam wciąż jeszcze płonie zielona lampa... lampa rozświetlająca ciemności nocy... Proszę, niech pan mi przebaczy.

Ives wyjął zegarek.

— Dziesiąta godzina. Powinien pan już spać — powiedział. — Przypuszczam, że za trzy tygodnie będzie pan mógł opuścić szpital. Proszę wówczas do mnie zadzwonić, możliwe, że dam panu pracę w naszym ambulatorium, będzie pan prowadził ewidencję chorych. A schodząc po ciemnych schodach, niech pan zapala... bodaj zapałkę.

Przełożyła Irena Piotrowska

SPIS RZECZY

Podróż do Grinlandii — Seweryn Pollak	002
Szczurołap — przeł. Irena Piotrowska	011
Zabójstwo w Kunst-Fisze — przeł. Irena Piotrowska	031
Lina — przeł. Marta Tywonek	034
Niewolnik klubowy — przeł. Marta Tywonek	043
Czarny diament — przeł. Zofia Dudzińska	050
Zatruta wyspa — przeł. Zofia Dudzińska	055
Genialny gracz — przeł. Marta Tywonek	063
Dokoła świata — przeł. Zofia Dudzińska	065
Wrogowie — przeł. Zofia Dudzińska	072
Walka ze śmiercią — przeł. Zofia Dudzińska	074
Potęga nieprzeniknionego — przeł. Zofia Dudzińska	078
Tam i z powrotem — przeł. Zofia Dudzińska	082
Święto noworoczne ojca i małej córki — przeł. Zofia Dudzińska	086
Stworzenie Aspera — przeł. Seweryn Pollak	090
Wesoły towarzysz podróży — przeł. Irena Piotrowska	094
Niszczyciel — przeł. Seweryn Pollak	100
Osobista rozmowa — przeł. Seweryn Pollak	104
Gniew ojca — przeł. Seweryn Pollak	107
Szary samochód — przeł. Seweryn Pollak	110
Elda i Angotea — przeł. Seweryn Pollak	132
Sześć zapalek — przeł. Seweryn Pollak	137
Renée — przeł. Seweryn Pollak	142
Dom zamknięty na cztery spusty — przeł. Irena Piotrowska	154
Na obłocznym brzegu — przeł. Irena Piotrowska	157
Czternaście stóp — przeł. Krystyna Pomorska	166
Głos i wzrok — przeł. Krystyna Pomorska	169
Gadatliwy skrzat — przeł. Krystyna Pomorska	171
Komendant portu — przeł. Krystyna Pomorska	174
Zielona lampa — przeł. Irena Piotrowska	179